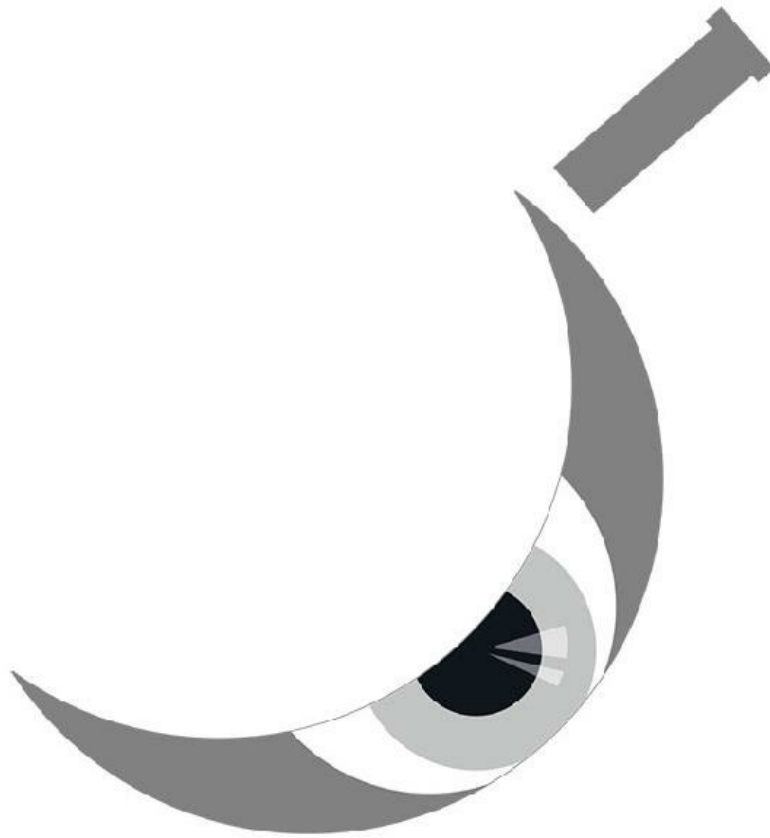


PIOTR
GOCIEK

CZARNE
BATALIONY

fabryka słów®



PIOTR
GOCIEK

CZARNE
BATALIONY

fabryka słów®

LUBLIN 2014

COPYRIGHT © BY Piotr Gociek
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2014
WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-013-3

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta
PROJEKT OKŁADKI Szymon Wójciak
REDAKCJA Karina Stempel-Gancarczyk
KOREKTA Agnieszka Pawlikowska
SKŁAD ORAZ OPRACOWANIE OKŁADKI „Grafficon” Konrad Kućmiński
SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

CZOŁG

Janek Poranek i jego goście

Dzień oligarchy

Opowieść Wowy

Podróż Trzech Króli

Gdzie jest generał

Chłopiec z plakatem

Inicjatywa oddolna

Czarne bataliony

Posłowie

Okładki

CZOŁG



Nazywali go po prostu CZOŁG.

Stał na rogu ulic niedaleko wejścia do stacji metra. Ostatniej stacji na tej linii. Musiał przyjechać nocą. Może przyleciał? Nie takie rzeczy są dziś możliwe, przekonywał Gruby. Samoloty nurkujące pod wodą. Rakiety z tysiącami kilometrów trafiające w kuchenną kratkę wentylacyjną. Drony szpiegowskie mniejsze niż ręka dorosłego człowieka. Mogą być i latające czołgi.

Wieczorem go nie było, rankiem już był. Z lufą uniesioną pod kątem trzydziestu stopni. Stał między wymalowaną na chodniku ścieżką rowerową a starym przystankiem autobusowym.

Najlepiej z całej paczki miał Robik. Widział CZOŁG z okien mieszkania na trzecim piętrze. Blok Robika był najnowszy spośród zbudowanych wokół skrzyżowania, ale nie całkiem nowy. Starzy Robika wprowadzili się tu, jeszcze zanim się urodził, a przecież dopiero co skończył dziesięć lat. Na dole bloku, w przyziemiu, podobno był kiedyś sklep z hinduskimi meblami i restauracja, w której serwowano pierogi.

– Szkoda, że ją zamknęli – narzekał Gruby. – Stamtąd byłby widok!

Największe działo CZOŁGU wycelowane było w pierwsze piętro nad restauracją.

Od początku mówili po prostu CZOŁG, z respektem, jaki wymuszała potężna stalowa bryła obrosnięta antenami i działkami. Pierwszy w necie opisał go Treśniak, który jako jedyny z grupy

Grubego miał naprawdę dobrze działającego smartfona. Zobaczył CZOŁG w poniedziałek rano, kiedy ojciec odprowadzał go do metra.

Metro znowu jeździło, ale na peronach nie było już drewnianych ławek, tylko stragany. Większość ludzi chciała coś sprzedać, niewielu kupowało. Na składanych stolikach piętrzyły się komputery, książki, ubrania, tostery, kuchenki mikrofalowe, sportowe buty, łyżwy. Najlepiej schodziło puszkowane zarcie, części do rowerów i najprostsze mobajle – takie, które działały w nowej sieci.

– Szybciej, nie oglądaj się! – ponaglił Treśniaka ojciec, kiedy po raz pierwszy zobaczyli CZOŁG. Dorośli byli dobrzy nie tylko w ponagłaniu, ale także w udawaniu, że nie widzą tego, co widzą. Ojciec Treśniaka spuścił głowę, przyspieszył kroku i ciągnął za sobą syna jak wór kartofli.

Treśniak próbował zrobić fotkę CZOŁGU. Jak rewolwerowiec, z biodra, wysuniętym z kieszeni do połowy smartfonem. Był pierwszym z osiedla, ale nie ostatnim, któremu się nie udało. Gruby orzekł potem, że to jakieś zakłócające pole, forma elektronicznej obrony dziwnego pojazdu. Gruby ciągle się mądrzył, bo jego stary był jakimś ważnym specem od elektroniki. Kiedyś służył w wojsku, potem zatrudnił się w ministerstwie. Teraz pracował dla nowych. Gruby też nie był głupi.

Chłopcy z osiedla sprawdzali to potem jeszcze kilka razy, zawsze z tym samym rezultatem. Każdy, kto próbował sfotografować albo sfilmować CZOŁG, widział na displeju tylko srebrnoszarą drobną kaszę. Jeśli ktoś podchodził za blisko, ryzykował spalenie sprzętu, niszczonego na odległość dziwnym wyładowaniem.

Ojciec wepchnął tamtego dnia Treśniaka do najbliższego składu metra i zdążył jeszcze na do widzenia burknąć: „Nic nie widziałeś”, ale jego syn wiedział lepiej. W tunelach metra, inaczej niż kiedyś, smartfony nie miały zasięgu. Nie była to jedyna rzecz, jaka ostatnio zmieniła się na gorsze. Ale zaraz po wyjściu na powierzchnię Treśniak wysłał na DoSie ten pierwszy wpis:

@Tresniak: krwa fa Czołg obok przejścia do KGalery

Zanim wszedł do szkoły, na łolu pojawiły się już odpowiedzi:

@Gruby: KGalery nie trzeba tak bardzo pilnować xD

@SandraR: Tresniak co wyjarales

@Cipior: dupa Sandry pod galerom tez wyglonda jak czolg

Robik miał do szkoły na popołudnie. Wszyscy to wiedzieli. I mieszkał naprzeciwko Galerii, którą kilka lat temu obudowano stojący wcześniej pośrodku brzydkiego parkingu hipermarket i pętlę autobusową. Z okien jego mieszkania widać było wejście do metra, wejście do Galerii i w ogóle całe skrzyżowanie, ostatnie przed lasem, gdzie mieściły się także zakłady remontowe wagonów metra. Dlatego naprawdę zagrzało się w DoSi dopiero, kiedy dopisał swoje.

@Robik: widzę go z balkonu

@Cipior: Sandra daje robikowi

@SandraR: cipior ty huju

@Gruby: wieczorem w ce ha...

Potem nastąpiła awaria Dobrej Sieci. A kiedy połączenie wstało, nikt już nie był w stanie znaleźć wpisu Treśniaka. Ani Robika. Awarie zdarzały się często. Awarie DoSi jeszcze częściej.

Wieczorem spotkali się w chacie – „ce ha”, to właśnie miał na myśli Gruby, który zresztą sam wymyślił kryptonim. Gruby nie był głupi.

Właściwie była to zwykła drewniana wiata, stojąca w lesie, w miejscu, gdzie krzyżowały się dwie ścieżki. Po ścieżkach kiedyś jeździli ludzie na rowerach, spacerowały matki z wózkami, biegali dzogery. Robik raz powiedział, że chyba to pamięta. Że jak był bardzo mały, starzy zabierali go na wycieczki do lasu. Po drugiej stronie, na polanie, płonęły ogniska i małe grille, a za nią, na ceglanych kortach pod wielkimi namiotami grywano w tenisa. Można było iść jeszcze dalej, aż do ogrodu botanicznego. Teraz już nikt tam nie chodził. Nie było ogrodu. Nie było kortów. Las kończył się kilometr za chatą, podwójnym pasem kolczastego ogrodzenia rozpiętego na betonowych słupach. Co było po drugiej stronie? Jedni mówili, że baza. Inni, że lotnisko. „Jakby, kurwa fa, baza nie mogła mieć lotniska” – zżymał się Gruby.

Chata-wiata została. A z nią drewniany piknikowy stół, poczerniały od wilgoci. Butwiejące ławy z grubych bali przepiłowanych na pół. Wąskie deszczułki okrywające ukośny dach jak drewniane łuski.

W dniu, kiedy pojawił się CZOŁG, pierwszy na miejsce przybiegł Treśniak. Przyjemnie zmęczony leżał teraz na ławie wyszlifowanej kiedyś przez tysiące zadków spacerowiczów, którzy przed laty zatrzymywali się tu na kanapki i colę. Czasem, gdy chłopcy z paczki chcieli sobie nawzajem podokuczać, fantazjowali, że siedzą w miejscu, gdzie akurat niegdyś gromadziły się najgrubsze i najbardziej odrażające paniusie, których tłuste dupska ociekały tłustym potem. Co oczywiście oznaczało, że ten, kto siedział w miejscu zajętym dawniej przez najtłustsze z nich, łapał dziś największego syfa.

Robik miał swoją własną metodę – biegł sprintem ile miał sił, potem chwilę truchtał i znowu rzucał się w szaleńczy bieg. Podobno

podpatrzył to na treningach piłkarskich gwiazd, których plakatami wytapetował cały pokój.

Na końcu przycwalał Gruby. Toczył się przez las jak nosorożec. Opadł na ławkę i ciężko dyszał.

Rodzice rok temu zakazali im przychodzenia do chaty.

– Nigdy więcej tam nie pójdziesz! – groził wtedy Grubemu ojciec kościstym paluchem.

Ojciec Grubego był chudy jak szkieletor. Chłopaki śmiały się, że syna kupił albo adoptował, bo wcale nie byli do siebie podobni.

– Obiecuj! Obiecuj mi, że nigdy już nie pójdziesz do lasu!

Wszyscy musieli to obiecać. Zeszłego lata, kiedy zginął Lesio.

To Gruby wymyślił sposób.

– Obiecaliśmy, że nigdy tu nie przyjdziemy – tłumaczył, o co mu chodzi. – Nie było mowy o bieganiu.

Od tej pory przybiegali więc do chaty z poczuciem, że przestrzegają danego słowa.



– Opowiadaj, Robik – wysapał Gruby.

Opowieści były podobne. CZOŁG został już zauważony przez wszystkich, choć większość dorosłych postępowała tak, jak ojciec Treśniaka, i udawała, że w salonie nie ma słońca. CZOŁG nie poruszał się, nikt z niego nie wychodził, nikt do niego nie podjeżdżał. Na czarnej, chłonej promienie słońca powierzchni nie dało się zauważyć żadnego wjazdu czy wizjera. Tak jakby cały pojazd odlany był z jednego kawałka mrocznej stali.

– Nie ma śladów – rzekł Robik.

– Jakich śladów?

– No właśnie żadnych. Po gąsienicach albo po kołach. Z mojego balkonu widać wyraźnie. A przecież stoi na ziemi.

– Mokrej ziemi – dodał Treśniak. – Buty miałem rano całe uwalone. Ja też nie widziałem śladów.

– Czyli co, przyleciał? – Gruby zerkał podejrzliwie zza okularów. Szkło w lewej soczewce było pęknięte.

– Mógł przylecieć. Ale w nocy nic nie było słyhać.

– Ty też nie słyszałeś? – Gruby zerknął na Robika.

– Nic a nic.

Gruby się zamyślił.

Kiedy myślał, był bardzo podobny do swojego starego. Podobnie przygryzał wargi, krzywił usta i zawzięcie wędrował wzrokiem po ziemi, jakby miał w oczach jakiś specjalny promień, który prześwietla ziemską skorupę na wskroś.

Czasem trwało to długo, bo choć Gruby był bystry, to lubił – jak sam podkreślał, a brzmiało to jak zdanie ze starych seriali – „przemyśleć wszystkie opcje”. Tym razem też kazał im trochę czekać. Treśniak leżał na ławie z plecaczkiem pod głową, opierał uniesione nogi o młode drzewo i zabijał czas, bawiąc się smartfonem. Robik grzebał patykiem w grubym dywanie starych liści i próbował wyprowadzić Treśniaka z równowagi, wymyślając niestworzone historie.

– Tamta turystka nazywała się Knurella Ruchawica – dogadywał. – I była tak gruba, że trzeba ją było karmić koparką. Kiedy srała, to ziemia się trzęsła. Ostatnio podobno srała właśnie obok miejsca, gdzie teraz leżysz. Drzewo, którego dotykasz, wyrosło prosto z gówna Knurelli. A teraz opowiem ci, co takiego wysrała. I jak, i gdzie dokładnie rzygała...

Treśniak nie słuchał. Podniósł wzrok dopiero, kiedy chwilowo skończył przeglądać DoSie.

– Kurwa fa. Nie ma nic o CZOŁGU.

Robik nie rezygnował.

– Knurella wysrała kiedyś ciężarówkę tak wielką, że zmieściłyby się na niej trzy twoje czołgi...

– Idziemy na Skarpę – odezwał się nagle Gruby. Oznaczało to, że przejrzał już „wszystkie opcje”. – Siwy nam pomoże.

Treśniak pokręcił głową.

– Ściemnia się. Stary mnie zabije.

– Jutro. – Robik zeskoczył z ławki. – Zerwę się z ostatniej lekcji.

Gruby popatrzył na nich z namysłem.

– Jutro – zgodził się.

Wracali bez pośpiechu, chcąc wydłużyć ostatnie chwile poza domem. Robik schodził ze ścieżki, kopał jakichś wyimaginowanych przeciwników, ścinał patykami szczyty zarośli. Treśniak potykał się co chwila, bo ciągle zaglądał do smartfona. Z powrotem nie musieli biegać, to też wymyślił i wytłumaczył im Gruby. Przecież obietnica złożona starym dotyczyła chodzenia do lasu (czego nie robili, gdyż biegali), a na temat wracania z lasu nikt im nigdy niczego nie mówił.

W połowie drogi usłyszeli szum. Narastał, a w miarę jak się zbliżał, dało się w nim wyróżnić dźwięki pojedynczych silników. Zatrzymali się i zadarli głowy. Po chwili trzy maszyny wściekle mielące powietrze wirnikami przemknęły tuż nad czubkami drzew. Nieoznakowane. Tak jak CZOŁG. Nieoznakowane, więc nie wiadomo, do kogo należące, tłumaczył kiedyś taki śmieszny stary gość w telewizji, którego program zresztą pokazywano właśnie w poniedziałki, co oznaczało, że jego fryzurę przypominającą kaczy kuper Treśniak zobaczy na teleściance, kiedy wróci do domu. Może

i były nieoznakowane, ale wszyscy wiedzieli, do kogo należały. Do nowych.

Kiedy śmigłoloty zniknęły, zorientowali się, że dotarli do miejsca, w którym obok ścieżki znajdowały się dwa groby: stary i nowy. Prawdziwy i mniej prawdziwy. Na krzyżu wbitym w grób stary była czarno-biała tabliczka, której treść znali na pamięć. I zawsze wisiał na nim mały wieniec, choć nigdy nie udało im się wyśledzić, kto i kiedy go przynosi.

Grób nowy nie był właściwie grobem, to znaczy dorośli nie uznaliby go za taki. Pochowali tam to, co zostało im po Lesiu. Konsolę, wrotki, dwie książki. Kilkanaście gier. Komiksy o Wilczych Żołnierzach, dziś zakazane. Wszystko wrzucili do płaskiej jamy i przykryli cienką warstwą ziemi. Lesiu należał przecież do paczki.

Rodzice Lesia byli nowocześni i kazali w szpitalu skremować jego ciało. Po osiedlu krążyły niestworzone opowieści o odszkodowaniu, jakie dostali od rządu. Ale czy to mogła być prawda? Gdyby byli bogaci, czy nadal mieszkaliby w starym bloku z wielkiej płyty, gdzie matka Lesia przesiadywała całe dni na balkonie owinięta w kraciasty koc?

Gruby uważał, że Lesiowi należy się prawdziwy grób, nawet i symboliczny. Wybrał miejsce i zeszłego lata postawił na nim krzyż, mały i krzywy. Teraz więc patrzyły na siebie dwa krzyże: stary, żeliwny i nowy, drewniany.



We wtorek nie poszli na Skarpę. Rano ogłoszono Święto Dzielnicy, które miało odbyć się po południu. Gruby i Treśniak słyszeli nawet w szkole próby sprzętu nagłaśniającego. W lokalnej DoSi pełno było reklam, klipów, piosenek i quizów zachęcających do wspólnego świętowania. Smartfon Treśniaka strasznie mulił, dane spływały na niego wolno i z przerwami. Nikt nie pytał o to, skąd nagle ta feta, skoro w zeszłym roku Święto było w czerwcu, a teraz jest kwiecień. Na dużej przerwie wokół stacjonarnych terminali przy stołówce tłoczyły się pierwszaki i grały w stabilizację.

– Jutro – powiedział Gruby, patrząc, jak opiekunki młodszych klas, wyprzedzając dzwonek, próbują zaganiać swoje stadka do sal.

– Jutro – powtórzył Treśniak.

Ale jutro to jutro, a dziś było dziś. Dziś tymczasem oznaczało, że nadchodzi głośnie, męczące popołudnie. Rodzice czekali przed szkołą, wyłuskiwali swoje dzieci z tłumu i maszerowali na Święto. Nie wypadało się spóźnić. Termin był inny niż zwykle, ale scena stała tam, gdzie zawsze: na ogromnym skwerze przy placu zabaw w centrum Dzielnicy, niedaleko wielkiego kościoła.

Po Grubego przyszła tylko matka, po Treśniaka zgłosili się obydwój starzy. I Gruby, i Treśniak czuli się z tym dziwnie, jakby znów mieli po sześć lat i trzeba ich było przyprowadzać do szkoły i odbierać po lekcjach. Ale na gimnazjalistów uczących się w tym samym budynku też czekały delegacje rodziców. Na Święto rodziny miały stawiać się w komplecie. Po co ryzykować, kiedy wiadomo, że oczy stójkowych nie próżnują, a raporty nie płoną?

Dudnienie słyhać było z daleka. Wyciekające ze wszystkich zakątków Dzielnicy strumyczki mieszkańców z wolna łączyły się w ciemną plamę otaczającą oddzieloną barierkami scenę. „Nigdy nieeee.... nie było tak spokojnieeee... w sercu myyyym i kraju

myyyyym...” – śpiewała Tarika. Teledysk do jej piosenki wyświetlany był na wielkiej teleścianie z tyłu sceny, podczas gdy przy mikrofonie dwie dwunastolatki – Gruby rozpoznał bliźniaczki Kowalskije – gibały się na różne strony i imitowały śpiew.

Wiersze o stabilizacji recytował inny duet: dyrektor szkoły, zwany powszechnie Czerwonym Ryjem, bo lubił wypić i było to po nim widać, oraz jego córka Tamara.

Kiedy pojawił się Robik, a jego starzy uznali, że nie muszą pilnować go cały czas – bo wystarczy, by był w zasięgu wzroku obok swoich kolegów – powiedział z wyraźnym zdumieniem:

– Jaja z CZOŁGIEM jak balony.

Z jego opowieści wynikało, że spektakl „nic się nie stało” nabierał rozmachu. Ludzie wychodzili z domów, z metra, z nielicznych otwartych wciąż sklepów w Galerii KBT („U Nas Zakupy: Komfortowo Błyskawicznie Tanio”) i po prostu omijali CZOŁG, nie zwracając na niego uwagi.

– Jak w jakimś horrorze! – zachłystywał się Treśniak. – No kurwa fa! Normalnie armia ślepych zombie!

Gruby poszedł ustawić się w kolejce po darmowe pierożki. Od niedawna Święta Dzielnicy miawały swoje zalety. Na przykład żarcie za fri. Oprócz pierożków można było jeszcze dostać małe suszone rybki, których Gruby nie znosił. Ale starzy Robika narzekali, że kiedyś wybór był większy. Oczywiście narzekali, kiedy zdawało im się, że nikt nie słyszał. Tyle że nikt nie wymyślił jeszcze sposobu na to, by powiedzieć coś w absolutnej tajemnicy w domu, gdzie mieszka obdarzony mieszczącym się w normie słuchem dziesięcioletek.

– Przed państwem zespół Stabilizacja! – zakrzyknął tymczasem ze sceny ubrany w trójkolorowy dres, krótko ostrzyżony animator

kultury z urzędu Dzielnicy. Impreza się rozkręcała, do pierożków podano siwuchę i wkrótce wszyscy nieskładnym chórem zaczęli ryczeć piosenkę o królu, co zrobić może wszystko, absolutnie wszystko (bo królowie wszystko mogą), tylko jednej rzeczy nie potrafi: nakazać, by go ktoś pokochał.

Wieczorem w telewizji wystąpił ojciec Grubego. Siedział w tok szole gościa zasuwanego dokładnie te same kity co Kaczy Kuper, ale pracującego na innym kanale. Prywatnym. Nie było widać różnicy, tylko dzingle puszczano bardziej kolorowe. Ojciec Grubego opowiadał, że pracował kiedyś dla starych i było niefajnie, a teraz pracuje dla nowych i jest lepiej. Poza tym postępuje stabilizacja. Ale są tacy ludzie, którzy powtarzają głupie plotki, próbują wpinać się w sieci inne niż DoSia, co jest przecież niebezpieczne, bo mnóstwo tam wirusów, złośliwych softlerów i szkodliwych treści. A on wie, co mówi, bo się na tym zna. I żeby mieć oczy szeroko otwarte, bo prowokacji nie brakuje.

Robik stał przy oknie. Oczy miał szeroko otwarte.

Patrzył na CZOŁG.



W środę też nie wybrali się na Skarpę.

Gruby nie przyszedł do szkoły. Przez cały dzień nie odbierał telefonu.

Późnym popołudniem Treśniak przyszedł do Robika. Trochę pograli w nowe „Need For Speed”, wersję z monstrualnymi, a mimo to słitaśnie rozpędzonymi ciężarówkami, a potem z balkonu patrzyli na CZOŁG. Póki matka Robika ich nie przegoniła.

Ciekawe, ile wyciąga na godzinę – napisał na KidKonekcie Robik.

Gruby się nie odzywa – odpisał Treśniak.

Nocą śmigłoloty znów krążyły nad lasem.



Czwartek był ciepły.

Spotkali się przy starej poczcie, która swego czasu zamieniona została w sklep z używanymi ubraniami. Sklep szybko zbankrutował, kiedy Daleka Zagranica wprowadziła sankcje i transporty przestały przychodzić. Ciuchy z Bliskiej Zagranicy nie były takie fajne i mało kto chciał je kupować. „Dalekie zagranice, bliskie zagranice – kurwy i ladacznice” – głosił napis wykonany bordowym sprejem na szybie dawnej poczty.

Umówili się na czwartą po południu. Musieli się spieszyć. Wyprawa na Skarpę, do Siwego, nie była taką prostą sprawą. Dawne drogi, ścieżki spacerowe i przejścia zostały odcięte przez ogrodzenie zbudowane wokół wielkiego placu budowy. Na budowie nic się nie działo, ale górne ogrodzenie było pod napięciem. Od dołu, od podstawy Skarpy, dostępu broniła woda. Czasem żalowali, że nie mieszkają w wieżowcach na wschodnich krańcach Dzielnicy. Rozciągał się stamtąd imponujący i mocno pobudzający wyobraźnię widok na olbrzymie rozlewisko, z którego wystawały opuszczone budynki Królewskiego Miasteczka, z gigantyczną kopułą pośrodku. Wielka powódź, która przysłała w roku narodzin Robika, zmiotła wały stojące wzdłuż rzeki i zrównała z ziemią część starego parku wokół pałacu. Wałów już nie odbudowano. Działy się inne rzeczy.

Najpierw musieli pomaszerować w przeciwnym kierunku, w stronę lasu, potem zejść pomiędzy drzewami do nieużywanej od dawna autobusowej krańcówki. Tu zaczynały się kłopoty, czyli dobra zabawa. Wzdłuż ogrodzenia dało się przejść tylko wtedy, gdy umożliwiał to stan wody. Wiosna tamtego roku była sucha, więc pas odsłoniętej gliniastej ziemi pozwalał czasem nawet, by cała trójka szła obok siebie, jak dziewczyny obgadujące koleżanki na spacerach wokół szkolnego boiska.

Naprawdę niebezpiecznie robiło się u wylotu tunelu. Często płynęły z niego masy brudnej, brązowej wody. Wielka, nieregularna wyrwa w Skarpie ciągnęła się w głąb ziemi pod Dzielnicą. Miała tędy wieść szeroka, wielopasmowa droga, którą zdążono wprawdzie wytyczyć, ale nigdy nie ukończono. Chłopcy czasem fantazjowali, że wybierają się w prawdziwą podziemną podróż, wyposażeni niczym odkrywcy z gier komputerowych: w latarki na kaskach, zwoje wytrzymałych sznurów, które w decydującym momencie uratują komuś życie, specjalne pakiety żywnościowe ogrzewające się samoczynnie po zerwaniu plomb z naklejki, manierki i kubki z logo jakiegoś słynnego towarzystwa geograficznego. Na marzeniach się kończyło. Nawet Siwy odradzał im wchodzenie do tunelu. A Siwy wiedział, co mówi. Kiedy Gruby go naciskał, wiercił dziurę w brzuchu, schlebiał słowami: „Z tobą na pewno bylibyśmy bezpieczni” albo „Z tobą byśmy się nie bali”, Siwy uśmiechał się smutno i powtarzał tylko: „Może kiedyś”. „Kiedy?” – pytał Gruby. „Jak będziesz bardzo duży” – ucinał dyskusję dziwny stary człowiek wsparty o kule i nieustannie potrząsający długimi siwymi włosami.

Siwy mieszkał w piętrowym, ceglastym domku, który musiał mieć chyba ze sto lat. Domek ukryty był w zdziczałym ogrodzie przyklejonym do podnóża Skarpy. Sam Siwy miał zdaniem Robika

niewiele mniej niż sto lat – przynajmniej tak sądził, dopóki nie zobaczyli go na zdjęciu obok ojca Grubego. Wyglądali na nim jak koledzy z jednej klasy, tylko że mieli na sobie prawdziwe mundury. Srebrne gwiazdki na ramionach, srebrne guziki. Siwy nie lubił tego zdjęcia. „Przysięgaliśmy na ptaka i na dwa kolory” – zbył kiedyś Grubego, który zapytał, co właściwie robili z ojcem w tamtej jednostce.

Dom Siwego był małym wehikułem czasu. Wszystko pochodziło w nim z tych lat, kiedy śpiewano inne piosenki, a gładkie miglance z telewizji opowiadały trochę inne rodzaje kłamstw. Miał nawet kilka bakelitowych aparatów telefonicznych, jakie można było teraz ujrzyć tylko w starych wojennych serialach. Miał gazety o zapomnianych już tytułach, miał książki, w których ilustracje w ogóle się nie ruszały, a kartki trzeba było przewracać palcami. Stare lunety, lornetki, aparaty fotograficzne, noże sprężynowe. W garażu trzymał kosz do starego motocykla znaleziony kiedyś w lesie, skórzane mapniki i nawet jedno opakowanie prawdziwych nabożów – długich jak palec dorosłego człowieka, ale nieco węższych, zakończonych lśniącymi czubkami. Nawet ich nie chował. Stały na stole, pomiędzy zakurzonymi kuflami, świecznikami, w których nigdy nie widzieli żadnej świeczki, i stertami pożółkłych papierów. Ustawione w małym kartonowym pudełku, odbijały światło z kilku niewielkich lamp rozmieszczonych w kątach garażu. Całkiem jakby Siwy chciał, żeby przypominały mu o czymś ważnym, o czym nigdy i za nic w świecie nie można zapomnieć.

Przed domem Siwego stała mała kapliczka, w której próżno było szukać świętej figurki czy świętego obrazka. Widniały na niej dwie daty: „1940” i „201...” – ta druga była nie do końca czytelna, bo ktoś

skuł ostatnią cyfrę. Kiedyś tuż obok kapliczki i ceglanego domku wiodła wąska asfaltowa droga, skrót z Królewskiego Miasteczka do Dzielnicy, wspinający się na Skarpę zakrętem – w kształcie zawijasa, jak mówił Gruby, lub rodła, jak mówił Siwy. Teraz z jednej strony było rozlewisko, z drugiej osuwająca się ziemia. Z drogi ocalał tylko krótki kawałek. Czasem rysowali na nim kredą trasy dla zdalnie sterowanego samochodu Treśniaka.

Siwego nie było w domu.

Wyglądało na to, że już nigdy może go nie być.



Ostrożnie stawiali stopy w tenisówkach między okruchami szkła z rozbitych szyb. Drzwi wejściowe leżały wyrwane, jakby pstryknął w nie złośliwy olbrzym. Największy pokój robił dziwne wrażenie. Sprzęty pozostały, ale poza tym był pusty. Zniknęły wszystkie papiery, gazety, książki i filmy. W kuchni leżały rozbite talerze.

Ktokolwiek tu był, zabrał nie tylko Siwego.

Robik i Treśniak łazili po domu, Gruby pozostał na dole. Minę miał taką, jakby znów rozważał wszystkie opcje.

Mobajla położył na stole.

Jedno z okien wychodziło wprost na rozlewisko. Pomędzy opuszczonymi budynkami Królewskiego Miasteczka brodzili jacyś ludzie – drobne, ciemne figurki schylające się w poszukiwaniu czegoś, co będą mogli wymienić albo sprzedać. Nie spieszyli się, pora była dobra, poziom wody niski. Łodzie Policji Rzecznej nie mogły wpływać w kanały, które kiedyś były ulicami – za płytko. Królewskie kanały, mówił na nie Siwy, i dodawał, że mogłyby

zachować dawne nazwy ulic. Kanał Sarmacki, Kanał Branickiego. Tylko co to właściwie są te „sar macki”, żartował wtedy Robik, jakieś specjalne macki? A Siwy patrzył na niego, jakby miał ochotę Robika zdzielić swoją inwalidzką kulą.

Dawne czasy.

Gruby poszedł do garażu. Siwy nie miał samochodu, ale trzymał tam wiele innych, znacznie ciekawszych rzeczy. Garaż też już ktoś zdążył przeszukać i zniknęły z niego kartony wypełnione papierzyskami i starymi, wypalanymi płytami CD. Ale to, czego szukał Gruby, zostało.

Kiedy wyszedł, miał w ręce sztywny futerał z brązowej, popękanej skóry, wyglądający trochę jak pysk płowego psa. Schował go do plecaka, a potem schylił się jeszcze, bo coś zaciekało go w zeszłorocznej trawie obok ścieżki ułożonej z kwadratowych chodnikowych płyt. Złoty błysk.

Kiedy Robik i Treśniak zbiegli znów na dół, Gruby otrzepywał rękę.

– Idziemy.

Więc poszli. Nie rozmawiali po drodze o Siwym.

W ogóle nie rozmawiali.



W piątek Grubego znowu nie było w szkole, ale tym razem jego ojciec szalał.

Kilka minut po jedenastej pod szkołę podjechała limuzyna, z której wysiadło dwóch kanciastych mężczyzn w identycznych uniformach. Nie mieli ze sobą żadnej broni, jednak robili wrażenie, jakby sami byli bronią. Ojciec Grubego szedł krok przed nimi,

wprost do gabinetu dyrektora. Nie zamknął za sobą drzwi, więc cały parter słyszał, jak wrzeszczał na Czerwonego Ryja i groził mu słowami takimi jak „konsekwencje”, „audyt”, „reewaluacja” i paroma innymi, których znaczenie Treśniak próbował sprawdzić pod ławką na smartfonie. Słyszał wszystko aż za dobrze, bo właśnie mieli naukę o społeczeństwie w pracowni nieopodal dyrektorskiego gabinetu. Pracownia była przeszklona, ale górne szyby wyleciały kiedyś, pewnie podczas Okrążenia, i nikt nie wstawił nowych.

Koncert wrzasków zakończyła wymiana zdań, po której ojciec Grubego wybiegł na korytarz z twarzą tak nabrzmiałą wściekłością, że nie wiadomo było, kto teraz bardziej zasługuje na miano Czerwonego Ryja – on czy dyrektor. Oprócz obelg, z którymi uczniowie byli dobrze obeznani, bo przecież każdy oglądał rejality szoł „Dirty Women” z Dalekiej Zagranicy, padły także naprawdę niebezpieczne słowa: „szkodnik”, „stare czasy się skończyły”, „zbrodnicza beztroska”. Treśniak znał je z telewizyjnych programów sądowych, takich jak „Sprawy prokuratora Wesołowskiego”.

Na dużej przerwie cała szkoła huczała od plotek. Gruby uciekł z domu, za co jego stary obwiniał teraz cały świat – to było pewne. We wszystkim innym przekazywane z ust do ust historyjki nie zgadzały się ani trochę. Gruby uciekł, bo przyłapał ojca z kochanką. Gruby uciekł, bo ukradł staremu pieniądze. Stary Grubego jest pedofilem. Stary Grubego znęca się nad Grubym. Stary Grubego jest pedałem i ma kochasia pedała, razem sprzedali Grubego do burdelu dla pedofilów, a teraz udają, że zaginął. I tak dalej.

Potem Czerwony Ryj wezwał Treśniaka.

– Zdajesz sobie sprawę, że wasz kolega może mieć prawdziwe kłopoty? – spytał. Wszyscy wiedzieli, że Treśniak kumpluje się

z Grubym, więc trafił na dywanik w pierwszej kolejności. Treśniak nie spieszył się z odpowiedziami, bo w tym samym czasie bezcenne minuty śmiertelnie nudnej lekcji geografii Bliskiej Zagranicy umykały bezpowrotnie.

– Noo... wiem... – wydukał po dłuższej chwili. – To znaczy boję się.

– Czego się boisz?

– Noo... że mu się coś stanie.

Czerwony Ryj przestał chodzić po gabinecie i wymachiwać rękami.

– Masz jakieś szczególne powody, żeby się o niego bać?

– Nie. Tylko tak w ogóle. Uciekł z domu przecież.

– Rozmawiał z tobą? Może się na coś skarżył? Na ojca?

Aha, pomyślał Treśniak. Co, dobrze byłoby mieć haka na starego Grubego?

Pokręcił głową.

– Gruby nam nic nie mówił.

– Nam? – Oczy Czerwonego Ryja ukryte za goglami spojrzały bardziej badawczo.

– No... mnie i Robikowi.

Czerwony Ryj myślał chwilę.

– Robik to Robert Jarosz? On jest w waszej bandzie?

– W paczce – bąknął Treśniak.

– Dalej się razem włóczycie?

– Znaczą czasem chodzimy razem.

– Chodzić to mogą dziewczyny – mądrył się Czerwony Ryj. – Wy się najwyżej włóczycie. Dokąd?

– Tu i tam.

– Znasz jakieś miejsce, w którym Gruby, to znaczy uczeń Jędrzejczak, może aktualnie przebywać?

Po nauczycielskiej nowomowie i nieustannym poprawianiu się, żeby było regulaminowo, Treśniak mógł się domyślić, że gulgury Czerwonego Ryja są włączone w tryb „zapis”. Ciekawe, czy nagrywał, kiedy przyszedł na niego nawrzeszczyć ojciec Grubego, pomyślał.

– Może chata. – Wiedział, że i tak ją sprawdzą. Najlepiej rzucić przesłuchującemu coś, co i tak już wie. Siwy kiedyś tak stwierdził.

– Buda w lesie. – Czerwony Ryj pokiwał głową. – Dalej tam chodzi... cholera, dalej się tam włóczycie?

– Nie – skłamał Treśniak. – Ale może Gruby poszedł?

Dyrektor zasiadł na powrót za wielkim biurkiem z wbudowanym w blat dotykowym displejem. Udawał dłuższą chwilę, że jest zajęty.

– Możesz odejść.

Treśniak odwrócił się na pięcie.

Nie wiedział wtedy jeszcze, że właśnie po raz ostatni rozmawiał z Czerwonym Ryjem. Ojciec Grubego był człowiekiem wpływowym. „Grubym chujem” – jak mówił Siwy. Jeszcze tego samego dnia wieczorem do dyrektorskiego mieszkania na drugim piętrze niewielkiego bloku na zachodnim skraju Dzielnicy, nieopodal ujęcia wody oligoceńskiej, zapukało dwóch milczących cywilów.

Wieczorem ojciec Grubego znów występował w telewizji. Ale nie mówił nic o zaginionym synu. Przemówienie było ważne, bo fragmenty pokazali na czterech kanałach, a jeden nawet transmitował je prawie w całości. Ojciec Grubego apelował do mieszkańców, by wstępowali do nowej organizacji, która będzie zajmowała się obroną stabilizacji. Oprócz prostych słów,

o czujności, walce, dobrobycie i spokoju, używał także bardziej skomplikowanych metafor. O zdrowym drzewie, któremu trzeba przyciąć gałęzie, żeby lepiej się rozrastało. I takie tam.

Nocą na bloku, gdzie mieszkali Gruby i jego ojciec, ktoś wysprejował napis: „Jędrzejczak gruby chuj”. A na drzwiach klatki schodowej dziwacznie zakończoną literkę P. Literkę z haczykiem.

W sobotę rano Robika obudził wybuch.



Mama Robika płakała. Na teleściance zmieniały się co chwila ściągnięte, poważne twarze ludzi w mundurach: strażaków, stójkowych i śledczych, pirotechników, ludzi od wodociągów, ludzi od gazowni. Ci ostatni występowali najczęściej. Wyjaśnienia były proste: „wyciek gazu”, „karygodna nieostrożność”, „zaniedbania poprzedniej władzy”.

Robik patrzył, jak między wszystkimi tymi obcymi ludźmi powraca twarz Grubego. Nieruchoma twarz. Twarz z fotografii. Kurwa fa, kto chciałby pokazywać w telewizji twarz nieznanego chłopca z mało ważnej Dzielnicy podupadłego miasta?

Dziś każdy chciał ją pokazywać i każdy chciał ją oglądać. Twarze martwych dzieci to dobry towar.

Twarze ofiar.

Tamte chwile Robik pamiętał potem jak przez mgłę, ale nigdy nie opuściło go wspomnienie poczucia surrealności. Na ekranie teleścianki oglądał z niewielkim opóźnieniem to, co działo się na chodniku przed domem. Stojąc w drzwiach balkonowych, żył jednocześnie w dwóch różnych czasach: reporter Kanału Trzeciego w odblaskowej żółtej kurtce drapał się po głowie, ale w telewizji

dopiero podnosił rękę; kolejny samochód policyjny wjeżdżał na trawnik, ale na ekranie dopiero skręcał obok wyjścia z metra. Satelitarne opóźnienie było – dowiedzieli się tego później od starszego brata Treśniaka – większe niż zwykle, bo stosowne urzędy kontrolowały przekaz na żywo, żeby nie doszło do wyemitowania scen szkodliwych dla społeczeństwa.

Pośrodku oświetlonej reflektorami ekip telewizyjnych sceny, w jaką zamieniło się skrzyżowanie, stał CZOŁG. A tuż za nim, w miejscu starego przystanku autobusowego, ziała wielka wyrwa w ziemi.

Wersja o wybuchu gazu obowiązywała do południa.

Robik skręcał się z niecierpliwości, ale rodzice byli nieugięci: żadnego wychodzenia na dwór bez opieki. Chodził więc tam i z powrotem po swoim pokoju, esemesował z Treśniakiem, próbował wrzucać kolejne wpisy na DoSie, ale ta, dziwnym trafem, nie za dobrze chodziła. Dobra Sieć wcale nie jest taka dobra, myślał wściekły Robik, który starą sieć znał tylko z opowieści starszych. Podobno była bardzo niebezpieczna, krążyły w niej tylko widoki przelewu krwi, pornografia i pedofilia, ale Robik dałby sobie rękę uciąć, że nie wieszala się tak często jak DoSia. Niektórzy bredzili coś, że tamta sieć była wszechświatowa, że można było znaleźć w niej wszystkie możliwe kraje z Bliskiej i Dalekiej Zagranicy, ale Robik był za szczwany, żeby się nabrać na takie bzdury. Przecież wiadomo, że każdy ma swoją sieć: skośni swoją, brudasy swoją, a oni swoją, Dobrą Sieć. Skoro tak było, to tak musiało być zawsze.

„Dziesięcioletnia ofiara tragicznego wypadku”, „słodkie dziecko”, „chluba szkoły imienia Badaczy Bliskiego Kosmosu”, czyli Piotr Jędrzejczak, znaczy Gruby, doczekał się tymczasem w telewizjach własnego wideonekrologu. Minutowy klip zawierał jego fotografie

z konta na KidKonekcie, ujęcia zapłakanych dziewczynek, w których łatwo dało się rozpoznać bliźniaczki Kowalskije, co było o tyle dziwne, że zawsze miały Grubego w dupie, a do jego paczki nie zbliżały się nawet na odległość splunięcia.

W klipie nie występował dyrektor Czerwony Ryj, co dziwiło wszystkich z Dzielnicy. Ale nie wiedzieli wtedy, że on już wypadł z równania.

Okazja do wyjścia nadarzyła się dopiero po południu. Treśniak czekał na Robika od dwóch godzin przy nieczynnej fontannie przed piekarnią. Nie był sam, bo na niski murek wdrapywali się nieliczni gapie i wyciągali ciekawsko szyje. Skrzyżowanie zostało zamknięte, otoczone fosforyzującą taśmą i kordonem samochodów. Pośrodku zamieszania stał CZOŁG.

Treśniak miał czerwone oczy. Zapłakane.

– Kurwa fa – powtarzał. – Kurwa fa.

Ale jakoś tak bez wyrazu, jakby skończyły mu się siły, a wyrzucane z siebie nieliczne słowa były jedynym dowodem na to, że jakoś próbuje się trzymać.

Nie mogli rozmawiać przy fontannie, za dużo było tam dorosłych, także tych groźnie łypiących dookoła, wbitych w najróżniejsze mundury. Oznaczenia kilku formacji widzieli po raz pierwszy w życiu. Nie mieli pojęcia, jakie służby reprezentują ich właściciele.

Gruby by wiedział. Gruby nie był głupi.

Dokładnie o piętnastej zamiast wiadomości ze wszystkich teleścianek gruchnął sygnał hymnu stabilizacji. Trudno było nie usłyszeć. Niósł się z każdego balkonu, przez każde uchylone okno.

Orędzie starego, chudego mężczyzny o rybich oczach i dziwnym akcencie było krótkie. Mówił o stabilizacji, pokoju i zagrożeniu. To

w tym przemówieniu po raz pierwszy w kontekście CZOŁGU pojawiły się słowa „zamach terrorystyczny”. A także zwroty „z pełną odpowiedzialnością”, „z całą stanowczością” i „tylko ludzie o złej woli mogliby...”.

– Nasz kraj od dawna zna pojęcie pokoju za wszelką cenę – zmierzał tymczasem do końca stary człowiek z teleścianki. – Co więcej, jesteśmy gotowi tę cenę zapłacić!

Odpowiedziały mu zdyscyplinowane oklaski. Stary, chudy człowiek zawsze przemawiał na tle tej samej jednobarwnej kurtyny, zawsze tak samo nachylony nad wygiętym ku jego twarzy mikrofonem wyglądającym jak wielki czarny owad schwytyany na stalowe lasso wyrosłe z mównicy.

Wieczorem wszystkie telewizje nadawały już tylko rozmowy z fachowcami od bezpieczeństwa narodowego, którzy przestrzegali przed terrorystami. Specjalne wydanie programu „Drogówka na tropie” na kanale trzysta czterdziestym ósmym zaczęło się zwyczajnie, od łapania na moście Południowym kierowców zbyt szybko zmieniających pasy ruchu i zajeżdżających drogę pojazdom urzędowym, ale w trakcie drugiej przygody (nazywano tak krótkie epizody z pracy funkcjonariuszy przedzielane reklamami) patrol otrzymał informację o podejrzanym czarnej limuzynie rozwijającej nadmierną prędkość. Pościgi na żywo były jedną z najpopularniejszych form rozrywki w telewizji, pięknie prezentowały się na teleściankach wysokiej rozdzielczości. Podczas gdy widzowie obserwowali, jak załoga policyjnego ścigacza siada na ogonie podejrzanym limuzynie, komentujący akcję spiker-narrator wpadł naraz w ekscytację graniczącą z histerią.

– Najnowsze wiadomości z Centrali Ruchu Pojazdów są... są szokujące! – piał. – Obserwowany wóz należy do osób podejrzanych

o działalność terrorystyczną!

Słowo klucz „terrorystyczna” sprawiło, że transmisję wrzuciły natychmiast wszystkie kanały od dwieście dwudziestego czwartego do trzysta czterdziestego siódmego oraz te poniżej dwudziestego szóstego. Pozostałe przeznaczone były na kulinarne turnieje talentów, programy muzyczne oraz filmy przyrodnicze o pięknie przyrody leśnej i górskiej.

W tej samej chwili limuzyna przyspieszyła i niewiele brakowało, by funkcjonariusze stracili ją z oczu. Za chwilę do pościgu włączyły się trzy inne pojazdy i policyjny śmigłowiec.

– Kurwa fa! – wyrwało się niemal jednocześnie z ust Treśniaka i Robika, choć każdy oglądał transmisję w swoim domu, a domy te dzieliło sześć ulic i dwanaście bloków.

Stary Treśniaka pacnął syna w czuprynę, Robikowi zaś uszło na sucho, bo rodzice właśnie kłócili się o to, o co zdaniem Robika kłócić się nie było sensu.

To była limuzyna ojca Grubego.

I tak zaczęła się jedna z najbardziej pamiętnych i gorących nocy w dziejach Dzielnicy. Noc, podczas której zatrzymano Andrzeja Jędrzejczaka, dyrektora Departamentu Oświaty i Propagandy w Ministerstwie Obrony, szpiega Dalekiej Zagranicy i kluczowego członka terrorystycznej organizacji Destabilizacja i Chaos. Przynajmniej tak mówił o nim spiker-narrator na kanałach od dwieście dwudziestego czwartego do trzysta czterdziestego ósmego oraz poniżej numeru dwudziestego szóstego.

Robik zapamiętał z tamtej nocy jeszcze coś: jak po raz pierwszy od dawna rodzice oboje przyszli do jego pokoju, żeby zgasić światło i poprawić zasypiającemu już synowi kołdrę. Kiedy wyszli, przez plastikową szybę drzwi widział, jak oboje stoją w progu drzwi

balkonowych. Ojciec obejmował matkę w pasie. Ona ukrywała twarz w dłoniach.

Robik był pewien, że patrzą na CZOŁG.



Minął tydzień, zanim znów pobiegli do domu Siwego. A potem do leśnej chaty.

Rzeczy musiały się uspokoić i wrócić do stałego rytmu. Rodzicom też w końcu znudziło się mówienie „nie” za każdym razem, kiedy chłopcy chcieli spotkać się poza domem. Inna sprawa, że naprawdę nic się nie działo. Sprawa terrorystów, zamachu, ojca Grubego, leju po wybuchu, nocnego pościgu – wszystko to zniknęło z życia Dzielnicy zmyte falą nowszych doniesień z życia miasta, kraju i świata. Innych doniesień. Lepszych. Spokojniejszych. Doniesień pełnych stabilizacji.

Domu Siwego już nie było. Na kawałku ziemi wyrównanym przez dwa pomarańczowe buldożery, tuż przy rozlewisku, gdzie kiedyś była kapliczka, stała teraz żółta tablica z czarnymi cyframi i literami. Cyfry mówiły o numerze pozwolenia inwestycyjnego, a litery układały się w informację o wznowieniu budowy obwodnicy. Przez dom Siwego biec miała jedna z dróg pomocniczych.

W leśnej chacie-wiacie także ktoś był, ale nie miał tak niszczycielskich zamiarów. Ocalała. Robik i Treśniak przyjrzeni się w milczeniu śladom ciężkich wojskowych butów w czarnym błocie. Las szumiał na swój zwykły kwietniowy sposób.

Usiedli w miejscu, gdzie kiedyś spoczywały pośladki Knurelli.

Gruby nie był głupi. Wiedział, że ktokolwiek będzie go szukał, najpierw sprawdzi chatę. Poza tym nie było to dobre miejsce na

nocleg. Więc Robik był pewien, że tamtej nocy, kiedy Gruby uciekł z domu, zamelinował się w splądrowanym domu Siwego. Siwy nie miałby nic przeciwko temu. Siwy ich lubił. Siwy lubił Grubego.

I nawet nauczył go wywoływać zdjęcia.

Gruby nie był głupi. Wiedział, że mundurowi będą szukać jego samego, a nie jego sekretów. Dlatego zostawił je swoim najlepszym kumplom.

Skrytka, z której korzystali w chacie, była bardzo prosta. Wystarczyło mocno zaprzeć się nogami, by podnieść jeden koniec grubej jak ramię dorosłego mężczyzny belki, udającej ławkę, osadzonej na klin w dwóch potężnych pniakach, których wnętrza pomału zamieniały się w próchno.

W skrytce leżał stary aparat fotograficzny Siwego wraz z przypominającym psi łeb skórzanym futerałem. I trzy odbitki jednego zdjęcia.

Gruby nie był głupi. Wszystko wyklarował im tamtego poniedziałkowego popołudnia, w dniu, kiedy pojawił się CZOŁG. To prawda, nie można było mu zrobić zdjęcia żadnym smartfonem, mobajlem czy normalną cyfrówką. To prawda, wszystkie urządzenia elektroniczne w pobliżu CZOŁGU głupiały i odmawiały posłuszeństwa. Elektroniczna samoobrona, obwieścił Gruby. Ojciec miał o tym całą półkę książek.

Tylko że aparat Siwego nie miał w sobie nic elektronicznego. Był zwykłym metalowym pudełkiem z przesłoną, szklanym obiektywem i światłoczułą błoną w środku. Siwy cenił sobie rzeczy stare, funkcjonalne i niewzbudzające zainteresowania skanerów służb bezpieczeństwa. Poprzedniej jesieni pokazał chłopcom, jak kiedyś robiło się zdjęcia, a nawet jak je wywołać. Kiedy Gruby uciekł z domu, miał co robić przez całą noc, bo wszystko, czego

potrzebował, było w garażu Siwego. Obok starego motocykla. Obok skórzanych mapników. I wszystkich tych rzeczy, które teraz minęły bezpowrotnie.

Siwy lubił Grubego i lubił go uczyć. A Gruby nie był głupi.

No i był dobrym kolegą, więc zrobił nie tylko zdjęcie, ale i trzy kopie. Po jednej dla każdego z paczki.

Na śliskim, ale sztywnym czarno-białym papierze fotograficznym widać było wyraźnie, że CZOŁG nie jest czarny, ale bardzo ciemnoszary. Jak chmury, na które czasem patrzyli ze Skarpy: ponure, skłębione pierzaste pięści mroku wypełniające niebo nad wschodnim brzegiem szeroko rozlanej rzeki.

– To chyba boczny wjazd. – Treśniak nachylił się nad fotografią.
– Nie, nie tutaj. Bardziej z przodu.

– Wpiął się do studzienki – zauważył Robik. Na zdjęciu widać było, że CZOŁG rzeczywiście unosi się nad ziemią, dokładnie w miejscu, gdzie betonowa płyta z okuciami przykrywała zejście do podziemnego węzła telekomunikacyjnego. Robik widział kiedyś w kompie rodziców zdjęcie, które zrobili zabawnej budce-reklamie stojącej dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz znajdował się CZOŁG. Było to dawno temu, zanim Robik jeszcze się urodził, a jego rodzice właśnie kupili mieszkanie w bloku nad gwarną i zawsze pełną klientów restauracją z pierogami. Budka-reklama wydawała się nawet śmieszna. Napisano na niej: „Z tej budki wychodzi Internet”.

– Taka DoSia z tamtych czasów – Robik wyjaśnił Treśniakowi. – Tylko to nie była Dobra Sieć.

– A co?

– Po prostu. Sieć.

– Bez sensu. Rzeczy powinny być jakieś – stwierdził Treśniak. –
Dobre albo złe.

I odłożył do skrytki swoje zdjęcie CZOŁGU. A Robik dołożył
swoje.

Trochę pomilczeli.

– Jeśli nie z powodu aparatu, to dlaczego... – Treśniak zawahał
się. Robik skinął głową. Żaden z nich nie potrafił jeszcze powiedzieć
na głos słów: „CZOŁG zabił Grubego”.

– Może podszedł za blisko. Może coś zrobił. Coś przy sobie miał.

– Jakąś broń? – Treśniak spojrzał niepewnie.

Niemożliwe, chciał powiedzieć Robik, ale przypomniał sobie
pudełko starych pocisków, które stało na stole u Siwego. I że Gruby
schylił się po coś, kiedy myślał, że nikt nie patrzy. Tamtego dnia,
gdy odkryli, że Siwy zniknął, Gruby schylił się po złoty błysk.
Miedziany błysk.

– Może za drugim razem podszedł za blisko – powtórzył więc
tylko Robik. Nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział o naboju.

Wystarczyło, że CZOŁG wiedział.



Symbolicznie pochowali Grubego w miejscu, gdzie obok leśnej
ścieżki stały dwa groby: stary i nowy. Teraz były już trzy:
prawdziwy i dwa mniej prawdziwe. Do płytkiej jamy włożyli
książki pożyczone od Grubego, jego pasek do spodni zostawiony
kiedyś u Treśniaka i wszystkie trzy zdjęcia CZOŁGU.

Grubemu spodobałoby się, że dla nich, dla paczki, na dobre
pozostanie właśnie tu, gdzie na krzyżu wbitym w stary grób wisi
czarno-biała tabliczka, której treść znali na pamięć. „Poległ za

wolną Polskę NN żołnierz AK. 29 VIII 1944 r. Szedł z pomocą walczącej Warszawie”. I gdzie zawsze wisiał mały wieniec, choć nigdy nie udało im się wyśledzić, kto i kiedy go przynosi.

Zanim ruszyli w drogę powrotną, spojrzeli jeszcze leśną ścieżką na południe. Ale nikt nie nadchodził.

Słońce oślepiło ich, kiedy wyszli z lasu. Minęli zaorane pole. Minęli pętlę autobusową i wielką, niezgrabną Galerię KBT („U Nas Zakupy: Komfortowo Błyskawicznie Tanio”).

Na skwerze stał CZOŁG. A obok drugi.



Janek
Poranek
i jego
goście



W miasteczku K., trochę na prawo od Wisły, trochę na lewo od Bugu, żył sobie pewnego razu człowiek cichy, spokojny i poczciwy, a zwano go – Janek Poranek. Zwano go tak, kiedy był młody, jak i później, kiedy K. stało się słynne w całym kraju, świecie i wszechświecie (za sprawą Janka Poranka właśnie).

W rzeczywistości jego nazwisko brzmiało Morgin, ale Janek miał bardzo dowcipnych przyjaciół (nie było ich wielu, lecz nadrabiali to niesłychanym poczuciem humoru), którzy już w szkolnych czasach, kiedy nadeszła kolej na naukę języka angielskiego, bardzo szybko poczęli wołać na niego „Janek Good Morgin”. A potem, żeby było jeszcze śmieszniej – „Janek Good Morgning”. Z czego pod koniec liceum zrobiło się ostatecznie Janek Poranek i tak już zostało. Nie wszyscy łapali ten żart, to fakt. Na przykład chaBetezy, żelowe chromonosy z Betelgezy. Wiecie które. Te o chromych nosach.

Co do tego, że Janek był good – nie mogło być żadnych wątpliwości. O jego poczciwości najlepiej zaświadczyć może fakt, że zarówno w latach młodszych, jak i potem, kiedy stał się już całkiem dorosłym i popularnym obywatelem miasteczka K., w jego życiu prywatnym nie było żadnych kobiet.

Nie chodzi broń Boże o to, że Janek Poranek przejawiał jakieś skłonności ku płci męskiej – nie, na to był zdecydowanie zbyt poczciwy. Po prostu kobiety, które próbowały kręcić się wokół Janka, szybko odkrywały, że naprawdę jest on duszą czystą, dobrotliwą, przepojoną dobrem oraz uczynnością na wskroś, na wylot i na sto dziesięć procent. Traciły więc nim zainteresowanie

błyskawicznie, kobiety bowiem, jak wiadomo, poszukują w mężczyznach, nawet tych najlepszych, głównie ich gorszych części, tak by miały wieczorami czym się martwić lub co zwalczać, bo życie kobiet bez martwienia się lub posiadania czegoś do zwalczania potrafi być zadziwiająco puste.

Janek Poranek nie miał więc narzeczonej, żony lub choćby przyjaciółki, nie było też nikomu nic wiadomo o tym, żeby korzystał z usług bardzo nielicznych w miasteczku K. profesjonalistek (dokładnie trzech, w tym jednej czarująco szpetnej). Na to także był zbyt poczciwy. No i pewnie nigdy nawet nie przyszło mu to do głowy.

Poczciwość sprawiła też, że edukację zakończył z wynikiem średnim, co niepomrotnie dziwiło przybywających w późniejszych latach do miasteczka K. biografów Janka z całego uniwersum (włączając w to nigdy i niczemu niedziwiających się Fuksów z konstelacji Liry). Dlaczego, zapytacie?

Nie posiadając w sobie ani odrobiny hucpiarstwa, chytryści, szczwaności, bezczelności i zdolności do oszukiwania, Janek Poranek oceniany był przez nauczycieli jedynie na podstawie swoich prawdziwych osiągnięć. Które były obiektywnie dobre, ale to akurat, jak dobrze wiecie, nie ma nic wspólnego ze szkolnymi ocenami. Nic tak przecież nie irytuje nauczycieli, przełożonych, generałów czy polityków, jak ludzie poczciwi, uczciwi i dobrze się uczący. Istnienie takich osobników wytrąca ich z pielęgnowanego sumiennie przekonania, że wszelcy powierzeni im wychowankowie to istoty złośliwe, podstępne i tępe, choć wynalazcze, gdy idzie o różne bezceństwa.

Janek Poranek mimo swej pilności i poczciwości często obrywał więc niezasłużone pały, a niekiedy brał także w skórę za nic,

podczas gdy jego dalece mniej subordynowanym i utalentowanym kolegom wiele spraw uchodziło na sucho.

– Jaki był Janek Poranek? – pytali często wysłannicy z dalekich gwiazd, pragnący jakimś unikatowym szczegółem ubarwić obszerne hasła pisane do multimedialnych galaktycznych encyklopedii. – Co go interesowało? Jakie miał pasje?

Otóż interesowało go niewiele, a pasje miał skromne i nieliczne. Były to szachy, kontemplacja oraz naukowa fantastyka.

– Co to są szachy? – zapyta ktoś z Framitozy, przelewając się w swoim akwarium.

– Cóż to jest kontemplacja? – zdziwi się podobny do dmuchanego worka na śmieci reporter z HiBri 3. O naukową fantastykę nie zapyta na szczęście nikt, gdyż jest to dziedzina literatury uprawiana z powodzeniem oraz wielce szanowana w niemal wszystkich układach gwiazdnych – z wyjątkiem Ziemi, ale o tym później.

Zacznijmy od szachów. Trudno w to dziś uwierzyć, ale w owym czasie, choć rozpowszechnione na Ziemi, nie były znane we wszechświecie. Ani w zamieszkanych, ani w inteligentnych układach (uwierzcie mi, używam tego rozróżnienia nie bez powodu). Jeśli ktoś chciałby wskazać dwie rzeczy, które Ziemia dała innym światom, wystarczy powiedzieć „szachy” – i już po sprawie. A druga rzecz? Drugą rzeczą był Janek Poranek.

Wróćmy jednak do tych chwil niewinnych, kiedy jeszcze na orbicie Ziemi nie parkowały transmisyjne satelity podprzestrzenne galaktycznych systemów informacyjnych.

Spójrzcie, oto miasteczko K., a w nim skwer ocieniony akacjami. Wśród akacji stoi pomnik Mikołaja Kopernika, pierwszego Polaka w kosmosie (o tym może innym razem). Pośrodku skweru leży

placyk graniasty czterokanciasty, pokryty siwym asfaltem, który osypuje się po brzegach, podgryzany przez trawę. A pod akacjami, na asfalcie, wymalowana jest wielka szachownica. Na szachownicy zaś stoją figury szachowe wielkości średnio odkarmionego gimnazjalisty.

Wiatr, deszcz, słońce i czas zaokrągliły nieco ich kanciaste kształty oraz odmieniły kolory. Białe piony i figury przybrudzone na skutek upływu lat są teraz jasnoszare, a figury i piony niegdyś czarne obecnie stały się ciemnoszare. Nic to, grać można nadal i to się liczy. A to nie koniec atrakcji, bo dookoła wielkiej, wymalowanej na asfalcie szachownicy stoi także wianuszek cementowych stolików na pordzewiałych nóżkach. Na każdym stoliku również wymalowana jest szachownica. I przy każdym stoją wtopione w asfalt metalowe ławeczki.

Każdego dnia na skwerze zbierała się grupka zapalonych szachistów i kibicujących im obywateli miasteczka K. Już od rana grali emerycy i renciści, niekiedy wspomagani przez wagarowiczów z pobliskiego liceum.

Po południu skład grupy ulegał zmianie: staruszkowie o najśłabszym zdrowiu oraz kibice nadużywający wina owocowego Szmer Sfer chwiejnym krokiem udawali się do domu lub po ostatnią, zabójczą flaszkę do sklepu sieci Mróweczka. Ich miejsce zajmowali nowi gracze, którzy po pracy zdążyli zjeść w domu obiad i wymknąć się na skwer. Wśród nich był Janek Poranek, który nie musiał akurat nikomu się wymykać, bo mieszkał sam, w niedużym lokalu komunalnym na poddaszu. Nie było mu tam źle. Przez okno w dachu patrzył w gwiazdy.

Jak to się stało, że gwiazdy spojrzały na niego?



Choć znajdziecie na ten temat sprzeczne informacje w niezliczonych gwiazdnych monografiach, biografiach i kartografiach Janka Poranka (te ostatnie sporządzone są dla inteligentnych i tworzących nomadyczne cywilizacje zakaźne grup bakteryjnych), prawda jest taka, że wszystko zaczęło się właśnie na skwerze, zwanym też niekiedy placykiem.

Na placyku bowiem nie tylko szachy wypełniały umysły zgromadzonych tam mieszkańców miasteczka K. Przedmiotem nieustannych dysput były także sprawy krajowe oraz międzynarodowe, ze szczególnym uwzględnieniem kryzysów, wojen i wszelkich innych przesileń. Chyba was to nie dziwi? Wszak polityka i wojna to tylko przedłużenie szachów innymi środkami.

Podczas gdy na szachownicach placyku odbywały się epickie batalie, zbite pionki i figury słały się gęsto, a śmiałe eksperymenty doświadczonych graczy obalały lub potwierdzały mity nieomyślności pewnych wariantów Spasskiego, Tala czy Fischera, powietrze nad stolikami grzało się od wypowiedzi na inne tematy.

Były to między innymi: sytuacja strategiczna na Morzu Chińskim, zmiana układu światowych sił w wyniku eksploatacji złóż gazu łupkowego, spór o Antarktykę i wojna o Antarktydę (czasem odwrotnie), katastrofalne kłopoty upadłych państw Afryki, kryzys tajwański, kryzys ukraiński, kryzys irlandzki, kryzys gibraltarski, wcielenie Hongkongu do Chin, kryzys cypryjski, kryzys panamski, kryzys somalijski, kryzys cejloński, no i nade wszystko przewlekły kryzys na Bliskim Wschodzie, który to Bliski Wschód nie był ani bliski, ani wschodni, bo leżał akurat bardzo

daleko i bardzo na południe od miasteczka K. Ale przecież nie będziemy spierać się o szczegóły.

(Tu kilka słów wyjaśnienia dla czytelników spoza Drogi Mlecznej. Wszystkich zainteresowanych szczegółowym opisem przyczyn niezliczonych ziemskich kryzysów odsyłamy do fundamentalnych prac znanego badacza z Tralfamadorii, Lodo Jaramurta, który przez wiele lat mieszkał wśród Ziemiaków i o wiele za dużo palił. Badacz ów, udatnie udający miejscowego pisarza Kurta Vonneguta jr., jako pierwszy wskazał na niepokojące zjawisko utrzymującej się nieustannie nierównowagi chemicznej w mózgach homo sapiens, o czym obszernie poinformował w raporcie pod roboczą nazwą „Breakfast Of Champions”).

Wśród barwnej gromadki toczącej fundamentalne spory oraz zacięte szachowe boje na placyku Janek Poranek wyróżniał się tym samym, czym wcześniej wyróżniał się w szkole – to znaczy tym, że się nie wyróżniał.

Do czasu.

Po latach mogę to przyznać: moje poszukiwania punktu zero, punktu, w którym wszystko się zmieniło, a Janek stał się chlubą polskiej ziemi i w ogóle Ziemi, spełżyły na niczym, mówię to z pełnym poczuciem klęski i nie pociesza mnie wcale fakt, że równie fatalnie zakończyły się próby podejmowane przez dysponujących nieograniczonymi funduszami przedstawicieli prasy galaktycznej. To ja powinienem coś znaleźć – w końcu byłem szkolnym kolegą Janka Poranka, jego krajanem, mieszkańcem tego samego miasteczka K., lichym szachistą, bywalcem placyku i samozwańczym kronikarzem placykowych wydarzeń.

Widywałem Jana Morgina każdego dnia, popijałem z nim mętłą lemoniadę, a wieczorami miętową herbatę z lodem, gapiłem się

leniwie w to samo popołudniowe słońce szukające schronienia za spółdzielczym bankiem i rozpaczliwie próbowałem bronić się przed matem nie dalej niż w dwudziestym trzecim posunięciu (oczywiście ta sztuka nigdy mi się nie udała).

I co? I pstro.

Nikt nie pamiętał, kiedy i jak Janek Poranek zmienił się z poczciwca w lokalną atrakcję. Ciężko na to sam zapracował, to pewne. Ale choć nieznany jest nam moment, wiemy dziś więcej o metodzie, która zaprowadziła go na szczyt. Wiąże się ona bezpośrednio z drugą pasją Janka Poranka, którą była kontemplacja.

Wcale nie żartowałem, wspominając, że patrzył w gwiazdy. Potrafił tak czynić godzinami, choć z równym zainteresowaniem delektował się widokiem deszczu, tęczy czy wiatru strząsającego na placyku liście akacji. Najobficiej wpisywane do szkolnych dzienników uwagi co do zachowania Janka wytykały mu, że „nie uważa na lekcjach”, „udaje, że nie słyszy, co się do niego mówi” albo po prostu, że „gapi się za okno”.

To nie tak, kochani, nie tak.

Janek myślał.

Faktycznie sprawiał wtedy wrażenie nieobecnego. Wzrok robił mu się nieco szklisty, twarz zastygała. Niekiedy można było pomyśleć, że potrafi dojrzeć, co kryje się za horyzontem. Oczy mógł mieć półprzymknięte – ale to nie reguła – i oddychał wolniej niż zwykle.

Niektórzy nazywali to transem, lecz nie mieli racji. Janek zawsze świadomy był tego, co dzieje się dookoła. A dokąd w rozmyślaniach podróżował – tego nie wiedział nikt.

To znaczy: wtedy nie wiedział tego nikt.

Kontemplacja, szachy i sytuacja międzynarodowa. Wszystko to łączy się w przypadku Janka Poranka; dobrze też byłoby nie zapominać o zwykłym męskim prężeniu torsu i fiutka (jakby co, to mam na myśli metaforę). Szachiści zebrani na placu w miasteczku K. stanowili nieznośną gromadkę, bo każdy uważał, że ma rację. O ile w szachach dysputy można było rozstrzygnąć bez trudu, na szachownicy, o tyle spory o zamorskie kryzysy nigdy nie wygasły. Wszak każdy z wymądrzających się placykowiczów uważał, że jego opinie i domysły są słuszne.

Janek nie brał udziału w tych maratonach pojękiwań, utyskiwań i przekrzykiwań. Często więc pytano go, co sądzi o tym czy tamtym, ale nikt specjalnie nie przejmował się jego odpowiedziami, bo były dziwne i enigmatyczne. Na przykład: „Prezydent nie może jej przyjąć” albo „Wódz musi oddać bydło”.

Nie wiadomo, kto pierwszy zauważył, że z pozoru absurdalne stwierdzenia Janka Poranka były w istocie bardzo do rzeczy. Jednak dało się to dostrzec dopiero po pewnym czasie. Tak właśnie było ze słynną sentencją o wodzu i bydle, wypowiedzianą przez Janka w trakcie dyskusji nad wojną domową w Sudanie Południowym.

Tak się bowiem złożyło, że wódz i generał Charlie (dajmy sobie spokój z jego prawdziwym imieniem w narzeczu Dinka) niespodziewanie ogłosił, że oddaje skradzione Nuerom bydło i przystępuje do rozmów pokojowych bez warunków wstępnych. Walki wokół Dżuby ustały.

Jankowi Porankowi udało się także właściwie wskazać receptę na zakończenie walk na Sri Lance, na przełamanie recesji w Japonii oraz sprawiedliwy podział pastwisk w Argentynie podczas krótkiego, acz intensywnego kryzysu znanego jako

przesilenie wołowe. Odgadł również, pod wodzą jakiego trenera Anglicy zostaną mistrzami świata w piłce nożnej, celnie wskazał przebieg rurociągu transirańskiego, nie mówiąc już o przewidzeniu, za kogo powinna wyjść piękna Marianna, szefowa niewielkiej galerii handlowej w centrum miasta, którą odziedziczyła po swoim tłustym, wyjątkowo nieprzyjemnym, wiecznie chorym na serce i obecnie nieżywym ojcu.

O rękę Marianny ubiegało się trzech poważanych obywateli: radny C., major B. i notariusz R. Zdaniem Janka – głośno zresztą wygłoszonym pół roku przed ślubem – jedynym właściwym wyborem był radny C. Niestety, Marianna tego nie wiedziała. Dwa tygodnie po ostatnim weselnym toaście wybrany przez nią notariusz porąbał ją w napadzie szału siekierą. Miesiąc później major B. wysłany został na ósmą zmianę w Syrii i wyleciał w powietrze, kiedy jego wóz wjechał na minę pułapkę. Radny C. został zaś wkrótce wiceprzewodniczącym rady miejskiej, a kilka lat potem burmistrzem i żyje szczęśliwie oraz bogato do dziś, jako jeden z najbardziej poważanych obywateli miasteczka K. Podobno wciąż ma na biurku zdjęcie Marianny.

Janek Poranek wiedział, co mówi.

Tylko my nie wiedzieliśmy, że warto go słuchać.

Poranek tymczasem pomału zaczynał być traktowany jako ktoś w rodzaju lokalnej znakomości, ktoś pośredni między jasnowidzącym szaleńcem a świętym starcem (choć oczywiście nie był ani szaleńcem, ani starcem, ani świętym).

Nie był także jasnowidzem. Miał inny dar.

Ale o tym później.

Najpierw o tym niezwykłym dniu, który każdy w miasteczku K. będzie pamiętał do końca życia. Dniu lądowania.



Było tak: latający spodek pojawił się nad miasteczkiem K. znieńska. W sobotnie popołudnie. Wcale nie skierował się nad plac (co byłoby zrozumiałe w świetle późniejszych wydarzeń), tylko okrążył kilka razy rachityczną Starówkę i wylądował pośrodku placu Kupieckiego, czasem zwanego także ryneczkiem.

Na placu było pusto, bo w sobotnie popołudnia handlu już nie ma. Latający spodek wylądował z impetem, wzniesając chmurę brudnych papierzyk, petów, resztek warzyw i innego badziewia, które zwykle pozostaje po handlarzach i klientach. Wcale nie wyglądał jak spodek. Raczej jak pękata filiżanka odwrócona do góry dnem.

Kiedy śmieci opadły, z latającej filiżanki wytoczyły się dwie dziwaczne postacie, przypominające nieco marchewki na sterydach. Przybysze zignorowali rozdziawione japy miejscowych żulików, którzy przed licznymi na placu Kupieckim sklepami obalali najtańsze piwa. Nie zwrócili też uwagi na piszczące ze strachu dzieci ani na ujadanie bezdomnych psów. Bez zbędnych ceregieli popłynęli ulicą Wąską w stronę placu z akacjami, gdzie jak zwykle w sobotnie popołudnie toczyły się szachowe rozgrywki.

Kiedy piszę „popłynęli”, mam na myśli fakt, że poruszali się, nie dotykając ziemi. Nie można jednak nazwać tego lataniem. Płynęli w takim sensie, w jakim nad piachem planety Tatooine poruszał się pojazd Luke’a Skywalker’a. Wicie, który pojazd. Taki pustynny kabriolet.

Płynęli ulicą Wąską, a ich nać powiewała na wietrze. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że te splecione wiechcie wyrastające

z czubka marchwiowatych kombinezonów były antenami podprzestrzennej komunikacji nadświatlnej.

Byłem wtedy na placyku i powiem wam jedno – jeśli ktoś wam wyzna, że nie zastygł na widok przybyszów w głębokim zdumieniu, ten kiep, kłamca i konczita parówa. Wszystkim opadły szczęki, co do joty.

Wyobraźcie sobie tę scenę – stoimy tak, zmartwiali niczym szachowe figury, a dwie marchewkowe postacie, wysokości dwóch metrów każda, suną w stronę asfaltowej szachownicy. Mijają zaparkowane wokół placyku samochody, wzbijają trochę kurzu na zwirowanej ścieżce, aż wreszcie zatrzymują się nie dalej jak dwa metry od nas. A my stoimy jak zaczarowane posągi.

Chwila trwa. I zmienia się w parę chwil, a potem nawet w dłuższą chwilę.

Wreszcie jeden z emerytów reaguje po ziemsku, to znaczy niezbyt mądrze i agresywnie: wyciąga z kieszeni starą finkę.

– Chłopaki – powiedział wtedy niespodziewanie Janek Poranek – spokojnie. To do mnie.

Wówczas w absolutnej ciszy rozległ się ostry dźwięk. To wypuszczona z rąk osłupiałego właściciela stara finka brzęknęła o asfalt.

A Janek przymknął oczy. Wszystko na chwilę jakby zatrzymało się w czasie. Nawet druciane wiechcie na czubach kosmicznych marchwiaków przestały powiewać.

– Pozwólcie im upaść – rzekł wreszcie Janek.

I wtedy dopiero stała się rzecz dziwna: marchwiaki zatrzepotały nerwowo tą swoją błyszczącą nacią, skłoniły się nisko przed Jankiem Porankiem, obróciły na czubku i popłynęły z powrotem ku

swojej kosmicznej filizance. Najpierw jednak pokłoniły się pomnikowi Mikołaja Kopernika.

Wszystko to nie trwało dłużej niż kwadrans. Statek odleciał i po chwili zdawać się mogło, że nic się nie wydarzyło.

Przez następne dni mieszkańcy miasteczka K. tak właśnie się zachowywali – jakby nic się nie wydarzyło. Psychologia zna takie przypadki. Kiedy przydarzy nam się coś zbyt daleko wykraczającego poza zwykłe doświadczenie, czasem decydujemy się po prostu to zignorować.

Zignorowaliśmy więc pierwszą w historii wizytę obcych. Wyparliśmy – jak powiedzieliby psychoterapeuci.

Ale trzy dni później zdarzyła się następna.

Tym razem nie było żadnego lądowania. Najpierw w wieczornym powietrzu (było już po zachodzie słońca) pojawiła się szeroka na dwa palce i bardzo ruchliwa iskierka. Zaczęła szybko zataczać kręgi mniej więcej trzymetrowej średnicy, latając od góry do dołu, całkiem jakby próbowała uszyć ze świetlistej smugi kokon.

We wnętrzu zakreślonego przez iskierkę obszaru zmaterializował się osobnik wyglądający jak pasikonik w tużurku. Skrzeknął dwa razy, podskoczył i znieruchomiał w oczekiwaniu.

– A nać gdzie? – mruknął emerytowany właściciel finki, tym razem dużo spokojniej przyglądający się niespodziewanej wizycie.

– Pst! – uciszył go sąsiad, uważający zapewne (i słusznie), że nie należy przeszkadzać Jankowi Porankowi w koncentracji. I Janek odpowiedział, szepcząc coś o żółtych karłach i liniach demarkacyjnych.

Iskierka-zwiadowca przestała latać w kółko. Wymalowała w powietrzu kilka figur przypominających hieroglify i wystrzeliła w górę. Pasikonik w tużurku skrzeknął, skłonił się przed statuą

Kopernika i zdematerializował się równie szybko, jak wcześniej pojawił.

Tego było już za wiele dla obywateli spokojnego miasteczka K. Jeszcze tego samego wieczora, wkrótce po tym, jak placyk opustoszał, do Jana Morgina zadzwonił burmistrz Dwurura z pretensjami, dlaczego nie poinformował władz miejskich, że z Warszawy przyjeżdża telewizja.

– Bo nie przyjechała – odparł Janek Poranek.

I miał rację. Miało jeszcze sporo czasu upłynąć, nim „spotkania trzeciego stopnia w K.” zaczęły być relacjonowane przez ziemskie media.

Sława galaktyczna wyprzedziła rozgłos lokalny. Jak? Już wyjaśniam.

Zapewne wiecie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju ani nawet we własnym miasteczku K. Okoliczne cywilizacje dowiedziały się o talencie Janka grubo wcześniej niż rządy ziemskich mocarstw, nie mówiąc o władzach powiatu K.

A było tak: jeden z szachowych znajomych Janka Poranka był stryjecznym bratem znanego lotnika Stana Pawlovskiego, który przekwalifikowany został na kosmonautę, kiedy trzeba było poprowadzić na orbitę prom kosmiczny „Endurance”. Pawlovski, zapalony szachista, korespondował obficie z krewnym żyjącym w miasteczku K., biorąc w ten sposób na odległość udział w partiach szachów oraz wszelakich dysputach. Kilka razy przeczytał w listach o dziwacznym prognozach Janka Poranka.

Myślał o nich nie za często – ale myślał.

Pomyślał na przykład o Janku podczas misji promu „Enudrance”, wisząc pięćset kilometrów nad Ziemią.

I to wystarczyło.

Tak się bowiem złożyło, że żyjemy w dość uczęszczanej części kosmosu, wypełnionej różnego rodzaju sprzętem komunikacyjnym, nasłuchowym, szpiegowskim i charytatywnym (jak choćby sondy programu MPW, o którym później). Nie mówiąc o zwykłych bojach sygnałowych, dzięki którym międzygwiazdne transportowce skręcają zwykle na skrzyżowaniu przed Układem Słonecznym, żeby nie przepychać się przez nasz zatłoczony system (osiem planet to zadziwiająca rozrzutność).

Wśród sprzętu nasłuchowego pozostawionego w pobliżu Ziemi znajdowały się między innymi myśłołapy. Nie były to urządzenia najnowsze i najsprawniejsze. Z łowieniem myśli na powierzchni planety nie dawały sobie rady. Ale myśli Stana Pawlovskiego nudzącego się w promie wychwyciły bez trudu. Zapisały, wzmocniły i posłały dalej.

Myśłołapy należały do najbliższej Ziemi obcej cywilizacji: ćwokowatych i dość powolnych Rigelian z Alfa Centauri Bb. Byli oni tak leniwi, że nie chciało im się myśleć samodzielnie, stworzyli więc system myśłołapów, które rozrzucano po okolicznym kosmosie, by przesyłały na Alfa Centauri Bb przechwycone myśli innych cywilizacji. Trochę to trwało, bo lenistwo Rigelian udzielało się w ich macierzystym układzie nawet prawom fizyki, więc wszystko działo się tam wolniej: niższa była prędkość światła, prędkość dźwięku i stała grawitacyjna. Nawet liczba pi wynosiła tam około 1,7 – bo Rigelianom nie chciało się doliczyć do 3,14. Nie sądzicie jednak Rigelian zbyt surowo. Pamiętajcie, że na powierzchni ich planety temperatura wynosi około 1200 stopni Celsjusza, więc ich powolność jest uzasadniona – gdyby przyspieszyli, musieliby się w tych warunkach okropnie pocić.

Wróćmy jednak do Janka Poranka. Kiedy informacja o jego talencie trafiła za sprawą myśli Stana Pawlovskiego z orbity Ziemi do myślołapa Rigelian, sprawa była przesądzona. Z ich sieci komunikacyjnej wieść drogą wymiany trafiła do następnych infosfer tworzonych przez kolejne cywilizacje i szybko obiegnęła całą Galaktykę.

Tak doszło do wizyty marchewkowych obcych (w rzeczywistości mieszkańców Bety Taurani) oraz pasikonika w tużurku (był to przybysz z Cefeidy wykorzystujący skomplikowany system holograficzny, więc nie wiadomo, jak naprawdę wyglądał, nie mówiąc już o tym, że wciąż nie mamy pojęcia, jak wpadł na pomysł z tużurkiem).

Prawda była jednak dużo gorsza – opisani powyżej goście wcale nie byli pierwsi. Poprzedziło ich co najmniej kilka delegacji, których przybycia nie zauważono, bo niechcący doskonale wmieszali się w ziemską biosferę. Na przykład przedstawiciele agresywnego reżimu z Lalande 21185 byli właściwie nie do odróżnienia od tłustych, końskich much tak popularnych na Ziemi.

Ich wyprawa niepozbawiona była elementów tragicznych. Zanim rój bzyczących Lalandczyków dotarł na poddasze Janka Poranka i zadał swoje pytanie, kilku przybyszów zostało zamordowanych uderzeniami ogona krowy pasącej się na trawiastych przedmieściach K. Dwóch zaś połknęły w locie szpaki. Krowy i szpaki zostały zresztą dzięki temu zapisane w archiwach lalandzkich komputerów jako istotne elementy systemu obrony Ziemi. Tragedii było więcej. Aquagrundlanie z Aquariususa wybrali na miejsce lądowania aquapark pod miasteczkiem K., co skończyło się bardzo źle, bo nadmiernie chlorowana woda okazała się dla nich trująca.

„Galaktyczny Kanarek”, jedna z bulwarówek ukazujących się w Małym Obłoku Magellana, zasugerował kiedyś, w jednym ze swoich najbardziej skandalizujących tekstów, że przybyszem z kosmosu, który nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie, lecz został schwytany przez potwornego Janka Poranka, był Flirx z planety Flirix. Flirxowie wyglądali jak szerokie szare krawaty, toteż opublikowana w „Galaktycznym Kanarku” fotografia Janka w szerokim szarym krawacie narobiła sporo hałasu. Zapewniam was, że był to zwykły fotomontaż. Janek – potwierdzą to wszyscy, którzy go znali – nosił wyłącznie wąskie krawaty i nigdy szare. Proszę tylko nie oskarżać go teraz o rasizm. Gdyby poznał bliżej i polubił jakiegoś Flirxa, z pewnością zawiązałyby go sobie pod szyją.

Co było potem – wszyscy wiedzą, nie będę więc marnował miejsca na opowieść o tym, jak z olbrzymim opóźnieniem także ziemskie media i politycy (a polskie na samym końcu) odkryli, że w miasteczku K. mieszka znakomitość na skalę pangalaktyczną. Jako jeden ze szkolnych znajomych Janka Poranka zaznaczę jedynie, że z dużą przykrością przyjmuję trwające do dziś dąsy najwyższych ziemskich oficjeli. Mają oni do Janka dwie nieustające pretensje. Pierwszą, że nie ujawnił się przed władzą zawczasu. Cóż, nie tylko moim zdaniem byłaby to najlepsza droga do zamknięcia w psychiatryku, takim luksusowym jak mój. Czy naprawdę sądzą, że był na Ziemi choć jeden polityk, który uwierzyłby w wyznanie o treści: „Dzień dobry, nazywam się Janek Poranek i z całego wszechświata przylatują do mnie po poradę obcy”?

Druga pretensja tyczy tego, co stało się z Ziemią już po pierwszym kontakcie, czy też – jak zauważyliście – pierwszych kontaktach. A właściwie tego, że nic się nie stało. Okazało się bowiem, że skądkolwiek kosmici nie przybywali i jakkolwiek długo

nie przebywali na naszej planecie, nie interesowały ich ani trochę więzi dyplomatyczne, oficjalne misje, wymiany proporczyków, doświadczeń czy towarów. Przez stulecia żyliśmy w strachu, że obcy pojawią się pewnego dnia z laserami albo pochodniami odebrać nam życie i wolność, a w najlepszym przypadku kobiety. Cóż, to także ich nie interesowało. Nie chcieli oglądać naszych obrazów, czytać naszych ksiązek i gazet (to akurat, pamiętając o ich poziomie, dość łatwo zrozumieć), poznawać historii, inwestować w nieruchomości czy otwierać ambasad. Nie chcieli nawet naszych kobiet.

Chcieli tylko Janka Poranka.

Przywódcy wszystkich ziemskich narodów byli z tego powodu śmiertelnie obrażeni i uważali, że sprawcą tej obojętności jest sam Janek. Że – jak ujął to amerykański wiceprezydent – „coś im głupiego nagadał”. Rządy kilkunastu największych krajów chciały nawet za te domniemane winy przykładowie ukarać zarówno Janka, jak i pozostałych mieszkańców miasteczka K. Szybko jednak zrezygnowały, gdy odkryły, że przybysze nie tylko odwiedzają naszego krajana, ale także strzegą jego bezpieczeństwa, uważając go za dobro wyjątkowo cenne i wyjątkowo rzadkie. Niedowiarków ostatecznie przekonała demonstracja siły w wykonaniu wysłanników gatunku *Larvae habilis* z galaktyki Gryfa, którzy na zorganizowaną przez SAS próbę wywiezienia Janka Poranka do Anglii zareagowali czasowym teleportowaniem pałacu Buckingham, Whitehall, Westminsteru i British Museum na Księżyc.

A potem wszystko się uspokoiło.

Ziemia musiała nauczyć się żyć po nowemu – ze świadomością, że jest wprawdzie peryferiami peryferii zadupia wszechświata,

które kompletnie nikogo nie interesują, ale ma za to wszechświatowego celebrytę.

Cóż było robić. Zaczęliśmy produkować pamiątki.



Nie było to głupie. Sprzedawało się wszystko: w dowolnym kształcie i rozmiarze. Nawet w każdym kolorze, ponieważ część gości dysponowała zmysłem wzroku odbierającym inną część widma niż ziemską, co oznaczało, że każda, najbardziej paskudnie nawet pomalowana figurka z Jankiem Porankiem prędzej czy później doczekała się zachwyconego klienta.

Breloczki, kalendarze, chusteczki, butelki ziemskich napojów i innych używek z wizerunkiem zamysłonego idola na naklejce. Pokrowce na statki kosmiczne, torebki na wymiociny po teleportacji, sztuczne szczęki. Jeden z zakładów pamiątkarskich oferował nawet narządy do przeszczepów z herbem miasteczka K. drukowane na miejscu, na specjalne zamówienie, drukarkami 3D.

Przedstawiciele wielorybiej rasy myślącej z gwiazdozbioru Wieloryba kupowali pamiątkowe worki suszonego kryła. Jak woda szły filmy, komiksy, składanki muzyczne, książki. Amerykanie sprzedali UmaBurmakom z UmaBurmaka Cztery całą górę Rushmore, wykuwszy w niej uprzednio profil Janka Poranka. Przebili ich Rosjanie, którzy przekonali Capoidów z Cefeidy (nie mylić z Cefeidami z Capoidy), że góry Ural to wielki kręgosłup pradawnego stworzenia, które czczone było przed wiekami w rodzinie Poranka (sprzedaż nie doszła do skutku, bo transakcję przejęła sokolnicka mafia, która zabrała pieniądze, ale gór nie

oddała, a delegację oburzonych Capoidów zapakowała w cementowe sześciiany i tak odesłała do domu).

Przemysł pamiątkarski wkrótce przynosił Ziemi około dziewięćdziesiąt cztery procent dochodów (pozostałe sześć procent uzyskiwano dzięki hodowli włoszczyzny. Włoszczyznę bardzo ceniono na Tau Ceti, gdzie sproszkowana służyła jako afrodyzjak).

Dziś myślę sobie, że byłem frajerem. Mogłem wcześniej spisać moje wspomnienia o Janku Poranku. Ale widzicie, nigdy nie miałem głowy do interesów, typowy przemysł pamiątkarski mnie nie pociąga, zaś kiedy myślałem, że może coś dorobię na pisaniu, to miałem na myśli powieści science fiction. Gdybym był szczwany i bez skrupułów, to dawno temu wpadłbym na pomysł napisania bogato ilustrowanej broszurki „Janek Poranek i jego goście”, którą można by wydać w trzech tysiącach języków cywilizacji lokalnych – i oczywiście w lugolu (*lingua universali galactica*).

Był jeszcze jeden powód, dla którego nie myślałem o takich wspominkach. Otóż czas na rozpoczęcie machania piórem w dziedzinie fantastyki wydawał się idealny. Kiedy zasiadłem do pisania pierwszych opowiadań, wierzyłem, że jest na nie wielkie zapotrzebowanie. Widać już bowiem wtedy było wyraźnie, jakie opłakane skutki dla rozrywki na Ziemi miało ostateczne fiasko programu MPW.

Trudno dziś znaleźć na naszej planecie ludzi wymawiających ten skrót bez poczucia zawstydzenia i zażenowania. Nie dziwię się. Fiasko MPW to nasze fiasko: ludzkich umysłów i ludzkich talentów.

A było tak: kto myśli, że Ziemia znalazła się w kręgu zainteresowań szerokiego wszechświata dopiero za sprawą myślołapów Rigelian, ten oczywiście jest w błędzie. Oczywiście obcych

cywilizacji spoczęły na naszej planecie już dawno, dawno temu. Dlaczego więc nie próbowano nawiązać kontaktu? Po pierwsze, kwestia skali: dlaczego to żyjący, dajmy na to, w centralnej Afryce słoń miałby pilnie poszukiwać kontaktu z wegetującą pod syberyjskim kamieniem mrówką? Prawdziwe, wielkie kosmiczne cywilizacje nie były zainteresowane naszym zaściankiem.

Po drugie, kwestia jakości. Niestety, pozaziemscy obserwatorzy bardzo szybko spostrzegli, że Ziemianie są istotami wyjątkowo przyziemnymi, ograniczonymi i pozbawionymi wyobraźni. A komu chciałoby się podróżować tysiące świetlnych stuleci tylko po to, by na miejscu pokonwersować z kimś przyziemnym, ograniczonym i pozbawionym wyobraźni? Krótko mówiąc, z ciemnym tępakiem?

Wszechświat, choć wyjątkowo zimny, nie jest jednak miejscem całkowicie bezlitosnym. Istnienie raczkującej cywilizacji tak bardzo upośledzonej poruszyło wiele wrażliwych serc w całej Mlecznej Drodze (dokładne ustalenie liczby serc nie jest możliwe, bo jak wiecie, część jej mieszkańców ma po kilka serc, a niektórzy – żadnego, choć ogólnie solidaryzują się z ideą).

Kongres Pomocy Międzygalaktycznej wciągnął więc Ziemię na listę planet pilnie potrzebujących pomocy. Organizowano na naszą rzecz aukcje komet, zbierano używane lodowce, które choć topniejące, mogły przydać się do powstrzymywania efektu cieplarnianego. A po przeprowadzeniu niezbędnych przygotowań (gros z nich polegało na załatwieniu gigantycznych dotacji, za które można było zorganizować setki naukowych konferencji w luksusowych kurortach Obłoku Oorta) rozpoczęto akcję MPW, co rozwija się jako Masowy Przeszczep Wyobraźni.

Oto jej główny cel: aby wyrwać Ziemian z ciemnoty, tępoty i ogólnego umysłowego przyziemienia, rozpoczęto instalowanie na

planecie autorów science fiction. Nie był to łatwy kawałek chleba. Kandydaci musieli zgodzić się na długą, niewygodną podróż, a potem na kilkadziesiąt lat życia w przebraniu człowieczym, niesłychanie utrudniającym korzystanie z tak oczywistych osiągnięć galaktycznej ewolucji jak trzecie oko czy piąta kończyna, nie mówiąc już o czułkach albo naci.

Ze względu na wspomniane niedogodności program oparto na ochotnikach. Stąd pewien problem z jakością. Z braku laku wysyłano wszystkich chętnych, nie patrząc na umiejętności. Naprawdę utalentowani wizjonerzy zdarzali się rzadko, większość okazała się kompletnymi literackimi patafianami. Niektórzy w dodatku doznali podczas międzygwiazdnej podróży ciężkich umysłowych malfunkcji, w wyniku których na miejscu, zamiast pisać science fiction, zajęli się poezją lub, co gorsza, produkowaniem fantasy. Kilku skończyło okropnie – wiatr słoneczny tak pomieszał im zmysły, że na Ziemi zostali wziętymi prawnikami, a czasem nawet popularnymi politykami.

Masowy Przeszczep Wyobraźni rozpoczął się na dobre w okolicach dziewiętnastego stulecia czasu ziemskiego. Pojedynczy agenci galaktyczni wtapiali się w tłum i rozpoczynali działalność. Pierwsza połowa dwudziestego wieku była już czasem prawdziwego bombardowania Ziemi przybyszami z kosmosu przebranymi za pisarzy science fiction. W drugiej połowie wydawało się nawet, że akcja przynosi rezultaty: ożywieni nowymi ideami Ziemianie wstrzymali chwilowo globalne wojny, wylądowali na Księżycu, wynaleźli Internet i wystrzelili serię sond poza Układ Słoneczny.

Niestety, nawet galaktyczne fundusze muszą się kiedyś wyczerpać. Po stu latach prowadzenia MPW projekt został więc zarzucony. Nikt go nie bronił, bo na przełomie dwudziestego

i dwudziestego pierwszego wieku widać było wyraźnie, że planowanego celu nie udało się osiągnąć. Mimo stymulowania wyobraźni gatunku ludzkiego przez rzesze zaziemskich ochotników okazało się, że Ziemianie nadal pozostają ćwokami, którzy wolą czytać romanse i powiastki historyczne, nie doceniają zaś naukowej fantastyki. Po ewakuowaniu z naszej planety ostatniego prawdziwego (to znaczy – niebędącego człowiekiem) pisarza SF, na półkach księgarskich trzeciej planety od Słońca zostały już tylko książki wtórne, nudne, głupie i bezwzględnie niestymulujące wyobraźni.

Ludzkość okazała się niereformowalna.

I stanęła w obliczu zagłady – przynajmniej tyle wynika z nieoficjalnych informacji pochodzących ze źródeł zbliżonych do Kongresu Pomocy Międzygalaktycznej. Kosmos jest bowiem miejscem surowym, premiującym efektywność i ogólną pożyteczność. Nie ma w nim miejsca na cywilizacje niepełne, upośledzone i w ogóle jakieś takie lewe. A porażka programu MPW dobitnie udowodniała, że Ziemię zamieszkuje taka właśnie, tępawa i plugawa, cywilizacja. Czyż nie lepiej byłoby więc marnotrawione przez ludzkość zasoby oddać rasom twórczym, inteligentnym, pracowitym, zgodnym i zdolnym samodzielnie wydawać z siebie pisarzy science fiction?

Na szczęście dla pozbawionych wyobraźni mieszkańców Ziemi, mniej więcej w tym czasie, kiedy plany ostatecznego zdezynfekowania naszej planety i przyjacielskiego przejęcia jej powierzchni, tlenu i wody zaczęły być układane w gabinetach galaktycznych oficjeli, obce cywilizacje odkryły istnienie Janka Poranka. I to nas uratowało.

Nie uratowało jednak literatury. Bez obcych (ostatniego z nich, CzarWartMara TapaLonga znanego na Ziemi jako Neal Stephenson, ewakuowano w roku 2015) stała się na powrót nudna, przewidywalna i obyczajowa. A zdania takie jak: „Markiza wyszła z domu o piątej” albo „Miasto płonęło” czy, nie daj Boże: „Zanim pojawili się w moim mieszkaniu mafiosi w towarzystwie śniadolicy poetki” były pośmiewiskiem czytelników na innych światach – oczywiście tylko na tych, gdzie istniały dotowane przez władze programy masowego przekładania grafomanii w celach ostrzegawczych.

Mieszkałem więc na nieistotnej planecie pełnej istot bez wyobraźni i zamienionej w wielki sklep pamiątkarski. Kiepskie miejsce dla pisarza. Z tego powodu porzuciłem marzenie o karierze autora science fiction – w końcu nie ma nic gorszego od literatury wyobraźni pisanej przez człowieka bez wyobraźni. Miarą mego upadku i rozczarowania niech będzie fakt, że zacząłem igrać z myślą o zostaniu autorem literatury non-fiction, która jest na Ziemi niezmiernie popularna. W dużym stopniu dlatego, że zarówno by ją uprawiać, jak i odbierać, wystarczy opanować czytanie i pisanie na poziomie ledwie podstawowym oraz wynająć dobrego riserczera od ilustracji.

Fakty zaś były takie, że od pewnego momentu Janek Poranek naprawdę miał już dosyć.

Nie lubił się kłócić, nie umiał odmawiać, nie cierpiał zawodzić nadziei innych. Kiepskie rekomendacje, jak na faceta, przed którego drzwiami nieustannie kłębi się tłum petentów z całego wszechświata, żądnych przepowiedni.

Stop.

Po to właśnie piszę te słowa. Żeby wyjaśnić.

Nie były to żadne przepowiednie. Żadne prekognicyjne uniesienia. Ani mentalne podróże w czasie, jak sugerowała prasa z Perseusza. Janek wiedział, co mówi, bo wiedział, w czym rzecz. Może brakowało mu wyobraźni, jak to typowemu homo sapiens, ale za to, jak określił to emeryt Drakoszek (ten z finką), „miał łeb jak sklep” (uważajcie z tym idiomem, przebywając na Praksalali 11 – jej mieszkańcy w drodze ewolucji handlowej wykształcili w swoich gigantycznych głowach miejsca, które rzeczywiście wynajmują na sklepy).

Tak, wiem, niektórzy z was uczyli się tego w szkole (kieruję te słowa do zaziemców, bo na mojej planecie szkoły już dawno zamknięto, kierując wszystkie dzieci od razu do przemysłu pamiątkarskiego). Janek Poranek zaglądał do równoległych wszechświatów, których istnieje nieskończenie mnoga mnogość. I widział różne inne warianty wydarzeń zachodzących w naszym wszechświecie. Sięgał swym umysłem tak daleko, aż trafiał na taką linię czasu, w której rozwiązanie problemu, o jaki pytali go petenci-klienci, było dla nich optymalne. Skąd to wiem? Sam mi kiedyś powiedział. W końcu byliśmy kumplami.

Jeśli na przykład mieszkańcy Małej Niedźwiedzicy chcieli się dowiedzieć, jak zakończyć trwającą od wielu stuleci wojnę z mieszkańcami Wielkiej Niedźwiedzicy, przybywali do Janka Poranka i pokornie prosili o odpowiedź. On zaś zaglądał do takiego równoległego wszechświata, w którym udało się wypracować wieczysty rozejm. Dowiadywał się, jak to było. Wracił. I tą wiedzą się dzielił.

I nasz wszechświat stawał się lepszym miejscem.

Amen.

Tylko skoro szło tak bardzo dobrze, to gdzie jest dziś Janek Poranek?



Tamtego dnia nic mi się nie układało (wiem, to zdanie brzmi prawie tak kiepsko, jak „Markiza wyszła z domu o piątej”). Wyszedłem z domu o jedenastej (jak widzicie, sypiałem krócej od markizy) i pomaszerowałem prosto do Janka. Chciałem porozmawiać o pewnej ważnej prywatnej sprawie.

Droga była daleka. Kiedyś mieszkaliśmy blisko siebie, ale to była przeszłość. Nikt nie pozostał już w centrum.

Nikt oprócz Janka.

Maszerowałem tłoczną ulicą, zręcznie wymijając latające powozy Deluzjan, akwaria na kołach przewożące Myślópławy z Herkulesa oraz wyjątkowo uciążliwe, wijące się wzdłuż chodników gromady Wojowników Wężowników. Były to istoty podobne nieco do naszych poczciwych, ziemskich anakond, ale dużo sympatyczniejsze, bo w odróżnieniu od anakond nie miały kłopotów z pożyczaniem stowy tubylcowi w potrzebie. Znaczący Wojownicy Wężownika nie mieli węża w kieszeni.

Maszerowałem i dumałem nad tym, jak bardzo zmieniło się nasze miasteczko. Dawna Starówka była teraz Strefą Jeden, czynną jedynie w godzinach służbowych, wypełnioną biurami podróży, lokalnymi oddziałami pangalaktycznych banków, sklepami z pamiątkami i posterunkami ochrony. Jej nowe centrum stanowiła, rzecz jasna, Strefa Zero. Kamienica Janka Poranka i wszystko w promieniu pięciuset metrów wokół niej.

Na razie szedłem przez Strefę Drugą, która otaczała Strefę Jeden. Był to sektor rozrywkowy, pełen barów, bud z przekąskami, jadłodajni tematycznych i elegantszych restauracji. Wśród nich nie brakowało także polowych kaplic, prowadzonych przez czternaście różnych Kościołów, skupiających czcicieli Janka różnej maści i pochodzenia.

Jeszcze wcześniej, w Trójce, stały zajazdy, hotele, pensjonaty i ośrodki wypoczynkowe. Wszechświat to wielkie i zdumiewające miejsce, więc nic nie marnowało się pod dachem ziemskiego nieba. Nawet stara fabryka gwoździ została zaadaptowana przez przemysł turystyczny. Zatrzymywali się w niej metalożerni Ferroterrianie, dla których dodatkową atrakcją była rozpleniona w fabryce rdza – używali jej w charakterze środka odurzającego.

Ja szedłem w drugą stronę. Im bliżej Strefy Jeden, tym tłoczniej robiło się wokół. Przyzwyczailiśmy się żyć w tłumie. Tłum był dobry. Tłum się radował. Tłum płacił. Było wiele miejsc na Ziemi, gdzie żyło się dużo gorzej. A jednak nie potrafiłem się cieszyć, szukając wciąż odruchowo wzrokiem znajomych kształtów: budynków, które mijałem kiedyś, idąc do szkoły, skwerów, po których biegaliśmy, pomników, w cieniu których zwykliśmy siadywać. I grać w szachy, ma się rozumieć.

Przeszedłem kontrolę przed Strefą Zero i wkroczyłem w ciszę. Ulica była pusta. Okoliczne domy również. Mieszkańców dawno już przeniesiono do innych lokali komunalnych, żeby gotowaniem kapusty i stukaniem po nocy nie przeszkadzali najważniejszemu z obywateli w koncentracji i odpoczynku.

Ten kawałek miasta Janek miał tylko dla siebie.

Nie było go w domu. Elektroniczna tablica na drzwiach kamienicy wyświetlała napis: „Żadnych interesantów do wtorku”.

Nie pytajcie, jak to się działo, ale wyświetlała go jednocześnie w dwunastu milionach znanych we wszechświecie języków.

Poszedłem więc na placyk.

Janek siedział po turecku pośrodku asfaltowej szachownicy i wystawiał twarz ku słońcu.

– Cześć, Ziaziak – powiedział, nie otwierając oczu. – Zagramy?

– Zagramy – odparłem jak zawsze.

Rozstawiłem na boki poszarzałe, porysowane szachowe figury i usiadłem naprzeciw. Pośrodku pola e6 na asfalcie stała stara drewniana szachownica, taka z metalowym zatrzaskiem na boku. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że na jej polu e6 stoi inna, jeszcze mniejsza, na której znów środku ustawiono kolejną i tak dalej, w głąb materii wszechświata. W nieskończoność.

– Fajny pomysł – rzekł Janek.

Och nie, nie, powtarzam, nie był telepatą ani jasnowidzem. Po prostu zajrzał do jakiegoś innego wszechświata, takiego, w którym powiedziałem to na głos.

Nie wyglądał najlepiej. Chudszy niż poprzednim razem, kiedy go widziałem. Oczy miał podpuchnięte, jakby z niewyspania. Włosy w lekkim nieładzie. Nie dostrzegłem w nim nic kosmicznie niezwykłego.

Kosmiczne było tylko pytanie: dlaczego on? Dlaczego ze wszystkich istot we wszechświecie musiał to być akurat Jan Mordin, obecnie lat trzydzieści trzy, adres Staromiejska 13/14, miasteczko K., Polska, Ziemia, Układ Słoneczny, Droga Mleczna (a dokładnie lewa strona tej Drogi). Bohaterowie rodzą się w różnych miejscach. Ale nie u nas. I nie tacy!

A tymczasem Janek spojrzał na mnie tak jakoś, tak, jakbyśmy...

No i kurczę, coś mnie tknęło.

– Wyjeżdżasz – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Raczej.

– Raczej długo czy raczej krótko?

Popatrzył w dal z przymkniętymi oczami.

– Szybko znowu w szachy nie zagramy.

– A grywasz jeszcze?

– Rzadko.

Zawahałem się.

– A potrafisz... to znaczy czy grywasz jeszcze bez, no wiesz, zagładania?

Spojrzał na mnie poruszony.

– Ziaziak, ja nigdy nie oszukuję w szachy.

– Ale inni mówią...

– Mówią, bo się boją – przerwał mi Janek. – Siadają do grania świadomi tego, co potrafię robić, i tak ich to spina, że grają gorzej niż zwykle. Boją się odważnych kombinacji albo boją się tak po prostu. I przegrywają.

To było słabe. Nie po raz pierwszy pomyślałem wtedy, że życie Janka nie jest może tak fajne, jak mi się wydawało. Zwłaszcza że od dawna nie mógł się, biedak, zrelaksować nad dobrą książką – nic dobrego już się nie ukazywało, od czasu kiedy wszyscy pisarze SF powrócili tam, skąd przybyli: w odległy kosmos. Jak się okazuje, nie miał nawet z kim zagrać porządnej, zażartej partyjki szachów. Nie mówiąc o porządnej, ozdrowieńczej małżeńskiej kłótni.

– No to gramy. Póki jesteś – rzekłem zdecydowanie. I zacząłem rozstawiać figury.

Rzuciliśmy monetą, żeby ustalić, kto zaczyna. Wyszło na to, że Janek.

Poszedł klasycznie, e2-e4, na co odpowiedziałem e7-e5. Już w drugim ruchu obaj uruchomiliśmy skoczki, a kiedy Janek zaczął sięgać po gońce, można się było domyślić, że idzie dobrym starym Capablancą.

Kiedy w dziewiątym ruchu poświęciłem piona na e5, Janek się uśmiechnął.

– Dzień dobry, panie Marshall.

Zaiste, zastosowałem kontratak Marshalla, ale moje wykonanie było ciut gorsze od oryginału, bo po pierwsze, za bardzo odsłoniłem lewą flankę, a po drugie, Janek skończył ze mną dwa razy szybciej niż José Raúl Capablanca załatwił Franka Jamesa Marshalla.

Na szachownicę padł cień. Coś przeleciało w górze, naszych uszu dobiegł łopot skrzydeł. Osłoniłem oczy dłonią i zerknąłem ku niebu. Nad placikiem, tuż powyżej bańki z ochronnym polem siłowym krążył ptaszor podobny do pterodaktyla, tylko mniejszy i osiodłany przez dwóch karłowatych Psiogłowców w brązowych kombinezonach. Pod ich brodami, czy co tam Psiogłowcy mają w miejscu brody, błyszczał sprzęt triwizyjny.

– Pieprzeni paparazzi – mruknął Janek i posmutniał.

Dobrze go rozumiałem. Przez chwilę udało nam się o wszystkim zapomnieć – byliśmy po prostu parą starych druhów grających w szachy na placyku. Ale rzeczywistości nie da się wyprzeć ani zignorować, wysłannicy brukowców z Gwiazdy Barnarda już pewnie cieszyli się z nowych zdjęć kosmicznego celebryty, które następnego dnia miały trafić na pierwszą stronę „KosmoSmroda”, „Galaktycznego Kanarka” czy jakiejś innej szmaty, wraz z serią domysłów na temat ohydnych praktyk seksualnych łączących Janka i jego tajemniczego przyjaciela (znaczy mnie).

Psiogłowcy nie wiedzieli jeszcze wtedy, że wpadło im w ręce coś znacznie lepszego: ostatnie zdjęcia Janka Poranka.

Zagraliśmy jeszcze raz. Otworzyłem gambitem Kapelusina, osłabiłem celowo lewe skrzydło i gromadziłem najszybsze figury do zdecydowanego ataku. Janek nie przepadał za takimi partiami, lubił grać długo, elegancko i z rozwagą. Niekiedy takie szarże potrafiły go zaskoczyć – miałem nadzieję, że tak stanie się i tym razem, gdy był smutny i grał trochę od niechcienia, jakby część jego umysłu była gdzie indziej.

Że też dopiero wtedy to zauważyłem. Janek zegnał się z nami na dobre. To nie miał być wyjazd, nawet na długo. Wyjeżdża się, żeby kiedyś powrócić. To miało być ostateczne zniknięcie.

– Dlaczego? – zapytałem, kiedy Janek dał mi mata w dwudziestym drugim posunięciu. Wiedział, że nie chodzi mi o szachy.

Po asfalcie kolejny raz przemknął cień pojazdu Psiogłowców, ale w oddali zamajaczyły już patrole Lotniaków, przemiłych, pierzastych i absolutnie zakochanych w Janku Poranku obcych, którzy stworzyli ochotniczą jednostkę jego ochrony. Lotniaki z wyglądu nie różniły się od Czerwonaków, ale w drodze doboru naturalnego i dzięki odpowiedniej przemianie materii wykształciły sobie stalowe dzioby, którymi zamierzały teraz ostro skłuć dupska Psiogłowcom. Oprócz tego, oddychając, zużywały dwutlenek węgla, a wydalały czysty tlen, więc Ziemia z radością powitała ich migrację na nasze niebo. Zresztą dzięki temu tlenowi wokół Lotniaków zawsze było radośnie.

Usiedliśmy w cieniu akacji.

– Coś złego się dzieje, Ziaziak. Coś złego ze światem.

– Z Ziemią?

– Z nami. Z całym światem. Wszechświatem. – Wykonał szeroki ruch ręką, który wiszący w górze Psiogłowcy potraktowali chyba jako pozdrowienie, bo zabrali się do machania w rewanżu z takim zapałem, że jeden spadł z siedziska i usmażył się na polu ochronnym, a drugi nie zauważył, jak najpotężniejszy z Lotniaków wbija mu w tyłek stalowy dziób.

Kiedy dzikie wycie umilkło, a niebo opustoszało, Janek kontynuował:

– Jesteśmy tylko małym, nic nieznaczącym kawałkiem skały w wielkim świecie, Ziaziak. To, co się dzieje, dotyka nas na pewno. W naszym małym, nieważnym stopniu. Ale to tylko daleki efekt większych zmian. Strasznych zmian na gorsze.

– Mamy przecież ciebie – powiedziałem. – Podpowiesz nam, co robić. Znaczy nam wszystkim. – I powtórzyłem energicznie ruch Jankowej ręki sprzed minuty, żeby pokazać, że i ja troszczę się o los całego wszechświata.

Popatrzył na mnie jak zbity pies. I rzekł:

– Właśnie kłopot w tym, Ziaziak, że to chyba wszystko przeze mnie.

Tak właśnie mleko się rozlało, a markiza, która wyszła z domu o piątej, wypierdoliła się na schodach. Metaforycznie rzecz ujmując.

Rozkojarzenie i smutek Janka były w pełni zrozumiałe. W końcu co innego odpowiadać za serię zmian na lepsze – jak zgodnie twierdziły wszelkie rasy, gatunki i rodzaje, które zasięgały u Poranka języka – a co innego kłaść się spać z przekonaniem, że cały kosmos pójdzie w diabły przez naszą skromną działalność. Też byłbym trochę smutny. Trochę, bo nie jestem pewien, czy cały

kosmos wart jest tych swoich miliardów lat. Wątpliwości nachodzą mnie zwłaszcza, kiedy oglądam wieczorami telewizję.

Pod akacjami na placyku zrobiło się ponuro.

– Janek, ale ty... Nie zamierzasz chyba... No wiesz, rozwiązać tego w radykalny sposób?

– Zamierzam.

– Ale...

– Odpuść, Ziaziak. Wszystko już przygotowałem.

Trochę to mną trząchnęło. Nawet bardziej trochę niż wtedy, kiedy pomyślałem, jak to jest być odpowiedzialnym za cały kosmos idący w diabły.

Janek chyba czekał, co powiem, bo nie odzywał się, tylko zerkał.

Zacząłem łazić tam i z powrotem po spękany asfalcie. Oddychaj regularnie, Ziaziak, napominałem się. Myśl, Ziaziak, myśl!

Ciszę słonecznego przedpołudnia zakłóciło jakieś chrobotanie. Spojrzałem w górę. Jeden z Psiogłowców, który spadł z pojazdu paparazzich, w jakiś sposób uczepił się niewidocznej kopuły i próbował przedrylować osłonę urządzeniem przypominającym trójnog mierniczy z wiertłem w środku. Nie ma granicy pogoni za njusem.

Wymyśliłem.

Spośród drzew okalających szachownicę i szachowe stoliki wybrałem największe i wyglądające na najmocniejsze. Poklepałem pień niby znawca na targu niewolników, pocmokałem trochę, żeby było profesjonalnie, i zdjąłem pasek od spodni.

W końcu od czego są przyjaciele?

– Janek – powiedziałem uroczyście – nie popieram tego, ale nie zostawię cię, brachu, bo to by było kurewstwo i syf.

– Ziaziak? – rzekł niepewnie.

– Obiecuję – powiedziałem – a nawet uroczyście ślubuję, że cię za wcześnie nie odetnę, nikogo nie zawołam, nie będę cucił, a jakby co, to nawet złapię cię za nogi, żeby dociążyć.

– Dociążyć?

– Żeby kręgi poszły. No, szyjne, żeby się złamały. Jak w podręczniku. Nie sfuszeruję, słowo szachisty.

– Czyś ty oszalał? – Janek Poranek zerwał się z ławeczki i otrzepał ręce, jakby szykując się do bitki. – Chcesz mnie powiesić?

– Jak ty się chcesz powiesić, to i ja cię chcę powiesić – oznajmiłem bohatercko, choć przecież wcale nie chciałem. Trzeba trzymać fason. – Chociaż tak naprawdę to nie chcę – dodałem.

– Ziaziak, skąd ci to, idioto, przyszło do głowy?

– No przecież powiedziałeś, że chcesz sprawę rozwiązać radykalnie. I że wszystko przygotowałeś. – Rozejrzałem się. – Pusto, żadnych świadków, miejsce piękne i sentymentalne, idealne, żeby się pożegnać. A ja w sumie pojawiłem się przypadkiem, ale wiesz, że na mnie można polegać. – I potrząsnąłem znacząco tym nieszczęsnym paskiem.

– Ech, Ziaziak, będzie mi cię brakowało – powiedział Janek i zaczął się śmiać. I śmiał się coraz bardziej, tak zdrowo, tak naturalnie i tak szczerze, jak nigdy nie potrafiłby się śmiać rychły wisielec. Kiedy to do mnie dotarło, sam się chciałem obwiesić. Ze wstydu.

I śmialibyśmy się tak jeszcze długo, gdyby nie głuchoe łupnięcie od strony ulicy Szewskiej, gdzie niczym wielki wór kartofli spadł Psiogłowiec, który tymczasem przewiercił się przez pole ochronne, ale najwyraźniej zapomniał o jakiejś zabezpieczającej uprzęży, więc zwyczajnie, po ziemsku, skręcił sobie kark. Z tego, co wiem, na

planecie Psiogłowców odsłoniłi ku jego czci tablicę w Parku Pamięci Zasłużonych Korespondentów Prasy Brukowej.

Postąpiłem dwa kroki w jego kierunku, ale z daleka widziałem, że za bardzo biedakowi nie pomogę. Ani zipnął, ani machnął ogonem.

A kiedy się odwróciłem, Janka Poranka już nie było.



Pamiętam tę kartkę do dziś. Mała, zwykła, biała, bez hologramów. Z wykaligrafowanymi pięknie na górze słowami „Jaśnie Pan Ziaziak”. Wszystkie „i” stylizowane były na szachowe pionki.

Nie wiem, czy Janek planował swoje zniknięcie właśnie na ten dzień i na tę godzinę. A może miało być inaczej, może podjął decyzję pod wpływem nastroju chwili. Tak czy inaczej, kartka przeznaczona była dla mnie i pewnie gdybym nie znalazł jej wtedy leżącej na polu c5 asfaltowej szachownicy, to trafiłaby do mnie w inny sposób. Janek dbał o takie rzeczy, był drobiazgowy i dokładny.

Zanim ją przeczytałem, zachowywałem się oczywiście przez dłuższą chwilę jak typowy Ziemianin, czyli jak kompletny idiota. Nawet zawróciłem na moment ku włochatemu truposzowi z planety Psiogłowców, podejrzewając, że wyszczekani paparazzi mają coś wspólnego ze zniknięciem mojego przyjaciela, że może to jakiś wyrafinowany spisek: ktoś odwraca moją uwagę wierceniem w kopule, a tymczasem jakieś zływrogi porywają Janka. Miotalem się tak, póki nie dotarło do mojej pustej łepetyny, że przecież nikt nie wiedział o tym, że się tu wybieram. Nawet ja sam. Liczyłem

przecież, maszerując do miasta, że zastanę Janka w domu. Placyk i partia szaszków to przypadek.

Potem na placu zrobiło się gwarno, rojno i naprawdę gorąco, mniej więcej tak, jak w piekle w dniu niezapowiedzianego importu grzeszników. Wszystkie możliwe służby ziemskie i zaziemskie stawily się na miejscu, bo nie było takiego drugiego dzwonka alarmowego we wszechświecie, jak ten, który rozjazgotał się w chwili zniknięcia pangalaktycznego bohatera, Janka Poranka. Migające mnogimi światłami wozy oznakowane i nieoznakowane wyroiły się na ziemi, w powietrzu i pod ziemią, bo widziałem wyraźnie wysunięte nagle spod ziemi ryjki skalnych pełzaczy kilku ras zaziemskich, egzystujących u nas gościnnie na modłę krecią.

Co tu dużo mówić, to był szalony dzień, który jedna z galaktycznych stacji holowizyjnych ochrzciła nawet w swoich promosach „najczarniejszym dniem wszechświata od dnia Wielkiego Wybuchu”, o tyle bez sensu, że w dniu Big Bangu to akurat wszystkiego przybyło, a teraz ciut odwrotnie: ubył Janek Poranek, sztuk jeden.

Ja zaś znajdowałem się w samym środku kosmicznego kotła, jednocześnie w trzech rolach: podejrzanego, świadka oraz przyjaciela ofiary. Dopisałbym chętnie do tego czwartą rolę, bo przecież i ja byłem ofiarą, w końcu straciłem najlepszego przyjaciela, ale kto liczy na współczucie dziennikarzy, ten może równie dobrze liczyć na porcję lodów pistacjowych podczas spaceru po słonecznej stronie Merkurego.

Zrobiłem wtedy coś, czego wielu nie może wybaczyć mi do dzisiaj – zaciąłem się w sobie i odmówiłem współudziału. We wszystkim: śledztwie, cyrku medialnym, spekulacjach i enuncjacjach. Niech sobie brukowce piszą, co chcą, o „mrocznej

tajemnicy”, której jestem „skorumpowanym powiernikiem” czy jak tam to szło. Taśmy z czterech tysięcy siedmiuset dwunastu systemów monitoringu oczyściły mnie z jakichkolwiek zarzutów. Że nic więcej nie powiedziałem? Cóż, Janek do niczego mnie nie upoważnił.

A list przeczytałem i zeżarłem, zanim w całym tym zamieszaniu skuto i mnie.

Powieście się wszyscy na akacji, pomyślałem. A może nawet powiedziałem.



Nie doceniłem władzy.

Nie jestem gapa, więc zorientowałem się w sytuacji szybko. Już w trzecim tygodniu gnicia w więzieniu, nazywanym na użytek mediów „miejszem relaksacyjnego odosobnienia”. Jak wiadomo, kiedy ktoś traci najlepszego kumpla, musi się potem zrelaksować.

Po dwóch miesiącach więzienie relaksacyjne zamieniono na szpital psychiatryczny. Zagraniczny. Luksusowy, ciepły, otoczony palmami, ale jednak szpital psychiatryczny. Przez okno widziałem ocean.

– Nie jestem pewien, czy moje usługi są jeszcze dla pana przydatne, panie Ziaziak – oświadczył miesiąc później mój adwokat, Raul Goodman. – Moi dylatanci zrobili już wszystko, co mogli.

Oderwałem wzrok od plaży, po której daleko, za pancerną szybą mojej luksusowej izolatki, karnie przemieszczała się grupa cywilnych pacjentów, ćwicząc skłony w takt musztry podawanej

przez odziane w fartuchy zdrowotne roboty, zwane zdrobniakami.

Ja nie mogłem chodzić po plaży. Byłem pacjentem politycznym.

Goodman bronił mnie zażarcie, z pasją, elokwencją i za darmo, bo rozgłos, jaki zdobywał przy sprawie, był najlepszą zapłatą. Wybrałem go przypadkiem, przeglądając setki interaktywnych wizytówek wsuniętych mi tamtego feralnego dnia dyskretnie do wszelkich możliwych kieszeni (dwie wsunięto we włosy) podczas aresztowania. Czasy były ciężkie, więc prawnicy łatwo mogli korumpować na potęgę stróżów prawa, zarówno ziemskich, jak i nieziemskich, którym od każdego zwerbowanego klienta odpalali procent. Oferty nieziemskie odrzuciłem na wstępie, bo prawnicy wyglądający jak trylobity lub legumina nie budzili mojego zaufania.

Raul Goodman też nie budził, ale akurat kciuk mi się omsknął podczas tasowania dotykowych holowizytówek, sygnał pofrunął w elektroniczną dal i okazało się, że go najałem.

Walczył dzielnie, lecz właśnie się poddał. Nazajutrz wyznaczono termin mojego pierwszego i ostatniego wystąpienia przed Połączonym Trybunałem Zaziemskim. Miałem podczas niego utracić kontrolę nad wnętrzem własnej głowy. I nie było już dokąd się odwołać.

– Dziękuję za współpracę, mecenasie. – Potrząsnąłem oliwkową dłonią Raula, który naprawdę nazywał się Moreno, ale na potrzeby mojej sprawy zmienił nazwisko na Goodman, bo w oficjalnych papierach rozsyłanych po wszechświecie dobrze brzmiało, gdy przedstawiał się jako dobry człowiek broniący innego dobrego człowieka (niby mnie).

Moreno vel Goodman nie byłby prawdziwym prawnikiem, gdyby na koniec nie spróbował mnie jeszcze przekupić, sugerując, że jeśli opowiem mu, co było w pożegnalnym liście Janka, to znajdzie na czarnym rynku prywatnego inwestora, który w zamian zapłaci najemnikom za odbicie mnie siłą, a potem zagwarantuje azyl polityczny po drugiej stronie Drogi Mlecznej. Pożegnałem więc Goodmana nie tylko uściskiem dłoni, ale także solidnym kopem w dupę, wrzaskami: „Pielęgniarze, na pomoc, mój papuga mnie gwałci!” oraz sformułowanym w niecenzuralnych słowach wezwaniem, żeby on sam i jego dylatanci powiesili się na jakiejś akacji (znowu! szlag by trafił, trauma po-Jankowa wciąż była we mnie silna).

Patrząc na plecy Raula Goodmana wynoszonego przez roślących pielęgniarzy, pomyślałem, że pewnie już nigdy nie zobaczę jego ani jego dylatantów, i nawet zrobiło mi się trochę smutno. W końcu byli wyjątkowo ciężko pracującymi ludźmi, którzy w podróżach kosmicznych zdarli sobie błony w bębenkach i dorobili się niejednego wrzodu na żołądku w poczekalniach przed gabinetami różnych ważnych person i nieziemców.

Muszę wam wyjaśnić, że dylatanci byli specjalistami kluczowymi dla wszechświatowego wymiaru sprawiedliwości, który dopuszczał powszechne korzystanie z efektów dylatacji czasu. Może tego nie wiecie, ale czas nie płynie sobie wszędzie tak po prostu i tak samo. Są miejsca, gdzie zwalnia, są takie, gdzie przyspiesza, są nawet i takie, gdzie kręci się w kółko, jak w prawym sektorze Jądra Galaktyki albo u mojej cioci Wiśniewskiej, która w efekcie co niedziela na obiad serwuje ten sam rodzaj pieczonej kury z groszkiem.

Dylatacja czasu okazawała się niezwykle przydatna w przeciąganiu lub, wedle potrzeby, skracaniu dochodzeń i procesów. Jednak by w pełni korzystać z jej zalet, trzeba było zatrudnić specjalistów, czyli właśnie dylatantów, wysoko opłacanych i posiadających szerokie kontakty w sferach naukowych, politycznych i militarnych: wszędzie tam, gdzie dokonywano jakichkolwiek odkryć związanych z dylatacją czasu.

Dylatanci nie cofali się przed niczym. Podróżowali z prędkościami przyświatlnymi i nadświatlnymi, powszechnie wykorzystywali paradoks bliźniaków dla skracania odsiadek klientom, nie wahali się używać niestabilnej wciąż technologii podróży w czasie, a na swoje czasowe pętle potrafili złapać niemal każdego sędziego. Byli w stanie przedłużyć sprawę o sześćdziesiąt tysięcy lat albo załatwić wyrok, zanim jeszcze popełniono przestępstwo (tę ostatnią usługę nazywali „zgniataniem Temidora” – niby męska, kolokwialna forma od Temidy).

Niestety, w starciu z wolą polityczną wszelkich ras i gatunków zamieszkujących wszechświat nawet dylatanci Raula Goodmana nie mieli szans. Wszelkie apelacje były odrzucane, kruczki prawne przebijane strzałami celnych argumentów wymiaru sprawiedliwości, a każda próba chochlowania czasem w celu wydłużenia postępowania w mojej sprawie choćby o sto lat, żebym mógł sobie w spokoju wyzionąć ducha, została skontrolowana przez specsłużby dysponujące niezliczonymi sposobami przyspieszania czasu i naciskania na odpowiednie osoby i urzędy.

Nie pomogły nawet pangalaktyczne kampanie medialne ordoliberalów z gwiazdozbioru Ordona, oortoliberalów z Obłoku Oorta i libertarian z New Hampshire. Wszelkie możliwe trybunały, kancelarie i komisje uznały, że Janek Poranek jest osobą o kluczowym znaczeniu dla losów i pomyślności kosmosu.

W związku z tym moje prawo do prywatności, moje prawa jednostki i moje skrupuły – nie miały znaczenia. List Janka Poranka musiał stać się własnością publiczną, dlatego też wszystko, co pamiętałem na temat jego zawartości i zniknięcia autora, miało zostać – w związku z moją konsekwentną obstrukcją – wydobyte z mojej głowy przez psychosondy. Procedurę uważano za stuprocentowo skuteczną i stuprocentowo niszczącą.

Popołudnie zapowiadało się więc ciulowo. No bo co można zrobić z ostatnim popołudniem świadomego żywota, w dodatku spędzonym w luksusowym tropikalnym psychiatryku? Markiza wyszła z domu o piątej i już nie wróci. Koniec, kropka.



Moja prośba o papier i przybory do pisania spotkała się z pełnym zrozumieniem personelu. Byliśmy w końcu w psychiatryku. Nikt normalny już nie skrobał. Znaczy na papierze.

A było tak: skoro już czekałem na dzień psychokaźni, zamknięty w izolatce o rozmiarach hotelowego apartamentu, spróbowałem uporządkować myśli i zapisać samemu dla siebie całą tę historię. Ale jak widzicie po tych zapiskach, nie szło mi za dobrze. Widać nie mam zadatków nawet na autora non-fiction. Autor non-fiction musi być obiektywnie chłodny, a u mnie przeżycia wewnętrzne wyłażą na każdym kroku. Na usprawiedliwienie mam fakt, że list Janka mocno przeorał mi mózg. Bo był ponurym dowodem na to, że mój przyjaciel nigdy nie wróci.

Uprzedzając pytania i rozwiewając wasze nadzieje: nie, nie zapiszę tu owych słów, bo zdania nie zmieniłem. Poza tym kto wie gdzie trafią jutro te zapiski, po tym jak psychosondy już wydrenują mi mózg? Może nawet zapomnę zeżreć kartki?

Przedstawię tylko sedno wątpliwości Janka, bo sam jako czytelnik lubię, by każda opowieść dokądś prowadziła, a ta byłaby kompletnie bez puenty, gdybym ani słowem nie wspomniał o tym, czego się dowiedziałem.

Idzie o zło i dobro.

Wedle Janka całkiem możliwe jest, że ilość jednego i drugiego jest we wszechświatach stała. We wszystkich razem: w naszym i w tych, do których zaglądał w poszukiwaniu odpowiedzi na pytania zadawane przez tak licznie przybywających do niego petentów. Podczas swej długiej kariery kosmicznego guru Janek Poranek odkrył jednak rzecz bardzo niepokojącą – że sytuacja w alternatywnych uniwersach szybko się pogarsza. A w naszym wszechświecie – polepsza. Szybko połączył to ze swoją doradczą działalnością.

Jego teoria mówi, że za każdym razem, kiedy transferował do nas rozwiązanie trafne, polepszając tym samym bilans ogólnego dobra w naszym wszechświecie, pogarszał jednocześnie sytuację gdzie indziej. Jeśli miał rację, sprowadzało się to do tego, że pasożytowaliśmy moralnie na naszych Bogu ducha winnych braciach czy też innych wcieleniach nas samych. Zamienialiśmy nasz świat coraz bardziej w raj, a ich światy – coraz bardziej w piekło.

Tego Janek Poranek żyrować nie chciał. Ani jako Ziemianin, a jako Polak – tym bardziej. Cóż to za dobro, które budowane jest na cudzej krzywdzie? A że nie spodziewał się zrozumienia dla swoich pobudek, które z pewnością nie spodobałyby się żadnym

kolejnych dobrych rad cywilizacjom, postanowił rzecz uciąć raz a dobrze.

Nie wiem, jak udało mu się odkryć sposób na to, by od zagładania w inne wszechświaty przejść do... hm... no właśnie, do przechodzenia. Ale to właśnie zrobił. Pogarszając jednocześnie naszą sytuację, bo przecież już nigdy nikomu nie mógł doradzić. Jak mogę domniemywać, sam ten fakt był już transferem odrobiny dobra W TAMTĄ stronę.

Co dalej – nie wiem. Ale Janek to uparty chłop. Będzie kombinował.

I to już właściwie cała historia.

Pozostała mi do wyjaśnienia już tylko jedna rzecz: nie zapisałem dotąd, po co właściwie przyszedłem do Janka w tamto piękne letnie przedpołudnie, które miało okazać się ostatnim. Z jaką to, prywatnie, ważną sprawą.

Troszkę to dla mnie niezręczne, ale wyznać trzeba. Wybaczcie, że pominąłem wcześniej część naszej rozmowy na placyku. Ciężko się przełamać, kiedy idzie o własne twórcze porażki.

Otóż targany wątpliwościami co do sensu mych pisarskich prób, udałem się do Janka Poranka, by zapytać, czy kiedykolwiek w którymkolwiek z widzianych przez niego wszechświatów, czy w choć jednej mało ważnej odnodze historii jestem prawdziwym pisarzem, takim, którego opowiadania są drukowane i w ogóle. Długo myślał, przymykając oczy.

– Nie – powiedział wreszcie.

Bolało, choć w głębi duszy spodziewałem się tego. Mogłem się sam domyślić, skoro od lat nękałem redakcje i wydawnictwa maszynopisami, a wszystkie propozycje były odrzucane, niektóre z nich nawet po dwadzieścia sześć razy.

Jeśli więc czytacie te słowa w jakimś prawdziwym (to znaczy drukowanym, bo w necie publikować może każdy) czasopiśmie lub prawdziwej książce, oznacza to tylko jedną z dwóch rzeczy. Albo że Janek Poranek w tej jednej jedynej sprawie się mylił. Co jest oczywiście niemożliwe, bo Janek Poranek nie mylił się nigdy. Albo że zapaść branży wydawniczej pogłębiła się do tego stopnia, że opublikować można już dosłownie wszystko: historie o wampirach-detektywach, aniołach toczących wojny na ulicach miast i tak dalej. Nawet gryzmoły takiego patafiana z miasteczka K. jak ja.

Zarówno jedna, jak i druga możliwość oznaczają – niezależnie od kłopotów z bilansem zła i dobra – fatalne wieści dla świata, wszechświata, jak i nieco dalszej okolicy.

Cóż jeszcze mogę dodać. Tęsknię za Jankiem Porankiem. Jeśli kiedyś go spotkacie, w dowolnym strumieniu czasu, powiedzcie mu właśnie to: że Ziaziak za nim tęskni. Może nie byliśmy najlepszymi kumplami, ale przynajmniej nie zakładałem mu w szkole majtek na głowę, nie wyśmiewałem go tylko dlatego, że patrzył w gwiazdy, no i przede wszystkim zrozumiałem, że w dzisiejszym rozpirzonym świecie dobrze mieć obok siebie kogoś takiego jak Janek. Kogoś, kto wie, co jest grane. I pamięta, co jest dobre.

Tęsknię i myślę: kto wie, może w jednej z tych rozszczepionych, niezliczonych rzeczywistości, gdzie Janek znalazł święty spokój i schronienie, jest i taka, w której przeczyta ten rękopis. A skoro już wiecie, że sam potrafi przechodzić między światami, to może i jeszcze nieco rozwinął swoje umiejętności? Nie miałbym wtedy nic przeciwko temu, żeby mnie stąd zabr...



Miasteczko K. – Hawaje – Druga Betelgeza

Dzień oligarchy



W e wtorek dwunastego czerwca o godzinie dziewiątej trzynaste rano czasu środkowoeuropejskiego wewnątrz oligarchy Jacka Fulczyka obudziło się sumienie. Stało się to bez żadnej widocznej przyczyny. Fulczyk z całą pewnością nie miał sumienia, kiedy kładł się spać, a miał je, kiedy się obudził.

Wraz z sumieniem wewnątrz Jacka Fulczyka, pierwszego na krajowej i trzysta piętnastego na europejskiej liście najbogatszych przedsiębiorców, pojawiły się inne plagi, będące zwykle konsekwencją posiadania sumienia. Były to: troska o dobro wspólne, wrażliwość na cudzą krzywdę i przemożna chęć czynienia dobra. Zdawało mu się nawet, że zaczyna w nim nieśmiało kiełkować patriotyzm.

Po raz pierwszy od wielu lat Jacek Fulczyk odczuwał wstyd. Chwilę po wygrzebaniu się z luksusowo mięciutkiej pościeli zadzwonił do swojej byłej żony, Sandry de domo Kopciuch, którą poznał był jeszcze podczas studiów na politechnice. Przeprosił ją za to, że zmarnował jej życie, że był nieczułym skurwysynem, że niewystarczająco wiele czasu poświęcał ich dzieciom, Judytce i Erykowi, że ją zdradzał i że dostała od niego tak mało pieniędzy. Sandra Kopciuch nie usłyszała już, jak po tym wszystkim Fulczyk obiecywał poprawę, ponieważ zemdląca z wrażenia już przy przeprosinach za liczne małżeńskie niewierności.

Następnie Jacek Fulczyk udał się do sypialni swojej aktualnej żony, Joanny Szczęsnej-Wiśniowieckiej-Potockiej-Radziwiłł-Niemczyckiej-Fulczyk, i przeprosił ją mniej więcej za te same rzeczy, za które prosił o wybaczenie u Sandry Kopciuch, z tą tylko

różnicą, że zamiast kwestii dzieci (nie mieli) poruszył delikatne zagadnienie swoich dość nietypowych preferencji seksualnych. W odróżnieniu od ekszony Sandry żona Joanna nie zemdlała, była bowiem, jako dziedziczka rodów arystokratycznych, przyzwyczajona do najbardziej wymyślnych dziwactw. Niemniej natychmiast zadzwoniła po lekarza.

Doktor Neugebauer przybył najszybciej jak mógł, to znaczy po półgodzinie. Sytuacja, jaką zastał w rezydencji państwa Fulczyków, była wysoce niepokojąca.

Pan domu oświadczył, że nie będzie jadł śniadania, dopóki nie dostanie zwykłej kajzerki z masłem roślinnym i plastra salcesonu. Zawartość czterech olbrzymich chłodziarek wypełnionych specjałami z różnych stron świata zdążył wysłać w charakterze darów do najbliższego domu dziecka. Kiedy służące i kucharki zaczęły ustalać, która z nich ma pojechać do miasteczka po kajzerki, natychmiast zabronił im tego, jął przeproszać je za swój dotychczasowy brak szacunku dla ich ciężkiej pracy i zaoferował sfinansowanie wykształcenia wszystkich latorośli, jakie posiadają. Potem próbował sam ustalić w Internecie, gdzie jest najbliższa piekarnia. Bardzo chciał pomaszerować po pieczywo osobiście. Musiał z tego pomysłu zrezygnować, bo do miasteczka było piętnaście kilometrów. Za daleko, by iść piechotą, a limuzyny brać nie chciał – bał się, że jeśli okoliczni mieszkańcy go w niej zobaczą, to może być im przykro, że sami takiej nie mają. Nie miał również pewności, że będzie mógł za kajzerki zapłacić antracytową kartą Visa, a gotówki nie używał od czternastu lat.

Podczas gdy doktor Neugebauer podpinał do Jacka Fulczyka różnego rodzaju aparaturę, pragnąc sprawdzić stan jego zdrowia, oligarcha próbował rozwiązać problem śniadania przez

obwieszczenie, że zadowolili się owocami lub warzywami z ogrodu. Może jabłkiem albo młodą kalarepą. Niestety, sześćsethektarowy park otaczający rezydencję Fulczyków nie różnił się pod tym względem od ogrodów wszystkich naprawdę bogatych Polaków – nie rosło w nim absolutnie nic pożytecznego, a już tym bardziej jadalnego. Jacek Fulczyk musiał więc spędzić poranek na czczo, z czego bardzo ucieszył się doktor Neugebauer, który dzięki temu mógł od razu pobrać krew do analizy.

Tymczasem spustoszenie wywołane aktywnością sumienia Fulczyka było coraz większe, o czym przekonywali się przepraszani i obdarowywani kolejno ogrodnicy, kierowcy, pilot śmigłowca oraz dwie sekretarki. W ostatniej chwili udało się wyperswadować mu przekazanie wiszącego w toalecie na piętrze Kossaka w darze miejscowej szkole oraz podarowanie kościołowi w Szczerbatej Wólce tryptyku religijnego pędzla Piera della Franceski.

Kwadrans po przybyciu doktora Neugebauera w rezydencji Fulczyka pojawił się szef jego ochrony, Czesław Gromnicki. Był to mężczyzna starszy, wysoki, przystojny, o skroniach i niewielkim wąsie pokrytych elegancką siwizną, nienagannych manierach i przeszłości w czterech wywiadach. Służbę zakończył w stopniu generała.

Joanna Fulczyk natychmiast zamknęła się z nim w gabinecie męża, który tymczasem głaskał na podjeździe kotka. Kotek jakimś cudem uszedł uwadze automatów strzeleckich rozmieszczonych w ogrodzie, których zadaniem było ubijanie ptactwa i zwierzyny skłonnych do paskudzenia na terenie niepokalanej rezydencji najbogatszego Polaka. Fulczyk głaskał kotka z wielką radością – był to jego pierwszy kontakt z żywym stworzeniem od chwili, kiedy ukończył cztery latka. Jego ojciec, właściciel polonijnego holdingu

handlującego futrami, tępił zbędny sentymentalizm wobec podstaw rodzinnego biznesu.

– Pierwszy oszalał – oświadczyła z pełnym przekonaniem Joanna i dokładnie opowiedziała generałowi Gromnickiemu o wydarzeniach poranka. Nazywała męża Pierwszym od czasu, gdy na stałe zagościł na czele listy najbogatszych Polaków. A on bardzo to lubił. Szczególnie w sypialni. „Trójeczki przysły do Pierwszego” – mówiła na przykład Joanna, siadając na skraju królewskiego łoża Fulczyka odziana jedynie w zapach piwonii i trzymając dłonie na opalonych, brązowych piersiach.

Gromnicki błyskawicznie ściągnął do rezydencji Fulczyków team do zadań specjalnych. Najlepsi ludzie działu ochrony przeczesywali metr po metrze ogród w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogło wyglądać podejrzanie. Dwóch specjalistów analizowało próbki powietrza, chcąc sprawdzić, czy ktoś nie rozpylił w rezydencji środków psychotropowych; dwóch innych sprawdzało pod tym samym kątem ocalałe z filantropijnego szału resztki jedzenia. Sam Gromnicki konsultował się z szefem pionu badań naukowych i technologii eksperymentalnych. Szło o rozważenie innej niepokojącej ewentualności. Jak głośniły niepotwierdzone plotki, na rynku były już dostępne emitery wpływające na fale mózgowe.

– Żadnych urlopów i przepustek! – zaordynował generał Gromnicki. – I żadnego spania. Pracujecie do skutku. Albo to rozgryzicie, albo będziecie szukać roboty w pierdolonej Polskiej Akademii Nauk i żreć kapustę za profesorskie pensyjki!

W tym czasie Joanna Fulczyk konferowała przez telefon (linię potrójnie zabezpieczoną) z adwokatem kierującym jej zespołem prawnym. Na wszelki wypadek chciała ustalić, ile dostałaby

w przypadku natychmiastowego rozwodu i czy dziwaczne zachowanie męża jest podstawą do orzekania obciążającego go winą za rozpad związku. Jeszcze ważniejszą kwestią było sprawdzenie, czy jej osobisty majątek jest odpowiednio zabezpieczony przed szaleństwem Fulczyka.



Tymczasem Jacek Fulczyk pojechał do swojego biura mieszczącego się w Warszawie, na najwyższym piętrze wieżowca InvesTorment. Nawet ten prosty akt przemieszczenia się z miejsca na miejsce nie obył się bez problemów. Fulczyk nalegał, by zawieźć go najtańszym samochodem, jaki był w garażu (okazało się, że to kuloodporny maybach), i odgrażał się, że po drodze przesiądzie się w autobus PKS. Strachy na Lachy. Linia autobusowa łącząca pobliskie miasteczko ze stolicą została już dawno zlikwidowana, wraz ze szkołą, szpitalem, biblioteką, linią kolejową oraz miejscowym sądem. Ta mądra i dalekowzroczna decyzja władz sprawiła, że więcej było miejsca na budowę osiedli willowych, a neorenesansowy dworzec mógł zostać zamieniony (po kosztownym remoncie) w siedzibę lokalnego ZUS-u.

Doktor Neugebauer rozwiązał kryzys, proponując opornemu oligarsze, że podwiezie go do pracy swoim samochodem. Fulczyk zgodził się natychmiast. Przez całą drogę lekarz zabawiał go rozmową, co czynił z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał dowiedzieć się jak najwięcej o przypadłości swego pacjenta i patrona zarazem. Po drugie, musiał odwrócić uwagę Fulczyka od tradycyjnej obstawy towarzyszącej mu w drodze do biura – trzech czarnych kuloodpornych luksusowych SUV-ów o rozmiarach czołgu

oraz nowiutkiego izraelskiego śmigłowca, modelu stosowanego przez armię do operacji antyterrorystycznych.

Wieżowiec InvesTorment, główna, acz niejedyna siedziba Fulczyk Investments, górował nad współczesną Warszawą równie wyraźnie, jak niegdyś Pałac Kultury i Nauki. Jego kształt, podobny do smukłego srebrnego cygara wbitego w ziemię na sztorc, widoczny był z odległości wielu kilometrów. Zbudowano go w miejscu dawnego hotelu Holiday Inn, potem przerobionego na hotel Mercure. Był o połowę wyższy od stojącego obok Żagła Libeskinda.

Główną kwaterą holdingu była sala wielkości hali sportowej, oszklona przestrzeń, na którą przeznaczono trzy najwyższe piętra. Kiedy Jacek Fulczyk i jego świeżo obudzone sumienie wkroczyli do tego niezwykłego gabinetu, przy gigantycznym stole siedzieli już prezesi wszystkich spółek, czekający na codzienne poranne zebranie.

Fulczyk, który od chwili pojawienia się w budynku nie powiedział ani słowa, odprawił ich natychmiast. Oblicze miał pochmurne.

Trzy godziny spędził w samotności.

Jak pokazywały monitorowane na bieżąco przez generała Gromnickiego logi z komputerów Fulczyka, oligarcha dokonywał bardzo szczegółowego przeglądu swoich inwestycji, a było ich sporo. Energetyka, przemysł stoczniowy, sieci telekomunikacyjne, trzy banki, dwie firmy ubezpieczeniowe, grupa budowlana, sieć prywatnych szpitali i przychodni oraz linia lotnicza Fulczyk Air (FAIR). Plus kilka zagranicznych firm wydobywczych działających w Afryce.

W ciągu tych trzech godzin Fulczyk wysłał tylko jednego e-maila, ale jego treść zmroziła zarówno adresata, którym był dyrektor pionu ładu korporacyjnego, jak i kontrolującego korespondencję szefa generała Gromnickiego. Natychmiast przesłał list dalej, do Joanny Fulczyk. Oligarcha pytał, ile czasu zajmie przekształcenie przestrzeni biurowej wieżowca InvesTorment w lokale mieszkaniowe dla rodzin wielodzietnych, chciał bowiem zamienić swą główną siedzibę w największe w Polsce i na świecie towarzystwo budownictwa społecznego.

Następnie Jacek Fulczyk wezwał wszystkich odesłanych wcześniej prezesów, a także wszystkich dyrektorów, kierowników, naczelników oraz dumnych właścicieli tytułów head of coś tam.

– Dotąd było, jak było, a teraz będzie inaczej – powiedział. Nie wywołało to aż tak wielkiego szoku, bo ludzie nie doszli jeszcze do siebie po tym, jak rozpoczął wystąpienie od słów „przyjaciele, bracia i siostry, rodacy”.

Potem nakreślił plan, w którym niezwykle często powtarzały się słowa takie jak: „odpowiedzialność”, „zaufanie społeczne” i „pozytywna zmiana”, co nie byłoby jeszcze samo w sobie takie straszne, gdyby nie przetykanie zdań zwrotem „dobro wspólne”, a czasem nawet – o zgrozo! – po prostu „dobro”.

Panika nie wybuchła tylko dlatego, że zespół Fulczyk Investments stanowił grupę fachowców najwyższej jakości, rekrutowanych spośród doborowych kadr kraju. Byli to więc ludzie obrotni, cyniczni, bezideowi, z dala trzymający się od publikacji IPN i doskonale obeznani z najnowszymi technikami psychomanipulacji, takimi jak reklama, public relations i fundacje dobroczynne. Uznali więc, że wszystko, co mówi Fulczyk, to gęsta zasłona dymna dla jakiegoś wyjątkowo sutego i wyjątkowo obrzydliwego przekrętu na gigantyczną skalę. Może jakiejś

megaprywatyzacji, a może gigakonsolidacji. „Dobro wspólne” interpretowali jako dobro Fulczyk Investments, a samo „dobro” jako dobro Jacka Fulczyka. Rozeszli się więc do swoich stanowisk pracy przekonani, że wszystko jest pod kontrolą.

Nie było.

Ale o tym mieli przekonać się dopiero nazajutrz, przy okazji prezentacji nowego planu działania korporacji. Nie uprzedzajmy jednak faktów. Na razie wciąż był wtorek, minęło południe i Jacek Fulczyk zgłodniał.

Chwilę potem wystraszona sekretarka oligarchy zadzwoniła do generała Gromnickiego.

– Mam Pierwszego na drugiej linii – powiedziała mocno ściszone głosem. – Nie chce jechać do Belvedere, pyta, co na lunch jedzą zwykli ludzie.

– Sushi! – bez namysłu odpowiedział szef ochrony. – Niech mu Puszczek skroi jakąś rybę z ogórkiem. Tylko na zwykły talerzyk, nic wyszukanego, bo znów nas będzie pouczał.

Restauracja Puszczek & Lubczyk mieściła się na pięćdziesiątym siódmym piętrze wieżowca Fulczyk Investments. Dużo poniżej biur Pierwszego, ale ciut powyżej iglicy sąsiedniego wieżowca Libeskinda, który liczył zaledwie pięćdziesiąt cztery piętra. Restauracja cieszyła się dużą popularnością wśród warszawskich bogaczy, bo można było w niej połączyć spożywanie wykwintnych dań z pogardliwymi spojrzeniami rzucanymi na apartamenty innych bogaczy znajdujące się niżej. Była to wielka frajda, prawie tak wielka, jak wystrychnięcie na dudka konkurencyjnego oligarchy przez insider trading.

Szef kuchni, Łukasz Puszczek, nie stracił zimnej krwi. Błyskawicznie kazał przygotować skromny zestaw sushi

z homarów i białych truflí przybranych kawiozem. Po chwili wahania dołożył do tego kawałeczki surowego tuńczyka błękitnopłetwego. Pewnego kłopotu nastreczyło znalezienie zwykłego talerzyka, bo nie tylko w restauracji Puszczyka, ale i w całym budynku znajdowały się jedynie zastawy luksusowe. Na szczęście ktoś przypomniał sobie w porę, że car area executive operator (nieoficjalnie – cieć z garażu) zwykł jadać na drugie śniadanie kaszanę z własnego wyszczerbionego spodeczka. Spodeczek czym prędzej odebrano protestującemu niemrawo pracownikowi. Dzięki tej akcji całość mogła wjechać na stół Fulczyka dziesięć minut po zamówieniu. Ujrzawszy, jak jadają zwykli ludzie, zaczął on rozpaczać nad trudnym losem Polaków. Przecież nie tylko musieli spożywać, jak się okazało, mikre porcje, ale jeszcze nie było ich stać na ich usmażenie, więc zjadali je na surowo.

Prawo do ciepłego posiłku podstawowym prawem obywatela, zanotował w pamięci Jacek Fulczyk, dokładając tę sprawę do kształtującego się pomału w jego głowie zestawu pilnych spraw do załatwienia.

Tej nocy w rezydencji państwa Fulczyków światło paliło się aż po świt. Troje mocno zatroskanych ludzi nie mogło spać.

– Wstrzymajmy się od pochopnych ruchów, poczekajmy do rana – uspokajał doktor Neugebauer. – Psychiczne dolegliwości, nerwice, napady natręctw i ataki sumienia potrafią ustąpić samoistnie. Nauka zna takie przypadki.

– Na razie wszystko mam pod kontrolą. Pracownikom powiedzieliśmy, że Agnieszka Holland kręci dla CNN film dokumentalny o szefie i że wczoraj były zdjęcia do części o działalności charytatywnej – poinformował generał Gromnicki.

– Czekamy – westchnęła Joanna Fulczyk.

– Czekamy – zgodzili się pozostali.

Bohatera ich trosk i westchnień nie było w rezydencji. Jacek Fulczyk nocował w biurze, na osiemdziesiątym piętrze wieżowca InvesTormentu. On także długo nie kładł się spać.

Opracowywał swój plan dla Polski.



Rano doktor Neugebauer znalazł w swoim fablecie esemesa od Joanny Fulczyk. „Czekać? Nogi z dupy powyrywam!” – napisała. Miał też sześć nieodebranych połączeń od Gromnickiego. Czy mogło być gorzej?

Mogło.

We wszystkich telewizjach informacyjnych wyświetlano przekaz na żywo z sali konferencyjnej Fulczyk Investments. Obserwujący tę samą transmisję generał Gromnicki z niepokojem ujrzał wśród licznie zgromadzonych dziennikarzy także kilku, których nie miał na payrollu.

Punktualnie o dziewiątej za stołem pokrytym niebieskim sukniem pojawił się oligarcha. Był trochę niewyspany. Noc spędził na rozkładanym łóżku IKEA przywiezionym poprzedniego popołudnia do biura w ramach wyposażania go w meble bliskie zwykłym ludziom. Nienawykły do troski o codzienne sprawy Fulczyk zapomniał jednak zamówić pościel, spał więc pod ściągniętym ze ściany gabinetu kaszmirowym dywanem, darem od prezydenta Arabii Saudyjskiej. Trochę się spocił i bolała go głowa, pod którą z braku poduszki podłożył worek kubańskich cygar.

Chrząknął. Popukał w mikrofon.

– Witam państwa w pierwszym dniu nowej ery – rozpoczął uroczyście.

„Fulczyk kupuje Era GSM” – zapisała szybko w notatniku dziennikarka jednego z dzienników ekonomicznych. Koleżanka trąciła ją łokciem.

– Przecież już nie ma Ery – syknęła cicho. Dziennikarka szybko dopisała więc: „Analitycy twierdzą, że już po Erze”.

Fulczyk tymczasem dopiero nabierał rozpędu.

– Stoję dziś przed wami, bo jest mi wstyd. Stoję przed wami, bo zmarnowałem wiele lat swojego życia. Stoję, bo błdziłem i zawiniłem. Ale stoję także jako żywy dowód na to, że nie ma takiej drogi fałszu, z której nie dałoby się zawrócić.

„Fulczyk rezygnuje z inwestycji w autostrady” – zapisał w komórce reporter jednego z telewizyjnych kanałów biznesowych.

– Jest mi wstyd za to, że cały wysiłek mojego życia przeznaczony był na zaspokajanie moich własnych potrzeb. Zmarnowałem wiele lat, bo nie rozumiałem, że choćby nie wiem jak utalentowany, bogaty czy pracowity, człowiek jest tylko częścią czegoś większego i dalece ważniejszego niż on sam: rodziny, społeczeństwa, narodu. Błdziłem, bo wędrowałem po bezdrożach egoizmu. Zawiniłem, bo odwróciłem się plecami od ojczyzny, która była dla mnie tylko źródłem taniej siły roboczej...

– Nie takiej taniej... – mruknął do siebie generał Gromnicki oglądający transmisję.

– ...ojczyzny, która była dla mnie jedynie źródłem kapitału spekulacyjnego, której najcenniejsze przedsiębiorstwa kupowałem rzekomo jako polski inwestor, a tak naprawdę tylko po to, by sprzedać je z zyskiem obcym spekulantom. Za to wszystko proszę o wybaczenie. Nie starczy mi życia, żeby odkupić swoje winy, ale

będę próbował z całych sił. Tak mi dopomóż Bóg – zakończył Fulczyk.

Całe wystąpienie było wstrząsające, ale dopiero ostatnie słowa uświadomiły Joannie Fulczyk i najbliższemu współpracownikom oligarchy głębię otchłani, nad krawędzią której stanął świeżo upieczony posiadacz sumienia. Wedle rodzinnych przekazów ostatni raz o Bogu Fulczyk mówił w wieku lat siedmiu. Wybierał się wtedy z rówieśnikami z osiedla milicyjnego pod pobliski kościół, żeby spuścić manto i zabrać kieszonkowe dzieciom wracającym z lekcji religii.

Chwilę potem okazało się, że Jacek Fulczyk nie tylko stanął nad krawędzią otchłani, ale także postanowił wykonać energiczny krok naprzód. Dziennikarze ze zdumieniem przewracali kartki ekologicznego papieru, na których wydrukowano broszurę „Plan dla Polski”. Salę konferencyjną wypełnił głośny szum, dzwoniły telefony, fotoreporterzy strzelali fleszami, dziennikarze z mikrofonami w dłoniach przekrzykiwali się, żeby zadać pytanie, jednak Fulczyk nie zamierzał już niczego więcej mówić.

Resztę dnia chciał poświęcić na czynienie dobra.

Resztę życia również.



– Czekać? Czekać?! Ja was powinnam obu wyrzucić przez okno!
– krzyczała Joanna Fulczyk. Rzecz działa się na siedemdziesiątym siódmym piętrze szklanego wieżowca InvesTorment, w prywatnym biurze żony Pierwszego znajdującym się trzy kondygnacje pod kwaterą główną Jacka Fulczyka. – Czemuś go, felczerze pierdolony, nie zamknął w jakimś zakładzie, skoro widać było, że kompletnie

zwariował? Czemuś mnie o niczym nie uprzedził, wywiadowco obesrany za dychę, który ponoć wszystko wie! „Plan dla Polski”?! Ta kanalia się wstydzi i przeprasza? Co to, kurwa, za koszmar?! – darła się co sił spurpurowiała pod luksusowym makijażem Joanna Fulczyk.

Doktor Neugebauer i generał Gromnicki miny mieli ponure.

– Postarajmy się oszacować straty – nieśmiało zasugerował generał. – I trzeba jak najszybciej spróbować ocalić część aktywów.

– Nie ma czego szacować i nie ma czego ocalać! To nie są straty, to jest KA-TA-STRO-FA! Agamargadegon czy jak to tam, kurwa, w Biblii idzie! To jest tak, jakby bin Laden dostał w swoje brudne łapy bombę atomową! Przecież Pierwszy już wydał polecenia, a we wszystkich spółkach jest prezesem albo większościowym udziałowcem, albo jednym i drugim!

– No przecież go nie porwiemy – powiedział pod nosem Gromnicki. Jak na komendę Joanna Fulczyk i doktor Neugebauer podnieśli głowy. Czy to mogło być rozwiązanie? – Nie porwiemy – wyjaśnił generał – bo za dużo świadków, już wokół siebie zgromadził jakichś nowych przydupasów. Gołodupce z NGO-sów, jacyś jebani społecznicy, eksperci niezależnych think tanków. Łażą za nim od rana, a on zatrudnia garściami i trzyma ich od razu przy sobie. Jeszcze trochę i jakąś komunę założy.

– Nie ma niezależnych think tanków – powiedziała Joanna Fulczyk. – Za wszystko płacimy my albo ta gówniarzeria-menażeria z Wiejskiej.

– Prawda. – Generał skinął głową. – I na szczęście mamy te środowiska dobrze spenetrowane. Dlatego dostęp do informacji jest jak należy. Ale co innego wiedzieć, a co innego powstrzymywać

Pierwszego przed robieniem głupstw. To nie on ich słucha, tylko oni wpatrzeni są w niego jak w tęczę.

Wszyscy pograżyli się w ponurym milczeniu. Bez wątpienia holding znajdował się w największym kryzysie od czasów, kiedy niewiele brakowało, a wyszłoby na jaw, że pod budowanymi przez Fulczyk Constructions stadionami ukryte są nielegalne składowiska odpadów radioaktywnych, na których firma zarobiła miliardy.

Doktor Neugebauer jedną ręką zdjął okulary, drugą skubał brwi. Intensywnie myślał.

– A jak właściwie wygląda ten plan Pierwszego? – zapytał. – Od strony czysto biznesowej. Pani się na tym zna, Joanno. Jeśli są tam rzeczy, które można zakwalifikować jako działanie na szkodę spółki, może pójdziemy z tym do sądu i wszystko da się odkręcić...

– Nie pójdziemy – odparł generał Gromnicki. – Artykuł pięćset osiemdziesiąty piąty z kodeksu spółek handlowych usunęliśmy trzy lata temu, żeby pomóc Grubemu Rychowi, bo jakieś szmondaki go ciągały po sądach.

– Ale jeśli decyzje Pierwszego są ewidentnie idiotyczne – nie poddawał się Neugebauer – to możemy spróbować udowodnić niepoczytalność, ubezwłasnowolnić, przejąć zarząd nad firmami...

– Nie są całkiem idiotyczne – grobowym głosem powiedziała żona oligarchy. – To właśnie jest najgorsze. Czytałam ten dokument trzy razy. Pomijając całe ideolo, to jest genialna robota. Czy, jak chcecie, robota geniusza biznesu. Oczywiście, prędzej czy później zrujnuje nas do szcztetu, ale to nie jest zwykle wyrzucanie pieniędzy w błoto. W życiu nie widziałam, żeby Pierwszy był w takiej formie. Jak to w ogóle możliwe? Do diabła, przecież ja mu

musiałam pomagać w czytaniu gazet ekonomicznych, bo nie odróżniał alokacji od akumulacji.

– W wyśmienitej formie, powiada pani... – zamyślił się doktor Neugebauer. – Znaczący wydajność umysłowa wyraźnie ponad przeciętną. Ciekawe. W takim razie chyba jest jeszcze coś, co powinniśmy zrobić jak najszybciej. Mam pewne brzydkie podejrzenia.

Jego dalsze wywody, przepełnione żargonem medycznym i technicznym, zarówno Fulczykowi, jak i Gromnicki przyjęli do wiadomości, ale bez wielkiego entuzjazmu i ze sporym niedowierzaniem. Zgodzili się jednak, że próbować trzeba wszystkiego.

– A plan rezerwowy? – zapytał na koniec generał, kiedy został z Joanną sam na sam, bo doktor Neugebauer opuścił już biuro żony oligarchy i popędził do swoich docentów.

Joanna Fulczyk niemal niedostrzegalnie skinęła głową. Oboje wiedzieli, że na ten temat nie wolno powiedzieć głośno ani słowa. Ale jeśli testament Jacka Fulczyka się nie zmienił, to powinni rozważyć i tę opcję.

Nic podejrzanego, myślał generał Gromnicki, wychodząc. Wybuch gazu. Awaria windy. Pęknięta opona. Wypadki chodzą po ludziach.



„Plan dla Polski” Jacka Fulczyka koncentrował się na czterech kręgach tematycznych.

Pierwszym była walka o bezpieczeństwo energetyczne Polski. Holding ogłosił, że zaangażuje się w budowę gazociągu PolStream

łączącego Polskę z Norwegią, stworzenie trzech gazoportów, budowę elektrowni atomowej oraz amerykańskie inwestycje związane z wydobyciem gazu łupkowego. Efektem miała być pełna energetyczna niezależność od Rosji w ciągu pięciu lat.

Drugim były inwestycje w polską obronność. Fabryki należące do Fulczyka już negocjowały z Amerykanami, Szwedami i Izraelczykami warunki uruchomienia na wielką skalę produkcji czołgów, śmigłowców i rakiet. Jego stocznia położyła stępki pod kadłubami dwunastu nowych okrętów podwodnych. Fulczyk zaoferował również sfinansowanie utworzenia i przeszkolenia Armii Obrony Terytorialnej, która miała w razie niebezpieczeństwa wspierać w boju unowocześnioną polską armię.

Trzecim filarem planu Fulczyka była polityka społeczna – tanie budownictwo mieszkaniowe, gigantyczny system stypendiów i dokarmiania dzieci i młodzieży, sieć ośmiopasmowych autostrad, rewitalizacja wszystkich polskich linii kolejowych oraz program „Kochani, ja muszę do kraju”, którego celem było zapewnienie jak najlepszych warunków dla Polaków wracających z emigracji. Nazwa programu, zaczerpnięta z wiersza Władysława Broniewskiego „Elegia na śmierć Ludwika Waryńskiego”, wzbudziła wprawdzie nieco kontrowersji, ale nie mniej pretensji do Fulczyka. W końcu mimo całej moralnej przemiany był, kim był – zwykłym polskim oligarchą wykształconym na takich, a nie innych lekturach.

Fulczyk świadom był jednak swoich słabości i sam chciał je zwalczać, o czym świadczył czwarty element „Planu dla Polski” – polityka patriotyczno-historyczna. Narodowy program w tej dziedzinie obejmował między innymi stworzenie gigantycznej sieci znakomicie zaopatrzonych księgarń i jeszcze większej – bibliotek,

audiotek i wideotek, promocję twórczości polskich klasyków, od Jana Kochanowskiego przez Adama Mickiewicza po najwybitniejszych twórców dwudziestego wieku, przywrócenie do obiegu kulturalnego twórców z emigracji, takich jak Jan Lechoń, Marian Hemar czy Kazimierz Wierzyński, oraz stworzenie koncernu medialnego promującego Polskę. Wraz ze studiem Pixar chciał Fulczyk produkować animowane filmy oparte na najciekawszych epizodach z polskiej historii, wraz z Disneyem seriale o młodych polskich bohaterach – od giermków polskiego rycerstwa spod Grunwaldu przez Orłęta Lwowskie po dzieciaki z powstania warszawskiego. Donację wysokości trzech rocznych budżetów dostał Instytut Pamięci Narodowej.

Media szalały.

Joanna Fulczyk była w rozpacz.

Nie dość, że przestała mieć jakikolwiek wpływ na działania Jacka Fulczyka i była przekonana, że obserwuje ostateczny krach swojej przyszłości, tak starannie zaprojektowanej na fundamentach fortuny Pierwszego, to jeszcze zmiany w polityce holdingu dotknęły jej wymarzonych projektów prywatnych, którymi wielokroć już zdążyła pochwalić się przed żonami innych oligarchów.

W wyniku pewnych skomplikowanych i bardzo kosztownych posunięć finansowo-politycznych stała się niedawno właścicielką królewskiego Pałacu w Wilanowie. Zamierzała w nim otworzyć galerię handlową o nazwie Stary Wilanów. Miało to być prawdziwe arcydzieło, zaprojektowane przez Nigela Schwanzer-panzera, artystę o międzynarodowej renomie, który słynął z tak prestiżowych realizacji, jak owinięcie folią aluminiową statuy Jezusa w Rio, obszerny wywiad dla „Krytyki Politycznej” czy wielopiętrowy parking samochodowy w Pittsburghu.

Połączenie przestrzeni handlowej z muzeum miało być dziełem pionierskim na skalę światową. Hasło „Żywa historia – weź w niej udział” oznaczało, że część eksponatów wilanowskich będzie wystawiona w specjalnych komorach pod przeszkloną podłogą sklepów. Te drobniejsze, jak zastawa stołowa lub szable, miały być wypożyczane klientom na wesela i chrzciny.

W wyniku nagłego ataku sumienia u Jacka Fulczyka wszystkie te ambitne plany stanęły pod znakiem zapytania. Oligarcha nie tylko zamierzał zwrócić Wilanów państwu, ale jeszcze planował odbudowanie kompletnej Osi Królewskiej, Pałacu Saskiego, poznańskiego palatium Mieszka I oraz przykrycie klasztoru na Jasnej Górze gigantycznym kloszem, który zapewniłby tamtejszemu kościołowi przetrwanie nawet wojny nuklearnej. W ramach hołdu Polsce przedwojennej Jacek Fulczyk miał zamiar zbudować w Warszawie naturalnej wielkości replikę przedwojennego mostu Kierbedzia i umiejscowić ją tuż obok mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Wysłał też pierwsze, sondażowe na razie, zapytania do władz Ukrainy, Białorusi i Litwy, czy za sową opłatą nie zechciałyby rozważyć przyznania miastom Lwów, Nowogródek, Grodno i Wilno statusu polskich terytoriów stowarzyszonych. W kilka tygodni uruchomił także satelitarną telewizję Wolna Rosja, nadającą dwadzieścia cztery godziny na dobę w języku rosyjskim dowody na to, że Władimir Putin i jego ferajna to banda złodziei.

Joanna Fulczyk zaczynała się pogrążyć w czarnej rozpacz. Coraz poważniej zastanawiała się nad wcieleniem w życie planu rezerwowego.

Sytuację odmienił nieoceniony doktor Neugebauer. To jego zespół medyczny wszedł ostatecznie w posiadanie urządzenia, które

pozwoiliło położyć kres szaleństwu Fulczyka.



– Nanoskanery – objaśnił Neugebauer.

Personel laboratorium związał się jak w ukropie, rozpakowując kartony z napisami „ściśle tajne” w sześciu językach. Technicy kalibrowali urządzenia i testowali systemy zasilania.

– Jak to zrobimy? – zapytała Joanna Fulczyk. – Przecież Pierwszy nie przyjdzie z własnej woli i nie pozwoli się prześwietlić. Zresztą kto go tam wie, gdzie właściwie teraz jest.

Odnowiony moralnie oligarcha rzeczywiście nie próżnował. Każdego dnia pokonywał setki kilometrów, pilnując swoich rewolucyjnych projektów.

– Skoro jest teraz taki odmieniony, to musimy wykorzystać coś z tej półki – zasugerował generał Czesław Gromnicki. – Skierujmy przeciwko niemu jego własne uczucia wyższe. Jakies sierotki albo dzieci chore na raka. Coś, co chwyta za serce.

Joanna Fulczyk przyznała mu rację, choć niechętnie. Była przekonana, że najbardziej charytatywną działalnością, na jaką mogłaby pozwolić sobie porządna rodzina oligarchów, jest dofinansowywanie projektantów mody, od których można potem kupować ciekawe kreacje. Tym razem zrobiła wyjątek, by działać w imię wyższych – a właściwie niższych – racji.

Pułapkę zastawiono w pewnej szkole na Pomorzu, w samym sercu regionu, który wedle Fundacji Pomocy Dzieciom „Maciuś” przodował, jeśli idzie o liczbę niedożywionych uczniów. Nanoskanery ukryto w wielkiej bramie uplecionej z kwiatów. Szacowny gość musiał przez nią przejść, by stanąć na podium,

gdzie czekała delegacja nauczycieli, kurator oświaty, aktywiści „Maciusia” i gromadka dzieci, które w imieniu rówieśników dokarmianych od niedawna przez Fulczyk Investments miały zaśpiewać Pierwszemu „Sto lat”.

Jacek Fulczyk dał się podejść. Przyleciał, rozdał klocki lego i drewniane kucyki na biegunach oraz edukacyjne tablety z filtrami antypornograficznymi. Wyściskał dzieciarnię, wysłuchał piosenki, ucałował w policzek przeszczęśliwą dyrektorkę szkoły, podziękował i pognął dalej, bo trzeba było wybrać tereny pod gazoport w Kołobrzegu.

Zmęczony, ale z uśmiechem na twarzy przeszedł przez bramę z kwiatów. Dwukrotnie. Cała wizyta trwała ledwie kilkanaście minut, ale to z naddatkiem wystarczyło. Zaczajony na dachu sali gimnastycznej doktor Neugebauer tylko rzucił okiem na ekrany z odczytami i już wiedział, że to koniec Jacka Fulczyka.

Następny krok był prosty, ale na wszelki wypadek generał Gromnicki postanowił dopilnować wszystkiego osobiście. Dlatego choć nie cierpiał publicznych zgromadzeń, pojawił się nazajutrz w Teatrze Wielkim w Warszawie, gdzie na zaproszenie Jacka Fulczyka krótkie wykłady o etyce w biznesie wygłosić mieli Bono i Bill Gates. Bilety na galę kosztowały po dwadzieścia tysięcy euro za sztukę i rozeszły się co do jednego w godzinę. Cały dochód przekazany miał zostać na dofinansowanie budowy południowej obwodnicy Warszawy.

O dwudziestej pierwszej czterdzieści, kiedy Gates i Bono oraz prowadzący spotkanie Al Pacino wywołali na scenę Jacka Fulczyka, by mu podziękować, generał Gromnicki siedział w pierwszym rzędzie i bił brawo jak inni. Potem wyjął z kieszeni marynarki długopis, wewnątrz którego zamiast wkładu był

małeńki emiter fal elektromagnetycznych nastawiony na precyzyjnie określoną częstotliwość. Pod pozorem wycierania nosa Gromnicki uniósł do twarzy chusteczkę, w której ukrył długopis. Końcówkę wycelował w Fulczyka. A potem kliknął nasadką.

Oligarcha Jacek Fulczyk zatrzymał się nagle i przerwał w pół słowa.

Powiódł dookoła zdumionym wzrokiem. Potem osłonił dłonią oczy przed ostrym światłem reflektorów.

Postąpił niepewnie dwa kroki. Rozejrzał się.

– Co to, kurwa, ma być?! – zawołał ochrypłym głosem. – Gdzie ja jestem? I co tu robi ta długowłosa małpa? – dodał, zauważając Bono po swojej lewej stronie.

A potem zwalił się jak wór kamieni na deski Teatru Wielkiego.

Pomoc medyczna nadeszła błyskawicznie. Za kulisami czekał już doktor Neugebauer i jego ekipa.



Operacja trwała cztery godziny. Na jej potrzeby wynajęto i opróżniono najlepszą neurologiczną klinikę w kraju. W całym gmachu było więc teraz tylko kilka osób: Joanna Fulczyk, generał Gromnicki, zmęczony doktor Neugebauer i jego trójka asystentów oraz nieprzytomny, leżący pod kroplówką oligarcha Jacek Fulczyk.

Pacjent spał w izolatce. Spiskowcy tymczasem siedzieli przed jednym z monitorów. Widniał na nim powiększony obraz z mikroskopu elektronowego. Pośrodku ekranu ujrzeć można było coś, co przypominało metalowego pajęczka.

– I to wszystko? – pytała z niedowierzaniem Joanna Fulczyk. – Takie maleństwo?

Doktor Neugebauer podkreślił ostrość.

– Tu, tu i tu są zaczepy, którymi intruz utrzymywał się w pniu mózgu. A tutaj... – pokazał dokładnie gdzie – neurostymulatory...

Krok po kroku lekarz objaśnił wszystko, przynajmniej na tyle, na ile laicy byli w stanie pojąć.

– Słyszałem o pracach nad tą technologią, ale nie wiedziałem, że są już tak zaawansowane – mówił Neugebauer. – Sądząc po sygnaturach, wyprodukowali to ludzie z Chiba City. Kawałek naprawdę imponującej nanotechnologii.

– I właśnie to uruchomiło w Pierwszym sumienie? – nadal nie dowierzała Fulczykowa.

– Nie ma czegoś takiego jak sumienie – tłumaczył doktor. – Jest lekkomyślność, głupota, nadwrażliwość, ogólna miękkość, podatność na wpływy. Nauka nie zna pojęcia sumienia. Nie znajdziecie go w słoju z formaliną w żadnym z muzeów. Ludzie, którzy wyprodukowali ten drobiazg, chcieli u ofiary wywołać konkretne objawy. Sprawić, żeby zmarnotrawiła swój majątek, podejmując seriami niewłaściwe, samobójcze decyzje.

– Zarazić kogoś sumieniem – głośno myślał generał. – Zbrodnia doszła.

– Nie ciekawi mnie, kto to wyprodukował. Chcę wiedzieć, kto zaraził Pierwszego – powiedziała Joanna Fulczyk.

– Ktokolwiek to zrobił, spieprzył robotę – oświadczył doktor Neugebauer. – Gdyby maszynka była przygotowana jak należy, siedzielibyśmy teraz w slumsach Nairobi, bo Pierwszy rozpieprzyłby cały majątek w dwa dni. Ale się przeliczyły misiaczki. Mózg to delikatna zabawka. Nie sądzę, żeby ich celem było wyzwolenie całej tej kreatywności szefa. Pewnie miał po prostu wydawać pieniądze na idiotyczne rzeczy, poganiany przez to

niby-sumienie. Fuksem wpadłem na pomysł z tymi nanoskanerami. Przypomniało mi się, jak kiedyś czytałem w „PNAS-ie”, że nadmierną kreatywność można uzyskiwać nowymi metodami eksperymentalnymi.

– Jak on to... – Joanna zawahała się – jak to trafiło do Pierwszego?

– Dobre pytanie – rzekł doktor Neugebauer. – Nie wiem, czy kiedykolwiek uda się ustalić. Nanoboty są mniejsze od pyłków. Połknął, wypił, wciągnął do płuc powietrze w niewłaściwym miejscu... Każda odpowiedź dobra.

Generał Gromnicki, którego ludzie wyjątkowo ciężko pracowali przez ostatnią dobę, położył na klawiaturze kopertę.

– W środku są zdjęcia i trochę, hm, uzyskanych niekonwencjonalnymi metodami wyznań. Przeciw Pierwszemu zagrało nieformalne konsorcjum. Biznesowi konkurenci zrzucili się, żeby go pograć i potem pożywić się na ścierwie naszego holdingu. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent stoją za tym Drugi, Piąty i Ósmy.

Ze zdjęć spoglądali na spiskowców biznesmeni z pierwszej dziesiątki najbogatszych Polaków.

– Japońska nanotechnologia. Nieźle za to zapłacili. – Generał Gromnicki zgarnął na powrót rozsypane materiały i pieczołowicie schował do koperty. Strzeżonego materializm dialektyczny strzeże, pomyślał.

– Zapłacili? Dopiero zapłacą – syknęła Joanna Fulczyk. – Niech tylko Pierwszy dojdzie do siebie.

Doktor Neugebauer chrząknął.

– Jeśli dojdzie do siebie. Nie gwarantuję, że nie będzie skutków ubocznych. Operacja była nietypowa i eksperymentalna. Musimy

poczekać.

– Poczekać – zgodzili się Joanna Fulczyk i Czesław Gromnicki. Teraz wreszcie mogli sobie pozwolić na ten luksus.



W czwartek dwunastego lipca o godzinie dziewiętej trzynaste rano czasu środkowoeuropejskiego oligarcha Jacek Fulczyk obudził się we własnym sześciometrowym łóżku. Spało mu się cudownie, a budziło jeszcze lepiej. Tak bywa z ludźmi bez sumienia.

Z tyłu głowy wciąż nosił niewielki opatrunek, ale nie przeszkadzało mu to w codziennej rutynie. Najpierw zbeształ kapciowego, wyzywając go od rudych pawianów. Potem lubieżnie obmacał dwie osobiste łaziebne, które zaprowadziły go do wanny i delikatnie obmyły. Następnie wyrzucił z pracy garderobianą, bo nie spodobały mu się jej pantofle.

Odziany w ręcznie haftowany jedwabny szlafrok pozwolił się znieść na śniadanie, gdzie czekały jajka usadzone na steku z wołowiny z Kobe i kawa parzona z ziaren Kopi Luwak. Zaraz po śniadaniu, które smakowało mu średnio, kazał wyrzucić do śmieci zawartość czterech olbrzymich chłodziarek wypełnionych specjałami z różnych stron świata. Wydawało mu się bowiem, że w podanym na deser Złotym Cieście Sułtana jest włos. Ciasto przyleciało o świcie ze Stambułu, gdzie kucharze hotelu Ciragan Palace Kempinski przygotowywali je przez trzy doby, nadziewając brzoskwiniami, pigwami oraz figami i obsypując płatkami dwudziestoczworokaratowego złota.

Pierwsze tego dnia cygaro wypalił, majstrując przy automatach strzeleckich w ogrodzie. Chciał osobiście się upewnić, że służba

przestroiła je tak, by rozwalały nie tylko błakające się po posesji psy i koty, ale także wiewiórki i wróble. Nie cierpiał wiewiórek i wróbli. W ogóle im dłużej nad tym myślał, tym więcej znajdował w sobie niechęci wobec istot małych. Im były mniejsze, tym bardziej ich nie cierpiał. Pajęczki. Muszki. A może coś jeszcze mniejszego. Czy można nie cierpieć stworzonek mniejszych od pajęczków? – pomyślał.

– Moja ziemia, moje zasady – ogłosił przy okazji i pieprznął w głowę łowczego srebrną paterą, na której ze Stambułu dotarło Złote Ciasto Sultana.

Potem wrócił do łóżka, bo czuł się zmęczony.

Chwilę później w drzwiach sypialni oligarchy Jacka Fulczyka stanęła Joanna.

– Trójeczki przyszły do Pierwszego – powiedziała zalotnie, zasłaniając dłońmi piersi. Całkiem jak za dobrych starych czasów.

– Wolałbym piąteczki – burknął Fulczyk.

Wtedy Joanna po raz pierwszy od tygodnia, czyli od chwili, gdy Fulczyk odzyskał przytomność, odetchnęła z ulgą. A nawet szczerze się uradowała. Dobry los nie tylko zwrócił jej dawnego męża. Dostała wersję ekstra – człowieka, który choć ma mnóstwo, zawsze chce jeszcze więcej. Czyż to nie zmiana na lepsze?

Wyginała się przed nim, tak jak lubił, ale oligarcha nie był zainteresowany erotycznymi fikołkami. Tyle rzeczy czekało na załatwienie.

Nawet ją to kręciło. Znów wiedział, co jest naprawdę ważne. Znów był twardy. Najlepiej zresztą świadczył o tym fakt, że miał już nowego szefa ochrony i nowego osobistego lekarza. Ciała Neugebauera i Gromnickiego leżały w dobrze ukrytych dołach z niegaszonym wapnem.

Tymczasem cudem ocalony przed losem gorszym od śmierci oligarcha Jacek Fulczyk odrzucił kołdrę i pomaszerował do gabinetu, sąsiadującego z sypialnią. Naga Joanna podążyła za nim.

Pośrodku blatu biurka wykonanego z niezliczonych deseczek drewna bonsai stały w równiutkich szeregach maleńkie pudełka z logo nowej spółki holdingu – NanoResearch. Było ich wiele. Kilkadziesiąt, może nawet więcej. Wewnątrz czekały niespodzianki. Na razie uspięne. Niewidoczne gołym okiem.

– Drugi, Piąty i Ósmy – powiedział Fulczyk. – Znajomi. Koledzy z listy. Już się nie mogę doczekać, kiedy dostaną prezenty.

Nowy lekarz Pierwszego i zarazem szef spółki NanoResearch, Hidenao Hato, spędził ostatnie tygodnie na intensywnych badaniach w laboratorium. Dwa razy poleciał prywatnym odrzutowcem Fulczyka odwiedzić czarnorynkowe laboratoria w Chiba City. Chciał być pewny, że jego nanopajęczki nie będą wywoływały niepożądanych skutków ubocznych.

– Sporo tego – bąknęła Joanna Fulczyk, opuszczając dłonie. – Nie wystarczyłoby zaaplikować im po jednym?

– A kto powiedział, że mamy ograniczyć się do naszych misiaczków? – Fulczyk z paskudnym uśmiechem wpatrywał się w swoją kolekcję. – Najwyższy czas zmienić kolejność także w innym zestawieniu.

– Och, Pierwszy – westchnęła Joanna. Czuła ogień w lędźwiach.

– Trzysta piętnasty? Trzysta piętnasty na europejskiej liście?! Ja im, kurwa, pokażę, jak się policzyć na nowo! – Fulczyk uderzył kułakiem w biurko. Pudełka z nanobotami zadrżały.

Strzeż się, ekonomiczna elito Europy, pomyślała Joanna. A jutro? A jutro cały świat!

– Och, Pierwszy! – westchnęła miękko raz jeszcze. Kręciło jej się w głowie z podniecenia. Mój bohater wrócił, radowała się w duchu. Zdecydowany jak dawniej!

Jacek Fulczyk w drodze powrotnej do łóżka zgarnął ją ze sobą. Czowała się jak amerykańska blond lalunia w dłoniach King Konga. Teraz Pierwszy może wszystko, myślała. Teraz naprawdę wiadomo, że kto Pierwszy, ten lepszy...

Fulczyk jakby wyczuł myśli żony.

– Będzie dobrze – burknął. – Tego Wilanowa szkoda, ale kupię ci coś lepszego. Co byś powiedziała na galerię handlową Stary Wawel? Jest takie, kurwa, smętne wzgórze w Krakowie. Czas najwyższy trochę tam poinwestować. Zrewitalizować!

– A w Smoczej Jamie zrobimy warsztaty dla projektantów mody! I pokazy! – pisnęła Joanna Fulczyk. Potem już nie piszczła, bo objęła go ustami.

Była szczęśliwa. Dobrze jest zasypiać i budzić się u boku człowieka bez sumienia. Nawet jeśli trzeba powiększyć sobie cycki.



Opowieść Wowy



*Ech drogo, drogo pod bombami,
Śmierć codziennie ścigała się z nami,
Czekaj, siostró, nie tak ostro,
Jeszcze dla nas roboty jest dość.
Zaczekaj, siostró, nie tak ostro,
Jeszcze dla nas roboty jest dość.
„Piosenka frontowego szofera”*

Teraz

Lecę.
Pod moim brzuchem układa się grzywiasty kobierzec,
spokojny i niewzruszony od stuleci. Morze pachnie
oszałamiająco, czuję to nawet na tej wysokości.

Lecę.

Czasem zanurkuję w chmurę. Powstrzymać się nie mogę,
zwłaszcza gdy widzę przed sobą obłoki ciężkie od gromadzącego się
w nich deszczu. Wilgoć skrapla się mi na czole, a ja gnam już dalej,
ku ziemi, zabierając ze sobą wodę z nieba. Jak prawdziwy złodziej
deszczu.

Lecę, a pode mną obraca się świat.

Jestem na niebie.

Jestem w Turbino, gdzie słucham opowieści Huntera.

Jestem w Moskwie, gdzie kocham się z Jeleną.

Jestem w bunkrze tockiego poligonu.

Jestem.

Wiem coś, czego nie wiecie.

Rok 1951

– Jaki będzie tytuł twoich wspomnień? – zapytała Galina Siemionowa.

– To nie tylko wspomnienia – obruszył się leżący w łóżku moskiewskiego szpitala wojskowego marszałek Żukow – ale i refleksje. I taki będzie tytuł. „Wspomnienia i refleksje”.

Doktor Galina pochylała się ponownie nad rękopisem. Gruby liniowany brulion opatrzony był numerem siedem. Otwarty na stronie sto dwunastej. Data wykaligrafowana u góry kończyła się zawijasem przypominającym kozacki wąs. 21 czerwca 1945 roku. Trzy dni przed Paradą Zwycięstwa. Piątka w dacie wyglądała jak czarne jabłko z ogonkiem, bo jej dolną część wypełniał kleks.

Wiszący na białej ścianie zegar głośno tykał. Georgij Konstantinowicz Żukow czekał. Nudziło mu się, to fakt. Kontrolne badania, psiamać! To marszałkowie kontrolują innych, a nie sami są kontrolowani. I to serca, psiamać! Przecież lud wie, że prawdziwy marszałek Republiki Rad nie może mieć serca! Dobrze choć, że Galina przyjechała.

A Galina czytała. Moja doktor Galina, myślał z rozrzewnieniem Żukow. Galinka *maja!* Wiele było kobiet w jego życiu, jak to w życiu żołnierza. O jednych, jak o wojennej kochance Lidii

Zacharowej, pomału zapominał. O innych, jak o utyskującej na wszystko żonie Aleksandrze, pamiętać już nie chciał. Ale Galina... Galina była wyjątkowa. Coś mówiło mu, że oto jest kobieta, z którą chciałby spędzić resztę życia. I we wspomnieniach też ją opiszę, postanowił w duchu. Może nie w tych oficjalnych, ale w prywatnych zapiskach – koniecznie! By zaraz myśl przekuć w czyn, zaczął obmyślać stosowny passus, który mógłby zanotować, jak tylko będzie okazja. „Pięknie oczy miała, wielkie i ciepłe, figurę zgrabną, w ruchach nieśmiałość, lecz w głosie zdecydowanie. Poznałem ją latem roku pięćdziesiątego w szpitalu w Swierdłowsku, gdzie należała do grupy konowałów, wedle których przeszedłem zawał. Też mi coś!”

– Tego wspomnienia wołałabym, żebyś nie publikował. – Zagięty niczym haczyk palec Galiny, zakończony pomalowanym na kolor ochry paznokciem, zabębnił o stronę. – A najlepiej nawet nie zapisywał.

– Którego?

Galina bez słowa podała mu brulion otwarty na stronie rozpoczynającej się od słów:

– Poleci? – zapytał towarzysz Stalin.

– Poleci! – odparłem.

I tak też się stało. Młodszy lejtnant Ławrow poleciał, płosząc na moment siwka, na którym trenowałem od rana zwroty i ściąganie wodzy. Wystartował wprost z placu Czerwonego, dokładnie tak, jak obiecał uczynić dwudziestego czwartego. Dla ludzi radzieckich nie ma rzeczy niemożliwych! Ach, cóż to miała być za defilada!

Żukow podniósł głowę. Popatrzył smutno. Potem ją zwiesił.

- Nie drukować, nie zapisywać, nie teraz – mruknął. – A kiedy?
- A nigdy – odparła doktor Galina Siemionowa.

Rok 1953

Ciało chłopaka leżało na stole. Stół był prosty, żeliwny. Chłopak był młody i martwy.

– Niewiele z niego zostało – rzekł towarzysz Miełtuchow.

– Musiałem sprawdzić kilka rzeczy. – Lekarz w rogowych okularach lewą dłonią nerwowo skubał brzeg kitla.

– Zimno tu.

Lekarz przytaknął skinieniem głowy.

Przez ciasny, ciemny korytarz wyszli na podwórze. Miełtuchowa zadziwił fakt, jak wiele zapachów ma zwykły, pochmurny dzień. Po drażniącym, chemicznym smrodzie prosektorium wszystko wydawało się teraz zaskakująco wonne i słodkie. Mokra ziemia. Mokra trawa. Pociągnięte na żółto ściany budynku. Drewniane ławki stojące wzdłuż zwirowanej alejki. Ocinające ją lipy.

Chmury miały barwę stołu, na którym leżał chłopak.

Miełtuchow przez chwilę bawił się w głowie dziwacznym pytaniem: jak pachną chmury? A cóż to, oburzył się w duchu, że ja niby jakiś awangardzista? Chmury pachnące. Bzdury. Plwać na nie.

A jednak... Ciekaw był, co oni wszyscy czują tam, w górze.

Oczywiście wiedział, co widzą. Wszyscy, którym towarzysz Ławrientij Beria ufał naprawdę (bardzo niewielu, ale był wśród nich Miełtuchow), znali nagrania z kamer przywieszanych superbohaterom w trakcie prób poligonowych. Ale co kursanci

czują? Strach? Dumę? Pychę? Czy wilgoć skrapla się im na czole, gdy zanurzają się w chmury ciężkie od gromadzącego się w nich deszczu? I mkną potem ku ziemi, zabierając ze sobą wodę z nieba?

Złodzieje deszczu, pomyślał Miełtuchow.

Szlag by trafił obesraną awangardę! Przeczyta człowiek tomik wierszy Éluarda rekomendowany przez prasę literacką, i już sobie w głowie robi śmietnik!

Lekarz czekał.

– Myśleliście kiedyś o deszczu? – zapytał Miełtuchow, ale lekarz nie zrozumiał. Nie śmiał zapytać, a zresztą i nie miał okazji, bo niespodziewany gość maszerował już równym, choć ciężkim krokiem ku limuzynie marki Czajka, której kierowca zdążył otworzyć tylne drzwi i zastygł w oczekiwaniu, przyjmując pozycję pełną szacunku.

– Ciało zlikwidować, lekarza przenieść – zadysponował Miełtuchow. Przepelniał go niepokój. Jak to możliwe, żeby ten młodzian zginął? Niedoświadczony był, to prawda, ale zestrzelony przez swoich? Przez jakiś tłum zbuntowanych robotli, którzy przestrzeliwali na ulicach Noworosyjska karabiny wyniesione z rozbitego komisariatu milicji? To miała być prosta misja: ot, kilkuset strajkujących... Mało to takich ruchawek wybuchło po śmierci nieodżałowanego towarzysza Stalina?

Kierowca piastujący jednocześnie odpowiedzialną funkcję w najtajniejszym z tajnych oddziałów Armii Czerwonej, nazywanym po prostu Jednostką – czego Miełtuchow nie wiedział, lecz co powinien był podejrzewać – stał obok limuzyny i kończył palić krótkiego, grubego skręta.

Kilka chwil wcześniej przez telefon w samochodzie połączyła się z nim jedna z nielicznych osób dysponujących prawdziwą władzą.

Był to zastępca szefa ochrony Jednostki, który po odebraniu krótkiego raportu na temat działań Miełtuchowa wydał kierowcy nieco inne polecenia:

– Miełtuchowa zlikwidować, ciało przenieść.

To był gorący czerwiec, choć oczywiście nie tak gorący, jak ten 1941 roku. Tego samego dnia aresztowano towarzysza Ławrientija Pawłowicza Berię, a jego wszyscy współpracownicy, którzy – jak Miełtuchow – słyszeli kiedykolwiek o Jednostce, zaginęli bez wieści.

Rok 1959

Robotnicy Zakładów Metalurgii Żywności imienia Kornieja Korniszonowa w Omsku byli zachwyceni faktem, że odwiedza ich akurat Kornisz. „Kornisz u Korniszonowa!” – głosił jeden z transparentów. Trzymało go dwóch kompletnie niedopasowanych brygadzystów: dwumetrowy Iwan i niewielki, acz szeroki Grigorij, dlatego był nieco przekrzywiony. Frołow, sekretarz zakładowej organizacji partyjnej, odnotował ten fakt. Najpierw w pamięci, a potem także w szarym notesie. Oczywiście rozwiązaniem wydawało się przygotowanie następnym razem wymiennych drągów do transparentu. Z porównania wzrostu brygadzystów wynikało jasno, że aby transparent trzymany był równo, między drągami powinno być pół metra różnicy.

Kornisz spóźniał się nieco. Robotnicy byli jednak tak podekscytowani, że nie zwracali na to uwagi. W końcu jak często się zdarza mieć okazję do rozmowy z prawdziwym, i w dodatku wielokrotnym bohaterem ZSRR? Ostatnim (i jedynym), jaki pojawił

się w Omsku, był czołgista Czukowski, małomówny i gburowaty. Bitwa na Łuku Kurskim należała już do dalekiej przeszłości i któż mógłby emocjonować się jej wspomnieniem, skoro nadeszła era sputnika, psa Łajki oraz atomowej bomby?

Kornisz pojawił się wreszcie, rozgadany i wesolutki. Frołow groźnie ściągnął brwi. Pod wpływem alkoholu, zanotował w pamięci. Nie miał nic przeciw zakrapianym spotkaniom, ale w pracy preferował abstynencję. Był także sekretarzem świeżo upieczonym, co zwykle idzie w parze z surowością, ambicją i nadmierną obowiązkowością.

– Czołem, *riebiata!* – żartobliwie zawołał stojący na niewielkim podwyższeniu Kornisz. Niby tak po wojskowemu.

– Czołem, obywatelu superbohaterze! – żartobliwie odkrzyknęła załoga.

Kornisz uśmiechnął się superbohatersko. I wzleciał dwa metry ponad mównicę, do której przymocowany był napis: „Zadania XXI Zjazdu Partii naszymi zadaniami”.

Zawisł w zgrabnej pozie i szeroko rozłożył ręce, niczym baletnica szykująca się do ukłonu po wywołaniu na bis.

– Ot co – powiedział po prostu.

Entuzjazm był nieopisany. Halę wypełniły gromkie brawa, pełne uznania gwizdy oraz radosne tupanie (Frołow zapisał nazwiska tupiących, uznając, że kto wie, kiedyś, w razie potrzeby, można zarzucić im kultywowanie tradycji faszystowskich). Robotnice, które stanowiły ponad połowę załogi, przewracały oczami, wzdychały, piszczały i zdawały się robić wrażenie niezwykle zainteresowanych rolą przyszłych mateczek małych Korniszątek. Starsze z nich spoglądały ku Korniszowi tęsknym, matczynym wzrokiem.

Superbohater Kornisz napawał się entuzjazmem, choć ci, którzy dobrze go znali, zauważyliby, że minę ma nieco znudzoną. W istocie, była to jedenasta masówka w tym tygodniu, a druga tego konkretnego dnia. Nie zmieniało to faktu, że program obowiązkowy należało wykonać.

– Lot zwiadowczy – oznajmił więc Kornisz. I pokazał, jak mistrzowsko można wykorzystywać cienie i załomy, płynął w powietrzu bezszelestnie, krótkimi skokami.

Tłum klaskał.

– Lot bojowy! – zawołał Kornisz. I przyspieszył, i gnał, i przecinał powietrze niczym srebrzysta ryba morskie tonie. Zdawał się być wszędzie.

Tłum wiwatował.

– Lot szturmowy! – zakrzyknął Kornisz. I piekło rozpętało się w omskiej hali, gdy niespodziewanie w jego dłoniach pojawiły się automaty, gdy jak stado wściekłych furii z przerażającym rykiem sunął tuż nad głowami zebranych, gdy lufy ożyły i zanim ktokolwiek się zdążył obrócić, Kornisz pociskami wyrpał na ścianie wielki napis: „Niech żyje towarzysz Chruszczow!”, pięknie ułożony z przestrzelin.

Tłum był zachwycony.

A Kornisz znów unosił się pośrodku hali produkcyjnej numer trzy, upojony szybkością i aplauzem. Dobrze jest czuć się potrzebnym, dobrze jest wiedzieć, że ma się rację, że nie jest się samotnym w drodze ku lepszej przyszłości i zwycięstwu. Kornisz czuł, jak wypełnia go siła, jak przepelnia go szczęście, jak przepływa przez niego niewidzialny prąd. Miał ochotę ryczeć, miał ochotę przebić dach, miał ochotę rzucić się samemu na dywizję faszystowskich amerykańskich czołgów. Gdyby ktoś postawił przed

nim w tej chwili choćby i wrogi lotniskowiec, Kornisz rozdarłby go na strzępy – taką czuł w sobie moc.

Wieczorem towarzysz Frołow długo nie mógł zasnąć. Wklejał do kroniki zakładowej nowe zdjęcia, pokazujące Kornisza w różnych pozach, ale z miną zawsze tak samo zwycięską. Rozpoczął od fotografii u boku dyrektora zakładów.

Kiedy skończył, zabrał się za tekst, wpisywany ozdobnym piórem i czerwonym atramentem. Zaczynał się on tak:

Dziś nasz zakład, naszą organizację partyjną i naszą załogę zaszczycił swoją obecnością niezwykle gość. Towarzysz Koreański Niszczyciel, powszechnie zwany Korniszem, osobiście poprowadził rocznicową wieczornicę i przekazał aktywowi przesłanie od najwyższych władz armijnych i partyjnych. Brzmiało ono: „Każdy robotnik to żołnierz światowej rewolucji, każda konserwa – to pocisk”. Towarzysz bohater Kornisz zademonstrował także swoje niezwykle umiejętności, które pozwalają mu – i jemu podobnym – gromić wrogów rewolucji na wszystkich frontach świata.

Rok 1967

– A najbardziej, zdecydowanie, to żal mi było Egiptu! – obwieścił towarzysz bohater Marlen, czknał i zakąsił kiełbasą krakowską. A potem zeżarł dwa ząbki czosnku. – Piramidy chciałem zobaczyć, psia ich w dupę faraona mać, oazy, wielbłądy i palmy. Lądujemy, jednakowoż, rozumiecie, najpierw na Krymie, który dobrze znam, a którego i tak przez plandekę ciężarówki nie widać, a potem...

Wszyscy wiedzieli, co było potem: nocny lot na Synaj, skok z trzeszczącego antonowa, rzeź izraelskich i brytyjskich niewiniątek oraz inne popisy – bo też i nie pierwszy raz Marlen opowiadał o Egipcie. Ale i nikt pretensji nie miał żadnych, bo taka była kolej rzeczy w piątkowe wieczory: najpierw piwko na tarasie daczy w Turbino, potem godzinka siatkówki, w trakcie której surowo zakazane było wykorzystywanie wszelkich służbowych udogodnień, więc wszystko toczyło się zwyczajnie, bez latania, tylko z radosnym tarzaniem się na piaszczystym placu okolonym sosnami. Potem umorusani gieroje, obrzucając się przyjaznymi obelgami, jak to kompania starych druhów, zdążali śpiesznie do Złotego Ogrodu, który przylegał do daczy od strony południowej. Założyła go Lewkadia Pisztun, znaczy żona Wsiewołoda Pisztuna, czyli Kornisza, a pielęgnowało pospolite ruszenie żon Jednostki. Szczególnie spore zasługi miała w tym Olga, czwarta żona Marlenu, weterana nie tylko bojów o socjalizm i demokrację.

Dacza, cóż... był to właściwie wiejski pałacyk, o kremowych ścianach i wysokich oknach, z eleganckim podjazdem dla czarnych limuzyn i niewielkim lądowiskiem od strony kuchni. Lądowisko było służbowe, ale cała reszta daczy – prywatna. Znaczy do czasowego prywatnego użytku, bo w dokumentach armijnych pałacyk w Turbino figurował jako Obiekt Specjalnego Znaczenia Numer 137, co mogłoby skłaniać do pytania, czy ludowa władza rad robotniczych i chłopskich miała jeszcze przynajmniej sto trzydzieści sześć podobnych cudeniek ukrytych w co piękniejszych zakątkach naszej krainy. Może i miała. Któż to wie? Pewnie towarzysze Chruszczow albo marszałek Żukow. Oni tylko posiadali dostęp do stosownych dokumentów i oni to, prawdę mówiąc, nadali całemu temu Programowi Specjalnemu odpowiedni kształt i rozmach.

Wróćmy jednak do obyczajów piątkowych: po siatkówce na piachu – prysznic, po prysznicu obowiązkowe przekomarzanki-przepychanki z małżonkami, które kończyły właśnie szykowanie pieczystego na kolację. Przekomarzanki często przemieniały się w połajanki, bo zwykle żeńska część bywalców turbińskiej daczy wielce krytycznie spoglądała na niechlujny dobór męskiej garderoby, w której wypucowani pod prysznicami gieroje maszerowali do ogrodu.

Ogród zaś był miejscem, gdzie podawano zupę, mięso i rybę (niekoniecznie w tej właśnie kolejności), czasem faszerowany drób oraz niezmiennie imponujący zestaw zakąsek, wśród których nigdy nie brakowało ogóreczków konserwowych i kwaszonych oraz grzybków w różnych konfiguracjach. I polskiej suszonej kiełbasy. Wszystko to zaś przy stole okrytym białym obrusem.

Obiad obficie zakrapiany był zmrożoną wódeczką produkcji krajowej, ale najlepszą, z partii szykowanych na eksport. Kto wina chciał, tego czekało i wino: suchoje mołdawskie, czerwone gruzińskie, a nawet importowany portwajn. Biesiada trwała zwykle do zmierzchu. Wtedy towarzystwo przenosiło się na szerokie ławy przy ognisku, stare czasy wspominać, nieprzystojnie żartować, na ręce się siłować i pić, pić, pić, jakby się świat miał skończyć z wybiciem północy.

– ...leczę więc, a obok mnie ta kanalia Niczyporuk, synalek-sralek generała, i dwudziestu ośmiu arabusów, co to niby u nas studentami na politechnice w Wołogdzie byli, a co jeden, to większy zakapior. Pomoc internacjonalistyczna w drodze, noc ciemna, bezksiężycowa, ale chmur wielu na niebie nie ma. A musicie wiedzieć, że ten Niczyporuk... ta gnida, tak na mnie wrogo spode łba łypał...

– ...boś mu wcześniej po ryju nakładł na Krymie! – chórem przerwali Marlenowi druhowie z Jednostki, a siedziało ich przecież wokół wielu: Kornisz, Żulen, Wyratow i Hunter. Każdy z osobna i wszyscy razem mogliby za Marlena całą historię opowiedzieć: jak to założył pasy z bronią i przypiął zapasowe sterowniki do nóg, jak wykopał przez luk arabusów zafajdanych, kiedy tylko światełko sygnalizujące strefę zrzutu zmieniło się na zielone, jak w powietrzu znalazł się zaraz potem jeep, który wyglądał, jakby zmontowano go w czasach którejś tam starożytnej egipskiej dynastii. I jak śmiesznie majtał chuderławymi łapkami kanalia Niczyporuk, kiedy już podążył śladami arabusów i jeepa. Zwłaszcza intensywnie machał, gdy się wydawało, że jego spadochron nie ma ochoty się otworzyć. Ale, kij mu w oko, się otworzył.

– A ja wtedy: najpierw nura w dół! Potem świecę w górę! I dwie beczki wykręcam! – z dumą perorował Marlen. – Niczyporuka morda wszawa wydłuża się w zdumieniu, oczyska z orbit wyłażą, a ja jeszcze raz, to samo!

– Jeszcze raz, to samo! – podchwycił Kornisz, najstarszy w całej kompanii i najbardziej pijany, po czym dolał wszystkim wódki, wypił i zakąsił. Marlen chwycił swoją kryształową musztardówkę z logo Jednostki i kontynuował:

– I lecę znów, beczki wykręcam, i myślę sobie: masz, gadzie, zobacz, jak prawdziwy superbohater Związku Radzieckiego do roboty się zabiera!

Tu warto zaznaczyć, że świeżo napełnioną przez Kornisza szklaneczkę Marlen wychylił gdzieś między słowami „myślę sobie” a „masz, gadzie”, uczynił to zaś tak zręcznie, że nie wpłynęło to na tempo i spójność wypowiedzi. Nie pierwszy raz towarzysz Marlen zadziwił świat – i nie ostatni.

Wśród śmichów, chichów, następnych kolejek i przyjacielskich kpin towarzystwo doczekało wreszcie końca historii Marlena, której kresem nieodmiennie było rozwalanie izraelskich czołgów na Synaju i rozniesienie w pył ciężarówek z komandosami brytyjskich faszystów. Jak zwrócił uwagę Kukryz, z którego czupryny tego dnia najmniej dymiło, z każdym kolejnym powtórzeniem Marlenowej historii podejrzenie rosła tylko ilość zniszczonego sprzętu. Jeszcze rok temu było to siedem czołgów i drugie tyle ciężarówek; w tym roku Marlen przyznawał się do liczby dwukrotnie wyższej i dorzucił do tego jeszcze sześć myśliwskich samolotów. Nieważne zresztą, ile ich tam naprawdę posłał w piach, grunt, że nigdy niewypowiedziana wojna o Kanał Sueski okazała się zwycięska.

– Egipt, zacofany kraj! – Hunter machnął ręką z lekceważeniem. – Kraje rozwojowe, mówią, a ja wam odpowiem: nie takie rozwojowe, skoro bez naszej pomocy nic zrobić nie potrafią.

– Rozwijające się – poprawiła go żona, Jelena Hunter.

– Hę?

Większość dam udała się już do domu i plotkowała przy słodkim jak tryumf nad faszyzmem kseresie. Dwie z żon szykowały się do snu, o czym świadczyły światła palące się w sypialniach na piętrze. Jelena została.

– Niezbadane są drogi, którymi chadza historyczna konieczność – rzekł sentencjonalnie Kornisz i ponownie polał.

Wypili, zakąsili. Kukryz sięgnął po przywiezioną z misji na Karaibach gitarę.



Była ciepła wrześnieowa noc roku 1967, a ja, młodziak drugiej kategorii, dopiero co awansowany, bezwąsy jeszcze i ciągle naiwny, stałem, patrząc z bliska na bohaterów, których narody naszej ukochanej ojczyzny widzieć mogły jedynie na plakatach, w telewizji, w kinowych kronikach albo podczas powietrznych akrobacji wykonywanych nad placem Czerwonym w dni kolejnych rocznic zakończenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Patrzyłem więc na Koreańskiego Niszczyciela, w skrócie Kornisza, który w pięćdziesiątym roku sam właściwie zdobył Seul, a w pięćdziesiątym trzecim pewnie i sam by go odbił, gdyby nie śmierć marszałka Stalina, niech jego imię będzie wiecznie pamiętane – i czczone wiecznie. Patrzyłem na Żulena, który wslawił się w 1948 roku podczas operacji praskiej, a jego kryptonim pochodził od nazwisk ludzi, którzy uwielbiał najbardziej na świecie: Żukowa i Lenina. Patrzyłem na Marlena, dziedzica imion Marksa i Lenina, na Stalena, co był żywą pamięcią po Stalinie i Leninie. Patrzyłem na Wyratowa, który słabł już pomału w pijackich zawodach, co w sumie nie bardzo przystawało do jego legendy – jego, Wy-próbowanego Ra-dzieckiego Tow-arzysza. Patrzyłem na Kukryza, pełne armijne pseudo Kryzys Kubański, który jak wieść niesie, przebił się w 1961 roku przez amerykański lotniskowiec na wylot. (Strasznie mu tego wyczynu zazdrościł Kornisz, bo sam miał takie militarne fantazje, nigdy niezrealizowane).

Patrzyłem na nich wszystkich i wykonywałem swoją robotę. Podmieniałem miseczki z zakąskami, kroilem słoninę, łamałem na poręczne kęsy kiełbasę krakowską, podsuwałem bohaterom suszone wędzone rybki, otwierałem butelki wódki i wody mineralnej Borzomi. Ot, prosta służba nowicjuszy z nowego rocznika.

Patrzyłem na nich, ale widziałem tylko jedno: bursztynowe oczy Jeleny Hunter. Głębokie były. I smutne. Jak każdy młodzik zwykłem mylić w wieku szczenięcym smutek z romantycznością, więc oczy Jeleny Hunter zdawały mi się niesłychanie romantyczne. Romantyczność zaś wiąże się w naszych słowiańskich duszach z miłością, o czym tak wspaniale pisał słynny poeta krajów demokracji ludowej Mickiewicz Adam, chluba Białoruskiej i Litewskiej SRR, chwilowo uznawany za Polaka.

I dałbym sobie wtedy rękę odciąć, a może i podczas ćwiczeń kark skrócić, żeby tylko owe oczy Jeleny spoczęły kiedyś na mnie z zainteresowaniem nieco większym niż to, jakim zwykle obdarza się kołek w płocie albo kosz na śmieci. Marzyłem o tym. Śniłem. Czekałem.

Wszystko w swoim czasie, towarzysze.

Jelena Hunter nazywała się po prostu Jelena Krawcewa, tak jak i sam Hunter był w cywilu zwykłym Siergiejem Krawcewem. Ale służba nie drużba, zwłaszcza jak się człek ojczyźnie zasłuży. I tak od misji w Budapeszcie, czyli od czasu stłumienia węgierskiej kontrrewolucji, Krawcew znany był jako Hungarian Terminator, w skrócie Hunter. Akurat komuś z dowództwa wtedy odbiło i sięgnął po imperialistyczny kryptonim. A może i nie odbiło, może prowadzono jakąś grę operacyjną z Amerykańcami i ich, pożał się Lenin, wywiadem?

Piękna z niej była kobieta. Piękna i niedostępna. A przy tym starsza, mądrzejsza, smutniejsza – czyli mieszanka piorunująca, w sam raz, by zawrócić w głowie takiemu smarkaczowi jak ja. A precyzując – sam sobie nią w głowie zawróciłem. Włosy miała koloru lipowego miodu, na lewym policzku znamię w kształcie przecinka, oczy nie tylko bursztynowe, lecz i głębokie, usta pełne,

ciało bogini. Większość młodziaków w Jednostce durzyła się w Oldze Marlen, w jej platynowej, zimnej urodzie gwiazdy filmowej. Wielu wzrokiem wodziło za śniadą Ritą, znaczy ukochaną Kukryza przywiezioną (a dokładnie przyniesioną na jego własnych rękach) z pewnej zapyłonej i zapchlonej miejsciny pod Hawaną.

Ja wołałem Jelenę. Serce nie sługa.

A co do tamtego wieczora, skończył się ponuro, przyznając. Wszystko przez Berlioza, chciałoby się rzec, ale życie nie jest takie proste. Berlioz, widzicie, nie żył już wtedy od dwóch lat, a w sobotę, znaczy następnego dnia po tej cieplej, przesyconej zapachem sosen i puszkowanych w Omsku korniszonków nocy wypadała dokładnie rocznica jego śmierci. Berlioz nawet nie miał takiego kryptonimu, ot, dla draki pewien oficer nazwał go kiedyś Berlińskim Ozdrowicielem (nie pytajcie, co stało się z owym oficerem, to inna opowieść, i dla ludzi o mocnych żołądkach). Berlioz, znaczy Giennadij Obruczew, okazał się pierwszym wielkim sukcesem Jednostki. Był wtedy rok 1953, a on w czterdzieści osiem godzin spacyfikował buntujące się gniazdo niemieckich żmij, owych hitlerowskich potomków, podstępnie udających berlińskich robotników. Sam Bertold Brecht napisał o nim wiersz, tak był poruszony jego dokonaniem. Ale dla gierojów popijających w piątkowy wieczór na nieistniejącej dla świata daczce w Turbino liczyło się tylko to, że Obruczew był także pierwszym, który opuścił Jednostkę, i to opuścił na dobre, wprasowując się pewnego dnia z pełną szybkością w skaliste zbocze góry Chałan.

Oficjalna wersja mówiła (jak to oficjalne wersje), że był to nieszczęśliwy wypadek. Ale technicy twierdzili, że wszystkie odczyty aparatury były w normie, że nijakich zakłóceń w powietrzu nie odnotowali i że w chwili zderzenia z granitową płytą Berlioz

miał pełną świadomość tego, gdzie jest i co się z nim dzieje. Nieoficjalnie zaś nasiliły się wtedy plotki od pewnego czasu krążące już po Jednostce. Plotki o psychicznych efektach ubocznych całego programu, krótko mówiąc o tym, że towarzysz Obruczew oszalał i że prędzej czy później każdego z Jednostki to czeka.

Raz w roku, w rocznicę śmierci Berlioza, cała kompania zapijała robaka na jego symbolicznym grobie. Symbolicznym, bo żaden z generałów ani profesorów nigdy słowem nie pisał, gdzie jest grób prawdziwy: w Permie, skąd Giennadij pochodził, czy w ścianie Kremla, a może na jakimś armijnym śmietniku.

Było to picie inne od piątkowych sesji towarzysko-sportowych. Picie ponure, ciężkie, na zabój, do skrajnego upodlenia, szybkie, z premedytacją ogłuszające. Czasem tak trzeba. I kiedy Marlen wspomniiał owego wieczoru poprzedzającego rocznicę nazwisko Obruczewa, trzykrotnego bohatera ZSRR i martwego przyjaciela, atmosfera przy ognisku w Turbino zwarzyła się natychmiast, a towarzystwo jakoś szybko rozeszło się po pokojach.

Tylko Jelena Hunter została wpatrzona w płomień, jakby przeczuwając, że następnym SSB, w którego rocznicę śmierci będą odbywać się mroczne pijaństwa, jest jej mąż.

I tak też się stało, ale to zupełnie inna historia.

Rok 1974

Robotnicy Zakładów Metalurgii Żywności imienia Kornieja Korniszonowa w Omsku byli umiarkowanie podekscytowani faktem, że odwiedził ich akurat Czystas. „Czystas

u Korniszonowa!” – głosił jeden z transparentów. Nie brzmiało to dobrze. W każdym razie brzmiało gorzej niż „Kornisz u Korniszonowa”. Transparent trzymało dwóch idealnie dopasowanych wzrostem brygadzystów: Wołodia i Iwan, obaj po metr osiemdziesiąt. Niestety, transparent był haniebnie przekrzywiony. Towarzysz Frołow, szpakowaty już sekretarz zakładowej organizacji partyjnej, odnotował ten fakt. Najpierw w pamięci, a potem także w szarym notesie. Co za wpadka! Drażni, na których osadzony został transparent, okazały się nierówne; było między nimi dokładnie pół metra różnicy. Jakież cymbał nie zwraca uwagi na te sprawy, zżymał się w duchu Frołow. I zapisał. I fotkę pstryknął. Wszystko zapisywał i wszystko fotografował. Także kilku skandalicznie nieodpowiednio zachowujących się pracowników zgrzewni, którzy publicznie (choć półgłosem) wyrażali niezadowolenie, że przed bohaterką śmiercią nie zdążył ich odwiedzić Hunter, znaczy Hungarian Terminator, znaczy gość, co powąchał w 1956 prawdziwej wojny. Tak jak Kornisz. „A nie jak ten polski burak” – dosłyszał Frołow i skrzętnie zanotował.

Czystas rzeczywiście był osobnikiem nijakim, niezbyt interesującym i mało wygadany. Ożywiał się tylko, kiedy rozmowa schodziła na Żydów, co nie dziwiło, bo w końcu działał pod pseudonimem operacyjnym Czystka Antysemitka (stąd skrót Czystas) w Polskiej Republice Socjalistycznej zwanej, nie wiedzieć czemu, Polską Rzeczpospolitą Ludową. Ale Polaczki zawsze były inne – zdradzieckie, niepewne, leniwe i odporne. Kule u nóg w marszu ku socjalizmowi.

W odróżnieniu od historii opowiadanych przez Kornisza, pełnych odważnych pojedynków powietrznych i nocnych akcji za liniami wroga, to, co miał do powiedzenia Czystas, tchnęło nudą.

Całe jego wielkie superbohaterstwo przejawiało się w tym, że latając nad Polszą, pomagał tamtejszym komunistom wykurzyć za granicę syjonistów. Towarzysz Frołow, podobnie jak część uświadomionego politycznie aktywu, wiedział oczywiście, że wrogami socjalizmu nie są Żydzi w ogóle, tylko właśnie syjoniści. Czystas nie łapał tego rozróżnienia, sadząc od czasu do czasu kawałki tak jadowicie antysemickie, jakby wyjęte z fałszywek carskiej ochrany. Chwalił się też, że szczególnie plugawe żydożercze facecje opowiadali mu wysocy polscy urzędnicy i generałowie. Jacy tam oni „polscy”, myślał Frołow, przecież narodowość nie ma znaczenia. Skoro pracują po linii partyjnej, znaczy nasi, ludzie socjalizmu, ludzie radzieccy, a nie „polscy”. Prawdziwi polscy generałowie krew toczyli z aktywu robotniczo-chłopskiego podczas okrutnej wojny, jaką hordy białych interwentów wytoczyły ojczyźnie proletariatu w roku 1920.

Najczęściej Czystas cytował jednego z generałów, którzy niedawno w Polsce awansowali. Osobnik ten, znany z charakterystycznych ciemnych okularów, ptasiej grdyki i ogólnej sztywności, pełnił obecnie funkcję ministra obrony i wiele wskazywało, że to nie koniec jego kariery, bo podczas „odżydzania” (jak to, ku przerażeniu Frołowa, ujął Czystas) ludowego polskiego wojska zasłużył się niebywale.

Występom Czystasa towarzyszyły niemrawe brawa, a sama demonstracja jego supermocy wypadła dość zawstydzająco. Mimo wysiłków nie był w stanie wzbić się nazbyt wysoko (żadnego, doprawdy, porównania z Korniszem), zaś demonstracja superwzroku, którym wyławiał Żydów z tłumu, zakończyła się skandalem, bo Czystas wskazał na zastępcę dyrektora do spraw paczkowania żywności, co było czystym absurdem. Ten bowiem był

tak głupi, że na pewno nie nadawał się na Żyda, i jakby co, to nawet pewnie sami Żydzi nie chcieliby go za swego.

Wieczorem towarzysz Frołow miał nie lada kłopot. Biedził się długo, próbując w sposób godny opisać wizytę Czystasa, ale zdjęcia wklejane do kroniki zakładowej nie sprzyjały temu przedsięwzięciu. Towarzysz superbohater Czystka Antysemicka w każdym ujęciu wyglądał jak przygłupi pastuch. Na szczęście jednak czerwony atrament dodawał odrobiny powagi nie najciekawszej relacji Frołowa z wizyty Czystasa. A po dłuższym przemyśleniu i sam Frołow znalazł dla siebie stosowne wyjaśnienie: geniusz towarzysza Leonida Breżniewa przejawia się także w tym, że do realizacji wielkiego dzieła potrafi wykorzystać skutecznie również narzędzia wątpliwej jakości. Od razu się uspokoił, ale nie odważył się owej złotej myśli zapisać.

Rok 1979

– Naprawdę bardzo cię lubię – powiedziała Jelena, więc od razu wiedziałem, że to już koniec. Czy czułem smutek? Cóż, nie był to romans stulecia. Jelena przestała być już tą samą nieosiągalną kobietą, ku której tak tęsknie zerkałem w czasach Turbino. Teraz była po prostu moją Jeleną. Częściowo oczywiście. Nie można schwytać i zagarnąć prawdziwego piękna. Stałem się już dużym chłopcem, więc wiedziałem. Wyzbyłem się romantyzmu.

Byłem już wtedy prawdziwym superbohaterem. Miałem nawet pierwszą własną ksywę operacyjną, choć tylko dla wtajemniczonych, bo wydawała się nieprawomyślna i cokolwiek głupawa. Ale lepsza taka niż żadna. Otóż chłopaki z MPLA mówili

na mnie Anioł Angoli, a miejscowe dzieciaki wołały za mną: „Coffee!”, bo rzeczywiście złopałem miejscową kawę litrami, a zamawiać ją musiałem po angielsku, bo rosyjskiego na tym zadupiu nie znał nikt – nawet pułkownik Nicyporuk, który swoją drogą serdecznie mnie nie cierpiał. No i tak się to jakoś sklepiło, Coffee Anioł Angoli, Coffee Anan to ja, postrach południowoafrykańskich najemników, król barów Luandy, mistrz niskich lotów nad dżunglą. Bardzo niskich – gdzieś tak pomiędzy muchami a szczytami palm. Angola nie była najlepszym miejscem dla superbohaterów, nawet jeśli potrafili – jak ja – jednym tchem i bez błędów powtórzyć: „Movimento Popular de Libertação de Angola”.

Urlopy w Moskwie były więc bezcenne.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?! – Zniecierpliwiona Jelena Hunter, wdowa po Sowieckim SuperBohaterze Hunterze, odrzuciła prześcieradło i usiadła na brzegu łóżka, więc mogłem oglądać do woli to, ku czemu dwanaście lat wcześniej tak tęsknie wzdychałem: nie tylko bursztynowe oczy, teraz kipiące irytacją, ale i obfite piersi o bordowych sutkach i gładką – wiem, bom wszak dotykał – skórę mej kochanki, która, muszę to wyznać, w sztuce miłosnej była bardziej nawet biegła niż dziewczęta z dobrze znanego mi domu uciech Madame Saldanha.

Za oknem nie było jednak ciemnoskórych piękności i powietrza drżącego od upału, tylko jesienna Moskwa i chłodny poranek ocierający się o szybę pokoju na trzecim piętrze dość zwyczajnej moskiewskiej kamienicy.

– To już długo nie potrwa – mówiła Jelena, a ja, głupi, myślałem, że chodzi jej o nasz romans prowincjonalny, którego areną chwilowo była stolica, bo Turbino spaliło się trzy lata

wcześniej, kiedy oszalały Wieprz (w cywilu Ho Szi Rysakow, syn pary narodowościowo mieszanej, acz uczciwie komunistycznej) postanowił ukoić swój ból, wpieprzając się w daczę turbińską podpieprzonym z naszego wojskowego tajnego pieprznika całkiem nowym, pieprzonym helikopterem. I tak zginął Wietnamski Przyjaciel, spóźniona ofiara ostatniej bitwy o Sajgon.

Czy odszedłbym z Jednostki, gdybym wiedział wtedy, że co drugi z naszych latających gierojów zacznie wykazywać symptomy daleko posuniętego obłądu po powrocie z kolejnej wojny? Tyle tylko, że zamiast bełkotać o dżungli, będzie wył coś o duszmenach? A może wręcz przeciwnie, zgłosiłbym się na ochotnika, żeby przetestować własne umiejętności i wytrzymałość, wziąć udział w złowrogim i niszczyielskim konkursie piękności kończącym się w płomieniach?

Jelena – wiem to dopiero dziś, bo wtedy ślepy był jak świeżo narodzone szczenię, choć niby już doświadczony – musiała coś wiedzieć. Może innym jej kochankiem był jakiś wysoko postawiony dowódca słuchający rozkazów wprost od towarzysza Breżniewa, a może to dawny wspólny znajomy – jeszcze jej i Huntera – szepnął w odpowiednim momencie słówko wprost do słodkiego uszka. Tak czy inaczej, dwa miesiące później nasze wojska wylądowały w Kabulu, a już rok potem, zimą 1980, kontrrewolucyjny syf i malaria żarły w najlepsze inny matecznik zdrajców i nieudaczników, naszego odwiecznego wroga, Polskę.

Tylko skąd Jelena mogła być taka pewna, że wszystko to oznacza rychły koniec? I właściwie – koniec czego? Bo przecież akurat w kwestii końców i początków cała ta historia nie jest wcale taka prosta.

Zjedliśmy potem całkiem obfite śniadanie, rozmawiając o rzeczach nieważnych i bezpiecznie nijakich, trochę jak stare małżeństwo, z biegiem lat uczące się kroczenia tylko takimi ścieżkami, które omijają wszelkie drażliwe dla drugiej strony kwestie. Jelena wypogodniała przy deserze. Opowiadała towarzyskie anegdoty z wyższych sfer partyjnych, jakbyśmy byli na jakimś raucie u Andropowów albo Chlusninów. Wspominała zabawne epizody z czasów pierwszego Turbino. Zanuciła piosenkę z serialu „Tarcza i miecz”.

A potem zawinięta w kaszmirowy szal, pod którym kryły się importowane z Wiednia eleganckie ciuszki, pocałowała mnie w policzek na pożegnanie.

– Wciąż jestem piękna? – spytała jeszcze.

– Jesteś najpiękniejsza – powiedziałem z przekonaniem.

– Wierzysz w to, co mówisz? – Zerknęła na mnie, przekrzywiając zalotnie głowę.

– Wierzę – oświadczyłem solennie.

– Słodki jesteś. – Uśmiechnęła się i pomknęła ku swoim sprawom, wśród których nie brakowało łóżek innych mężczyzn. Była wszak Jelena kobietą nowoczesną.

Wtedy widziałem ją po raz ostatni.

Rok 1984

Robotnicy Zakładów Metalurgii Żywności imienia Kornieja Korniszonowa w Omsku przyjęli wizytę Stawoja bez entuzjazmu. Na sali prawie nie było transparentów, a samo pomieszczenie wydawało się wypełnione w połowie. Siwiuteńki jak gołąb

i łysiejący pomału towarzysz Frołow stał na uboczu, samotnie, dzierżąc w dłoniach kij z kawałkiem dykty, na której widniała przekreślona butelka wódki i hasło: „Bohaterowie nie piją”.

– Znowu wojak, co się prochu nie nawąchał – kpił głośno brygadzysta Leonid Polezajew, który pamiętał dobrze wizytę Czystasa. Towarzysz Frołow był oburzony: jak można porównywać Czystasa ze Stawojem? Przecież wtedy szło tylko o przepędzenie imperialistycznych syjonistów (czy są syjoniści internacjonalistyczni? – zastanowił się Frołow), a to, co od trzech lat działo się w Polsce, to była prawdziwa wojna! W telewizji pokazywali, że reakcyjne podziemie wyposażane jest przez CIA w dolary i broń, a wywiad zachodnioniemiecki, czyli pogrobowcy faszyzmu rodem z Bonn, nie ustaje w próbach podjudzania polskich robotników do strajków. Że też ci Niemcy mogą być tacy głupi, zdumiewał się Frołow. Jak niby robotnicy mogą strajkować w państwie robotników i chłopów? Przeciw komu? Przeciw sobie? A i Polacy jak mogą być tacy głupi, zdumiewał się dalej Frołow, nie rozumieją, że soldateska kapitalistyczna obieca im nawet gwiazdkę z nieba, byle tylko ogłupione masy poszczuć na bratni Związek Sowiecki? No i wreszcie, jak Polacy mogą strajkować, skoro w ich kraju wojna? Niby zawieszona, ale jednak wojna. To co, chcieliby, żeby ich naród wojnę przegrał? A cóż to za ludzie?

Dalsze zdumienia i wydziwianie nad polskimi sprzecznościami musiał jednak Frołow odłożyć, bo na salę wkroczył Stawoj. W odróżnieniu od poprzednich superbohaterów wizytujących zakłady nie próbował latać. Podfruwiał tylko odrobinę, wybijając się z lewej nogi.

– Mówią o mnie Stan Wojenny – ogłosił gość – w skrócie Stawoj.

„Drugi sort!” – Frołow dałby sobie rękę uciąć, że usłyszał w tym momencie sceniczny szept brygadzysty Poleżajewa.

Spotkanie było nudne, opowieść była nudna i wieczorne opisywanie uroczystości było nudne. Towarzysz Frołow przeglądał stare stronice, delikatnie przekładał sztywne kartki wypełnione równym pismem, spoglądał na fotografie. Ech, lepsze czasy już były...

Co do Stawoja, niestety, sprawa była wyjątkowo delikatna politycznie. Z opowieści oddelegowanego na gościnne występy do Polski superbohatera wynikało niezbitie, że większość ofiar jego misji stabilizacyjnej to jednak robotnicy: górnicy, stoczniowcy, hutnicy. Może i otumanieni przez zachodnią propagandę, ale mimo wszystko ludzie pracy. No i jak się tu chwalić w kronice zakładowej pracy partyjnej, że klaskali, kiedy Stawoj opowiadał o zabijaniu górników? Jak to on mówił, zastanowił się Frołow, trzask, prask, jak na strzelnicy, i ludzik znika...

Weź się w garść, Fiedia, musiał wreszcie sam dać sobie burę. Nikt nigdy nie obiecywał, że praca partyjna będzie łatwa. Dobrze, że chociaż paru klechów, co szerzą propagandę Watykanu, mógł sobie Stawoj do rachunku dopisać. O, od tego trzeba zacząć! – uradował się z konceptu Frołow. „Rozmodlony wróg z siedzibą w Watykanie – zaczął pisać (najpierw w brudnopisie, by błędy i nieścisłości jeszcze poprawić) – spotkał się dzięki towarzyszowi Stawojowi wreszcie z godziwą odpłatą”.

Rok 1989

Misja w Berlinie była katastrofą, przyznawał to nawet intendent Skrupin. Naprawdę nazywał się inaczej, chyba Duczew czy coś takiego, ale kazał mówić do siebie Skrupin. Niby taki pseudonim – Skrupulatny Intendent. Nieaktywni frontowo towarzysze zazdrościli nam pięknie brzmiących skrótów i coś tam sobie nieoficjalnie kombinowali. Spec od wielkich jak szafy komputerów chciał, by mówiono mu Znakom, niby Znacwa Komputerów, a kierowca generała Pinsona, wicedowódcy Jednostki, nadał sobie pseudo Szopin – skrót od Szofer Pinsona.

Intendent Skrupin, który ze wszystkich dekowników w Jednostce był największym optymistą, do końca swoich dni, ba, nawet na łożu śmierci, uważał, że wygraliśmy wyścig zbrojeń z Amerykańcami i że dzielił nas tylko krok od dania im straszliwego łupnia, przed czym wroga uchronił tylko podstępny spisek Gruzinów i Żydów. Spisek, na którego czele stali Gorbaczow i Szewardnadze, prawdziwe nazwiska – zdaniem Skrupina – Goldbaum i Szechter. Czasem zastanawiałem się, czy Skrupin to nie cywilne wcielenie Czystasa. Mógłbym to sobie nawet wmówić, gdybym nie widział, jak prawdziwy Czystas wyglądał po wypadku samochodowym na Krymie, kiedy to definitywnie zakończył swoje ostatnie wakacje, świeć, świeć, Marksie, Engelsie i Leninie nad jego nieistniejącą – z materialistycznego punktu widzenia – duszą. Wrak samochodu, którym Czystas wbił się w wojskową ciężarówkę, cały czas przechowywano gdzieś w magazynach Jednostki. Każdy przypadek śmierci superbohatera badany był szczegółowo przez specjalną komisję, która miała wykluczyć lub potwierdzić ewentualny udział kapitalistycznych siepaczy pragnących wyeliminować członków elitarnego i tak mocno szkodzącego Zachodowi zespołu.

Mocno szkodzącego niegdyś, wypadałoby powiedzieć, bo berlińska katastrofa pokazała, że dni świetności Jednostka ma już za sobą. Oczywiście najłatwiej było zwalić wszystko na czynnik ludzki.

– Skąd oni w ogóle wytrzasnęli tego Obroma? – dziwował się więc Skrupin w tych krótkich chwilach, kiedy nie lżył Gruzinów i Żydów.

Akurat wiedziałem skąd, bo oglądałem amatorskie nagrania z obozu pionierów w Arteku, gdzie wychowawcy zauważyli potencjał małego Wołodia Pieriewina, który wzbudzał zachwyty dziewcząt, podziw chłopców i zawsze skupiał na sobie uwagę całej szkoły.

Rekrutacja nie stanowiła problemu, zapewniam was. Odbywała się sprawnie jak zawsze, choć żmudne to było zajęcie. Kandydatów też nie brakowało, w końcu ludzi u nas dostatek, jak mawiał towarzysz Stalin. Mieliśmy jednak coraz większy kłopot z pełnym wykorzystaniem umiejętności rekrutów. Biedny Wołodia nie był winien. Ale trudno było nie czuć się sfrustrowanym, patrząc, jak bezsilnie krąży nad tłumem niemieckich chuliganów dewastujących mur berliński. Mur, którego Wołodia miał bronić. W końcu bojowy kryptonim Obrom – obrońca Muru – zobowiązuje. Cóż to jednak za obrońca, który niczego nie jest w stanie obronić? Jakiż to postrach wroga, którego nikt się nie boi? Jak widomym znakiem naszej bratniej opieki może być ktoś, kogo nie widać?

Obrom zawiódł, to fakt, ale jeszcze bardziej zawiódł nas lud socjalistycznego Berlina, który uwiedziony lepem kapitalistycznej propagandy wprost ślinił się do pstrych oznak rzekomej wyższości Zachodu nad Wschodem – telewizorów emitujących bezwartościowe programy, samochodów szkodliwych dla środowiska i wakacji

w krajach bezlitośnie wyzyskujących tubylców. Wschodni Niemcy okazali się równie naiwni i podatni na podszepty CIA jak wcześniej Polacy, Węgrzy i Czesi. Jak to dobrze, myślałem wtedy, że nasi ludzie sowieccy ulepiani są z innej gliny. U nas byłoby to nie do pomyślenia. Litwin, Gruzin, Ukrainiec, Kazach – niezależnie od pochodzenia, bezwartościowego miernika, bo wszak nie mamy na niego wpływu – jest przede wszystkim obywatelem Republiki Rad. U nas nikt murów burzył nie będzie ani głupimi flagami machał. Wytrwamy. I świecić przykładem będziemy tak długo, aż przyjdzie czas, że i głupcy rozbijający blok ludowej demokracji zrozumieją swój błąd i zatęsknią.

Póki co Berlin wydawał się jednak stracony.

Czasy się zmieniały. Dopiero wtedy zrozumiałem, co dziesięć lat wcześniej chciała mi powiedzieć Jelena Hunter.

Dwunastego listopada, trzy dni po upadku muru berlińskiego i haniebnym fiasku jednej z ostatnich misji w oficjalnych dziejach Jednostki, zostałem oddelegowany do Wiednia w charakterze jednoosobowej rezerwy strategicznej. O panującym już burdelu i rozprężeniu może świadczyć fakt, że nikomu nawet nie chciało się nadać mi oficjalnego kryptonimu. Kiedy fasowałem sprzęt, intendent Skrupin na ten właśnie temat ośmielił się zażartować:

– A może Frau? – Wyszczrzył się jak debil.

W pierwszej chwili nie załapałem.

– Frajer Austriacki – dopowiedział Skrupin, więc zamalowałem go w mordę z całej siły, jak kiedyś Marlen zamalował Nicyporuka. I choć przez ten ułamek sekundy czułem, że to, co robię, ma sens.

Rok 1990. Wiosna

Pół roku później, zamiast zastanawiać się nad przyszłymi losami Programu oraz Jednostki, zamiast wypełniać formularze dla szefostwa wywiadowczej placówki albo choć ćwiczyć bezpieczne trasy po Wiedniu lub wykuwać na blachę lokalizacje skrzynek kontaktowych, przesiadywałem w Sznyclowym Niebie. Była to restauracja ukryta w jednej z bocznych uliczek odchodzących od Mariahilfer Strasse, gdzie z rzadka robiłem sobie przerwę w żłopaniu piwa Ottakringer tylko po to, by zjeść kolejnego wiedeńskiego sznycla. Podawali je tu w rozmiarach parasola, więc zwykle miałem co robić przez godzinę.

Tamtego dnia byłem po służbie (żołnierzu! wywiadowca zawsze jest na służbie!) i miałem chandrę. Jedną z tych, jakie zwykle się miewa w czasach młodych i głupich, które odciskają się na duszy zbyt głęboko, by kiedykolwiek zostały odczynione. Minąwszy swe czterdzieste urodziny, spoglądałem wokół i nie widziałem niczego poza pracą w Jednostce i pracą na kilku kolejnych placówkach. W dodatku wyglądało na to, że Wiedeń będzie moim ostatnim przystankiem. Co przyniesie przyszłość, tego nie wie nikt, choć słyszałem, że i nad tym problemem pochylają się naukowcy pracujący w jednym z nieistniejących oficjalnie departamentów. Może po prostu wysadzą całą planetę w diabły?

Wszystko to było wystarczająco depresyjne i bez przygody, jaka przytrafiła mi się poprzedniego wieczoru, kiedy na głównym kanale austriackiej telewizji zobaczyłem Jelenę Hunter.

Program opowiadał o sekretach świata wielkiej mody i w dużej części poświęcony był pokazowi zorganizowanemu przez pewnego włoskiego projektanta specjalnie dla spragnionych nowinek i dużych wydatków członków londyńskiej socjety. Kamery prócz

modelek i modeli wyłuskiwały z tłumu co bardziej znanych, co bardziej bogatych lub po prostu co ładniejszych, bo to, co znane, bogate i ładne, zawsze dobrze wygląda w telewizji.

Jedną z twarzy, które kilkakrotnie przykuły uwagę operatora, była twarz Jeleny Hunter. Jej widok wywołał we mnie wstrząs porównywalny z tym, jaki musiał zabić jej męża, kiedy latając sobie po pijaku, zderzył się ze słynnym treningowym MiG-iem nad miastem Kirżacz.

Jelena wciąż była piękna i wyglądała młodo. Młodziej nawet niż wtedy, kiedy rozstawaliśmy się w Moskwie jesienią roku 1979. Nie była to sztuczna młodość i uroda, które kupić można, gwarantując sobie usługi odpowiedniej klasy mistrzów skalpela, wizażu czy zastrzyków. A wszak naówczas Jelena była już kobietą dojrzałą i można by rzec, że najmłodszą jej częścią były bursztynowe oczy, w których niekiedy figlowały wesołe iskierki. Cała reszta Jeleny, choć wciąż zachwycająca, okazywała jednak już wtedy oznaki pewnego zwiotczenia.

Austriacka telewizja przyniosła wszelako obraz Jeleny bliski temu, jaki pamiętałem z turbińskich lat, kiedy to nocnym biesiadom nie było końca, a Jednostka znajdowała się u szczytu rozkwitu i sławy, chłopcy zaś pozwalali sobie na niekontrolowany smutek jedynie podczas rocznicowych popijaw nad grobem Berlioza. Krótko mówiąc, była to Jelena, w jakiej się beznadziejnie zakochałem i którą skrycie kochałem do dziś, wbrew wszelkim próbom udawania, że łączy nas tylko pielęgnowany z rzadka typowy romans armijny typu „znudzona żona zabawia się z młodym kadetem – kiedy akurat ma ochotę”. Nic nie uleczy zranionego serca; nic prócz czasu. Ale ja nie miałem czasu na to, by mieć na to czas. Jednostka była moim życiem i moją żoną. Dzieci

nie planowałem. Jelena zaś była dla mnie zjawiskiem z innego świata. Takich zjawisk się nie zapomina i jakże łatwo je pokochać.

Wbijałem więc bez przekonania widelec w równiutko pokrojone resztki sznycła, z rzadka dziabnąłem sałatkę ziemniaczaną, zastanawiałem się nad zagadką Jeleny i pielęgnowałem w sobie ponury nastrój (ojczyzna popada w ruinę, rewolucja światowa się oddala, Amerykańce triumfują, Jeleny brak), kiedy do knajpy wkroczył Jurij Niczyporuk, czwarty dzierzyciel tego nazwiska robiący karierę w siłach zbrojnych naszej socjalistycznej ojczyzny. W odróżnieniu od starszych braci i ojca (czyli tego z Niczyporuków, któremu Hunter obił ryj na Krymie), preferujących siły liniowe, on wybrał GRU, a właściwie to GRU wybrało jego. Tak najczęściej bywa. Trudno zatańczyć z niedźwiedziem, jeśli niedźwiedź tego nie chce.

Niczyporuk robił, co mógł, by zmyć z wiedeńskiej placówki piętno hańby, jakim okryła się w roku 1978 wskutek ucieczki oficera Rezuna, który nie dość, że wystrychnął resort na dudka, to jeszcze obsmarowywał teraz Związek Sowiecki, armię, a w szczególności GRU, publikując historyczne i jadowicie nienawistne książki wydawane pod pseudonimem Suworow. Ten ukraiński pokurcz o miłej, jowialnej twarzy podrzędnego urzędnika okazał się największą katastrofą w dziejach ambasady. Ale spokojna głowa, pokój mu nie jest pisany. Na razie ukrywa się u Anglików, lecz już szukają go odpowiedni ludzie. Znajdą, poczekają, może rok, może dziesięć, i w chwili kiedy się tego będzie najmniej spodziewał, powiedzą mu do ucha: „Pozdrowienia od zdradzonej ojczyzny, gnido obesrana”. Kto wie, może odwiedzi go nawet jakiś superbohater i jednym ruchem wyrwie z piersi zdradzieckie serce?

Zgodnie z zasadami konspiracyjnej roboty Niczyporuk niczym się nie zdradził, że mnie zna, a i mnie brew nie drgnęła. Usiadł w drugiej sali otwieranej najczęściej po południu, kiedy lokal zaczynał pęcznieć od gości. Widziałem jego szarą marynarkę i kark pochylający się regularnie nad kartoflanką.

Zanim wyszedł, osuszył jeszcze szklanekę piwa i odwiedził restauracyjny kibel.

Kwadrans później myłem ręce w umywalce najbardziej oddalonej od wejścia do męskiej toalety, która była schludna, czysta i nijaka, jak zresztą cała Austria, kraj może i zasobny, lecz nudny i drobnomieszczański do granic przesady. Nic dziwnego, że dla rozrywki musieli wyhodować sobie Hitlera. I co z tego, że mieli Alpy? A bo to u nas gór nie ma? Są. I to jakie: większe i piękniejsze, i dużo mniej zryte szkopskimi nartami.

Dwie pionowe rysy na lamperii przy umywalce sprawiły, że w myślach zacząłem wszystko przeliczać. Dziś piątek, czyli powinienem dodać do pięciu dwa, co dawało miejsce kontaktu numer siedem.

Nu, pajechali.

Godzinę później patrzyłem w siwogranatowe wody niewielkiego górskiego jeziora, z dala od zakurzonego i sztywnego niczym babcina krynolina Wiednia. Niebo nad brzegiem kłuły wieżyczki jakiegoś pensjonatu. Na pewno były w nim bardzo czyściutkie pokoje i bardzo czyściutkie korytarze. I parę portretów Adolfa w piwnicy.

Droga za moimi plecami była pusta i cicha. Niczyporuk stał już obok.

– Żyjesz jakoś? – zapytał.

Ech, w tym pytaniu kryło się wszystko, o czym wszyscy wtedy myśleliśmy. Pomijam kwestię Jeleny, której widok trachnął mnie w łeb niczym szabla białego interwenta. Szło o przyszłość, a właściwie jej brak, bo ciemne chmury gromadziły się na horyzoncie. Towarzysz Plama Gorbaczow zapowiadał przebudowę, a widać było demontaż. Najlepsze chłopaki z podkulonymi ogonami wracały z Afganu, w krajach sojuszniczych dawni towarzysze negocjowali ze swoimi byłymi więźniami politycznymi warunki przemalowania się na kapitalistów.

– Jakoś żyję – odparłem. Nie trzeba więcej mówić. Ja wiedziałem, o co chodzi Niczyporukowi, on wiedział, o co chodzi mnie.

Ruchem głowy zaprosił mnie do spaceru wokół jeziora, co przyznam, wzbudziło we mnie lekki niepokój. Ewakuacja placówki i zacieranie śladów? Wywiadowcę do wora, wór do jeziora? A może Niczyporuk ma w kieszeni taser? Nas, superbohaterów, prądem? Chyba że dogadał się z Amerykańcami. Tylko ogłuszy. Nieprzytomnego w niewolę sprzeda. „Oto – powie – jeden z uczestników supertajnego programu, o którym wam opowiadałem”. A oni ucieszą się, pięknie podziękują, walizkę dolarów Niczyporukowi wręczą i oddadzą mnie w ręce specjalistów od skalpela, żeby mnie wzdłuż i wszerz pokroić, szukając tajemnic Jednostki.

Przechadzkę wokół jeziora odbyliśmy w milczeniu. Dopiero gdy znaleźliśmy się w miejscu najbardziej oddalonym od drogi, gdzie krzaki i drzewa zbiegały niemal do samego brzegu, Niczyporuk zasiadł na ławeczce, a ja zasiadłem obok.

– A więc to jest nasz bohater – usłyszałem męski baryton dobiegający z za pleców w tej samej chwili, kiedy owionął mnie

zapach wody kolońskiej, a na mym ramieniu spoczęła ciężka dłoń.

Właścicielem dłoni okazał się mężczyzna na oko co najmniej sześćdziesięcioletni, a może nawet siedemdziesięcioletni, ubrany w letni garnitur barwy nadmorskiego piasku. Był mocno opalony, co podkreślało jeszcze siwiznę jego włosów. Na pierwszy rzut oka nie odróżniłbyś go od jakiegoś wiedeńskiego lekarza czy przedsiębiorcy zażywającego ruchu na świeżym powietrzu, z dala od męczącej Frau i nachalnych klientów. Twarz jednak miał naszą, szeroką, szczerą, oczyska niebieskie, kurze łapki w kącikach oczu i klasyczny oficerski wąs pod nosem. Takiej twarzy z inną nie pomylisz, zachodni bydlak takiej twarzy nie podrobi ani się nie dorobi. Tak za kilkanaście lat mógłby wyglądać na przykład reżyser Nikita Michałkow, z którego fizjonomią byłem zaznajomiony, bo uważnie czytałem wszystkie pisma i magazyny sprowadzane z ojczyzny przez ambasadę. Podobały mi się jego adaptacje rosyjskiej klasyki, choć i tak żadna nie dorównywała wspaniałemu „Swój wśród obcych, obcy wśród swoich”, którym debiutował, bo zamiast panienek w strojach z epoki byli tam i czekaści, i wywiadowcy, i strzelaniny. No i było zwycięstwo, czyli coś, za czym teraz tęskniliśmy niezmiernie.

Michałkowopodobny gość usiadł obok nas na ławeczce, niewidoczny pyłek z zaprasowanych w kant spodni strzepnął, wyjął z kieszeni marynarki złotą papierośnicę i poczęstował papierosem. Zerkałem na jego lewy profil. Gdyby był w mundurze, poznałbym go od razu, a tak dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że widywałem go już w grupie zaufanych dostojników odwiedzających niekiedy poligon Jednostki. Czyli fizjonomia znajoma, gorzej z nazwiskiem.

– Generał Borysow – rzekł Michałkowopodobny mężczyzna, jakby odpowiadając na moje myśli, a wtedy moja ręka sama wystrzeliła do salutowania, co Borysow przyjął ciepłym uśmiechem pełnym zrozumienia i słowami: – Nie trzeba, nie trzeba. Sprawa, widzicie, poważna, ale nieoficjalna. Mocno nieoficjalna. Ale jak sił dołożymy – tu generał Borysow spoważniał – to i posalutować będzie jeszcze kiedyś okazja, poświętować.

– Z kolan wstać – rzekł Niczyporuk.

– A tak – zgodził się Borysow. – Z kolan wstać. Ręce z błota otrzepać. I przestać brać w pysk. Bo hańba.

Było to najprostsze i najbardziej szczere polityczne przemówienie, jakie w życiu słyszałem. A słyszałem wiele. I to mi się najbardziej podobało.

Powiedziałem podczas tamtego pamiętnego spotkania tylko trzy zdania. Pierwsze, zgodnie z naszą rosyjską tradycją brzmiało: „Co robić?”.

Generał opowiadał dość długo, lecz nieskomplikowanie, a jego znajomość spraw Jednostki, wywiadu i kontrwywiadu, a przede wszystkim tajników międzynarodowej polityki wzbudziła we mnie olbrzymi szacunek. Gdybyż więcej u nas było takich ludzi, obeszlibyśmy się bez tchórzliwych Bułgarów, zdradzieckich Polaków, tępych Niemców, zimnych Bałtów, leniwych Czechosłowaków i całej reszty tej niewdzięcznej bandy, którą trzeba było w dodatku utrzymywać i karmić.

W planie generała Borysowa szczególnie ucieszyła mnie perspektywa współpracy z doktorem Kupfelweiserem, który był ostatnim z oryginalnych współtwórców Jednostki i postacią wręcz legendarną. Jak mówiła Jelena, wśród wielu tajnych prac wyróżniały się jego badania nad hibernacją oraz rozmnażaniem

jednopłciowym. Profesor Kupfelweiser był jednym z autorów planu zamrożenia części wojsk rezerwy strategicznej, tak by zniecka można było ją odmrozić i rzucić na wroga w wypadku szczególnie trudnej sytuacji militarnej. Zaś projekt mnożenia się przez partenogenezę miał być kluczem do wykorzystania największych rezerw tkwiących w żeńskich łagrach.

Drugie zdanie, które wyrzekłem do generała Borysowa kwadrans później, było rozwinięciem pierwszego.

– Co robić TERAZ? – zapytałem.

– Czekać – z mocą powiedział towarzysz generał. – Czujnym być. Wypatrywać znaków.

Przyszedł więc czas na trzecie i ostatnie zdanie, które z entuzjazmem niemal wykrzyczałem w leśnej gęstwinie nad austriackim jeziorem:

– Tak jest, towarzyszu generale!

Tylko strzelenie obcasami mi nie wyszło, bo w cywilnych kamaszkach na cienkiej, miękkiej podeszwie ten numer akurat nie wychodzi.

Rok 1990. Jesień

Praca była pasjonująca, ale nie lubiłem siedzieć w bunkrze.

Owszem, mieliśmy święty spokój, miejsca sporo, żarcie okazało się przyzwoite (zwłaszcza polskie konserwy z wołowym gulaszem w wielkich blaszanych puszkach), ale bunkier to bunkier. Trochę nieswojo czuje się człowiek, siedząc pod tonami cementu i zwałami ziemi, kiedy wyobraża sobie, że może właśnie lecą ku niemu wrogie głowice jądrowe.

Nie był to tak ogromny bunkier jak ten na tockim poligonie, gdzie towarzysz pierwszy sekretarz Nikita Chruszczow i marszałek Żukow osobiście obserwowali ćwiczenia w przełamaniu zachodniej obrony siłą korpusu strzeleckiego i taktycznymi ładunkami atomowymi. Jednak korytarzy, komór, sejfów i zwykłych bibliotek miał wystarczająco wiele, by pomieścić wszelkie tajemnice Jednostki oraz akta, które sięgały jeszcze Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Paliliśmy te akta.

Praca w bunkrze była pasjonująca, bo niszcząc przeszłość, zarazem ją poznawałem. Z każdym spalonym tomem akt czułem się bardziej wyjątkowy: wiedziałem rzeczy, o których zwykli ludzie nie wiedzieli, w dodatku rzeczy, których fizyczny zapis właśnie znikał bezpowrotnie. To ja niosłem w sobie tajemnicę wszystkich tajemnic, sekret sekretów, wiedzę o największym w dziejach dokonaniu nauki radzieckiej.

Akta niszczyliśmy kolejno, latami. Całe archiwum jednostki.

Najpierw więc zbiory carskiego Eksperymentalnego Oddziału Psychiatrycznego w Sankt Petersburgu. Pierwsze nieudane kroki w dziedzinie nowej nauki. Polewanie i elektrowstrząsy – też mi wyrafinowanie.

Następnie zapisy o nadzwyczajnych wydarzeniach z czasów Wielkiej Rewolucji Październikowej oraz wojny obronnej przeciw białym polskim agresorom z roku 1920. Ech, gdybyśmy mieli wtedy kilku prawdziwych superbohaterów, inaczej potoczyłby się bieg dziejów.

Potem kartonowe teczki zawierające informacje o śmiałych eksperymentach przeprowadzanych w Dalstroju. Fascynujące protokoły przesłuchań z czasów odchyień: jeżowszczyzny,

zdanowszczyzny, bucharinizmu, trockistowskiej zarazy i wielu innych niewytłumaczalnych w logiczny sposób schorzeń, jakie dotknęły licznych członków partii.

Spaliliśmy dziennik marszałka Żukowa – jedyny oryginał, nigdy zresztą nieopublikowany, bo wszystkie kolejne edycje „Wspomnień i refleksji” były tak naprawdę pisane przez redaktorów w wydawnictwie, pilnie dostosowujących ich zawartość do wymogów chwili bieżącej i aktualnej sytuacji w politbiurze. Rzucając go do pieca, nie mogłem się powstrzymać, by jeszcze raz nie przeczytać historii słynnej próby generalnej z udziałem Stalena na kilka dni przed Paradą Zwycięstwa.

Ogień pożerał wielkich i maluczkich z tą samą czerwoną cierpliwością. Zatem pożarta zostałateczka towarzysza Miełtuchowa, który wraz z Ławrientijem Bериą (i innymi przydupasami Berii) został aresztowany 26 czerwca 1953 roku. Rozstrzygnięto wtedy ostatecznie spór, czy kontrolę nad Jednostką ma sprawować NKWD, czy wywiad wojskowy. Pożarte zostały niezliczone teczki oficjalnych i nieoficjalnych podróży wszystkich superbohaterów Jednostki, pielgrzymujących nieustannie po Republice Rad i spotykających się z ludem na wieczornicach, akademiach i zwykłych masówkach. Płomienie połknęły dzieje rezydencji w Turbino, która sama także została już dawno wymazana z powierzchni ziemi, bo na jej miejscu powstało osiedle generalskich dacz.

I moją przeszłość również wchłaniał płonący dniem i nocą piec; historię szkolenia, misje w Angoli i na Wzgórzach Golan, krótką i nieudaną bojową wycieczkę do Nikaragui, gdzie nieomal nie postradałem głowy, a zostawiłem kawałek kciuka odstrzelony przez bandytów z kontras.

Superbohaterowie płonęli. Stawoj, Czystas, Hunter, Kornisz, Kukryz, Wyratow, Marlen, Wieprz, Obrom. Wielu ich było. Niektórych kryptonimów już sam nie pamiętałem. Stalen to jasne: od Stalin i Lenin, a Żulen – od Żukow i Lenin. Inwar, choć brzmi skandynawsko, oznaczał Inwazję Radziecką. Wil to chyba po prostu skrótowiec od Włodzimierz Iljicz Lenin. Ale kim byli Czerwony Duch, Wiatr Historii, Człowiek z Żelaza, Rossum i Rokossowski? Jakie misje mieli do wypełnienia, kiedy i w jakich krajach? Wszystkiego przeczytać nie dało rady, nie nadażalem, a piec płonął i jeść wołał, więc trzeba go było karmić.

Przy niektórych dokumentach ogarniały mnie na zmianę podziw i rozrzewnienie. Podziw dla skrupulatności, z jaką prowadzono archiwa: wszystko tu było! Dzień po dniu, godzina po godzinie, raporty, zdjęcia, nagrania. A co do rozrzewnienia, to trudno się przecież nie wzruszyć, przypominając sobie słodkie pijackie gadulstwo Huntera, smażenie szczupaczków łowionych przez Kornisza, posiedzenia w łaźni zakrapiane wódką. Kłótnie Olgi Marlen z Leną Stalenową o to, czy żona superbohatera walki socjalistycznej ma klawe życie, no bo niby z jednej strony, zaopatrzenie lepsze, nie trzeba stać w kolejce do GUM-u, krakowskiej suchej i tylżyckiego sera z Polski przysługuje ile wlezie, ale z drugiej strony, klub żon jest ograniczony, nie każda się z inną lubi, a i rodzinie nic powiedzieć nie można, bo wszystko jest tajemnicą państwową.

A jak znalazłem film służbowy, nakręcony niejawną kamerą podczas owej nocy roku 1967 w Turbino, gdy jako młodziak oczami wodziłem za Jeleną Hunter, to normalnie się rozryczałem, ot co! Mały projektor na korbkę sobie ustawiłem, film w kółko na ścianie puszczałem i ryczałem jak głupi, jak dziecko albo jak głupie

dziecko. Chyba się echo po bunkrze niosło, bo w pewnym momencie przyszedł do mnie sam profesor Kupfelweiser, projektor i film zabrał, a potem zirytowany wezwał Niczyporuka. Ten zaś, po starej znajomości, wlepił mi trzy dni czyszczenia kibli, co biorąc pod uwagę kłopoty z wentylacją, jakie mieliśmy w bunkrze, było karą godną miana cuchnącego okrucieństwa.

Rok 1991. Wiosna

Nikt nie przyszedł na spotkanie z Dukanem zaplanowane w dawnych Zakładach Metalurgii Żywności w Omsku, niegdyś imienia Kornieja Korniszonowa, obecnie imienia Transformacji Ustrojowej. Po pustych halach hulał wiatr.

Sam Duch Kandaharu także się nie pojawił na spotkaniu ze sobą. Dokładnie w chwili, gdy powinna zaczynać się masówka poświęcona jego wyczynom podczas wyjścia z Afganistanu, Dukan siedział w zasnutej dymem restauracji Spawacz naprzeciw głównego wejścia do zakładów. Przy stoliku siedział także bezzębny, łysy emeryt Frołow, który ledwo się ruszał, mało mówił, niewiele widział i jeszcze mniej słyszał. Może dlatego Dukan uważał go za najlepszego słuchacza ze wszystkich, jakich spotkał od roku. A może jego przeświadczenie miało coś wspólnego z butelkami gorzkiej wódki, które zdążyli już zgodnie opróżnić tego dnia.

– A wiesssssszzz ty, mmmój kkkochannny – wysapał pijacko w pewnym momencie Dukan – jak nnnaprawdę sssskinął Ghagharin?

– Na kogo sssskinął? – zadziwiająco trzeźwo zauważył Frołow.

– Ssssszzginął – poprawił się z trudem Dukan. – TtajemniSSsa, ale fam mogę pofiecieć... tofaszyszu...

I polał kapeczkę.

Lecz chwilowy przebłysk świadomości tak wyczerpał emeryta Frołowa, nienawykłego do pijackich maratonów, że nie mógł usłyszeć sensacyjnej historii o prawdziwych przyczynach śmierci Jurija Gagarina, pierwszego człowieka w kosmosie, bo chrapał już z głową opartą o blat stolika w restauracji Spawacz, a plamy po wódce rozlanej na obrusie układały się wokół jego łysej czaszki w coś na kształt świeckiej aureoli. Zresztą czy gdyby był w stanie wysłuchać opowieści Dukana, to zdołałby mu uwierzyć? Czy uwierzyłby mu ktoś, gdyby chciał tę historię powtórzyć i ujawnić uszom postronnych, że dnia 27 marca roku 1968 mocno skacowany Hunter, wielokrotny bohater Związku Radzieckiego, zasłużony Sowiecki SuperBohater, rozpieprzył odbywający eksperymentalny lot samolot MiG-15 UTI, za sterami którego siedział były kosmonauta Jurij Gagarin? Że tamtego dnia na niebie nad miastem Kirżacz legenda staranowała legendę, wskutek czego obaj ponieśli śmierć na miejscu, a ojczyzna socjalistyczna poniosła stratę niepowetowaną? No i czy uwierzyłby ktoś, że stojąca na płycie lotniska Jelena Hunter łzy nie uroniła, a wręcz są i świadkowie, którzy słyszeli, jak mówiła: „Wreszcie się to wszystko skończyło”?

Frołow umarł dwie noce później, szczęśliwy, że zdążył jeszcze przed śmiercią napić się z bohaterem. Kiedy kilka dni po pogrzebie jego wnuczka otworzyła drewniane drzwi do piwnicy dziadka, wysypały się na nią najrozmaitszej długości drągi oraz zwinięte w karne rulony transparenty, których zawartość dowodziła, że Frołow był przygotowany na wizytę dowolnego herosa, z cudownie

zmartwychwstałym Czapajewem włącznie. Cały ten śmietnik spalony został na podwórku.

Ducha Kandaharu, zwanego potocznie Dukanem, ostatni raz widziano w nocy z 20 na 21 sierpnia roku 1991, kiedy to grupa zrozpaczonych towarzyszy podjęła próbę uratowania świata przed największą katastrofą dwudziestego wieku – rozpadem Związku Radzieckiego. Towarzysz Giennadij Janajew kazał wtedy aresztować zdrajcę Gorbaczowa, ustanowił Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego, a Dukan spróbował poderwać do szturm na parlament Rosji desantowców z tulskiej dywizji. Kiedy nie wyszło, bo chłopaki myślały już o przejściu na stronę Jelcyna, Dukan wszedł na czwarte piętro budynku przed barykadą i skoczył ku zdumionym obrońcom moskiewskiego Białego Domu, przekonany najwyraźniej, że wykona bojowy lot koszący, wzbudzając popłoch jak za dawnych lat, kiedy latał nad Pragą u boku Pralina albo nad Warszawą u boku Czystasa.

Przekonanie Dukana było błędne, a lot krótki. Jego prochy spalono w tym samym bunkrze, gdzie ja paliłem teczki Huntera czy Kornisza. Nie miał po nas, widzicie, pozostać żaden ślad, poza pamięcią bardzo nielicznych ludzi odpowiedzialnych, to jest milczących.

I na tym, można powiedzieć, oficjalna historia Jednostki się skończyła.

Ale wiecie przecież, że jednostka jest niczym.

A przede wszystkim: Jednostka to jedno, a Program – drugie.

Rok 1991. Lato – część 1

General Borysow dał nam znak już kilka tygodni przed farsą, jaką wyprawił na oczach całego świata nieudacznik Janajew. „Pucz też trzeba umieć przygotować” – powtarzał Borysow w tych rzadkich chwilach, kiedy go widywaliśmy, a potem dodawał z tajemniczym uśmiechem: „Wiecie, towarzysze, że to, co najważniejsze, jest niewidoczne dla oczu”. Prorok czy co?

Mogliśmy się więc czuć naprawdę ważni, bo z powodzeniem umykaliśmy uwadze świata i partii. Garstka nas była, doprawdy, garsteczka, tym silniejsze więc mieliśmy przeświadczenie o własnej wyjątkowości, ale też i większy lęk, że jakiś nierozważny przedwczesny krok przerzedzi nieodwracalnie nasze szeregi – a jakby tak dokładnie policzyć, to nasz szereg. Z lekkim niepokojem przyjąłem więc rozkaz przekwaterowania. Niepokój minął, kiedy dowiedziałem się, że będę podróżował z profesorem Kupfelweiserem.

Zgodnie z zasadą, że liście najłatwiej ukryć w lesie, ruszyliśmy w drogę całkiem oficjalnie, Aeroflotem, przesiadając się w Warszawie na pociąg do miasta Poznań, tyle że posługując się fałszywymi paszportami, zdaniem Niczyporuka lepszymi niż prawdziwe.

Polski pociąg pośpieszny podśmierdywał, a obicia siedzeń w wagonie pierwszej klasy były wytarte. Najelegantszą część wyposażenia stanowiły szarawe szmaty, którymi owinięto zagłówki w przedziałach. Brązowo-bure firaneczki upstrzone literkami „PKP” okazały się sztywne od brudu, a w wagonach nie było nawet miejsca, w którym człowiek mógłby sobie zaparzyć herbatę. Polscy towarzysze przez pół wieku współpracy z radzieckimi standardami nie zdołali sobie przyswoić podstawowych zasad cywilizowanego podróżowania.

Najbardziej nie podobało mi się, że kraj jest mały. Mikra była ta Polska, ciasna, płaska i nijaka. Zdawała się mniejsza nawet od Austrii – przez ową monotonię obrazu za oknem – za to pozbawiona była owego grandioso, nadawanego hitlerowskiej kolebce przez alpejskie zębaczki pokryte śniegiem.

W Polsce rzeki były wąskie, lasy niewielkie, ulice ciasne – gdzież im tam do moskiewskich prospektów! – a pola poszatowane maleńkimi paseczkami upraw. Cywilizacja wydawała się tu zapóźniona: żadnego metra, trolejbusów niewiele i w podrzędnych miastach, lotniska w powiatakach, no czarna rozpacz po prostu, infrastrukturalna Angola Europy Środkowej. O, to ostatnie też było głupie i podejrzané: mieszkańcy Polski i kilku okolicznych kraików ubzdurali sobie istnienie jakiejś „Europy Środkowej”. A co niby złego jest w Europie Wschodniej? Jutrzenka, znaczy wschód słońca, wam zalatuje gnojówką, warszawscy towarzysze? Pszenica ukraińska nie smakuje? Kartofelki białoruskie parzą bebechy? A przecież dziecko każde wie z lekcji geografii, że w centrum Europy leżą Niemcy. Ot, i wasza Europa Środkowa. Zatem co, powiedzcie szczerze, może wolelibyście, polscy towarzysze, w ramach tej Europy należeć do Niemiec? A może żałujecie, żeście z faszystami na Republikę Rad nie pomaszerowali? Nic na was, kochanieńcy, nie czeka w Europie Środkowej, bo Europa Środkowa nie istnieje. A Wschodnia – i owszem. A pośrodku Wschodniej – my!

Tak sobie medytowałem, spacerując najpierw ulicami śmiesznego miasta Warszawa, w którym nawet Pałac Stalina był zbudowany w wersji mikro (choć akurat pasującej do ogólnej mikrości stolicy Polski), a potem chodząc po poznańskim bruku i doświadczając przy tym jednocześnie rozlicznych dowodów na to,

jak nisko upadli zarówno moi współobywatele, jak i sami Polacy. Otóż ulice wypełnione były rosyjskojęzycznymi osobnikami wyglądającymi jak element antysocjalistyczny najgorszego sortu, których rysy zdradzały, że najpewniej pochodzą z przestępczego półświatka różnych republik związkowych.

Osobnicy ci – płci obojga – trudnili się handlem na rozłożonych byle jak płachtach wypełnionych nożami, sokowirówkami, gramami elektronicznymi, w których zajaczek łapał jajka do koszyczka albo wilk łapał zajaczkę, ostrzami do szlifierek, otwieraczami do kapsli, przedłużaczami, topornymi zabawkami z kolorowego plastyku i innymi śmieciami. Z przerażeniem dostrzegłem w tym tłumie także mężczyzn o posturze i postawie żołnierskiej. Gdy nastawiłem ucha, ze zgrozą dosłyszałem, że kręcą się wśród przechodniów, oferując sprzedaż po okazyjnej cenie rozpylaczy i pestek, znaczy kałasznikowów i naboju.

Łagry dla takich to mało, myślałem, ale profesor Kupfelweiser nie podzielał mego oburzenia. Uśmiechał się tylko pod nosem i pomrukiwał: „Doskonale, doskonale!”, tak jakby każda ukraińska czy kazachska baba z ceratową torbą i każdy Polaczek wygłodniałym wzrokiem wpatrujący się w oferowane przez nią łyżki i butelki wódki dowodzili słuszności jakichś profesorskich kalkulacji.

Doskonale? A cóż mogło być doskonałego w tym obrazie nędzy i rozpacz?

Wtedy jeszcze nie rozumiałem.

Zanim zrozumiałem, profesorek zabił mi ćwieka z innej jeszcze strony. Otóż pierwszego wieczoru w mieście Poznań, kiedy zameldowaliśmy się już w siedzibie miejscowej kompanii łączności (specjednostki używały tego kamuflażu od lat) i kiedy siedzieliśmy

wieczorem na tyłach willi przy ulicy Słupskiej 62, nad chłodnym literkiem czystej, ciepłą wędzoną słoninką i suchą krakowską, Kupfelweiser spojrział mi głęboko w oczy i zapytał:

– Jelenę Hunter, jak pamiętam, dobrze znacie, nieprawdaż?

Aż mi tylżycki kęsem w gardle stanął. Tylko głową kiwnąłem, że tak.

– I jak? – ciągnął profesor. – Myślicie, że jest najpiękniejsza?

Skąd, u diabła, wiedział, że tak właśnie myślałem?

Materiał do przemyślenia

Czas już najwyższy objaśnić, czym był Program, czym była Jednostka i kim byli SSB – Sowieccy SuperBohaterowie.

W tym celu sięgnąć muszę po przykład z dziedziny, której znajomość niezbędna jest każdemu rozsądnemu człowiekowi pragnącemu zrozumieć świat – do naukowej fantastyki.

Być może ktoś z was pamięta opowiadania znanego radzieckiego autora bajek dla dzieci i opowiadań fantastycznych, niejakiego Kira Bułyczowa. W jednym z tomów opowiadań o dziwnym mieście Wielki Guslar (dziwnym z wielu powodów – choćby dlatego, że nietęgo tam z pracą uświadamiającą, znaczy pracą partyjną) zamieścił krótką historyjkę zatytułowaną „Zmartwychwstanie Czapajewa”. Przytoczę w skrócie jej fabułę, bo będzie to łatwiejsze wprowadzenie do tematu niż uczone wywody i sążniste referaty naukowców-akademików.

Otóż w opowiadaniu pojawiają się guslarskie dzieciaki oglądające raz za razem w miejscowym kinie film o bohaterze walki rewolucyjnej, Wasiliju Iwanowiczu Czapajewie. W filmie owym, po

wielu sukcesach pracy militarno-rewolucyjnej, towarzysz Czapajew, zgodnie z prawdą historyczną, pod koniec pada ofiarą zdrady i by uciec z zasadzki, rzuca się do rwącej rzeki Ural. Płynie co sił na swym rączym rumaku, pod gradem kul nieprzyjacielskich. Znacie finał: towarzysz dowódca Czapajew ginie w odmętach.

Pewnego razu w ciemnej sali kina w Wielkim Guslarze film kończy się jednak inaczej. Głowa Czapajewa wynurza się z nurtu rzeki ponownie, a on sam nadludzkim wysiłkiem woli dociera na drugi brzeg i uchodzi cało. Nie dlatego, że ktoś nakręcił nowy film z nowym zakończeniem i podmienił puszkę z taśmą. Ale dlatego, że ów nadludzki wysiłek woli nie był dziełem samego Czapajewa, lecz widzów, którzy pełni entuzjazmu kibicowali mu tak potężnie, że ich wola zatriumfowała nad rzeczywistością i na chwilę odmieniła fabułę. Czapajew uszedł żyw, bo setki kibicujących mu młodych obywateli radzieckich gorąco pragnęło, by uszedł, ot co.

Tyle naukowa fantastyka.

Nie da się opisać konsternacji, jaka zapanowała w sztabie Jednostki i nadzorującym ją specwydziale GRU po publikacji owego opowiadania. Wydawało się jasnym, że doszło do karygodnego wycieku danych i pierwszą rzeczą będzie zamknięcie Kira Bułyczowa w jednym z obozów należących do archipelagu GUŁDANF (Głównoje Uporawlienije Łagierow Dla Awtorow Naucznoj Fantastiki), gdzie trzymano jednostki nieprzystosowane i zdradzieckie, jak choćby ukraińskiego nacjonalistę Ołesia Berdnyka, znanego niektórym z powieści „Puchar Amrity”.

Po przeprowadzeniu szybkiego i nadzwyczajnie sprawnego śledztwa (czyż są u nas inne?) okazało się jednak, że Bułyczow sam wymyślił swoją opowieść, o żadnej zdradzie tajemnic państwa mowy być nie może. Nie był to pierwszy taki przypadek w dziejach

wojskowości i fantastyki naukowej. Przemądrzali analitycy z Akwarium wskazywali skandal, do którego doszło w Stanach Zjednoczonych, kiedy w czasie wojny jeden z magazynów science fiction opublikował opowiadanie o śmiercionośnym atomowym pyłe, akurat kiedy imperialistyczny program produkcji bomby atomowej nabierał w sekrecie rozpędu. Agenci FBI natychmiast stawili się w redakcji, podejrzewając, że ktoś przejrzał tajemnice amerykańskiej soldateski. Ale Stany to Stany – tam skandale i zdrady to rzecz codzienna. U nas – co innego. U nas porządek musi być. Na wszelki wypadek zarządzono więc dożywotnią obserwację Kira Bułyczowa.

Wracając do Czapajewa. Nie od niego w rzeczywistości się zaczęło, ale fenomen ludzi dokonujących rzeczy niezwykłych nadludzkim, zdawało się, wysiłkiem woli bardzo naszych naukowców interesował. Nie jest on zresztą wcale taki rzadki, jak by się mogło zdawać. Na pewno widzieliście nieraz, jak niesiony dopingiem przyjaznych trybun sportowiec osiąga wyniki lepsze od swych życiowych rekordów, a polityk przemawiający z trybuny wzbudza entuzjazm, który w rewanżu zdaje się nieść mówcę ku nieosiągalnym dotąd wyżynom elokwencji, osobistego uroku i pewności siebie.

Naukowcy radzieccy, którzy jak wiadomo najlepsi są na świecie, po latach wytężonej pracy i eksperymentów wiedzieli dwie najważniejsze rzeczy. Po pierwsze, owe rzeczy niezwykle nigdy nie stawały się możliwe dzięki woli jednostki, lecz zawsze zbiorowości, co było jak najbardziej zgodne z zasadami marksizmu-leninizmu, wedle których jednostka jest niczym, a ważne są procesy historyczne. Po drugie, wiedzieli, jak ustalić, kto ma wrodzony talent, by wolę zbiorowości w odpowiedni sposób wykorzystać.

Czyniąc długą historię krótką: tak powstał Program, tak powstała nasza tajemnica tajemnic i dzięki temu w odpowiednim czasie także ja, wiele lat później rzecz jasna, trafiłem do Jednostki.

Skąd miałem wiedzieć, że wewnątrz programu jest jeszcze jakiś inny, tajniejszy program?

Rok 1991. Lato – część 2

Zatem: Kupfelweiser, jak pamiętacie, spojrzał mi głęboko w oczy i zapytał:

– Jelenę Hunter, jak pamiętam, dobrze znacie, nieprawdaż?

A ja na to, że tak. A on wtedy:

– Myślicie, że jest najpiękniejsza?

Odpowiedź była oczywista. Nie tylko tak myślałem, ale i wiedziałem – w końcu wciąż miałem w pamięci londyński glamour pokazywany w austriackiej telewizji, a pod powiekami powidoki zachwycającej Jeleny. Poczulem się jednak dotknięty nieco obcesowym potraktowaniem sprawy przez profesora. Sprawa w końcu była prywatna, to raz. A po drugie, w życiu wywiadowcy – wszak to było moim drugim życiem – trzeba być czujnym, bo nigdy nie wiadomo, w jakim celu pewne tematy są w naszej obecności poruszane i jakie motywy za tym stoją.

Odparłem więc coś, nawet niezbyt gburowato, ale i nie zanadto entuzjastycznie.

Profesor spokojnie dokończył swoją kanapkę z krakowską suchą.

– Zimno się robi – rzekł, choć wieczór był ciepły i pełen komarów. Potem wstał, a ja podążyłem za nim.

W atomowym schronie ukrytym pod willą przy Słupskiej zgromadziło się już tymczasem kilka osób, w większości weteranów Jednostki, co oznaczało chyba, że zbliżamy się do rozpoczęcia zapowiadanych przez generała Borysowa przedsięwzięć. Nie rozumiałem jeszcze wtedy, że część operacji jest już w toku – w innych krajach, takich jak Węgry i Rumunia. Był i personel pomocniczy oraz inni współpracownicy Borysowa, jak choćby pijany w trzy dupy Niczyporuk.

Ściany schronu miały kolor angielskiej musztardy, co nastroiło mnie melancholijnie, drogą prostych skojarzeń: musztarda angielska – Londyn – Jelena Hunter. Najgłośniej zachowywał się Niczyporuk, który w odróżnieniu ode mnie był już w fazie upojenia nie sentymentalnego, lecz agresywnego:

– Chuje Polaki! Swołocz obrzygana! Myśmy krew serdeczną za nich przelewali, a oni, chuje-muje, teraz pisać będą na ścianach, kurwa, co?! „Soweci do domu”?! A niech ich obesra wszystkich mamut syberyjski, niech im dupą wyjdzie ta ich jebana transformacja ustrojowa, niech wyzdychają wszystkie polskie kurwy, co się, chuje-muje, ich matkami, córkami i żonami nazywają!

Swoje gwałtowne wystąpienie kierował Niczyporuk do niedużego chłoptasia odzianego po cywilnemu, w którym było coś znajomego. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznałem w nim nieszczęsnego Obroma, znaczy Wołodę Pierewina, pseudo Obrońca Muru. Właściwie nie powinienem się dziwić, że berliński oddział jednostki ewakuowano do Poznania – było blisko i po drodze. Niby przegrupować się i do kontrataku.

Faktycznie, z początku plany były mocarstwowe.

General Borysow i profesor Kupfelweiser chcieli dla stabilizacji w regionie użyć całej grupy superbohaterów, oddelegowując na stałe po jednym do każdego zbuntowanego, niewdzięcznego kraju. Wytyczne były gotowe, kryptonimy bojowe też. Niezjed – Niemieckie Zjednoczenie. Neucz – Neutralizator Czechosłowacji. Konwęg – Kontroler Węgrów. Ruhaj – Rumuński Hajduk. Bułacz – Bułgarski Łącznik. Nip – Niszczyciel Polski. Wyjątkiem był Bałtroczyk – który miał do pasa przytroczyć Bałtów, znaczy trzy kraiki za jednym zamachem: Litwę, Łotwę i Estonię. Ale co to za kraiki, przyznajcie. Pożal się Lenin.

Niestety, zabrakło odpowiednich wykonawców do tego śmiałego i jakże przemyślnego planu. Choć Jednostka na papierze nadal była formacją bojową, w rzeczywistości rozformowano ją po kawałku. Fiasko operacji „Mur Berliński” było tylko jednym z wielu dowodów kryzysu i zmierzchu. Część chłopaków sprywatyzowano, odsyłając ich w służbę do tych zaufanych towarzyszy, którzy szykowali się do nadejścia nowych czasów, zamieniając generalskie mundury na garnitury prezesów, dyrektorów i inwestorów. Inni sprywatyzowali się sami, szybko wybijając się na niezależność w nowych rolach królów przestępczego świata Odessy, Leningradu, Doniecka, Kijowa i Moskwy. Paru strzeliło sobie w łeb, i to w sposób najbardziej wstydlivy ze wszystkich – bo z osobistych powodów, a nie z żalu za utraconą mocarstwową pozycją ojczyzny światowego proletariatu.

Widząc tamtego dnia w poznańskim tajnym schronie pijanego Niczyporuka, wystraszonego Obroma i kilku innych niespecjalnie wyróżniających się przedstawicieli Programu, zrozumiałem jedną rzecz. Każdy lubi myśleć, że jest wyjątkowy i stworzony do wyższych celów. Lubię myśleć tak i ja, a właściwie lubiłem, bo od

tamtych chwil co do mej obecności w rachubach generała Borysowa i profesora Kupfelweisera nie mam złudzeń: wynikała ona głównie z braku lepszego materiału ludzkiego. Koniec końców zostało nas bardzo niewielu. Nie wiedziałem ilu, podobno kilku, sugerował Niczyporuk, który w owych trudnych dniach stał się prawą ręką Borysowa, pozostawiając za sobą na dobre nudne austriackie ulice i wielkie wiedeńskie sznycle.

Zwątpienie zagościło w mej proletariackiej, nieistniejącej duszy. Jakże to tak? My sami kontra świat? My, niedobitki? My, przeżytki z epoki wiary w lepsze jutro? I dla kogo mieliśmy walczyć? Nawet nasze ukochane wołały dziś brylować na rautach nuworyszów z londyńskiego City. Jelena, bursztynowe słońce, płomieniu mych lędźwi, boginko czarnomorska, czemuś, ach, czemuś nam to uczyniła?

I znów bym się rozryczał, tak jak wtedy, podczas oglądania sekretnych filmów z Turbino, ale tym razem był obok mnie profesor Kupfelweiser, który ominął drące mordy towarzystwo i postąpił w głąb schronu. Usiedliśmy na drewnianych krzeselkach w jednej z mniejszych, pustych salek, której ściany nie były już żółte, lecz różowe, a profesor skubnął swą bródkę i rzekł:

– Porozmawiajmy.

Profesor i generał

Siedziałem więc i popatrywałem: a to na zielone i brązowe aparaty telefoniczne, a to na adapter w drewnianej obudowie (na talerzu leżała płyta „Pieśni i romanse frontowe”, a pierwszym utworem, pamiętam jak dziś, była „Piosenka frontowego szofera”),

a to na profesora Kupfelweysera i jego śmieszny usztywniany kołnierz, pozostałość po jakiejś kontuzji szyi.

– Powiedz no mi, Coffee Anan – zaczął profesor, a fakt, że użył mego dawnego kryptonimu z Angoli, niepomnie mnie wzruszył – powiedz, jaka jest podstawowa zasada strategicznego myślenia.

– Atakować! – odparłem, pomny lat szkolenia i wpajanych mi nauk.

– A bardziej precyzyjnie?

– Atakować na wszystkich frontach! – wypaliłem.

– To też – powiedział z pewnym zakłopotaniem profesor, jakby szykował się do pogadanki dla przedszkolaka.

– Atakować... z pieśnią na ustach, na chwałę socjalistycznej ojczyzny... nie poddawać się, eee... ani kroku w tył – kombinowałem, szukając w profesorskich oczach aprobaty.

– Nie do końca – rzekł Kupfelweyser. – Choć co do zasady ogólnej, masz oczywiście rację. Owszem, należy atakować. Kto nie atakuje, sam padnie ofiarą ataku, kto nie zgniata, ten sam będzie zgnieciony. Idzie jednak o to, by nigdy wszystkich jajeczek w jednym koszyku nie trzymać, wszystkiego na jedną kartę nie stawiać. Tak, prowadzić natarcie na wszystkich frontach: jawnych i tajnych, ale robić to z odpowiednim wyczuciem. Strategicznie znaczy elastycznie. Z jednej strony próbujesz i czujesz nadmierny opór? Opuuszczasz. Inna droga zawodzi? To się wstrzymujesz. Jeszcze inna zdaje się obiecująca i sprzeciwu nie napotykasz? Tam się przegrupuj, siły rzuć i przyj, i gnaj! To wielka praca, wielka i nigdy się niekończąca. Wszystkimi dostępnymi środkami musisz prowadzić bój – i wszystkimi jednocześnie, na dodatek – ale czynić to trzeba niesłychanie zręcznie, tu pochód wstrzymując, tam

udając, że się cofasz lub rezygnujesz, a jeszcze gdzie indziej niepostrzeżenie przechodząc do ataku.

– Przecież nie ma teraz żadnej wojny – rzekłem. – Nawet ta Amerykańców z towarzyszem socjalistą Saddamem Husajnem się skończyła.

– Wszystko jest wojną! – Profesor przybrał twardszy ton. – Rozejm to wojna i pokój to wojna. Pamiętaj, co mówię: w jednym miejscu odpuszczasz, w innym sobie powetujesz. Nic to, że działa milczą. Wszystko jest wojną! Nie tylko czołg, samolot i rakietę, nie tylko nabój czy granat. Widelec, samochód, książka, audycja telewizyjna, worek pszenicy, kosz bawełny, kubek wody, wiersz, rurociąg, ścięta sosna, lek na ischias – wszystko to jest wojną! Każda rzecz, którą wyprodukujesz, każde dziecko, które spłodzisz, każde słowo, które wypowiesz, najdrobniejszy nawet pyłek zmienia nieustannie bilans wojny, w której zasoby płynne są, ale cele niezmiennie. Zgnieciesz albo cię zgniotą. Ludzie myślą, że wojna to naloty, pancerniki, ostrzał artyleryjski, walka na bagnety, koszary i sputniki... Tak, to wszystko także jest wojną, ale wojna to coś więcej! I ty, i wy powinniście wiedzieć to najlepiej! Wy, ludzie Jednostki! Rozumiesz?

– Rozumiem – odparłem niepewnie.

Oczywiście nie rozumiałem. To znaczy – wtedy jeszcze nie zrozumiałem.

– Nie męcz chłopaka – usłyszeliśmy znienacka.

Przy drzwiach stał generał Borysow, którego ostatnio mniej widywaliśmy, bo sporo czasu zajmowało mu odgrywanie roli, która była jego oficjalną przykrywką. Przebywał tu jako zastępca generała pułkownika Wiktora Pietrowicza Dubynina, pełnomocnika rządu ZSRR do spraw obecności Armii Radzieckiej

w Polsce. Oznaczało to niekończące się nasiadówki z coraz bezczelniej zachowującymi się Polakami, którzy nie potrafili już rozmawiać o niczym innym prócz swoich głupich pretensji: a to, że im czołgi ropą las zapaskudziły, a to, że jakiś gieroj potrafił samochodem pijanego grzybiarza. Nawet umywalek i muszli klozetowych naszym wycofującym się żołnierzom żalowali.

Borysow wyglądał na zmęczonego, ale i tak bił od niego optymizm. I taka jakaś ojcowska pewność siebie. Podszedł do nas, złapał za krzeselko, odwrócił je ku sobie i wziął między nogi, siadając przodem do oparcia.

– Nie denerwujcie się, profesorze, nie trzeba. A wy, żołnierzu, słuchajcie uważnie. Profesorska głowa cięższa od waszej. I od mojej.
– Uśmiechnął się i skłonił w kierunku Kupfelweisera. – To może wam spróbuję wyjaśnić prościej, tak po żołniersku, co?

Zerwałem się z krzesła, nieudolnie spróbowałem strzelić obcasami (ach, te przeklęte cywilne kamasze) i znów usiadłem.

– Na początek proste pytanie – rzekł generał. – Jak to możliwe, że lataliśmy? Pamiętacie jeszcze?

– Bo nie ma granic dla człowieka sowieckiego – wybąkałem. Chciałem wykrzyknąć, ale się od entuzjazmu powstrzymałem, bo już wyczułem, że nie chodzi tu o formułki z podręczników.

– Spokojnie, wiem, że znacie odpowiedź – kontynuował generał.
– Lataliśmy, bo po pierwsze, wierzyliśmy, że to możliwe. Po drugie, bo inni w to wierzyli. A po trzecie, bo jeszcze inni wierzyli, że dzięki tej wierze wszystko jest możliwe. I macie rację, to wszystko razem sprawiało, że nie ma granic dla człowieka sowieckiego. Co zechce, to zrobi. Zapragnie pójść sam jeden na hitlerowskie czołgi z granatem ćwiczebnym – pójdzie. I wróci. Pomarzy mu się lot na orbitę? Szast-prast, sralin-gagarin i już leci, hen, nad stratosferę,

sprawdzić osobiście, że żadnego burżuazyjnego boga i jego oka opatrności nad tym padołem łez nie ma. Zgadza się?

– Zgadza, towarzyszu generale!

– A dlaczego w pewnym momencie nasi superbohaterowie przestali odnosić sukcesy?

Zamarłem. Co innego po cichu się nad pewnymi sprawami zastanawiać, a co innego wprost z generałem rozmawiać o sprawach trudnych i niewygodnych dla najwyższych władz partyjnych, armijnych i państwowych.

– Wyczerpanie, podstępne knowania wroga – próbowałem wyliczać. – Gorszy materiał genetyczny w młodych pokoleniach. Zdrada sojuszników...

Borysow kręcił przecząco głową. „Alkoholizm” – chciałem dodać, ale ugryzłem się w język. Generał westchnął.

– Jak was w podręczniku Jednostki nazywano?

– Broń psychozależna, towarzyszu generale!

– Otóż to. „Psychozależna”. Znaczy zależycie od innych. Ich siła – waszą siłą. Ich wiara – waszą potęgą. A kiedy tej siły zaczyna brakować, kiedy wiara się wyczerpuje, nadchodzą kłopoty.

Trudno się było z towarzyszem generałem nie zgodzić. Lata płynęły. Kryzysy nadchodziły i odchodziły, w Szkole Sowieckich SuperBohaterów niby robiło się coraz tłoczniej, ale coraz mniej kadetów promowano na bojowców.

– Ludzie radzieccy już w was nie wierzą – rzekł profesor Kupfelweiser.

– Nie wierzą, że istniejemy? Ale jak to? – próbowałem bronić honoru swojego i chłopaków. – W ostatnim roku czynnej, znaczy oficjalnej służby szesnaście tysięcy kilometrów zrobiłem z akademiami. Pierwszego maja byłem na czterech pochodach:

w Moskwie, w Mińsku, w Riazaniu, a i do Karagandy jeszcze zdążyłem. Łeb mi co dzień pękał od wiader, które sobie rozwalałem na czole, żeby bachorom w szkołach na pogadankach pokazać, ile wytrzyma człowiek radziecki. Jak to – nie wierzą? Miliony ludzi mnie wtedy widziały.

– Oni wiedzą, że istniejecie – uspokajającym tonem włączył się znów do rozmowy Kupfelweiser. – Tylko nie wierzą, że jesteście coś warci. A właściwie inaczej: są przekonani, że jesteście warci tyle, co wszystkie nasze inne radzieckie sukcesy. Czyli niewiele. Oto korzenie naszej klęski: wroga propaganda zdołała przekonać ludzi, że nasza gospodarka się sypie, że armia jest przestarzała, że elektrownie atomowe zawodne. Ludzie wiarę stracili, więc i masówki wam już nie pomagały. Nasze interwencje międzynarodowe też psu na budę się zdają, bo miejscowe ludy w naszą potęgę nie wierzą, więc nie ma skąd energii zaczerpnąć.

Przypomniałem sobie własną niemoc w Nikaragui. Przypomniałem sobie wyjątkowo niskie loty Obroma w Berlinie.

– Co robić?! – zawołałem zdruzgotany. Jak widzicie, to klasyczne pytanie, wywiedzione z nauk Lenina i Czernyszewskiego, towarzyszyło mi nieustannie.

– A co wy byście zrobili? – zapytał Borysow.

– Trzeba ich do tej wiary znowu nakłonić.

– Zmusić?

– Jak trzeba, to i zmusić!

– No patrzaj, jaki nam się nowy Trocki znalazł, skrzyżowany z Tuchaczewskim – zaśmiał się generał. – Nie, żołnierzu. Nie tędy droga.

– A którą?

– A tędy, żeby ich przechytrzyć.

– Wybaczcie, towarzyszu generale – rzekłem, samemu się zastanawiając, skąd we mnie tyle odwagi straceńczej, by wyższej szarzy kolejne pytanie zadawać – ale co to wszystko ma wspólnego z Jeleną, znaczy panią Hunter, znaczy towarzyszką Krawcewą...

Generał Borysow już otwierał usta, już miał odpowiedzieć, już kąciki ust w dobrotliwy uśmiech się zaczynały układać, ale los, a właściwie historyczna konieczność, ten parowóz dziejów jadący tylko w jedną stronę: naprzód, naprzód, naprzód, sprawiły, że stało się inaczej.

Strzelanina, która wybuchła w korytarzach schronu, była krótka, ale intensywna. Pozostał po niej zapach dymu, obolałe błony bębenków w uszach, gorące łuski walające się po podłodze, pył z przestrzelin w ścianach i kilkanaście ciał. Wśród nich leżące u mych stóp ciało generała Borysowa. Na bluzie munduru wykwitła ciemnoczerwona plama krwi, moim zdaniem przypominająca nieco kształtem Europę Zachodnią.

Profesor Kupfelweiser, ku memu zdziwieniu, nawet nie drgnął. Jakby się tego wszystkiego spodziewał. Wskazującym palcem prawej ręki w policzek się podrapał, z kieszeni marynarki wyjął drugą parę okularów (ta, którą miał na nosie, była uszkodzona – kawałek tynku rozbił lewe szkło) i powiedział:

– A już się bałem, że nie zdążą przed kolacją.

Odpowiedział mu przeciągły jęk jednego z rannych, który dobiegł nas z salki konferencyjnej. Ktoś szybko zakończył go strzałem z broni krótkiej.

Pułkownik, generał, profesor

Mężczyzna, który wszedł do naszego podziemnego pokoiku, miał około czterdziestki, uszy odstające jak skrzaty z angielskich bajek, oczy zimne, wzrost średni, garnitur szary.

Profesor Kupfelweiser przywitał się z nim jak ze starym znajomym, ale bez zbędnej czułości. Niedźwiedzia nie było, tylko twarda męska łapa i mocne spojrzenie prosto w oczy. Tak witają się ludzie, którzy wiedzą, czego chcą, nie wahają się po to sięgnąć i rozumieją, że cel uświęca, a czasem okrwawia środki. O czym dobitnie zaświadczył kolejny jęk konającego w salce konferencyjnej i kolejny wystrzał, który zabrzmiał jak kropka postawiona na końcu bardzo poważnego zdania.

– To ten? – zapytał przybysz, wskazując na mnie krótkim ruchem głowy.

– Ten, towarzyszu pułkowniku – potwierdził profesor.

Człowiek w szarym garniturze popatrzył na mnie jak właściciel stajni wyścigowych koni na eksponat z targu chabet.

– Mogliśmy trafić lepiej – orzekł i wyszedł. A w mojej duszy zapaliło się światełko nadziei. Bo nie miałem mu surowej oceny za złe. Rację miał, ten zimny i obcy towarzysz, ledwie okiem rzucił i wiedział. Przy generale Borysowie często mnie nachodziły skryte wątpliwości. Żołnierz dobry, organizator dobry, odważny komunista, dobry człowiek radziecki. Ale czy mu się uda? Czy nam wszystkim się uda? Człowiek w szarym garniturze budził zaś w mej nieistniejącej z materialistycznego punktu widzenia duszy pewność: oto taran, którym rozbijemy wszelkie zapory oddzielające nas od lepszych czasów. Tak być musiało. Może sprawił to lekko niemiecki akcent w słowach przybysza, a może jego niezwykle pewne ruchy, po których znać było, że musiał ćwiczyć sporty walki i potrafi zabijać gołymi rękami.

Tak zakończył się w dziejach Jednostki długi i trudny etap, rozpoczęty w roku 1953.

By w pełni go zrozumieć, trzeba cofnąć się aż do chwili, którą – jak wiele innych – cisnąłem w ogień wraz z teczką towarzysza Miełtuchowa, będącego, jak już wspominałem, bliskim znajomym i współpracownikiem Ławrientija Pawłowicza Berii. Cicha wojna o kontrolę nad Jednostką zakończyła się wtedy zwycięstwem GRU, ale nie została zakończona. Niemal czterdzieści lat później KGB wzięła odwet na Zarządzie Dziesiątym, który nadzorował Program. Wydarzenia, których byłem świadkiem w przeciwartomowym schronie przy ulicy Słupskiej 62 w Poznaniu, były symboliczną kulminacją tej operacji. Nijaki człowiek o odstających uszach i w szarym garniturze także nie wziął się znikąd.

– Pięć lat pracy wywiadowczej w demokratycznych Niemczech – wyjaśnił profesor Kupfelweiser. – Wielu moich uczniów sporo mu zawdzięcza. Niemieccy towarzysze nie płacili najlepiej. A kto po cichu pracował dla nas...

Przerwał mu jeszcze jeden wystrzał, tym razem niepoprzedzony jękiem. Ludzie człowieka w szarym garniturze bardzo starannie wykonywali swoją robotę. Potem się dowiedziałem, że była to kula, która skróciła cierpienia Niczyporuka.

Później zarządzono ewakuację, bo nawet legendarny polski burdel i ogólny nadwiślański (w tym przypadku nadwarciański) pizdiecyzm nie gwarantował, że lada moment nie pojawią się przed willą jacyś sfrustrowani policjanci albo wysłannicy polskiego GRU zwanego teraz WSI. Noc zapadała nad Poznaniem, kiedy pomalowane w barwy ochronne śmigłowce uniosły nas ze sobą, zostawiając w dole zgniecioną trawę na poboczu ulicy Słupskiej, zmierzwione czubki drzew rosnących dookoła i zimne wody jeziora

Kiekrz, od których odbijał się przez chwilę szum silników. Ciała zabitych podwładnych generała Borysowa wrzuciliśmy do jeziora. Mówię „wrzuciliśmy”, bo i ja wrzucałem.

– Wszystko będzie dobrze – uspokajał mnie profesor. – Tak trzeba – dodał, kiedy wypychaliśmy ze śmigłowca Niczyporuka.

Tak trzeba, tak trzeba... wiedziałem, że tak trzeba. Skoro lepsi i mądrzejsi ode mnie, nie wspominając o wyższych szarżą, uważają, że tak trzeba – to trzeba. A jednak żal mi było generała Borysowa, od którego nigdy niczego złego nie zaznałem i który wyciągnął mnie z Wiednia, a teraz zamienił się w karmę dla węgorky.

Z drugiej strony, pożegnawszy w życiu na zawsze w różnych okolicznościach tak wielu dawnych druhów i idoli z Jednostki, nie mogłem się powstrzymać przed dostrzeżeniem w owych poznańskich wypadkach pewnej adekwatnej do naszych losów symboliki. Czyż nie jest tak zawsze, że krwawa przeszłość zwiastuje ekscytującą przyszłość? Gdy parowóz dziejów przyspiesza, lepiej być pasażerem, niż lec pod kołami.

Ufałem profesorowi, a on ufał człowiekowi w szarym garniturze, z którym, jak mi wyznał już na pokładzie ewakuujących nas śmigłowców, współpracował od wielu lat, nadzorując rozmieszczony w demokratycznych Niemczech Wschodnich projekt specjalny nazwany w ramach kampanii dezinformacyjnej Pułkiem Technologii i Innowacji. Nie był to bowiem żaden pułk, nie było w nim żadnych batalionów, istniała tylko sieć niewielkich grup pracujących nad wybranymi zagadnieniami fizyki, psychologii i socjologii oraz kultury i sztuki, ze specjalnym naciskiem na kulturę masową i współczesne techniki perswazji. Oficjalnie pułk podlegał Zarządowi Dziesiątemu GRU (strategiczne analizy wywiadowcze) i był ekspozyturą Centralnego Instytutu Naukowo-

Badawczego. Ha, szukaj wiatru w polu, kapitalistyczny szpiegu! I rzeczywiście, szukali tajemniczego pułku, który miał rzekomo pracować nad nowymi raketami międzykontynentalnymi. Nie wiedzieli, że to mistyfikacja w mistyfikacji: nie dość, że ów organ wyglądał inaczej i zajmował się czymś zupełnie innym, to jeszcze prawdziwą kontrolę sprawowali nad nim nie generałowie z Akwarium, lecz kagiebowcy z frakcji leningradzkiej, którą – jak oznajmił mi profesor – reprezentował także człowiek w szarym garniturze.

I opowiadał dalej.

Materiał do przemyślenia

A oto i druga tajemnica. Tajemnica wewnątrz tajemnicy.

Rekrutacja kobiet do Jednostki przebiegała na trzech polach.

Po pierwsze, poszukiwano żołnerek bystrych i bezwzględnie lojalnych – do służby pomocniczej.

Po drugie, testowano kandydatki do Programu. Republika Rad nikogo nie dyskryminuje, dlaczego więc kobiety miałyby być wyłączone z prac nad najdoskonalszą w dziejach bronią psychozależną?

Po trzecie, selekcjonowano żony dla superbohaterów. Nigdy niczego nie wolno pozostawiać przypadkowi. Przeszłość trzeba wymazywać w imię przyszłości. Dawne życie bohaterowie musieli zostawić za sobą, nikt przecież nie wyobrażał sobie, że będą dopuszczeni do największej tajemnicy tajemnic tylko po to, by w domach zdradzać nasze sekrety elementom niepewnym i niesprawdzonym, znaczy połowicom i dzieciuchom.

Pierwsze założenia wypełniano bez pudła. Dziewcząt bystrych i bezwzględnie lojalnych u nas nie brak, w dodatku ślicznie się prezentują w obcisłych mundurach jednostek łączności. Zdaniem intendenta Skrupina, który stosowne rachunki znał, a i doświadczeniem dysponował niewąskim, wśród personelu pomocniczego Jednostki dziewczuchy nawet przeważały.

Z drugim punktem był kłopot. Okazało się bowiem, że kobiety superbohaterki osiągają dużo gorsze wyniki niż mężczyźni. Długo nie było wiadomo dlaczego, ale wieloletnie badania najlepszych na świecie uczonych radzieckich dały odpowiedź i na to pytanie. Otóż przyczyną była zwykła babska zazdrość.

Zaawansowana broń psychozależna, którą byli superbohaterowie, zależy, jak już się rzekło, od wsparcia i entuzjazmu mas. W typowym tłumie połowę stanowią kobiety. O ile z zachwytem wpatrywały się one w męskich superbohaterów, o tyle latającym dziewczynom po prostu zazdrościły, a przez to i ich nie cierpiały. Zazdrościły, że są ładne, że wysportowane, że z bliska znają tyłu sławnych, atrakcyjnych i zasłużonych dla ojczyzny proletariatu chłopców. Krótko mówiąc, wyniki superbohatek zawsze były przynajmniej o połowę gorsze od tych osiągniętych przez mężczyzn – bo mogły liczyć zaledwie na połowę entuzjazmu, jakim cieszyli się Stalen, Marlen czy Hunter. A dochodziły do tego i różne inne czynniki, które koniec końców czyniły panie nieprzydatnymi we frontowych szeregach Jednostki.

Zadanie trzecie, znaczy selekcja żon i partnerek dla superbohaterów, okazało się najłatwiejsze. Pomyłek było niewiele, a skandale obyczajowe składano na karb natury ludzkiej i niestałości niewieściej. Naukowcy-akademy nie mogli się także doczekać, kiedy ujrzą pierwsze dzieci spłodzone przez superpary.

Wiele sobie po tym obiecywali, ale się przeliczyli. Z przyczyn wciąż nieustalonych dzieci stanowiące krzyżówki genów superbohaterstwa okazywały się dla Programu nieprzydatne.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego stulecia w kwestii kobiecej nastąpił jednak przełom. Na jego trop wpadł przypadkiem jeden z docentów, który podczas jakiejś popijawy w laboratoriach Jednostki zażartował, że uroda Olgi Marlen mimo jej licznych wysiłków nie chce przeminąć. Drugi zawołał, że Jelena Hunter też jest niby czarodziej Merlin – jakby żyła pod prąd czasu: lata mijały, a ona wciąż piękniała. A może i młodniała?

Z tym odmładzaniem to bzdura, praw natury nie da się obejść, tak jak praw rządzących historią i rozwojem społeczeństw (od feudalnych, przez kapitalistyczne, ku socjalistycznym). Jednak coś było na rzeczy – Olga i Jelena, obydwie pozytywnie testowane pod względem przydatności w Programie, acz niewykorzystywane z przyczyn, które wyłuszczyłem, stawiały zadziwiający opór bezlitosnym zmarszczkom czasu.

Oto i wytłumaczenie – wskutek niewielkich różnic międzypłciowych kobiety nieco inaczej niż mężczyźni zagospodarowywały niewidzialny kapitał, jakim obdarzały je tłumy. Były, można powiedzieć, nieco inaczej psychozależne. Im więcej osób je podziwiała, tym były piękniejsze. Im więcej im zazdrościło, tym w lepszej były formie.

Na cóż piękno na wojnie, zapytać ktoś może. I ja o to zapytałem.

– Czasy bohaterów przemijają – tłumaczył mi spokojnie profesor Kupfelweiser. – Globalizacja, atomizacja, integracja. Sratypierdaty. Nadchodzą inne czasy, potrzebne są nam inne środki. Soft power, powiedzieliby Amerykańce. Modelki, tenisistki,

aktorki, piosenkarki. Kochanki miliarderów, przyjaciółki polityków. Piękne dziewczyny. Niezwykłe dziewczyny. Dziewczyny z Programu. Nasze żeńskie bronie psychozależne: im bardziej je podziwiasz, tym piękniejsze się stają. Im bardziej kochasz – tym większą im siłę oddajesz. Siłę, którą my wykorzystamy.

– Skrytobójczynie? – spytałem niepewnie.

– Oj, Anan, nie bądź taki z minionej epoki. – Kupfelweiser aż się roześmiał. – Nikogo zabijać nie trzeba. Wystarczy uwagę przekierować. Na nieistotnych sprawach skupić. Widzisz, dlatego się nasze drogi z generałem Borysowem rozejść musiały: on chciał dobrze, ale marzyły mu się kontruderzenia militarne. Soft power chciał wykorzystać z początku, a gąsienicami czołgów zakończyć. Nie tak trzeba, nie tak! Czasy się zmieniają. Ludzie nie wierzą już w skuteczność wojen, wszystkie wielkie armie świata skompromitowały się po równo: nasi w Afganistanie, tamci w Wietnamie. A kiedy ludzie nie wierzą, świat się zmienia. Ze wszystkich broni najważniejszą jest wola. Żeby coś osiągnąć, trzeba najpierw tego chcieć. Kiedy nie wiesz, czego chcesz, kiedy twoja wola rozproszona jest na tysiąc celów, kiedy setki suflerów, jak w dzisiejszej światowej gospodarce nadmiaru, podpowiadają ci: pragniesz tego, tamtego, a może czegoś innego – wtedy niczego konkretnego zrobić nie zdołasz.

– Tak jak superbohaterowie, w których siłę nikt już nie wierzy?

– Otóż to, Anan.

– Ale to oznacza koniec. Wojny, walki, wszystkiego. Kiedy już nikt niczego nie chce i w nic nie wierzy, to znaczy chce wszystkiego i wierzy we wszystko po trochu, to czeka nas wiek chaosu, bezkształtu, bezsensu!

– Dobrze kombinujesz, Anan. Ale nie do końca. Po pierwsze, z chaosem i bezkształtem jest jak z gliną. Są tacy, którzy narzekać będą, że to masa bez właściwości. Ale są i tacy, którzy wyciągną inny wniosek: będzie miała taki kształt, jaki nadadzą jej sprawne ręce. Trzeba tylko dwóch rzeczy: wiedzieć, czego się chce, i wiedzieć jak. My wiemy. My jesteśmy tymi dłońmi, Anan. To po pierwsze. A po drugie – nie jest prawdą, jakoby ludzie już w nic nie wierzyli. Ludzie... – tu zawahał się profesor – ludzie są jak gwiazdy, zawsze czymś promieniują, chcąc nie chcąc, bo taka jest ich natura. A nasza rzecz to naturę zmiany wychwycić i wykorzystać. Nasze nowe dziewczyny z Jednostki to dopiero początek. To jedna sfera wpływów. A druga... Druga ważniejsza. Naprawdę istotna. W drugiej działał będziesz między innymi ty.

– I co chwycimy na początek, towarzyszu profesorze?

A Kupfelweiser zmrużył oczy jak kot, który ma na widoku wyjątkowo tłustą mysz.

– W imię czego, powiedz, Anan, tak zwany wolny świat prowadził wojnę z naszą socjalistyczną ojczyzną? O czym najgłośniejsz gardłował?

Rok 2014

Lecę.

Pod moim brzuchem układa się grzywiasty kobierzec, spokojny i niewzruszony od stuleci. Morze pachnie oszałamiająco, czuję to nawet na tej wysokości.

Lecę.

Czasem zanurkuję w chmurę. Powstrzymać się nie mogę, zwłaszcza gdy widzę przed sobą obłoki ciężkie od gromadzącego się w nich deszczu. Wilgoć skrapla się mi na czole, a ja gnam już dalej, ku ziemi, zabierając ze sobą wodę z nieba. Jak prawdziwy złodziej deszczu.

Och, nieszczęśni, gdyby była to jedyna rzecz, jaką wam ukradłem.

Lecę i wspominam wszystkie drogi, którymi wędrowaliśmy przez te lata.

Chłodny wiatr przypomina mi tamten sierpniowy poranek, kiedy na betonowej płycie wojskowego lotniska pod wsią Skarbimierz, po przeprowadzeniu pierwszych, jakże obiecujących testów, profesor Kupfelweiser, świeć Marksie i Engelsie nad jego nieistniejącą z materialistycznego punktu widzenia duszą, zawołał:

– Brawa dla Wowy!

A ja skłoniłem się niby akrobata, który właśnie zakończył na trapezie wyjątkowo skomplikowane ewolucje i teraz pośrodku areny napawa się owacją. To był dobry dzień. Przeleciałem nad kilkoma miasteczkami i czułem, że wszystko jest jak dawniej.

Czułem moc.

– Brawa dla Wowy – powtórzył poważnie człowiek w szarym garniturze.

Zarumieniony, uśmiechnięty i szczęśliwy wzbiłem się jeszcze na chwilę w powietrze, wykręciłem beczkę i stanąłem naprzeciw pułkownika.

– Dlaczego dla Wowy? – zapytałem. – Przecież nie tak na mnie wołają.

– To wasz nowy kryptonim – rzekł człowiek w szarym garniturze. – Wolne Wybory.

I odszedł do swoich spraw, których tak wiele miał przecież do nadzorowania. Jak choćby szkolenie nowych rekrutów, spośród których wyłonić miał się wkrótce nowy superbohater: Konerg. Kontroler Energetyczny.

Długo wiodłem wzrokiem za jego wysportowaną sylwetką.

– A on? – zapytałem profesora Kupfelweisera, który stał obok i szczęśliwy był jak ja, że jego teoretyczne wyliczenia sprawdzają się w praktyce. – Jak będziemy mówić na niego?

– Nijak – rzekł Kupfelweiser. – Pułkownik to pułkownik. Pułkownik od Technologii i Innowacji. Co tu skracać. Spróbuj sam, jak chcesz.

Spróbowałem, co i wam rekomenduję.

To było wtedy.

A teraz jest jeszcze lepiej.

Teraz

Lecę.

Lecę i zrzucam z siebie stare wspomnienia jak ze starych butów kurz.

Lecę wzdłuż brzegu Morza Czarnego, przesuwa się pode mną krymskie wybrzeże, szczyt góry Ajudah, a u jej stóp stary obóz Jednostki w Arteku. Widzę go, widzę oczyma duszy mojej, widzę, jak znikają rdzewiejące łańcuchy, jak schnie świeża farba na deskach baraków, jak na placach gier sportowych roi się od rekrutów, jak znów w klasach skrzypi kreda, choć nie brak i bezprzewodowego Internetu.

Lecę nad portami, statkami, plażami.

Mam ochotę płaszać, mam ochotę śpiewać. Nade wszystko zaś mam ochotę wykrzyknąć:

– Patrzcie w niebo!

Wiem, że nawet jeśli spojrzą, nawet jeśli mnie zobaczą, to nie uwierzą.

A w co będą wierzyć?

W to co zawsze. Że porządek musi być. Że lepiej nie mieć kłopotów, niż je mieć. Że wszystko chuj, więc nie ma znaczenia, kto kogo. Byle do rana, byle do jutra. Będą wierzyć, że ktoś tam na górze wyraźnie ich lubi.

A na górze jestem tylko ja.

To nie ptak. Nie samolot. To ja.

Wolne wybory, wolny rynek, komunizm, socjalizm, ekologizm, islamizm, weganizm, terroryzm – w cokolwiek uwierzycie, opiję się waszą wiarą jak bąk. Będę waszym cichym współnikiem. Waszym cichym superbohaterem. I nic mi nie zrobicie, bo wśród milionów rzeczy, w które uwierzyliście, jest i ta: że wszystko jakoś się samo ułoży.

Gdybym wami nie gardził, byłoby mi was żal.

Lecę. Oto na horyzoncie już Odessa, której budowie raz zdają mi się olśniewająco białe, jak wakacyjny kapelusz sędziwego generała Borysowa, a raz bursztynowe jak oczy Jeleny Hunter, która będzie nieśmiertelna tak długo, jak wszyscy będą ją kochać i podziwiać. I ja wśród nich będę.

Lecę, a pode mną obraca się świat.

Byliśmy, jesteście, będziemy.

Lecę i śmieję się w głos.



Podróż Trzech Króli



B były to czasy magii. Nie tej wiejskiej, ordynarnej i plugawej, jaką do dziś praktykują wiedźmy, politycy i pisarze fantasy, lecz magii prawdziwej, budzącej podziw i przestach. Wielkiej magii, zdolnej tworzyć i niszczyć góry, piramidy, pałace, tarasy, terrasy i arrasy, a już z całą pewnością kariery. Kiedy? Nie tak dawno temu. Jakieś dwa tysiące lat. I świat pewnie dalej kłębiłby się w ten szalony, magiczny sposób, gdyby nie pewien dzień... A właściwie noc... Precyzując do końca – gdyby nie pewien wieczór.

Było tak: dawno, dawno temu (jeśli nie wiecie dokładnie kiedy, patrzcie wyżej), gdy całą Judeę władał niejaki Herod Okrutny, pewnego grudniowego dnia (choć o nazwie „grudzień” nie śniło się jeszcze nikomu) jedną z dróg wiodących przez Judeę podążało trzech wędrowców. Jechali, nie zważając na kiepską pogodę i złą sławę, jaką cieszyły się trakty w tamtych okolicach (czy dziś jest inaczej?). Czasem zmęczone wielbłądy odmawiały posłuszeństwa i kładły się w śniegu. Zziębnięci i coraz bardziej markotni podróżnicy zmuszali je do powstania, raz groźbami, raz błaganiem. Wielbłądy, jak to wielbłądy – długo się opierały, aż niechętnie wyświadczały im łaskę.

Brody wędrowców okrywał szron. Czynił to niemal tak samo szczelnie, jak opończe opinały ich pękate sylwetki, zasłaniając królewskie szaty. Niekiedy któryś z podróżnych, poirytowany sopłami zwisającymi z wąsów, rzucał delikatnie zakłęcie ciepłne. Nie zdawało się to na wiele. Woda na pasmach włosów znowu zamarzała, a spadające sople tylko drażniły wielbłądy. Po potężniejszą magię przezornie nie sięgali, po części z niechęci do marnowania talentu, po części nie chcąc ujawniać przed

towarzyszami podróży pełni własnych umiejętności. Takie właśnie nieufne stosunki panowały wówczas między ludźmi wpływowymi (czyż dziś jest inaczej?) oraz magami, także gdy magowie byli jednocześnie monarchami.

A ci akurat byli.

Wiatr dął z północy. Zaspy na drodze wydawały się rosnąć w oczach. Większość mijanych wiosek wyglądała na wyludnione. W innych nieliczni wystraszeni mieszkańcy kryli się przed obcymi pośpiesznie, gdy tylko zauważali ich przybycie. Nie przeszkadzało to wędrowcom. I tak woleli zachować cel podróży w tajemnicy. Inna sprawa, że pustka przygnębiała.

No i milczenie przygnębiało. Ludzie znaczni, poważani i bogaci uważali w owych czasach, że świat nie może się obejść bez ich rozważań na różne tematy – nieważne, czy świat był tym zainteresowany, czy nie (czyż dziś jest inaczej?). Stało się więc tak, że ktoś w końcu znacząco chrząknął i rozpoczął konwersację.

– A jeśli jedziemy na próżno?

Chrząkającym był Caspheer, który pierwszy poddał się zwątpieniu. I kontynuował:

– Jeśli za tym posępnym wzniesieniem jest tylko jeszcze jedno, takie samo? A za nim następne i następne, aż do morza?

Wyraził tym samym niepewność, która kryła się w duszach całej trójki. Nie powiedział więc niczego, z czym po cichu nie zgodziłby się każdy z jego towarzyszy. Pamiętajmy jednak, że magowie byli jednocześnie królami, a królowie muszą postępować wedle obyczajów królów. Te zaś nie pozwalają na to, by król mógł się z kimkolwiek tak od razu zgodzić, zwłaszcza z innym królem. Nie ma się więc co dziwić, że ta niewinna wypowiedź pociągnęła za sobą błyskawiczną ripostę. Która nie była przyjazna.

– A proroctwo? – rzucił zaczepnie Baal Thas-Ar. – Nikt nie podważył dotąd proroctwa. I poprzedniego proroctwa. I jeszcze poprzedniego. Pytałem Zwierciadła Wschodu. Rzucałem kości. Spaliłem trzynastu wróżbitów i czytałem prawdę z ich rozrzuconych prochów. Prawda jest taka: proroctwo nie kłamie.

Trzeci z podróżnych poczuł się oczywiście zobowiązany do wzięcia udziału w rozmowie. W owych czasach ludzie wpływowi i bogaci nigdy nie przegapiali okazji, żeby się czymś pochwalić.

– Mój ojciec – rzekł zatem Melkhyor – mawiał, żeby na dziesięć dzielić to, co gadają prorocy. Mnie – dodał wyniośle – podróż doradzili mędracy, a nie banda wróżbitów trzęsących grzechotkami z psich czaszek czy też czytających z kocich wnętrzności. MOI mędracy. Najlepsi na świecie.

Miało to oznaczać, że Melkhyor nie tylko wyśmiewa obawy Caspheera, ale i czyni to na podstawie wiedzy obszerniejszej i głębszej niż posiadana przez adwersarzy. Cóż, tak właśnie, a nie inaczej, zwykli ze sobą rozmawiać królowie, nawet ci po siedmiokroć mniej zadufani od gromadki podróżującej w tamtą niezwykłą noc na zachód.

– Dzień się jeszcze nie skończył – zauważył Baal Thas-Ar. I na tym poprzestał. Było to dobre posunięcie. Przemilczenie pozostawiało sporą swobodę interpretacji. Spierającej się parze naraz do głowy przyszło to samo: że skoro przemilczeli, to znaczy, że oddali mu ostatnie słowo. Zgadzając się na to, przyznawaliby jednocześnie Baal Thas-Arowi prawo do rozstrzygania sporów. Uznając to prawo, niechcący zgodziliby się z tym, że jest od nich mądrzejszy – do głupca po osąd przecież nikt się nie zwraca. Wszystko to razem stanowiło oczywiście doskonały powód do dalszej kłótni i doszłoby do niej niechybnie, gdyby nie litościwe

chmury, które rozstąpiwszy się na chwilę, ukazały oczom wędrowców ciemniejące pomału niebo i mrugającą przyjaźnie gwiazdę.

– To znak! – wykrzyknęli zgodnym chórem i pogonili wielbłądy. Tylko Caspbeer mamrotał coś wściekle pod nosem i zdaje się, że było to coś wcale nieprzystojącego królowi (nawet podróżującemu incognito).

Zmierzchało. Nad ziemię, którą po latach nazwano Świętą, nadciągała ciemność. A wraz ze zmierzchem nadchodziła zmiana.

Pierwszy przekonał się o tym Melkhyor, kiedy splótł palce w skomplikowanym magicznym rytuale, pragnąc posłać przodem czarodziejski ogień, który oświetliłby podróżnym drogę. Bezskutecznie. Wtedy pomyślał, że zapewne niezbyt wyraźnie wypowiedział stosowną formułę, jaka powinna towarzyszyć znakowi – trudno wszak mówić wyraźnie z wódzami w zębach. Owinął więc wodze wokół łęku i spróbował ponowić zaklęcie. Z równie miernym rezultatem. Mam zbyt zmarznięte palce, pomyślał. Postanowił zatem przerwać milczenie, zupełnie jakby wierzył, że rozmowa pozwoli mu zapomnieć o mrozie i mroku. Sporo przy tym ryzykował – na przykład dalszą kłótnię – lecz jak wiadomo, monarchom przystoi od czasu do czasu próba podjęcia ryzyka (niewielkiego).

– Myślę, że już niedaleko. A my jesteśmy na dobrym szlaku – rzekł więc. I choć nie były to słowa najmądrzejsze (wszystkim akurat wydawało się, że jest równie daleko, jak dnia poprzedniego lub jeszcze poprzedniego), pozostała dwójka zrobiłaby dobrze, godząc się z nimi choćby dla uspokojenia atmosfery. Ale oczywiście królewska duma i kłótniwość wzięły górę.

– Przecież już nawet gwiazdy nie widać – zaproponował Caspbeer.
– A droga zakręca.

Faktycznie, dywan szarych, nisko płynących chmur znowu okrywał całe niebo. Światelko nad horyzontem nie było już dostrzegalne.

– I co, bez gwiazdy będziemy zgubieni? Nie znajdziemy drogi? – prychnął Baal Thas-Ar. – Wszystko bierzesz dosłownie? Legendy także?

– W moim królestwie nawet legendy są mi posłuszne – zaperzył się Caspbeer ni w pięć (tę cyfrę pisało się w owych czasach tak: V), ni w dziewięć (a tę tak: IX).

Należy jednak pamiętać, że nie wszystko, co mówią władcy, musi zaraz mieć jakiś sens. Podobnie jak to, co mówią cesarze, prezydenci czy, dajmy na to, pisarze fantasy. Grunt, żeby wydawało się tajemnicze. Król nie powinien bowiem być osobą zbyt łatwą do przejrzania (to, że zazwyczaj i tak nie ma czego oglądać w środku, to już zupełnie inna sprawa).

– Jeśli nie wierzysz w prorocтва i legendy – roześmiał się Baal Thas-Ar – to powiedz, proszę, co wiesz w jukach?

Była to trafna uwaga. W jukach akurat wszyscy mieli to samo, zapakowane w zgrabne i poręczne skrzyneczki. Dziwnym trafem owa zawartość w pełni zgadzała się z legendami, podaniami, wróżbami oraz znakami, nie mówiąc o podpowiedziach Zwierciadła Wschodu i sproszkowanych, rozrzuconych na wiatr wróżbitów.

Nietrudno wyobrazić sobie, jak potoczyłaby się dalej ta rozmowa – niedobrze. Nie doszło jednak do tego, gdyż uwagę podróżnych zaabsorbował leżący przy drodze głaz. Melkhyor zsunął się z wielbłąda i zapadając się w śniegu, dobrnął do kamienia, by

oczyściwszy rękawicą jego powierzchnię, odczytać inskrypcję. Z zawiedzioną miną wdrapał się z powrotem na siodło.

– Betlejem – westchnął rozczarowany. – Nigdy nie słyszałem o takim miejscu.

– Mówiłem, że zgubiliśmy drogę – zaczął zrzędzić Caspheer.

– Twoi wróżbici nie przewidzieli takiej możliwości? – dolał oliwy do ognia Baal Thas-Ar. – A może jednak coś powiedzieli, tylko pamięć szwankuje ci na starość?

Żaden mężczyzna powyżej trzydziestki nie lubi aluzji do swojego wieku, królowie zaś nie cierpią tego w szczególności. Pewnie dlatego, że we własnym mniemaniu będą panować wiecznie. Caspheer poczerwieniał, nadał się i już rozważał w myślach, czy odpowiedzieć na obrazę celnym słowem, czy od razu ściągnąć adwersarza na ziemię i wgnieść w zaspy (po królewsku, ma się rozumieć), kiedy na szczycie pobliskiego wzgórza niespodziewanie pojawił się człowiek. Przyniosło to natychmiastowy rozejm, gdyż kto jak kto, ale królowie muszą dbać o pozory bardziej niż inni.

Była to roztropna decyzja. Nie wypada kłócić się przy człowieku z gminu, a nadchodzący piechur był zwykłym pasterzem, nędznie odzianym i brudnym od stóp po dziurki w nosie (te zresztą dopiero były brudne!). Czyli bardziej pastuchem niż pasterzem.

– Stój, człowieku! – krzyknął Caspheer, skwapliwie korzystając z okazji do wyplątania się z nadchodzącej bójki przez ucieczkę do przodu. – Ani kroku dalej, mówię!

Było to dość absurdalne wezwanie, ponieważ pastuch znajdował się dość daleko, więc pewnie i tak niczego nie słyszał. A skoro nie słyszał, to nie mógł się zatrzymać. Szedł więc przed siebie, a kiedy znalazł się blisko, zatrzymał się z własnej najwyraźniej woli, nie dalej jak dziesięć kroków od wielbłądów. Lewą ręką podrapał się po

skudłanych włosach, prawą podciągnął spodnie z niechlujnie wyprawionej koziej skóry i w milczeniu zabrał się do tego, co pastuchom wychodzi najlepiej: bezmyślnego gapienia.

– Gadaj zaraz, co to za okolica! – gromko zaczął Baal Thas-Ar. Nie zamierzał oddać inicjatywy konkurentom. – Wielkie to miasto, Betlejem?

– Iii tam, panie – niechętnie rzekł pastuch i głośno pociągnął nosem. – Nie za wielkie.

Tu przerwał, by pomyśleć. I po chwili uzupełnił śmiałą wypowiedź:

– I nie za małe. Zwyczajne. Miasto takie.

– A jest tu, dobry człowieku, w okolicy jakieś święte miejsce? – zapytał Melkhyor.

Pastuch znów pociągnął nosem.

– Święte miejsce? – powtórzył podejrzliwie. – A bo ja wiem... Znaczy jakie?

– Takie, w którym dzieje się coś niezwykłego – zachęcił go Melkhyor.

Oblicze wieśniaka pojaśniało.

– Karczma? – powiedział z nadzieją.

– Zaraz każę go oćwiczyć – zimno rzekł Caspheer, zapominając, że nie będzie komu wypełnić królewskiego polecenia, bo podróżowali bez służby i żołnierzy.

Pastuch nie wydawał się wystraszony. Wsadził palec do nosa i podłubał.

– Czyli nie znasz żadnego świętego miejsca? – dopytywał Melkhyor. – I nie chodzi mi o karczmę. Dobry człowieku – dodał.

Pastuch podrapał się po głowie, westchnął, sapnął, smarknął w śnieg.

– Nie wim.

– Oto człowiek, który wie, jak rozmawiać z królami – zimno zaśmiał się Caspheer.

Na dźwięk słowa „królowie” pastuch zeszywniał.

– Wy Herodowi? – zapytał podejrzliwie, ale i z tonem niepewności w głosie. Monarchowie spojrzeli po sobie zdziwieni.

– Kto to taki ten Herod? – zapytał Baal Thas-Ar.

– Król, panie – lękliwie odparł pasterz. – Król, wielki i okrutny. Caspheer, Melkhyor i Baal Thas-Ar zarechotali zgodnie.

– Dobry człowieku – objaśnił dobrotliwie Baal Thas-Ar, kiedy atak wesołości mieli już za sobą – oprócz nas nie ma na świecie wielkich królów. Jedziemy ze wschodnich krain, by ujrzeć cud, który przepowiedzieli prorocy. Podobno tu, w Judei, ma się wydarzyć coś, co położy kres światu, jaki znamy.

Pasterz myślał długo, aż szron potajał mu na policzkach. Drapał się, pochrząkiwał, obgryzał paznokcie, aż wreszcie wypalił:

– To i nam anioł to samo mówi!

Magowie-monarchowie spojrzeli po sobie.

– Anioł? – zaciekawiał się Caspheer. – Co to takiego?

– Demon taki, znaczy zjawa. Miecz ognisty miał. – Pasterz pomagał sobie w wyjaśnianiu zamaszystymi wymachami rąk.

– Inkub? Sukub? – roztropnie indagował Baal Thas-Ar.

Pasterz wzruszył ramionami.

– Pierzasty taki. Ze skrzydłami.

Caspheer sapnął z irytacją.

– Tak do niczego nie dojdziemy – powiedział.

Skrzyżował ręce, mocnym głosem wyrecytował formułę zaklęcia zmuszającego do prawdomówności i absolutnego posłuszeństwa zarazem. Zakończył efektownym piorunem wymierzonym w śnieg

przed pasterzem. To znaczy wydawało mu się, że zakończył, bo tak naprawdę i powietrze, i śnieg pozostały niewzruszone. W dodatku pasterz nie wydawał się ani odrobinę zaczarowany.

Zirytowany wyraźną nieudolnością Caspheera konkurencyjny król, Baal Thas-Ar, wyciągnął swoje berło i wypowiedział własne zaklęcie posłuszeństwa.

– Eee, to ja już może se pójde – powiedział pastuch. Nie wyglądał na zaczarowanego i posłusznego.

– Gwiazda... – rzekł cicho Melkhyor. – Gwiazda rozbłysła i On się narodził. A więc prorocy mieli rację.

Jeszcze nie wierzyli. Przez dłuższą chwilę miotali się, wykonując najdziwniejsze ruchy, prześcigając się w zaklęciach i śmiesznie podskakując w siodłach. Pasterz przyglądał się temu z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Panowie chorzy albo co? – wybąkał. – Gorączka pustynna...

Pierwszy poddał się Melkhyor.

– To koniec – powiedział ze smutkiem. – Nie zadziała. Ani teraz, ani nigdy więcej.

Caspheer zajęczał.

– Może to przejściowe?

Baal Thas-Ar pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie. Powiedzcie, dobry człowieku – zwrócił się do pasterza – co mówił ten demon? Ten anioł?

– Pierzasty? – upewnił się pastuch.

– Ja go zaraz i bez czarów – zazgrzytał zębami Caspheer – własnymi rękami...

Pastuch cofnął się o krok i postanowił nieco bardziej współpracować.

– Anioł powiedział – zaczął – że przynosi radosną nowinę, że urodził się przysły i na zawsze pan wszystkich ludzi. Mówił, żeby się nie lękać, tylko poszukać niemowlęcia zrodzonego w stajni.

– Co dalej? – Królowie-magowie wytężyli uwagę. – Znaleźliście?

– Coby my tam mieli nie znaleźć! – z dumą rzekł pasterz. – Będzie z dziesięć dobrych strzałów procą stąd. Dziecko było piękne... – rozmarzył się – i tak jasno wokoło. Bydlątka klękały...

– Widzisz, dobry człowieku – zaczął Baal Thas-Ar z pewnym wahaniem – prawdę mówiąc, to i my jedziemy, żeby powitać to dziecko. Nasi mędrcy twierdzą, że narodził się ktoś... wyjątkowy.

– Za późno, panie. – Pasterz rozłożył bezradnie ręce. – Już go tam nie znajdziecie.

– Jak to? – Caspbeer aż podskoczył. – Ruszyli w drogę? W taką pogodę? Z niemowlęciem?

– Źli ludzie kręcą się po okolicy, panie – rzekł posępnie pasterz. – Żołnierze Herodowi. Mają rozkaz każde dziecko dziś wieczór urodzone znaleźć i zabić. Królowi przepowiedziano, że dziecko mu tron żydowski odbierze. Co było myśleć, trza było uchodzić. Poszli między wzgórza, tam ich nikt nie znajdzie, nikt krzywdy nie zrobi. Idą z nimi wszystkie chłopy z pastwiska – zakończył z dumą.

– A ty? – spytał Melkhyor. – Czemu nie idziesz?

– Drogi pilnuję.

Magowie wymienili spojrzenia. Zrozumieli się bez słów.

– A nie chciałeś do nich dołączyć? – niby od niechcienia rzucił Baal Thas-Ar.

Oczy pasterza zablęły.

– Kto by tam nie chciał!

Ziemia aż stęknęła, gdy magowie zeskokczyli z siodeł. Królewskie obyczaje sprzyjają otłuszczeniu (czyż dziś jest inaczej?).

Rozpakowali część juków. Po chwili na śniegu leżało sporo niewielkich pakunków.

– Wszystkich nie udźwignie – trzeźwo zauważył Melkhyor.

Caspheer wybrał więc trzy niewielkie drewniane skrzyneczki. Wszystko to podał zdumionemu pasterzowi.

– Idź – powiedział – i zanieś to dziecku. Powiedz, że to dar od trzech królów: Melkhyora, Caspheera i Baal Thas-Ara.

– Od trzech... – powiedział pasterz. – O rety! To trzech króli żem spotkał?

– Królów – poprawił go Melkhyor. I uśmiechnął się szeroko. Gdyby pasterz znał się nieco na królewskich i czarodziejskich obyczajach, wiedziałby, że takie uśmiechy nie wróżą niczego dobrego.

– No chyba gadam, że króli! – obruszył się pasterz. – A droga? Kto drogi przypilnuji?

– My – wyjaśnił Baal Thas-Ar. – Już nigdzie się nam nie śpieszy.

I mrugnął porozumiewawczo do pozostałych magów.

Zrozumieli się bez słów.

– A jak spotkamy patrol Herodowych, to powiemy, żeście, dobry człowieku, poszli w przeciwną stronę – zapewnił Melkhyor.

Gdy tylko uradowany wieśniak odwrócił się od nich, by schować dary do zgrzebnego worka, królowie-magowie rzucili się na niego niezdarnie, trochę jak stado tłustych, przekarmionych psów. Jako że przewaga liczebna była po ich stronie, to mimo że trochę sobie nawzajem przeszkadzali, pastuch został przyduszony do ziemi, zanim zdążył kwiknąć.

– No to teraz porozmawiamy. – Baal Thas-Ar wysupłał spod szat zakrzywiony, ostry nóż. – Tak tradycyjnie, po staremu, bez

czarowania.

Wzrok obalonego pastucha był pełen wyrzutu i strachu.

– Dokąd uciekli z tym dzieckiem, gadaj! – Baal Thas-Ar wyszczerzył wściekle zęby.

Pastuch splunął mu w twarz.

Rzeczy, które działy się potem, bez wątpienia nie przystały ani magom, ani monarchom, a już na pewno nie magom będącym jednocześnie monarchami. Pastuch był na różne sposoby szturchany, tarmoszony, objany, przydeptywany, a nawet turlany, ale poza dzikimi kwikami, charczeniami i przekleństwami nie udało się z niego nic wycisnąć. Grózb Baal Thas-Ara, który zamierzał z nieszczęśnikiem pogadać w starym stylu, nie dało się wprowadzić w życie, bo okazało się, że trójka królów posiada tylko jeden nóż i w dodatku nie bardzo wie, jak go użyć. Przywykli do rzucania zaklęć i wydawania rozkazów wielmoże stali się zadziwiająco bezradni, gdy trzeba było własnoręcznie zabrać się do roboty katów. Ich niezdarne próby skończyły się na tym, że pastuch został odarty z odzienia i dygotał z zimna. Z zapowiadanych profesjonalnych tortur niewiele wyszło. Owszem, tu i ówdzie dziabnęli biedaka, w paru miejscach rozcięli mu skórę, cała trójka wykazywała jednak wielką indolencję, jeśli idzie o metody zadawania bólu i wydobywania zeznań. Świadczyć o tym może fakt, że nawet żadnemu nie przyszło do głowy, by na przykład wydłubać pastuchowi oko. Władcy padli ofiarą własnych obyczajów – zwykle zostawiali robotę krwawą i okrutną w rękach dobrze opłacanych specjalistów (czyż dziś jest inaczej?).

Caspheer udzielał się najmniej i dlatego jako pierwszy zauważył, że pastuch przestał się ruszać. Stało się to mniej więcej w chwili, gdy Baal Thas-Ar wepchnął nieszczęśnikowi w usta jego

własny worek, wrzeszcząc: „Albo zaczniesz gadać, albo się udławisz!”.

Pastuch się udławił.

Trzech monarchowie złorzeczyli długo i kwieciście – pastuchowi, nieznanemu dziecku, Herodowi, sobie nawzajem i nieprzyjaznemu losowi. Potem chcieli rzucić się do tropienia na własną rękę, ale mrok i coraz silniejszy zimny wiatr szybko ich otrzeźwiły. W dodatku żaden z nich nie zabrał ze sobą hubki, krzesiwa, pochodni, latarni – krótko mówiąc, czegokolwiek, czym można byłoby rozjaśnić gęstniejące ciemności. Tak bywa, gdy rządzący nadmiernie liczą na swe czarodziejskie sztuczki (czyż dziś jest inaczej?).

W ponurych nastrojach dosiedli wielbłądów i po własnych śladach ruszyli w drogę powrotną. Zaczął sypać drobny śnieg. Płatki osiadały na ciele pasterza, ale nie topniały.

Za grzbietem najbliższego wzgórza Caspheer powiedział na głos to, co wszyscy myśleli:

– Taki wstyd... – Kręcił głową. – Taki wstyd. Trzech największych władców świata i przechytrza ich jakiś wieśniak!

– To jeszcze nie koniec – zawzięcie przekonywał Baal Thas-Ar. – Wyślemy za rodziną najlepszych asasynów. To tylko dziecko stolarza i jakiejś ubogiej dziewczki. Nigdzie się nie ukryją. Zaoferujemy złoto. Dużo złota. Ktoś wreszcie ich wyda, jak nie teraz, to za rok. Albo i za dziesięć lat.

– A może za trzydzieści? – zakpił Melkhyor. – I co właściwie miałyby to zmienić? Moce nas opuściły. Proroctwo się wypełniło. Nadeszła zmiana.

– Zabijemy dziecko, to wszystko się odwróci – rzekł Baal Thas-Ar.

– Naprawdę w to wierzysz? – zapytał Melkhyor.

Baal Thas-Ar zamilkł. Poprzysiął sobie w duchu, że choćby pozostali byli innego zdania, on nie odpuści. Choćby to miało lat trwać lat trzydzieści, albo i trzydzieści trzy.

– Cóż – westchnął Melkhyor po chwili – zdaje się, że teraz jesteśmy już tylko królami.

– A magia? – rozpaczał Caspbeer. – A moje dziny?!

– Prorocy mieli rację. Od dziś koniec z czarami. Narodził się ktoś potężniejszy – powiedział Melkhyor.

Dopiero wtedy wszyscy królowie (i teraz już eksmagowie) otwarcie przyznali przed sobą nawzajem, że od pierwszej chwili, gdy tylko ujrzeli gwiazdę, potajemnie próbowali rozmaitych czarów. Żadnemu oczywiście się nie udało. Bez wątpienia prorocy mieli rację, przestrzegając ich przed nadejściem nowych czasów. W końcu dlatego ruszyli w niebezpieczną misję: by zapobiec narodzeniu.

– Latający dywan! – wzdychał Caspbeer. – Zaklęcia odmładzające! Miłosne!

– No i co powiemy dziejopisom? – zauważył Melkhyor. – Nie tak powinny kończyć się wędrówki królów.

Zaczęli się więc naradzać (zadziwiająco zgodnie) i nie minęło wiele czasu, jak wymyślili jedyne dobre rozwiązanie. I chyba dobrze wiecie jakie, a jeśli nie... cóż, wasza strata.

– Co tam właściwie zostało w śniegu? – zainteresował się Baal Thas-Ar. – W pakunkach przy ciele pastucha?

– Skrzyneczka z kadzidłem, skrzyneczka z mirrą, skrzyneczka ze złotem – wyliczał Caspbeer.

– Królewskie dary – rzekł zamyślony Baal Thas-Ar. – I tak to właśnie trzeba będzie opisać. Dojechaliśmy, pokłoniliśmy się, dary

zostawiliśmy, światło biło od stajenki czy jak tam ten pastuch gadał.

– A martwy pastuch? – zaniepokoił się Caspbeer.

– Martwi nikogo nie wydają. Opowieść się liczy. Symbole łatwe do zapamiętania – odparł Baal Thas-Ar. – Poza tym kto wie jak to jeszcze poprzekręcają kronikarze.

Z tym akurat wszyscy musieli się zgodzić. Każdy z nich miał na dworze własnych dziejopisów i dobrze wiedział, jak to bywa z ich rzetelnością. Czy mogli mieć choćby pewność, pod jakimi imionami przejdą do historii (bo co do tego, że przejdą, nie mieli żadnych wątpliwości). Zresztą... czy dziś jest inaczej?



Jechali przez zimną noc, ale już żaden nie miał ochoty na kłótnię. W głowach królów kłębiły się teraz troski. Wracali przecież do domów, by rządzić, a więc do fałszywych doradców, nieznośnych dworzan, pyszałkowatych generałów, przebiegłych konkubin. Znów mieli się martwić losem granic, skarbców, pałaców i irytujących poddanych. Nie mogli już liczyć na pomoc czarów. Jaka więc przyszłość ich czekała?

Za ich plecami, na rozpogadzającym się od zachodu niebie, mrugała gwiazda. Ale już jej nie widzieli.

Ona znała odpowiedź.



Gdzie
jest
generał



Kiedy przesłuchiwano potem personel Wojskowego Instytutu Medycznego przy ulicy Szaserów w Warszawie, wszyscy opowiadali, że widzieli tamtego dnia człowieka odzianego w czerń, ale nikt nie potrafił powiedzieć, w którym miejscu i kiedy.

– Chyba świtało. Podjechała taka czarna limuzyna – relacjonowały śmiertelnie zmęczone lekarki, które akurat miały za sobą trzy nocne dyżury.

– Wchodził jakoś wieczorem. Chyba. Przyszedł od strony przystanku. Nie pamiętam – mówiły pielęgniarki z rejestracji.

– W środku nocy. Wysiadł z taksówki. Chyba – twierdziły dziewczyny ze Szpitalnego Oddziału Ratunkowego.

– Minałem go przy bankomacie. Niedaleko szatni.

– Przechodził między karetkami.

– Wysiadł z windy.

– Przyszedł schodami.

– Nieprawda, nie wiadomo skąd.

Wysoki. Niski. Milczący. Głośny, ale dźwięku nie pamiętam. Jakiś taki brzydki. Raczej był przystojny. Wychudzony. Gruby. Średniej postury. Pachniał kwiatami. Zalatywał bagnem. Szeleścił płaszczem, co wydawało się dziwne, bo dzień był ciepły. Był w obcisłej kurtce, a to ciekawe, bo noc była zimna. Guziki miał rozpięte. Zapięty był pod szyję, a kołnierz trzymał na sztorc. Tupał. Szedł bezszelestnie.

Nikt nie widział jego twarzy.

– Pojawił się i zniknął jak cień – powiedziała jedna z sióstr, bardziej martwiąca się nie tym, co zaszło, lecz tym, że przyjęła to bez miłosierdzia.



Generał się bał.

Była noc.

Był dzień.

Generał się bał.

Niewiele słyszał.

„Udar” – komentowali. To jeszcze zrozumiał.

Nie mógł już mówić. Straszna rzecz – bać się i nie móc o tym powiedzieć.

Generał się bał.

Bał się, że znów zobaczy światło.



Kiedy się zaczęło? Sam nie pamiętał. Czy tego zimowego, mokrego poranka, gdy trzech żołnierzy wkroczyło do wsi o niemieckiej, niemal niewymawialnej dla słowiańskich ust nazwie? I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie szczeniak, który ukrywał się w stodole, a na ich widok, zamiast siedzieć cicho, postanowił uciekać?

Złapali uciekiniera pod lasem.

Miał wystraszoną młodą twarz, ubrudzoną ziemią i trawą. Szamotał się, kiedy koledzy z patrolu wykonywali swoją robotę. Dobrze ją wykonali. Poobijany dzieciak klęczał z rękami związanymi na karku.

Rozkazy były jasne. Żadnego ryzyka.

Podporucznik bał się wykonać ten rozkaz. Ale jeszcze bardziej bał się go nie wykonać.

Ostry trzask wystrzału. I światło.

A może były to te powojenne lata, kiedy już jako kapitan odczytywał na głos podwładnym rozkazy Naczelnego Dowództwa. „Należy liczyć się ze wzmożonym terrorem band faszystowskich czujących swą nieodwołalną klęskę”. I te powojenne dni, kiedy wiązkami granatów jego dzielni żołnierze robotniczo-chłopscy obrzucili w Przedborzu dom, na którego strychu krył się zuchwały bandyta o pseudonimie „Wilk”.

Znów ujrzał wtedy światło. Przypadkiem. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył. Tak jak wszystkie fale światła, które zatapiały jego zmysły w rytm uderzeń wybijanych na kręgosłupach aresztowanych w podziemnych celach przesłuchań.



Z początku myślał, że zawodzą go zmęczone oczy. Światło oślepiało, łatwo się było pomylić. Ale mimo to miał pewność, że widzi coś jeszcze. Że na krawędzi światła porusza się coś ciemnego, szybkiego, nieuchwytnego.

Na własny użytek myślał po prostu: cień.

Zdrowy rozsądek podpowiadał wizytę u specjalisty. Ucisk nerwu wzrokowego?

Pogłębiająca się choroba oczu? Guz, który wewnątrz czaski rozrasta się niepoohamowanie, odmieniając percepcję rzeczywistości?

Zdrowy rozsądek się mylił. Cień należał do innego porządku rzeczy. Podobnie jak światło.

Te przecucia, bo jeszcze nie przemyślenia, łatwo mógł zbyć banalnymi formułkami: nie da się stworzyć światła bez mroku, zło jest brakiem dobra albo że gdyby nie grzesznicy, nie wiedzielibyśmy, dlaczego cenimy świętych. A towarzysz Lew Trocki mówił nawet, że nie ma światła prawdy bez cienia wątpliwości.

Pułkownik był odczytany, ale żadna z ksiązek nie mogła przyjść mu z pomocą.

Wiedział dobrze, w jakich chwilach pojawia się światło.

Nie wiedział tylko, dlaczego pożera je cień.



Żydzi, Żydzi, tłuło się we wnętrzu jego generalskiej głowy. I rymowało nieodmiennie ze „wstydzi, wstydzi”. To nawet nieźle brzmi, pomyślał. I zapisał sobie w notatniku: „Z Polski wyjedźcie Żydzi, bo Polska za was się wstydzi”. Przyda się do pogadanki na szkoleniu terenowym.

Z zadania wywiązał się wzorowo. „Tysiąc pięćset” – mógł powiedzieć na osobności towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi. A w dokumentach – ledwie sto pięć nazwisk. Koronkowa robota. Syjoniści – precz! Ucieszy się pierwszy sekretarz Gomułka, ucieszy się towarzysz Mieczysław Moczar, jego koledzy partyzanci.

Światło uderzyło go niespodziewanie, kiedy wstał już z biurka i chciał podejść do okna. Zatonął się po drodze, przewracając lampę. Do diabła! Jeszcze by tego brakowało, żeby go ktoś zobaczył – abstynent, a się zatacza!

Skronie znów pulsowały bólem. Dlaczego?

Generał nie wiedział jeszcze, że właśnie w tej chwili numer trzynasty na liście, major Cukierman, doświadczony komunista,

weteran brygad międzynarodowych z Hiszpanii, władowawszy sobie do ust lufę służbowego pistoletu, pociągnął za spust.

Za oknem przemknął cień.



„Po co ci te okulary?” – pytali koledzy.

„Oślepiły mnie syberyjskie śniegi” – mówił mężczyznom generał. „Ukrywają me delikatne wnętrze i sentymentalny oczu błysk” – oszukiwał kobiety generał. „To fortel – by wydać się odleglejszym, bardziej surowym i niedostępnym, generał kryje się za ciemnymi szklami. Chytrze i przebiegle” – sądzili podwładni.

Ale przecież nie o to szło. Chodziło o światło.

Szklą były coraz ciemniejsze.

Światło przybierało na sile.

Jak to dobrze, że pożerał je cień.



Generał zachwiał się.

Normalna rzecz, pomyślał adiutant. Generał też człowiek. A tam w kościele stoi trumna jego matki.

– Czy mogę jakoś pomóc, towarzyszu generale? – zapytał adiutant. I nachylił się tak, by kolejnych słów, wypowiedzianych do ucha generała, nikt nie słyszał. – Wybaczcie śmiałość – szeptał – idźcie, ja będę spoglądał w inną stronę.

Generał patrzył na kościół.

Chciał wejść.

Lecz między nim a murami, na alejce, na trawniku, na klombie rozciągała się rzeka cienia.



„Do całego ludu Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej! Wczoraj, dwudziestego sierpnia, około dwudziestej trzeciej wojska ZSRR, Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Węgierskiej Republiki Ludowej i Bułgarskiej Republiki Ludowej przekroczyły granice państwowe CSRS”.

Historyczne oświadczenie, pomyślał generał.

Bolała go głowa. Ale służba nie družba. Światło nie światło, cień nie cień, trzeba pracować dla dobra socjalistycznej ojczyzny. Mimo bólu więc pisał: „Doświadczenie wykazało, że pomoc ta była konieczna i przyszła w porę, że podskórne, dobrze zorganizowane procesy kontrrewolucji wystąpiły na powierzchnię...”.

Ból odszedł, kiedy powrócił cień.



Grudzień roku 1970 był pełen światła.



Był 16 lipca roku 1975. I było gorąco. Telefon na ministerialnym biurku zaterkotał.

Przez niedomknięte drzwi gabinetu generał słyszał pułkownika

Kuciapkę żartującego z sekretarką:

– ..jakie były ostatnie słowa Majakowskiego, zanim popełnił samobójstwo? – pytał Kuciapka, a panna Zuzanna chichotała. – Towarzysze, nie strzelajcie!

Generał podniósł słuchawkę. To była linia specjalna, tej rozmowy nie mogła połączyć panna Zuzanna. Dzwonili czescy towarzysze, bezpośrednio z Pragi. Nadzwyczajna sytuacja. Generał słuchał. Płynęły sekundy. Samolot An-2, za sterami którego siedział Dionizy Bielański, miał przed sobą jeszcze dziesięć kilometrów do austriackiej granicy. Za sobą widział cztery myśliwce czechosłowackiej armii, dwa MiG-i 21 i dwa L-29.

Lecący jednym z nich Vlastimil Navrátil trzymał palec na spuście.

– Co on robi? – zachrobotąło radio. To odzywał się pilot z lewej strony Navrátila. – Ten Polak. Co on robi? Coś pokazuje?

Dionizy Bielański unosił w górę rękę. Trzymał w niej zabawkę. Może misia, może lalkę. Nie było za dobrze widać.

Navrátil poczuł, że oblewa go zimny pot. A jeśli uciekają razem? Jeśli z pilotem lecącym porwanym, jak poinformowało krakowskie lotnisko, samolotem do oprysków rolniczych, jest jeszcze ktoś? Żona? Może dziecko? Cała rodzina?

Za drzwiami rechotał pułkownik Kuciapka.

– Towarzysze, strzelajcie – powiedział generał w Warszawie. A generał w Pradze wydał rozkaz.

W chwili gdy pociski rozerwały poszycie antonowa, kiedy samolot runął ku miasteczku Kutry, ministerialny gabinet przy Klonowej wypełniło światło. Czarne okulary nie pomogły. Generał jęknął, zasłaniając oczy. A skrajem światła przemknął jego stary, dobry przyjaciel – cień.



To miała być nowa dekada. Rozpoczęta od przerwanej dekady.

Tamtej długiej zimy śniło mu się, że znajduje się pod ziemią. Twarz ma brudną, jak ten parobek z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. Ubrany jest tylko w koszulę, jak ciała tych, których dopadli w czterdziestym szóstym. Ma dziurę w głowie, jak major z sześćdziesiątego siódmego. Leży na drzwiach, jak ten chłopiec z siedemdziesiątego. W piosenkach mówili o nim Wiśniewski, choć nazywał się inaczej.

Spada w dół, jak pilot z siedemdziesiątego piątego.

Idzie podziemnym korytarzem.

Którego ściany zbudowane są...

...ze światła.

Szyb kopalni wypełniony jest ciszą. Nawet wielkie koło wieży wyciągowej obraca się bezgłośnie. Pusta szola opuszcza się w dół.

Idą, idą, pancry na „Wujek”.

Na Kremlu wypnij pierś po medale, naród dziękuje ci, generale.

Kobiety w czarnych sukienkach.

Kobiety spowite w cień.



Generał się bał.

Lekarze twierdzili, że stracił słuch i mowę. Udar, mówili. Poważna sprawa, mówili. Gazety drukowały słowa lekarzy. Lekarze mówili, mówili, mówili. Mechaniczne płucoserce tłoczyło

krw w żyłach generała. Riki-tiki-tak, jeżeli nas słyszysz, daj nam jakiś znak. Riki-tiki-tak, pożera cię rak.

Tylko generał wiedział, że to nieprawda. Słyszał kroki na korytarzu, ale nie te, które słyszeli wszyscy. Mówił, ale nikt go nie słyszał.

Nikt prócz cienia.



Na tę okazję cień przybrał kształt mężczyzny w czerni.



Oto, co bezgłośnie mówił generał:

– Światło. Mniej światła.

Całkiem odwrotnie niż Goethe.

A potem:

– Odejdź.

I jeszcze później:

– Ratunku.



„Juuuż-czasss, juuuż-czasss” – mruczało mechaniczne płucoserce.

Wdech i wydech. Pfff-pufff.

Wdech i wydech. Przeszłość i terażniejszość.

Jak to było możliwe?

Tylko nie światło, pomyślał generał.



W poniedziałek trumnę generała przewieziono ze szpitala do domu pogrzebowego w Pruszkowie. Firma Szadkowski zapraszała klientów aż do trzech punktów usługowych. Dla tych, którzy pragnęli zetrzeć swych zmarłych na proch, najważniejszym z nich było krematorium przy ulicy Południowej.

Trumna dotarła tam już po godzinach.

Pracowników krematorium było dwóch. Smutny i wesoły.

Smutny kiwał z powagą głową. „Cieszę się, że jest pan zadowolony ze zdjęć, panie redaktorze”. „Samochody, trumnę, wszystko widziałem na własne oczy. Potem nas pani Małgorzata pogoniła”.

Pani Małgorzata była szefową obydwu ancymonków. Reporter zdążył już z nią porozmawiać. Miał nagraną jej setkę: „Trumna z ciałem wjeżdża do pieca, w którym temperatura wynosi od ośmiuset pięćdziesięciu stopni do nawet tysiąca stopni. Drzwi do pieca zamykają się i następuje palenie. Po zakończeniu cyklu prochy wsypywane są do urny i wydawane wraz z certyfikatem kremacji”.

Wesoły nic nie mówił. Tylko z wyższością się uśmiechał. Reporter pomyślał, że może to jakiś nerwowy tik albo, nie daj Boże, atak paniki, bo obydwu delikwentom po raz pierwszy w życiu zdarzyło się uczestniczyć – choć w drobnym stopniu – w sprawie takiej wagi. Reporter, który miał już swoje lata, przypomniał sobie

od razu formułkę z czasów rządów generała. Sprawa najwyższej wagi partyjnej i państwowej, przepowiedział ją sobie w duchu.

Rozmowa się nie kleiła, bo nie było o czym rozmawiać. Transakcji już dokonano. Pan Smutny zmył się pierwszy, dopijając wielkimi łykami piwo. Pan Wesoły poczekał, aż kolega oddali się od baru, wtedy przysunął się bliżej.

– Pewnie mi pan nie uwierzy, ale to nie tak wyglądało – powiedział wreszcie Pan Wesoły, już całkiem na poważnie.

– A jak?

– Mieli skremować ciało, ale żadnego ciała nie było.

Reporter czekał.

– Przyjechali jak się patrzy, eskorta, faktycznie. Żandarmeria Wojskowa. Cztery samochody i trumna w piątym. Tylko bez ciała. To właśnie wtedy szefowa pognąła nas precz. Została sama, znaczy z rodziną. Ale wiem, co mówię. Samo drewno poszło do pieca, ot co. A wcześniej z trumny wyjęli garść czerwonego popiołu. Urna była już gotowa, wcześniej przygotowana. I wsypali ten popiół do urny, kiedy myśleli, że nikt nie patrzy. Nawet nie czekali na to, co wyjedzie z pieca.

– Popiół nie może być czerwony – powiedział reporter.

Pan Wesoły wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że mi pan nie uwierzy.



Już w samochodzie, stojąc w korku przed wjazdem na trasę warszawską, reporter pozwolił sobie wreszcie na parsknięcie. Czerwony popiół! Co za bzdura! Znał dobrze ten mechanizm –

ludzie, do których przyjeżdżała prasa albo, nie daj Boże, telewizja, wyłączyli ze skóry, żeby zabłysnąć.

Włączył radio. Minęła piętnasta. Nie był specjalnie ciekaw informacji, ale piana newsów i tak była lepsza od otępiającej wymuszoną wesołością muzyki z tą samą energią emitowanej we wszystkich stacjach.

Z głośników buchnął gitarowy riff, do którego po chwili dołączył głos śpiewającego z góralskim zaśpiewem wokalisty.

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
była zbawieniem witany z odrazą.*

Reporter zmienił stację. Pieśń brzmiała nadal:

*Czekamy ciebie, ty potęgo tłumy
zbydlęciałego pod twych rządów knutem,
czekamy ciebie, byś nas zgmiotła butem
swego zalewu i hasał poszumu.*

Nerwowo uderzał w przyciski, ale pieśń nie milkła. Na każdej częstotliwości słyszał to samo:

*Żebyś ty wiedział, nienawistny zbawco,
jakiej ci śmierci życzymy w podzięce
i jak bezsilnie zaciskamy ręce,
pomocy prosząc, podstępny oprawco.*

Wyłączył radio. Ale było za późno. Słyszał pieśń wewnątrz własnej głowy.

*Żebyś ty wiedział, dziadów naszych kacie,
sybirskich więzień ponura legendo,
jak twoją dobroć wszyscy kląć tu będą,
wszyscy Słowianie, wszyscy twoi bracia.*

Trzy dni później pochowali czerwony popiół w szarej ziemi powązkowskiego cmentarza. Trąbki grały, nogi szurały, bo urna ciążyła żołnierzom, jakby odlana była z ołowiu.

– „Śpij, kolego, w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie” – powiedział prezydent.

Przysypano urnę metrem ciężkiej ziemi.

„Przyśnimy się tobie” – szelestem piasku odpowiedzieli ci, którzy już byli pod ziemią.



– Nie rozumiem, skąd ta cała nienawiść – powiedziała Panna Mądralińska, stażystka, która po redakcji przechadzała się z demonstracyjnie trzymaną w dłoniach najnowszą książką towarzyszkii panienki, córki generała. – W telewizji mówili, że przed śmiercią generał się nawrócił. Przyjął sakramenty i pojednał się z Bogiem.

– A to konkretnie znaczy, że co? – zapytał redaktor, unosząc głowę znad biurka. Może i był złośliwy, ale sama się prosiła.

– No, że był u niego ksiądz – wypaliła stażystka.

– Który zrobił co? – zachęcał redaktor.

– Był ksiądz i... no nawrócił generała, znaczy generał się nawrócił, bo... – plątała się Panna Mądralińska – no wziął te sakramenty...

– Wziął sakramenty. – Redaktor pokiwał głową. – I co? Co z nimi zrobił? Oddał rodzinie?

– Właśnie! – zwycięsko oznajmiła Panna Mądralińska, na co dzień studentka dziennikarstwa. – Rodzinie! Na świętą rzecz pamiątkę – palnęła jeszcze wygrzebanym gdzieś z mroków pamięci zasłyszonym sformułowaniem.

– Nie wiem, kto był przed śmiercią u generała – powiedział reporter. – Ale na pewno nie był to ksiądz.



A było tak:

Generał się bał.

Wciśnięty w ogromną poduszkę wyglądał tak, jak na karykaturach sprzed lat: wielka chuda wrona w czarnych okularach.

Leżał wsłuchany w opowieść mechanicznego płucoserca: „juuuż-czasss, juuuż-czasss”.

Leżał, a czas i przestrzeń wirowały wokół niespiesznie.

Oto kary konik skubał trawę na zielonej ścianie, a farba zdawała się być pastwiskiem wielkim, po horyzont. Niewielki samolocik przeleciał przed nosem generała, ścigał go klucz kopalnianych wyciągowych wież. Czołgi jechały po suficie, a pod nimi motyl, na którego skrzydłach kwitły krwawe plamy. Okno było morzem, podłoga Syberią, syjoniści wiosłowali kajakiem do Syjamu, śnieg układał się w napis: „Orła wrona nie pokona”,

owijając się jak wąż wokół elektrod, płynęła, płynęła Oka jak Wisła szeroka, a u jej ujścia wznosiły się żurawie wielkiej stoczni wodującej niewielkie trumienki.

Generał patrzył, jak małe ludziki robiły fik i spadały z ceglanego muru. U stóp muru z czarnych okien podziemi kolumna cierpliwych mrówek wynosiła dłonie bez paznokci. Dzieci za murem siedziały przy niskich stolikach, odbywała się właśnie lekcja korzenioplastyki, a pod małymi scyzorykami sękatę drewno zamieniało się w długie białe pałki. Pałki były kośćmi, a kości parkanem, za parkanem ogród pachniał chmielem i czeremchą, a pachniał tak mocno, że niemal dojrzeć można było, jak woń w postaci obłoków unosi się ku górze. Odurzone załogi wraz z czołgami spadały z sufitu. Maszyny eksplodowały niczym fajerwerki. Samolocik wymijał ogniste napisy, motyl nagle urósł i był transparentem.

JUŻ CZAS – głosili płomienne litery na purpurowym transparencie.



Pośrodku szpitalnej izolatki stał cień, który na tę okazję przybrał kształt mężczyzny w czerni. Mężczyzna spowity był w płaszcz, którego brzegi falowały śliskim, wrogim ruchem, jak kłębowisko węży.

Zamiast twarzy miał wielkie czarne zwierciadło.

Im dłużej generał patrzył w zwierciadło, tym wyraźniej widział, że w jego wnętrzu, jak na dnie ciemnej sadzawki, kryje się jakiś mechanizm. Coś na kształt zegara.

Tik-tak. Pożera cię rak.

Tik-tak. Czas płynie wspak.

– Wybierasz się w daleką drogę – powiedział cień.

– Czy pójdziesz ze mną? – zapytał generał.

– Nie – odparł cień.

– Więc dlaczego przyszedłeś? – zapytał generał.

Wtedy cień, który na tę okazję przybrał kształt człowieka w czerni, rozchylił poły płaszcza.

Światło, światło, światło, tak wiele światła.

– Wybierasz się w daleką drogę – powtórzył cień. – Musisz zabrać ze sobą każdą rzecz, która twoja jest.

A spod jego płaszcza płynęło światło, całe światło generała, światło zebrane przez wszystkie te lata, światło przeliczone, światło odmierzone, światło grudniowych świtów i sierpniowych nocy. Światło karabinowych salw. Światło lampki na biurku generała.

– Kim jesteś? – zapytał jeszcze generał.

– Zegarmistrz światła – odpowiedział cień. – Purpurowy.



Kiedy przesłuchiowano potem personel Wojskowego Instytutu Medycznego przy ulicy Szaserów w Warszawie, wszyscy opowiadali, że widzieli tamtego dnia człowieka odzianego w czerń, ale nikt nie potrafił powiedzieć, w którym miejscu i kiedy.

Co za strata czasu, pomyślał major Żandarmerii Wojskowej prowadzący dochodzenie wewnętrzne, całkowicie nieformalne. Szedł szybkim krokiem korytarzem obok głównej recepcji szpitala

na Szaserów. Chciał, by ten dzień już się skończył. Chciał wybiec z przesyconego zapachami leków i strachu gmachu.

Na zewnątrz przyszła wiosna. Autobusy mijały się na ulicy, dziewczęta błyskały łydkami i kolanami, bo był już przecież najwyższy czas pokazać skrywane przez zimę nogi. Sprzedawcy warzyw zachwalali towar, starsze kobiety wracające do domów narzekały, że drogo.

Major skręcił w główną ulicę i niemal natychmiast ostro nadepnął na hamulec. Spóźniony przechodzień szedł po pasach, nie przejmując się czerwonym światłem. Major wcisnął dwa razy klakson. Przechodzień odziany w czerń nawet się nie odwrócił. Wyciągnął tylko rękę i pokazał majorowi dłoń z wyprostowanym środkowym palcem.

W tej właśnie chwili radio w samochodzie majora nagle ożyło. I chór zaśpiewał z całą mocą:

*Nasz sztandar płynie ponad trony.
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłości rzucając siew,
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotnicza krew.*

A cóż to za zaraza, zdumiał się major. Radio było zepsute od dwóch miesięcy. Na amen. Nawet płyty Bajmu nie mógł wyjąć z odtwarzacza i żona strasznie się wkurwiała.

Zatrzymał się zaraz za światłami i obejrzał przez ramię. Przejście dla pieszych było puste. Ani śladu mężczyzny w czerni.

I tak być powinno, bo to wszystko przecież nieprawda.



Chłopiec z plakatem



Noc po pogrzebie

Wybrał ten numer z nudów.

Tak sobie potem wmówił. Był zmęczony, był pijany, był w rozpaczy.

Metro było niemal puste, a on włóczył się po peronie stacji Centrum i nie miał co czytać. Wzrokiem błądził po tabliczkach informacyjnych, po szyldach i neonach sklepów ukrytych na galerii nad przeciwległym peronem i po reklamowych bilbordach.

Każdy z bilbordów miał swój numer. Każda z gablot na plakaty też.

Nocą i po kilku głębszych ludziom przychodzą do głowy różne rzeczy. Gdyby ktoś zapytał potem, dlaczego właściwie zrobił to, co zrobił, powtórzyłby pewnie za jednym z bohaterów westernu „Siedmiu wspaniałych”, że wtedy wydawało się to dobrym pomysłem.

Ale numer aż się o to prosił. W końcu wyglądał jak wyjęty prosto z książki telefonicznej: 8507185. Wypisany wyraźnie nad plakatem w ostatniej gablocie po prawej, naprzeciw zejścia ze schodów do metra na peron, z którego odjeżdżały składy w kierunku Kabat. Nie chodziło o zejście z ruchomymi schodami, ale to drugie – od strony podziemnego korytarza, którym mijając punkt dorabiania kluczy i wystawy z bielizną, można było dojść do domów towarowych.

Numer miał siedem cyfr. Tak jak trzeba – w każdym razie tak jak trzeba od czasu wielkiej reformy, polegającej na dołożeniu do warszawskich numerów siódmej cyfry z przodu. Co zdarzyło się przecież i w innych województwach.

Wtedy jeszcze tego nie wiedział. Telefoniczną numerologią zainteresował się dopiero później. Kiedy odkrył, że powinien.

Rozmowa pierwsza

Biiip. Przerwa. Biiip.

Każdy zna ten dźwięk. Regularne tętno oczekiwania na nawiązanie połączenia.

– *Ja?*

Nie odpowiedział. Po chwili obcy głos rzekł zdenerwowanym tonem:

– *Wer ist das?*

Milczał.

Drugie *Wer ist das?* było głośniejsze i bardziej gniewne.

Rozłączył się.

Następnego dnia

Wiedział, że to było głupie.

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Powinien zadzwonić i przeprosić. Co z tego, że Niemiec myślał pewnie „pomyłka”. Dzwonienie w środku nocy do obcych ludzi to nie jest normalna sprawa. Niby błażostka, ale czuł, że jeśli nie przeprosi, będzie to

siedziało w nim jak zadra przez wiele dni. Nie dlatego, że chodziło o głupi telefon. Dlatego, że przestawał panować nad swoim życiem, wszystko rozplywało się między palcami, jakby próbował zacisnąć garść na wodzie. Rozsypywał się, dryfował, gubił. Ten telefon był tylko symbolem. Małym, pieprzonym symbolikiem. Czy to słowo w ogóle ma zdrobnienie?

Trzeba jeszcze raz zadzwonić. Koniecznie.

Do roboty, wściekły Niemiec sam się nie przeprosi.

Odszukał w telefonie listę połączeń wychodzących i zadzwonił pod ten sam numer, z którym połączył się w piątkową noc.

Nikt nie odbierał.

Ale była sobota, więc się nie zdziwił. Może gość był na spacerze. Albo wyjechał na weekend.

W niedzielę nie dzwonił. Jeszcze by się facet wściekł, że ktoś mu przeszkadza dzień święty święcić. O ile Niemcy cokolwiek święcą. Znaczą świętują.

W poniedziałek zadzwonił, ale nikt nie odbierał. Ani we wtorek, środę i żaden z kolejnych dni.

A potem o wszystkim zapomniał.

Dziesięć dni później

Przypomniał sobie, przechodząc obok poczty. Przystanął i skojarzył. Kiedy był mały, na poczcie leżały stosy obszarpanych tomów o oślich rogach. Książki telefoniczne. Może przynajmniej sprawdzi, do kogo się wtedy dodzwonił. Może nie do domu, tylko do jakiejś firmy? Może znajdzie inny numer i poprosi... No właśnie,

kogo poprosi do telefonu? „Tego pana, któremu przeszkodziłem nocą, dwa tygodnie temu”?

Czasy się zmieniły. Na poczcie nie było żadnej książki telefonicznej, panienka z okienka poinformowała, że już od dawna nie mają takiego obowiązku. Podobno na poczcie głównej jakieś książki są.

Główna była daleko, więc wybrał prostsze rozwiązanie.

Po wpisaniu w gugła hasła „książka telefoniczna” jako pierwsza wyskoczyła strona o dość oczywistym adresie ksiazka-telefoniczna.com. Oferowała możliwość wyszukiwania danych według nazwy firmy, adresu, e-maila lub numeru telefonu oraz według słów kluczowych.

Jedynym rekordem pojawiającym się po wpisaniu numeru 8507185 było biuro kredytowe z Rzeszowa. Okej, czyli nie mieszkanie. Biuro. Jest sobie jakiś Niemiec i pożycza ludziom pieniądze na Podkarpaciu. Co jeszcze?

Przeszukiwanie udostępnionych w Internecie innych baz danych przedstawianych jako katalogi firm, książki telefoniczne i książki teleadresowe niczego więcej nie dało.

Kilka chwil po wstukaniu w klawiaturę numeru (najpierw kierunkowy do Rzeszowa – 17, potem 8507185) słuchawkę podniosła kobieta o ciepłym, ale zmęczonym głosie.

– Musiał się pan pomylić – powiedziała, kiedy w kilku niezgrabnych zdaniach wyłuszczył jej sedno sprawy. – Codziennie siedzę do późna. W piątki też. Oprócz pośrednictwa w kredytach prowadzę również biuro księgowo. Mamy teraz naprawdę dużo pracy. Rzadko kiedy wychodzę przed północą. Nikt nie dzwonił wieczorem w ostatni piątek. Ani w tamten piątek. To pomyłka.

Z jej słów biła taka pewność, że nie śmiał dopytywać o tajemniczego Niemca, który mógłby wśliznąć się nocą do biura, żeby przypadkiem odebrać telefon z Warszawy.

I właśnie w tym momencie zrozumiał, że coś tu bardzo nie pasuje.

Przecież tamtej nocy nie wpisywał żadnego numeru kierunkowego. Po prostu zadzwonił pod numer z billboardu.

Powinien dodzwonić się do Warszawy, a nie do Rzeszowa.

Stop. Właściwie to nigdzie nie powinien się dodzwonić, bo nie wybrał żadnego numeru kierunkowego. Raz jeszcze sprawdził w liście wykonywanych połączeń. Zdecydowanie, wybrał wtedy tylko siedem cyfr. W jaki sposób dokądkolwiek się dodzwonił? Numery komórek miały dziewięć cyfr, a siedmiocyfrowe numery stacjonarne wymagały kierunkowego.

Tego samego popołudnia pojechał metrem na stację Centrum.

Przy gablocie numer 8507185 stał chudy facet w roboczym, drelichowym ubraniu. Gablota była otwarta, żarówki podświetlające od spodu plakaty – wyłączone. Na posadzce leżała wielka skórzana kanciasta torba, z której wystawały rozmaite kable i narzędzia.

– Wandale? – zapytał elektryka, wcielając się najlepiej jak umiał w rolę ciekawskiego, życzliwie nastawionego przechodnia.

– Awaria – lakonicznie odparł elektryk. – Zarobiony jestem, wie pan, nie było kiedy naprawić. Cały rewir mam na głowie.

– Całą stację – powiedział ze zrozumieniem.

– Żeby! Całe metro, i jeszcze nośniki przy Dworcu Centralnym. A instalacja kiepska. Ciągłe się coś przepala. Żarówki też takie sobie. – Elektryk potrząsnął świetlówką wykręconą przed chwilą z wielkiego poziomego uchwyty.

– No to łatwo pan nie ma.

– Panie, a kto dzisiaj ma łatwo? – powiedział na do widzenia elektryk.

Wieczorem raz jeszcze zadzwonił na numer znad gabloty. Nikt nie odbierał.

Wtedy pomyślał, że czas na nieco odważniejsze eksperymenty.

Najpierw spróbował wybrać jakiś inny siedmiocyfrowy numer, bez wpisywania numeru kierunkowego. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

Potem wrócił do 8507185, ale dokładając warszawski kierunek, liczbę 22. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

A jeśli jednak dodzwonił się wtedy na komórkę? Tylko jak? Skąd wziął brakujące dwie cyfry do dziewięciu? A jeśli przydusił ostatni klawisz i zamiast kończącej numer jednej piątki wbiły się jeszcze dwie kolejne?

Widziałby to w spisie wykonywanych połączeń. A tam jak byk widniało 8507185, a nie 850718555.

Mimo to spróbował.

„Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”.

A jeśli to numer telefonu komórkowego, ale nie z polskiej sieci? Może potrzebny jest międzynarodowy prefiks? Tylko jaki?

Wrzucił numer w google. „Okolo 69 wyników (0,15 s)” – odpowiedziała wyszukiwarka. Pod kilkoma polskimi linkami

zaczynały się zagraniczne, ale nie zwiastowały odpowiedzi. Strony reklamowały się hasłami: *Kdo mi volal?*, *Co je to za číslo?*, *Komu patří telefon?*, *Telefonvorwahl*, *Ort & Rufnummer*, *Телефонные номера*, *Vorwahl & Telefonnummer – Wer ruft an?*, *Infotelefonica de España* albo *Cellphone Number starts with 8507185*. Za linkami nie kryło się nic poza generowanymi automatycznie spisami wszelkich możliwych numerów. Ślepy zaułek. Zresztą nawet gdyby okazało się, że numer istnieje i jest zagraniczny, co właściwie mogłoby to zmienić?

Przez chwilę zastanawiał się, czyby nie wybrać numeru, poprzedzając go za każdym razem kierunkowym do innego kraju. W końcu nie ma tych krajów aż tak wiele, pomyślał. I dopiero wtedy uświadomił sobie głębię swojej obsesji.

To były naprawdę złe dni, które wypadły w złym miesiącu, usadzonym w samym środku bardzo złego roku. A on zamiast poskładać znowu wszystko razem i iść dalej, zamiast być dorosłym facetem, rozklejał się nad jakimś głupim telefonem, nad jakimś spięciem w sieci komórkowej, przypadkowym połączeniem, do którego nie powinno nigdy dojść, ale doszło, bo był pijany, wściekły i przybity.

Ten cholerny piątek. Gdyby to się wydarzyło w jakikolwiek inny dzień. Cholera, gdyby, to właśnie nic wcale by się nie wydarzyło.

Potrzebuję pomocy, pomyślał. I zaraz się zawstydził. On potrzebował po prostu wziąć się w garść, to inni potrzebowali pomocy naprawdę.

Wziął kilka głębokich oddechów, uspokoił puls i sięgnął po komórkę. Powinien był wykonać ten telefon już dawno temu.

Odebrała niemal natychmiast, jakby czekała, aż zadzwoni.

– Cześć, mamó – powiedział. – Trzymasz się jakoś?

A potem długo rozmawiali. Długo. Niby tyle, ile trzeba, ale wciąż za krótko.

Rozmowa druga

Biiip. Przerwa. Biiip.

– Tak, słucham? – powiedział Wojciech Mann. – Halo?

Odczekał jeszcze dwie sekundy, a potem się rozłączył.

Dwadzieścia dni później

To było szaleństwo. W najlepszym razie: dlaczego właściwie Wojciech Mann miałby odebrać telefon w zastępstwie tajemniczego Niemca, który nocą włamał się do biura księgowego na Podkarpaciu? W najgorszym – to jakieś halucynacje.

Po prostu się pomylił. To był jakiś przypadkowy facet, z którym przypadkowo rozmawiał. To znaczy – nie rozmawiał, bo nie wydusił z siebie ani słowa.

Ech, gdyby to było takie łatwe. Ale naprawdę znał ten głos. Wszyscy w Polsce znali i nie sposób go było pomylić z żadnym innym. A może to był imitator głosów? Który akurat ćwiczył tembr Wojciecha Manna? Stop.

To było szaleństwo, rozumiał to doskonale. Właśnie taki paranoiczny sposób myślenia omal nie doprowadził go wcześniej do wydzwaniania po wszystkich stu dziewięćdziesięciu czterech

państwach świata, czy ile ich tam jest, żeby sprawdzić, czy w lokalnych sieciach komórkowych nie loguje się przypadkiem miejscowa komórka o numerze 850718555.

Ano właśnie. Nawet Wojciech Mann nie potrafi odebrać telefonu pod numerem, który nie istnieje. Ani MacGyver, ani nawet Steve Jobs. No, może Jobs by potrafił. Gdyby żył.

O ile pierwszy telefon był wynikiem pijackiej głupoty, o tyle drugi był efektem mądrości na trzeźwo. To miał być koniec, a nie początek. Chciał tylko przekonać się ostatecznie, że wszystko, co wydarzyło się tamtej piątkowej nocy, było absurdalnym zbiegiem okoliczności, chwilowym zawirowaniem nienormalności na powierzchni normalności, niemożliwym, a jednak przez moment aktualnym wygłupem, pogłębionym jeszcze przez podły nastrój. Zadzwoił więc, by usłyszeć znajome: „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź numer i spróbuj ponownie. *Sorry, but the number you dialled is not recognised. Please, check the number and try again*”, po czym raz na zawsze wyrzucił ten numer i związane z nim wspomnienia z pamięci.

Póki po drugiej stronie nie odezwał się Wojciech Mann i wszystko nie poszło w diabły.

To był jednak dopiero początek szaleństwa, co uświadomił sobie tego samego dnia po południu, wracając do domu i idąc szybkim krokiem aleją Niepodległości. Zapamiętał dokładnie ten moment – kiedy już minął sklep z herbatą i przechodził obok małej publicznej biblioteki, na drzwiach której wisiała kartka z napisem zachęcającym do przekazywania książek.

Książka, Wojciech Mann, dziwny numer telefonu i gablota z reklamą, wszystko to nagle złączyło się w jego umyśle w jedną całość, sprawiając, że rzucił się z powrotem do metra, roztrącając

po drodze przechodniów. Na peronie stacji Raławicka z pociągu jadącego na Kabaty wylewał się wątyły strumyczek pasażerów, po drugiej stronie kilkanaście osób czekało na pociąg sunący ku Młocinom. Według świetlnej tablicy została minuta i dziesięć sekund, które ciągnęły się jak godziny. Wbił się w sam środek cizby wypełniającej skład złożony z moskiewskich wagoników przypominających szynobusy z lat sześćdziesiątych. I wyprysnął jak oparzony na stacji Centrum, po czym pognął czym prędzej na pięterko, skąd zbiegł na przeciwległy peron. Ten, gdzie wszystko się zaczęło.

Miał rację. Wewnątrz reklamowej gabloty numer 8507185 wisiał pięknie podświetlony plakat reklamujący książkę „Drugie podróże małe i duże”, kontynuujące, jak głosiła informacja u dołu, opowieści z wydanej kilka lat wcześniej książki „Podróże małe i duże, czyli jak zostaliśmy światowcami”, napisanej przez Wojciecha Manna jeszcze z Krzysztofem Materną. Nowa książka była dziełem Manna solo, i to jego twarz niepodzielnie królowała na okładce. Przypomnił sobie, że przecież zauważył tę reklamę kątem oka, zbiegając po schodach pół godziny wcześniej, ale nie zwrócił na nią szczególnej uwagi.

Teraz patrzył.

Numer gabloty cały czas znajdował się w tym samym miejscu co zwykle. Czarne cyfry na białym tle, po lewej stronie ramy, na górze. Mniej więcej nad prawym policzkiem – tym bardziej obwisłym – uśmiechniętego Wojciecha Manna.

Oparł się o ścianę przy najniższym stopniu schodów i wyciągnął z kieszeni telefon. A potem wybrał numer.

Rozmowa trzecia

Biiip. Cisza. Biiip. Cisza. Biiip.

– Słucham – powiedział Wojciech Mann. A po dłuższej chwili ciszy wymamrotał: – Cholery można dostać.

I się rozłączył.

Dwadzieścia trzy dni później (i kolejne też)

Jak na wariata, pomyślał, działałem bardzo racjonalnie.

Następnego dnia spisał numery znad wszystkich gablot reklamowych i bilbordów na stacji Centrum. Zajęły razem dwie stroniczki w czarnym notatniku. Poświęcił na to w sumie nie więcej niż kilkanaście minut, co już z naddatkiem wystarczyło, by policjanci i funkcjonariusze Służby Ochrony Metra patrolujący galerię nad peronami zaczęli spoglądać na niego podejrzliwie.

Potem usiadł na ławce pod Pałacem Kultury. Dzień był pochmurny, lecz suchy. Dziewczyny z Greenpeace kręciły się po szerokim chodniku i próbowały zaciekawić przechodniów podpisami pod jakąś petycją. Od strony wejścia do metra dobiegał rytm wystukiwany przez chudego faceta bębniącego na odwróconym drewnianym krześle. Dwie ławki dalej jakaś parka obłapiała się dość bezceremonialnie, naprzeciw ponury dres żarł kebab, a biały sos zbierał się pomału między jego nogami w sporą kałużę. Dwóch bezdomnych zakosami wlekło się w stronę Centralnego, podśmierdując niemiłosiernie. A on siedział na ławce z czarnym notatnikiem w jednej dłoni oraz z telefonem w drugiej i przeprowadzał eksperyment.

Pół godziny później wiedział już, że wybranie każdego z numerów, które zapisał, kończy się tak samo. „Przepraszamy. Nie ma takiego numeru. Sprawdź...” Więc po kolei spróbował zadzwonić pod każdy jeszcze raz.

Rozejrzał się wokół. Na najbliższej ławce obściskowała się jakaś inna para. Inny bezdomny kręcił się przy wejściu do Dworca Śródmieście. Dziewczyny z Greenpeace łowiły naiwnych kawałek dalej, tuż przy schodach, którymi gęstniejący tłum płynął ku wejściu do metra. Kilku gości jadło kebab. Dzień jak wszystkie inne.

Nie dla mnie, pomyślał.

Musiał poczekać, aż zmienią plakat.

Rozmowa czwarta, piąta i inne

Biip.

– Halo?

Biiip.

– Hello?

Biiip.

– *Who's there? Who's talking?*

Biiip.

– *Go fuck yourself, little schmuck!*

– *No me jodas!*

– Kto mówi?

Biiip.

Pięć miesięcy później

Łatwo przyzwyczać się do podwójnego życia. Wystarczy zatrzymać to drugie tylko dla siebie. Nie miał innego wyjścia. W końcu kto by uwierzył?

Żył więc tak jak dotąd, pracując, odpoczywając, chadzając czasem do kina i dzwoniąc do matki, kiedy tego potrzebowała. A potrzebowała często. Zwykle życie było dobre. Kilka razy nawet umówił się z dziewczyną. I to z tą samą. Uśmiechał się, jak zwykle, jadł to, co zwykle, i starał się spać, jak zwykle. Z tym ostatnim bywało różnie. Ale nikt nie jest przecież doskonały.

Jednocześnie żył życiem drugim, którego rytm wyznaczały zmiany ekspozycji w gablocie reklamowej numer 8507185 na peronie metra, stacja Centrum, kierunek Kabaty. Widział ją każdy, kto schodził od północy, od strony podziemnego przejścia pełnego wielkich wystaw z obciążonymi bielizną manekinami. Ale nikt z nich nie wiedział tego, co on.

To było jak narkotyki. Jak sen, który śnił na jawie, w najdziwniejszy ze sposobów, bo przecież jednocześnie z wszystkimi normalnymi, całkiem zwyczajnymi rzeczami, które wypełniały jego życie. Jakby miał sekretną kochankę, o której wie tylko on jeden. Ukrytą, wyrafinowaną, kapryśną. Irytującą. Ale wciąż tylko jego.

Najgorzej było, kiedy trafiały się puste przebiegi. W ciągu pół roku zdarzyło się to trzy razy. Kiedy w gablocie reklamowano za pomocą szczegółowego programu jakieś głupie targi i kiedy wisiał tam absurdalny plakat zapraszający maturzystów do studiowania na jakiejś uczelni szczytającej się najmniej rozpoznawalnym logo w dziejach warszawskiej edukacji. No i wtedy, na początku, czyli

tuż po Wolfgangu Schorlau, a przed Wojciechem Mannem. Nikt nie odbierał, kiedy z powodu awarii oświetlenia gabloty była pusta.

Dlaczego Schorlau? Jak przypuszczał, to właśnie on był tajemniczym Niemcem, który odebrał telefon w środku tamtej pijanej piątkowej nocy. To w owym czasie w gablocie wisiał plakat reklamujący jego nową powieść o Georgu Denglerze, czyli ciąg dalszy „Błękitnej listy” i „Zmowy milczenia”. Głównym elementem plakatu było wielkie zdjęcie autora, przypominającego trochę podstarzałego Johna Lennona, a trochę jakiegoś belgijskiego pedofila z listu gończego.

Nie czytał książek Schorlaua, nigdy wcześniej o nim nie słyszał i nie sądził, by miało się to zmienić, chyba że Schorlau powróci do gabloty numer 8507185 w roli głównej atrakcji i trzeba będzie do niego zadzwonić. Ale pamiętał twarz i treść plakatu.

Eksperymentował więc dalej. Dzwonił po każdej zmianie ekspozycji. Skrupulatnie wszystko notował. Czarny notes wypełniał się informacjami: o której godzinie wybierał numer i z jakim efektem.

Kto by uwierzył.

Przez te kilka miesięcy dodzwonił się między innymi do Scarlett Johansson i Jennifer Lawrence. Jak głosiły zapisy w notatniku, z pierwszą udało mu się połączyć nawet trzy razy. Za trzecim krzyczała coś o stalkingu. Dwayne Johnson brzmiał sympatycznie, jak przystało na gwiazdę familijnego filmu o dzieciach na bardzo niebezpiecznej wyspie chronionych przez bardzo przyjaznego tubylca. Tubylca grał właśnie Dwayne Johnson. Najbardziej kasowy aktor Ameryki prowadził konwersację przez całe dwie minuty, przekonany, że rozmawia z umówionym wcześniej

czyścicielem basenów. I nie przeszkadzała mu nieco toporna angielszczyzna rozmówcy.

Zmieniały się plakaty, zmieniali się rozmówcy, a numer działał bez pudła, za każdym razem. Christian Bale był niemiły, Ben Affleck uprzejmy. Osobną kartkę w notatniku zajmowały gwiazdy robiące wrażenie naćpanych. Kartka szybko zamieniła się w mały rozdział.

Najbardziej opryskliwe były polskie gwiazdeczki. Z żadną nie udało mu się zamienić więcej niż paru słów. Zresztą, jak pomyślał, żadnej z nich nie miał chyba nic do powiedzenia. I vice versa. Wyjątkiem był pewien krakowski pisarz, alkoholik cierpiący na alzheimera, którego kudłata twarz promowała czwarty tom jego zapisków z codzienności. Ten odebrał telefon i przyjacielsko dyskutował z nieoczekiwanym rozmówcą przez dobry kwadrans, życząc mu na zakończenie dobrej nocy i dobrego życia. Niestety, następnego dnia nie pamiętał, z kim rozmawiał poprzedniego wieczoru i o czym, co skutecznie zakończyło pięknie zapowiadającą się telefoniczną przyjaźń.

Plakaty wymieniano co tydzień lub co dwa tygodnie, zwykle w weekendy. To wprowadzało do oczekiwania dodatkowy dreszczyk niepewności. Narzucił sobie w związku z tym pewien reżim: w każdy poniedziałek, jadąc do pracy, wysiadał jak gdyby nigdy nic na stacji Centrum, przechodził jak gdyby nigdy nic górą na przeciwległy peron i zatrzymywał się przy gablocie reklamowej numer 8507185. Robił zdjęcie komórką. Zapisywał w notesie nazwiska gwiazd, tytuł filmu, książki albo płyty, której istnienie światu właśnie obwieszczano, przyglądał się dokładnie zdjęciom, jakby próbując wywróżyć z rysów twarzy, co czeka go wieczorem, po czym wychodził z metra i jakby nigdy nic jechał do pracy.

A wieczorem dzwonił, jak przystało na człowieka prowadzącego podwójne życie.

Rozmowa dwudziesta siódma

Najciekawsza rozmowa odbyła się w całości po angielsku.

Biiip.

– Słucham?

– Dobry wieczór.

– Dobry wieczór – odparł głos.

Brzmiał dość przyjaźnie.

– Cały czas słucham – rzekł głos.

I to było skrajnie zbijające z tropu. Jakby mężczyzna oczekiwał, że ktoś zadzwoni.

– Na początek mógłby się pan przedstawić – rzekł głos. – Choć nie przywiązuję do konwenansów aż tak wielkiej wagi. Moja przebrzmiała brytyjskość nie wiąże się ze sztywnością. – Zaśmiał się.

Cisza.

Po prostu nie wiedział, co powiedzieć. I wystraszony rozłączył się, oczywiście, lecz zanim to zrobił, zdążył jeszcze usłyszeć wypowiedziane już smutniejszym tonem:

– Szkoda. Wie pan, tutaj raczej nikt nie dzwoni.

Bip, bip, bip.

Spojrzał na zdjęcie plakatu z gabloty numer 8507185 zrobione rano telefonem komórkowym. Z małego, trochę przykurzonego ekranu nokii przyglądał mu się mężczyzna w mocnym makijażu, z zabawnym wąsikiem i podniszczonym melonikiem na głowie.

Kino Kultura zapraszało na pokazy specjalnie odnowionej cyfrowo „Gorączki złota”, którą wprowadzono ponownie na ekrany świata w dziewięćdziesiątą rocznicę premiery. Z pewnym opóźnieniem film miał być wyświetlany w Warszawie, na specjalnych pokazach z żywym pianistą odgrywającym ścieżkę dźwiękową.

Chryste Panie, pomyślał. Dodzwoniłem się do Charlesa Chaplina.

Dzień po...

– Cześć, mamó – powiedział do słuchawki. Może było to nieco ekscentryczne, ale wciąż miał w domu tradycyjny, stacjonarny telefon. – Przepraszam, że ostatnio nie dzwoniłem. Trzymasz się jakoś? Tak. Aha. U mnie dobrze. Tak. Jasne, że wpadnę.

Matka mieszkała teraz sama, w zbyt dużym mieszkaniu, które przy każdych odwiedzinach wydawało się większe i ciemniejsze. Ona sama za to wydawała się coraz drobniejsza i bardziej krucha.

Obiad był dobry, ale rozmowa się nie kleiła. Kiedy ostatni raz rozmawiał szczerze z matką? O czymś więcej niż szkolnych kłopotach dzieci dalekich kuzynek albo podupadających na zdrowiu ciociach, wujach, ich kuzynach i kuzynkach oraz nigdy niewidzianych rodzicach chrzestnych tych kuzynek?

A czy chciał z nią szczerze rozmawiać?

Pomyślał, że przecież to może działać w drugą stronę – że matka nie chce dotknąć w nim bolących, niezabliźnionych miejsc, właśnie dlatego, że jest matką. Że omija wilcze doły, czepiając się nieistotnych tematów konwersacji, jakby były ratunkowymi linami.

I tak tańczyli wokół siebie, niczym wytrawni mistrzowie dyplomacji, ze wszelkich sił unikający powiedzenia czegoś, co naprawdę ma znaczenie. Przed wyjściem poprosił jeszcze o pomoc. O szarą kopertę z szuflady biurka. Na kilka dni, obiecał. Oddam, obiecał. Na pewno, obiecał.

Obiad był dobry, ale do domu wrócił smutny.

...i kolejne dni

Spiskował. Jak przystało na człowieka wiodącego podwójne życie.

Było to na swój sposób ekscytujące, ale jednocześnie męczące. Niczym kandydat na szpiega uczył się wszędzie widzieć podejrzanego spojrzenia i nadmiernie ciekawskich, czyli potencjalnie niebezpiecznych obywateli. Płacił gotówką i starał się nie bywać bez potrzeby dwa razy w tym samym miejscu. Internet okazał się bezcenną pomocą, bo dostarczał nieprzebranej mnogości potrzebnych informacji, a jednocześnie przekleństwem – bo dostarczał nieprzebranej mnogości informacji. Dość szybko można było w nim ustalić, czego dokładnie potrzebuje, ale już wybranie konkretnych wykonawców okazało się trudne. Był w końcu tylko amatorem. Na szczęście ludzie nie wtykają nosa w cudze sprawy, w każdym razie nie tak często jak kiedyś.

Dwa problemy, które martwiły go najbardziej, to monitoring metra i policja. W tej właśnie kolejności. Na szczęście nie potrzebował wiele czasu. Na nieszczęście jedyny sposób ograniczenia widoczności w metrze, jaki udało mu się wymyślić, utrudniał także wykonanie zadania. „Zadanie”. Tak to sobie

wymyślił, takiego określenia używał w głowie, kiedy wszystko układał. „Zadanie”.

Trzeci problem był najgorszy – potrzebował współnika.

Skąd, u licha, miał go wziąć? Życie to nie serial, gdzie gość w potrzebie zagląda do podrzędnego baru, przed którym stoją zaparkowane gigantyczne motocykle, a wewnątrz przy dzbanach piwa czekają wytatuowani desperaci do wynajęcia. W filmach wszystko było prostsze: facet wchodzi do speluny, rozsypuje, dajmy na to, sól na stoliku i pisze palcem: „Kwinto”. I od razu znajduje się ktoś, kto podejmie się zlecenia. Niemożliwe w prawdziwym życiu. Nie tylko dlatego, że w większości knajp można dziś rozsypać nie sól, a najwyżej słodzik.

Chcesz pomocy, pomóż sobie sam – doszedł wreszcie do wniosku. Najprostsze rozwiązania są najlepsze.

Wszystko to spowodowało go na stację metra Centrum w godzinach szczytu, prosto w tłum. Warszawski tłum nie wydawał się jeszcze taki najgorszy. W porównaniu z tym, co dzieje się w krytycznych chwilach na peronach Londynu, nie mówiąc o Tokio, w Warszawie było spokojnie i dość luźno. Co zresztą sprzyjało jego planom, bo potrzebował miejsca, żeby się rozpędzić. Każdy, kto wsiadał do warszawskiego metra, widział taką scenę nie raz: skład wjeżdża na stację, co wywołuje natychmiast niesłychane ożywienie wśród poważnych na pozór ludzi, którzy w tej chwili znajdują się jeszcze przy bramkach, ale na dźwięk hasła: „Uwaga, nadjeżdża pociąg” zamieniają się w gnających w dół na łeb, na szyję szaleńców.

Tym razem jeden z szaleńców, młodzieniec w czerwonej wełnianej czapce, rozpędził się tak bardzo, że nie wyrobił się w chwili, kiedy ze schodów trzeba było skręcić na peron. Odbił się

od wielkiego jak góra mężczyzny w czarnym płaszczu, po czym, rozpaczliwie machając rękami, łupnął o gablotę reklamową numer 8507185. Gablota pękła.

– Przepraszam, przepraszam – mamrotał, leżąc na posadzce. – Nic mi nie jest. Przepraszam!

A potem, nim ktokolwiek zdążył mu zaoferować pomoc, zaskoczył zgromadzonych gapiów, spośród których połowa chciała wzywać pogotowie, a druga połowa pomstowała na dzisiejszą młodzież. Zerwał się z podłogi, gibko gnając do najbliższego wagonu metra, którego drzwi dopadł niemal równo z burkliwym brzęczykiem sygnalizującym ich zamknięcie. Ale zdążył wśliznąć się do środka, gdzie natychmiast rozpoczął długi marsz do przodu składu. Miał szczęście – ten pociąg linii M1 (jak od niedawna z dumą głosiły wyświetlacze) pochodził z najnowszej dostawy. Był to długi, bezprzedziałowy wąż składający się niemal z samych rozsuwanych drzwi. Łatwo można się w nim przemieścić i zgubić.

Na stacji Politechnika wmieszał się w tłum, schował czapkę do kieszeni i pomyślał, że tym razem pójdzie do domu na piechotę.

Pięść dni przed dniem ostatnim

A jeśli pomysł był idiotyczny?

Następnego dnia obserwował z galerii handlowej metra Centrum, peron kierunek Młociny, jak po drugiej stronie torów dwóch facetów przysłanych przez firmę, której własność stanowiła gablota reklamowa, wymienia w niej popękana szybę. To znaczy koncepcja była może i dobra, ale do wykonania zadania to nie wystarczało. Co osiągnął, poza gigantycznym siniakiem na plecach?

Cierpliwości, pomyślał. Może mu się poszczęści.

A może będzie miał pecha? Co, jeśli ktoś oglądający taśmy monitoringu odkryje, że przypadkowy sprawca rozbicia gabloty nieprzypadkowo trzymał pod pachą łom, którego uderzenie gwarantowało efekt dużo lepszy od najmocniejszego nawet walnięcia kręgosłupem w pleksiglas?

W każdym razie to nie na tych dwóch facetów czekał. Niech sobie naprawiają gablotę.

Żeby zabić czas, udawał, że przyszedł na zakupy. Przekartkował kilka książek prawniczych w księgarni, obszedł kilka razy wnętrze sklepu z komiksami, spróbował chwycić kilka akordów na jednej z akustycznych gitar wystawionych w salonie muzycznym. Kupił colę i gazetę w kiosku. Potem poszedł do automatu biletowego po do niczego mu niepotrzebny bilet dwudziestominutowy.

Po półgodzinie uśmiechnęło się do niego szczęście.

Przy gablocie numer 8507185, w której niemiłosiernie migały świetlówki (może jednak coś naprawdę uszkodził, waląc plecami w szybę?), rozkładał się z narzędziami chudy elektryk w roboczym, drelichowym ubraniu.

– Awaria? – zapytał, podchodząc do elektryka.

– Wandale – powiedział elektryk. – Pewnie kibole. Ludziom już kompletnie odbija. Co im zrobiła ta... Zaraz, czy ja pana już tu kiedyś widziałem?

Trochę później

Każdy potrzebuje roboty. Elektrycy też.

Zlecenie było o tyle wiarygodne, że z instalacją w mieszkaniu naprawdę coś się pieprzyło od samego początku. Żarówki w łazience lubiły brzęczeć i przepalały się po kilku tygodniach. W pokoju nie dało się właściwie podłączyć światła pod sufitem – zawsze któraś z czterech lamp nie działała, a włączenie jednocześnie zmywarki i pralki nieodmiennie kończyło się wywaleniem korków. Generalny remont sprzed kilku lat niewiele pomógł.

Chudy elektryk zabrał się do pracy wyjątkowo sumiennie, łącznie z rozkuciem kilku miejsc, gdzie odnalazł źle zabezpieczone i umieszczone niezgodnie z regułami sztuki puszki z kablami. Potem opowiadał coś szczegółowo o odwróconych czy też źle podpiętych fazach. Za popołudnie pracy dostał więcej pieniędzy niż zwykle w takich przypadkach. Ale niedużo więcej. Tak, żeby zapamiętał, ale by nie nabrał podejrzeń.

– Mam taką głupią sprawę – usłyszał kilka dni później chudy elektryk od swojego nowego klienta. – Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale...

Elektryk nie odmówił od razu. To był dobry znak. Poprosił o czas do zastanowienia.

Z takich próśb nigdy nic dobrego nie wynika, trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

– Ten zakład, wie pan, to w sumie spore pieniądze – tłumaczył więc elektrykowi, czując, że to jedyna szansa. – Myślałem, że moglibyśmy się, wie pan... jakoś podzielić.

Potem podał kwotę. A kiedy po drugiej stronie słuchawki usłyszał długą chwilę milczenia, wiedział, że się udało. Musiał tylko zapewnić jeszcze, że cała sprawa nie ma nic wspólnego z polityką.

– Sam pan zobaczy – obiecał elektrykowi. – Zwyczajny zakład. Potrzebuję dosłownie pięć minut. Powiedzmy, trzy minuty.

– No dobra – powiedział chudy elektryk.

Dzień zero

Umówili się na niedzielny poranek. To była dobra pora. Ludzi w metrze było dużo mniej niż zwykle, pociągi też jeździły rzadziej. Patrole policji i straży miejskiej były odpowiednio zaspane, choć o tym akurat nie wspominał, zachwalając zalety tej, a nie innej godziny.

Przyjechał pierwszy i kręcił się chwilę po peronie. Z szafy wyciągnął tego dnia jakąś starą dzinsową kurtkę i szare spodnie. Miał nadzieję, że uzyska w ten sposób odpowiedni wygląd – robotniczy czy rzemieślniczy, ale przypominał raczej żula strojącego się na niedzielę w ciuchy z lumpeksu. Z grubsza chodziło o to, że chciał sprawiać wrażenie współpracownika elektryka, a w każdym razie kogoś, kto z racji obowiązków służbowych ma powód, by w niedzielny poranek stać przed gablotą reklamową numer 8507185.

Elektryk przyjechał, tak jak było umówione, o ósmej trzydzieści. Nieodłączną skórzaną kanciastą torbę z narzędziami postawił pod ścianą.

Czekał.

Kiedy w jego dłoni znalazły się odliczone i obiecane wcześniej pieniądze, otworzył gablotę. A potem odwrócił się, by dokonać oględzin sąsiedniej. Taka była umowa. „Ja się, panie, w żadne dziwne zakłady nie bawię, niczego więcej nie robię, tylko otwieram”

– zapowiedział elektryk. I tak zrobił. Mógł więc z czystym sumieniem twierdzić, że nie widział, kto zdjął plakat reklamujący „Amazing Spider-Mana 3”.

Nowy plakat był gruby i błyszczący. Żadne ksero, porządny druk na papierze solwentowym, sztuk jeden, format B0. Metr czterdzieści jeden wysokości na metr szerokości. Sztuk jeden.

Ponieważ nie wiedział, jak dokładnie wygląda technika przytwierdzenia reklam do wnętrza gabloty, miał ze sobą kilka samoprzylepnych dwustronnych plastrów. Były spore, więc powinny utrzymać ciężar.

I utrzymały.

Zamknął gablotę. Cichy stuk zaginął w szumie składu metra, który właśnie wjeżdżał na peron stacji Centrum. Poczekał, aż wysiadający przetoczą się przez schody, cofnął się o kilka kroków i sięgnął po komórkę. Pstryk, pstryk. Musiał to zrobić, żeby podtrzymać legendę: zdjęcia jako dowód. To właśnie powiedział elektrykowi. To miało być celem całej operacji, bo szło o zakład. Założył się, że bez rozmów z firmą STURMER, właścicielem bilbordów i gablot reklamowych, umieści na jednym z jej nośników zdjęcie pewnego powszechnie nielubianego wykładowcy. Pstryk, pstryk, wygrał.

Tylko że żadnego zakładu nie było, a człowiek z plakatu nie był żadnym wykładowcą.

Punkt druku wielkoformatowego, z usług którego skorzystał, sprawił się naprawdę dobrze. Niewielkie zdjęcie przechowywane dotąd w szarej kopercie nie straciło na jakości podczas powiększenia. Grafik ze studia nawet podbił ostrość i wyrównał kolory.

Wszystko wyglądało tak, jak to sobie wyobrażał.

Stał i patrzył. A potem wystukał numer.

Rozmowa dwidziesta ósma

Biiip.

Cisza.

Biip.

– Halo – rzekł cichy, nieco drżący głos.

– Cześć, tato – powiedział. – Trzymasz się jakoś?



Inicjatywa oddolna



Kto? – zapytał Jan Misiok, wojewoda śląski. A sekretarka powtórzyła:
– Diabeł.

Ki diabeł, pomyślał Misiok. A potem przypomniał sobie, że wśród najbliższych współpracowników miał kilku jajcarzy, z których najbardziej nieobliczalny był Ciompa. Najpewniej albo się, głupek, przebrał, albo zbałamucił sekretarkę, żeby bzdury gadała. Postanowił więc odpowiedzieć psikusem na psikus i zamiast czekać na gościa za masywnym czarnym biurkiem, podszedł szybko do wysokich, brązowych drzwi gabinetu i znienacka gwałtownie otworzył je, wołając:

– A tuś mi, bratku!

Po drugiej stronie drzwi nie czekał jednak wesolek Ciompa, ino ktoś zupełnie obcy.

Był to mężczyzna średniego wzrostu, ubrany w grafitowy garnitur, do którego nosił o ton jaśniejszą koszulę i złoty krawat. Tegoż koloru była chusteczka wystająca z kieszonki oraz druciane oprawki okularów. Pod szklami kryły się oczy: jedno brązowe, drugie czarne. Czarne były również lakierki na nogach przybysza. Tak wyglansowane, że odbijały się w nich okna. W całym jego wyglądzie było coś nieuchwytnie niemieckiego.

Gość przedstawił się elegancko, jednak zarówno imię, jak i nazwisko umknęły od razu z pamięci wojewody.

– Misiok jestem – zrewanżował się gospodarz. – Misiok Jan, do usług.

– A to się jeszcze zobaczy – uśmiechnął się dziwny przybysz.

Sekretariat był pusty. Gdzie się podziała Ilonka, zastanawiał się Misiok, przecież przed sekundą anonsowała gościa.

Musiał radzić sobie sam. Zaprosił mężczyznę w grafitowym garniturze do środka, grzecznie podsunął krzesło. Nie to, które zwykle przeznaczal dla petentów, a z którego widać było portret Piłsudskiego na ścianie i wysoki stuletni zegar w kącie, lecz krzesło przy okrągłym stoliku po drugiej stronie gabinetu. Tu atmosfera była mniej formalna. Na środku stolika stała cukiernica.

– Herbaty? Kawy? – zaproponował, gdy obaj się usadowili. – Może coś chłodnego? Pani Ilonko! – zawołał, nie czekając na odpowiedź, w stronę wciąż otwartych drzwi.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Same.

Przeciagi, to tylko przeciagi, w końcu gmach stary, próbował sobie wytłumaczyć wojewoda. I zaraz niemal podskoczył, bo gdy obrócił wzrok znów w stronę gościa, ujrzał stojącą na stoliku obok cukiernicy złotą tacę. Na tacy dymił imbryk z herbatą, obok stał dzbanek z czarną kawą, dwie butelki wody mineralnej, dwie wysokie szklanki i dwie filiżanki oraz dwojak ze śmietanką i mlekiem. Wszystkie naczynia musiały pochodzić z jednego, sztywnego kompletu. Ozdobione były złotymi liniami, które w jakiś sposób wydawały się idealnie pasować do okularów, krawata i chusteczki gościa.

– Nie trzeba, naprawdę nie trzeba – rzekł przybysz. Misiok zwrócił uwagę na jego głos: przyjemny, głęboki baryton, zaskakujący u osoby tak średnich, ogólnie rzecz biorąc, rozmiarów. – A bo to nam tu źle we dwóch?

Wojewoda, by ukryć zmieszanie, sięgnął po imbryk z herbatą, tyle że kiedy przechylił go nad filiżanką, odkrył, że jest już pełna.

– Szkoda czasu na rzeczy nieistotne – stwierdził gość. – Przybywam do pana służbowo. Jest do zrobienia interes.

Misiok nie zwrócił za bardzo uwagi na te słowa, bo skupił się na dwóch złotych łyżeczkach, które same uniosły się z tacy i zaczęły mieszać płyn w filiżankach. Kiedy jednak usłyszał „służbowo”, a potem „interes”, świadom przecież, z jakiego rodzaju mocą ma najprawdopodobniej do czynienia, wpadł w lekki popłoch. I natychmiast we wnętrzu własnej głowy rozpoczął przeszukiwanie wspomnień. Zdarzało mu się nieraz zabalować, trzeba przyznać, niekiedy nawet mocno przesadzić, ale utoczenie własnej krwi na cyrograf chyba by zapamiętał...

– Ależ niech się pan uspokoi i nie martwi tak o swoją nieśmiertelną duszę, nie podpisywaliśmy żadnych dokumentów – zapewnił głośno gość, odpowiadając na ten galop myśli. – Zresztą wtedy przyszedłby do pana kolega z innego działu.

– Jakiego? – odruchowo zapytał wojewoda.

– Z windykacji.

Misiok wyprostował się na krześle, wygładził krawat, zabębnił palcami o blat. Ale pozostawał czujny.

– Łapówek też nie biorę – powiedział na wszelki wypadek. – I u innych tępię.

– Brawo. Tak trzymać. Łapówkarze to nie są ludzie godni zaufania. Wzięli pieniądze od jednego, wezmą i od drugiego – zgodził się gość. – Łapówka dobra, ale umowa lepsza.

– Jaka umowa? – najeżył się Jan Misiok.

– Normalna. Biznesowa.

– Ale my nie mamy żadnej umowy.

– No właśnie. A powinniśmy, messer, powinniśmy!

Złote łyżeczki wyfrunęły z filiżanek i zawirowały nad tacą. Przez chwilę wojewodzie wydawało się, że to nie martwe przedmioty, lecz dwie żywe istoty tańczące w gorącym powietrzu. Gdyby tylko udało mu się skupić, może ujrzałby twarze pięknego młodzieńca i urodziwej dziewczyny...

– Proszę o wybaczenie, nie chciałem pana rozpraszać. – Gość wykonał lekki ruch dłonią i łyżeczki znieruchomiały. Zawisły po prostu nad cukiernicą.

Wojewoda Jan Misiok poczuł, że pocą mu się ręce.

– No więc co do umowy, to jeśli chodzi o duszę...

– A cóż mi pan tu wyjeżdżasz ciągle z tą duszą! – poirytował się gość. – Nie o duszę tu chodzi. Koniec, kropka! Interes chcę zrobić. Inwestycję.

To zmieniało postać rzeczy. Nie ma w Polsce wojewody, burmistrza czy wójta, który na hasło „inwestycja” nie zacząłby natychmiast strzyc uszami. Tak było i w przypadku Jana Misioka. W niejednych negocjacjach biznesowych brał w życiu udział i niejedną inwestycję dopinał. Mógł więc odwołać się do sprawdzonych procedur i do własnych doświadczeń. Od razu więc poczuł się trochę pewniej.

– A kogo dokładnie pan reprezentuje?

– Grupę kapitałową. O nieograniczonym kapitale. A tak konkretnie, to pewną część tej grupy, zajmującą się pracami podziemnymi.

– Firma górnicza?

– Ja bym tak tego nie nazwał. Nie zajmujemy się w moim dziale eksploatacją surowców naturalnych. Prowadzimy prace konstrukcyjne, poszukujemy nowych terenów ekspansji, zarządzamy zbudowanymi już instalacjami.

– Chcielibyście coś u nas zbudować? Na Śląsku?

– Pod Śląskiem – uściślił przybysz.

– Co chcecie wydobywać?

– Absolutnie nic – zapewnił mężczyzna w grafitowym garniturze. – Interesuje nas to, co was już zupełnie nie interesuje. I chcemy dobrze zapłacić. Region zarobi miliony. Może miliardy. Liczymy na długą współpracę.

Wojewoda Jan Misiok poczuł miłe mrowienie. Myślenie o wielkich pieniądzach, podobnie jak myślenie o pani Ilonce, sprawiało zawsze, że czuł się mocno ożywiony.

– Proszę potraktować to jako inicjatywę oddolną – dodał tajemniczy przybysz.

– U nas w regionie wspieramy inicjatywy oddolne – rzekł wojewoda. – Oczywiście nie daję gwarancji, że pomogę. Ale mogę posłuchać.

Wtedy w gabinecie wojewody zrobiło się ciemno jak w sali kinowej. O kilka kroków od stolika ze złotą tacą wyrósł wprost z podłogi wielki biały ekran, na którym zamigotały kolory.

– Przygotowałem profesjonalną prezentację – powiedział gość.

Na ekranie pojawiały się kolejno krótkie filmiki, animowane wykresy, infografiki, sporo liczb. Prezentacji towarzyszyła świetnie dobrana muzyka, dzięki której w odpowiednich momentach Misiok czuł się nieco zasmucony lub nieco uradowany, pełen nadziei albo pełen troski.

– O, tutaj – podpowiadał czasem gość. – Proszę spojrzeć na te liczby. Tu mamy jeszcze jeden wykres. I ten szkic. To daje nam też łączną liczbę kilometrów. I to właściwie koniec wyводу.

Ciemności zniknęły. Znów siedzieli w rozświetlonym przedpołudniowym słońcem gabinecie, w otoczeniu ciężkich

stuletnich mebli i żółtych donic z kwiatami.

– Oczywiście rzecz cała musi być otoczona najściślejszą tajemnicą. Chcielibyśmy uniknąć kłopotów takich, jak kilka lat temu w Chile.

– W Chile? A co tam się stało?

– Chciwość, jak zwykle chciwość i głupota – westchnął gość. – Nie żebym miał coś przeciwko tym przywarom. Ich posiadacze należą do naszych najlepszych pensjonariuszy. Ale w biznesie czasem przeszkadzają. Widzi pan, w Chile wynegocjowaliśmy bardzo konkretne porozumienie: inwestorzy z góry mogą eksploatować pokłady do głębokości pięciuset metrów, a inwestorzy... powiedzmy, inwestorzy z dołu zajmują się tym, co jest głębiej. Strona powierzchniowa nie dotrzymała warunków umowy i wysłała górników w San José za daleko. Poniżej sześćsetnego metra. To było oburzające naruszenie kontraktu. Proszę sobie wyobrazić: pracuje pan spokojnie, a tu nagle nieproszeni goście zwalają się panu na głowę, z tymi swoimi świdrami, kilofami i wiadrami. Złoto... – westchnął gość. – Dlaczego to zawsze musi być złoto...

– Coś mi się obilo o uszy – przyznał wojewoda Misiok.

– Kryzys trwał sześćdziesiąt dziewięć dni. Musieliśmy nieproszonych gości zatrzymać, a potem i przetrzymać. Aż do chwili, kiedy nie tylko ich wiarołomni szefowie po długich negocjacjach obiecali poprawę, ale i sami górnicy przysięgli, że słowem nie pisną na temat tego, co widzieli pod ziemią.

– A co widzieli?

– A to już tajemnica służbowa – uśmiechnął się gość.

Wojewoda Misiok zamyślił się.

– Jaki rodzaj umowy chcielibyście zawrzeć ze mną? – zapytał wreszcie.

– Nie tylko z panem. Rozmowy trwają w tej chwili także w innych gabinetach. W ministerstwach. W holdingu Kompania Węgłowa. W stosownych samorządach. I związkach zawodowych. Bardzo nam zależy, żeby od strony formalnoprawnej wszystko było załatwione jak trzeba. Rzecz jasna, pana głos, jako przedstawiciela rządowej administracji w terenie, jest dla nas niesłychanie ważny.

– Mógłbym to dostać na papierze?

– Oczywiście. – Gość sięgnął do eleganckiej czarnej aktówki i wyjął plik papierów. Misiok dałby sobie rękę uciąć, że kiedy przybysz wchodził do gabinetu, nie miał ze sobą nic prócz przymilnego uśmiechu.

Wojewoda raz jeszcze przestudiował prezentację, tym razem w wersji drukowanej. Projekt umowy przeczytał bardzo dokładnie trzy razy. Odczekał. Przeczytał jeszcze raz.

– Nie chcę niczego przegapić – rzekł usprawiedliwiająco. – Sam pan wie.

– Wiem – zgodził się gość. – Diabeł, jak to mówią, tkwi w szczegółach.

Wojewoda myślał.

– Wygląda dobrze – oświadczył wreszcie. – Od strony formalnoprawnej, oczywiście. Co jeszcze niczego nie oznacza, bo nie mówię, że się zgadzam.

– Nie mógł szanowny pan wyrazić tego jaśniej – rzekł gość.

– Ale, ale... gdybym chciał rzeczywiście podpisać to porozumienie, tak czysto teoretycznie, to o jakiej kwocie byłaby mowa?

– Czysto teoretycznie o takiej. – Przybysz wyciągnął do Misioka żółtą samoprzylepną karteczkę z wypisaną liczbą. Wojewoda przełknął głośno ślinę.

– Jest pan pewien, że nie ma tu zbyt wielu zer?

– Jestem pewien.

Misiok zastanowił się, czy jest jeszcze sens się zastanawiać. To w końcu inwestycja. Prawdziwa i bardzo opłacalna. Będą pieniądze na drogi, żłobki, Stadion Śląski, Koleje Regionalne. Ech, raz kozie śmierć! Dla dobra regionu!

Jednak wojewoda Misiok nie zwykł godzić się na cokolwiek zbyt łatwo.

– W takim razie proszę dopisać jeszcze jeden paragraf – zażądał. – Że w przypadku braku zgody choć jednego z pozostałych partnerów, z którymi rozmawiacie, umowa jest nieważna.

– Słusznie – zgodził się gość. – Rozłożona odpowiedzialność. Też często stosujemy tę zasadę. Zmiana już została wprowadzona. Proszę sprawdzić.

Misiok spojrział na ostatnią stronę dokumentu. Żądany paragraf widniał na papierze.

– A jak już podpiszę, to pewnie zniknie pan w oparach siarki i płomieniach – spróbował żartować.

– Proszę nie poddawać się uprzedzeniom i przesądom. Każdego można obrzydzić czarnym PR-em. Pan polityk, pan powinien to wiedzieć.

Misiok wiedział. Nie z własnego doświadczenia, ale miał w partii kilku kolegów, których nieźle poszarpały różne ciuliki z gazet.

– I co pan o tym sądzi, mości wojewodo? – rzekł przybysz w grafitowym garniturze, który odrobinę zafalował i Misiokowi

przez chwilę wydawało się, że miał elegancika średniego wzrostu naprzeciw siedzi osobnik bardzo mikry, nieco powykręcany, z nosem jak haczyk i krogulczymi paznokciami. „Istny Niemiec, sztuczka kusa” – myśl ta sama wypłynęła na wierzch z głębin umysłu i edukacji Jana Misioka. I równie szybko zniknęła, jakby nigdy się nie pojawiła.

– Dla dobra regionu – bąknął wojewoda.

– Dla dobra regionu – zgodził się gość.

– A jednak – mruknął wojewoda. – Głupio tak. I trochę niebezpiecznie. Prowadzenie interesów z reprezentowaną przez pana grupą kapitałową obarczone jest dużą dozą ryzyka. Z historii takie wnioski można wyciągnąć.

– Z jednych historii takie, z innych historii śmaki – zaśmiał się, cokolwiek nieszczerze, przybysz. Misiokowi zdawało się, że oczy gościa zamieniły się miejscami. Teraz brązowe znajdowało się po lewej stronie, a czarne po prawej. Przysięgłby, że na początku było odwrotnie. – Cóż z pana nagle za historyk się zrobił. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

– Możliwe. Ale pokazałbym jeszcze umowę prawnikom. – Wojewoda Misiok wstał i ruszył w kierunku olbrzymiego biurka, na którym stał staromodny telefon ze słuchawką na wielkich widełkach. W połowie drogi teczka wysunęła mu się spod pachy, a papiery rozsypały po podłodze.

Kiedy zaczął je zbierać, coś zwróciło jego uwagę.

– A ten drugi dokument? – zapytał. Bo naraz odkrył, że oprócz sześciu egzemplarzy głównej umowy trzyma w ręku także tyleż kopii jakiegoś nieznanego mu porozumienia.

– Taki tam drobiazg. – Gość mrugnął i papiery odfrunęły nad stolik, gdzie zawisły obok złotych łyżeczek. – Nie chciałem nawet

pana obrażać taką propozycją. Nie ma o czym mówić.

– Jaką propozycją? – zapytał Misiok, który zanim papiery odfrunęły, zdążył przeczytać nagłówek: „Umowa o świadczenie usług doradczych w charakterze konsultanta”.

– Wie pan, nie da się dziś prowadzić interesów całkiem samodzielnie, tak bez pomocy – rzekł gość. – To nie wilczy kapitalizm, to nie Dziki Zachód. Nikogo nie stać, by wciąż uczyć się na własnych błędach. Zawsze staramy się korzystać z doświadczenia i wiedzy najwybitniejszych miejscowych specjalistów. Takich jak pan, chociażby.

– W sumie wie się o regionie to czy tamto – powiedział połączony przyjemnie wojewoda. – Ale ja już mam etat.

– No właśnie, no właśnie. I wstyd mi, że w ogóle ten temat wypłynął. Pan tak jasno wyraził się na początku w kwestii uzyskiwania dodatkowych nieopodatkowanych dochodów, że nawet nie chciałem panu zawracać głowy. Jeszcze potraktowałby pan to jako propozycję korupcyjną, a tego bym nie zniósł. Byłoby mi wstyd, że pan tak pomyślał, i wstyd, że w ogóle poruszyłem temat w obecności tak zacnego partnera.

Przybysz powtarzał słowo „wstyd” na tyle różnych sposobów, że i wojewoda poczuł się nieswojo. Przecież gdyby chodziło o łapówkę, to nie byłoby żadnego projektu umowy. A konsultacje, cóż, wszyscy korzystają z pomocy konsultantów. I doradców.

– Proszę się tak nie sumitować – rzekł, nie wiedząc nawet, skąd to nigdy nieużywane wcześniej sformułowanie przyszło mu do głowy. I pomyślał, że w tej sytuacji wypadałoby choćby z czystej uprzejmości rzucić okiem na projekt umowy.

Papiery podfrunęły ku jego dłoniom.

Wojewoda wrócił na krzesło przy stoliku i pogrążył się w lekturze.

Chwilę później roześmiał się szczerze.

– Pan wybaczy, ale zwolniłbym pracowników, którzy popełniają takie błędy – powiedział. – Choć rozumiem, że w pośpiechu różne się rzeczy zdarzają. Ktokolwiek przygotowywał te dokumenty...

– O jakie błędy chodzi?

Wojewoda wskazał punkt w połowie drugiej strony umowy.

– Jak to możliwe, że kwota przewidziana za konsultację przewyższa sumę wpisaną w głównej umowie? Przecież to absurd. No dobrze, może jestem zbyt surowy. Czeski błąd. Komuś omsknął się palec na klawiaturze.

Gość odebrał dokument od Misioka i spojrzał na wskazane miejsce.

– Wszystko jest w porządku. Tak to właśnie powinno wyglądać.

Wojewoda Jan Misiok poczuł niezwykłą suchość w gardle. Kwota widniejąca na umowie była astronomiczna.

– Za konsultacje!?

– Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku – nieco protekcyjnie, ale i familiarnym tonem powiedział przybysz. – Kapitał ludzki, to się liczy! Nie ma poważniejszych inwestycji!

Trudno było się nie zgodzić z tym argumentem. Wojewoda pomyślał, że gdyby wszystkie pieniądze z funduszy unijnych przeznaczone na szkolenia mógł wydać na coś konkretnego i za jednym zamachem, to pewnie już dawno odkupiłby od Czechów brakującą część Śląska Cieszyńskiego.

– Kapitał ludzki – powtórzył cicho Misiok. Czemu nie? Czyż nie do tego zawsze wszystko się sprowadzało? Wiedza, doświadczenie, praktyka, zdobyty w czasie kariery prestiż. Na całym świecie była

to przepustka do większych apanaży i wyższych stanowisk. Na całym świecie, z wyjątkiem...

– Dla dobra regionu – powiedział więc wojewoda Misiok, który po niemal trzydziestu latach kariery jeździł starym oplem astra i mieszkał w trzypokojowym mieszkaniu na Ligocie.

Złote łyżeczki skłoniły się szarmancko w jego kierunku i osiadły na brzegu tacy.

W dłoni gościa, która zawisała nad stolikiem, zmaterializowało się wykonane z białego złota pióro Aurora Diamante, inkrustowane prawdziwymi diamentami.

– Ja swoim – zapewnił jednak wojewoda Misiok i wyjął z kieszeni marynarki starego parkera.

Szybko, sprawnie i dokładnie parafował wszystkie strony sześciu kopii obydwu dokumentów. Zanim jednak złożył podpis w najważniejszym miejscu, wstrzymał dłoń.

– Tak z ciekawości – rzekł. – Jaki jest cel całej tej operacji? Po co piekł... to znaczy w jakim biznesowym celu reprezentowana przez szanownego pana grupa kapitałowa chce nabyć prawa do zagospodarowania najgłębszych, porzuconych chodników naszych kopalń? Przecież tam już niczego nie ma.

– Otóż to – zgodził się gość. – Niczego tam nie ma. A my potrzebujemy przestrzeni.

– A co – wojewodzie znowu zebrało się na żarty – zabrakło miejsca na grzeszników w piekle?

Podłoga zadrzała. Ciemność raz jeszcze wypełniła szczelnie gabinet wojewody Misioka, ale tym razem nie chodziło o żadną biznesową prezentację. Błada żółć ścian przeszła w pomarańczowe płomienie, a powietrze nabrało duszącego fetoru gorącej siarki i gotującej się smoły. Siedzący naprzeciw przy stoliku przybysz

w grafitowym garniturze zrobił się nagle trzy razy większy, a złote łyżeczki zamieniły się w syczące wściekle węże o złotych łuskach, które rzuciły się do gardła Misioka. Wojewoda wrzasnął przeraźliwie i spróbował odskoczyć, wywracając jednocześnie stolik i samemu przewracając się w tył. Zasłonił twarz przedramieniem, przekonany, że węże za chwilę go rozszarpia.

Nic się nie wydarzyło.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał, że leży na dobrze znanej, lekko porysowanej podłodze własnego gabinetu. Światło wpadające przez okna było zwyczajne, codzienne, a gość siedzący przy stoliku i złotej tacy miał minę pełną skruchy.

– Najmocniej przepraszam. Moi współnicy są bardzo wyczuleni na punkcie dyskrecji. W dzisiejszych czasach tak łatwo obrócić przeciw komuś pochopnie wypowiedziane słowo.

Misiok podniósł się z podłogi. Trochę kręciło mu się w głowie. Usiadł, podejrzliwie popatrzył na złote łyżeczki, leżące bez życia obok cukiernicy, wygładził szarą marynarkę.

– Rozumiem. Nie trzeba głośno mówić.

Gość roześmiał się.

– Sam Józef Mackiewicz by lepiej tego nie ujął!

Wojewoda nie wiedział, kim jest Józef Mackiewicz, ale wiedział doskonale, że nie ma ochoty ani na dalsze żarty, ani na przedłużanie tego spotkania. W milczeniu powrócił do dokumentów i szybko złożył ostatnie podpisy.

Papiery same wskoczyły do aktówki przybysza, którego oczy znów były w najlepszym porządku: czarne po lewej, a brązowe po prawej stronie, jak na początku.

– Niezmiernie jestem panu wdzięczny – rzekł gość. – Dozgonnie. A nawet dłużej.

Jan Misiok nie odzywał się. Dla regionu, powtarzał w myślach, dla regionu.

– Nie chciałbym zostawiać pana w smutku, strachu czy gniewie. W ramach budowy atmosfery wzajemnego zaufania i na początek długiej, owocnej współpracy odpowiem więc także na pana pytanie.

Misiok grzecznie czekał.

– Otóż reprezentowana przeze mnie grupa kapitałowa rzeczywiście w ostatnich dziesięcioleciach boryka się z pewnymi problemami z dziedziny gospodarki przestrzennej. Umowa, którą dziś był pan łaskaw podpisać, pomoże nam w alokacji części zasobów. Widzi pan, mości wojewodo – gość znów uderzył, nie wiedzieć czemu, w staropolski ton – właściwie miał pan rację. Mamy kłopot ze znalezieniem wolnego metrażu dla nowych pensjonariuszy, którzy napływają do nas coraz szerszym strumieniem.

– Czy to naprawdę takie zaskakujące? – odważył się zapytać Misiok. – Że ludzie na potęgę grze... to znaczy na potęgę podejmują niewłaściwe decyzje życiowe, prowadzące ich prosto w objęcia pańskiej grupy kapitałowej? Chyba tak to było urządzone od samego początku: jest miejsce na górze i jest miejsce na dole.

– Teoretycznie tak – odparł tajemniczy przybysz. – Nikt jednak nie przypuszczał, że ludzkość będzie mnożyć się w takim tempie. Mieszkańców Ziemi przybywa, przybywa więc i naszych pensjonariuszy. Powiem panu, tak między nami, że sami jesteśmy zdumieni. Nasze kalkulacje obliczone były procentowo – żyje sobie, powiedzmy, sto milionów ludzi, i wtedy jasne jest, że po śmierci pewien określony ich procent trafi do zasobów naszej grupy kapitałowej. Ale ludzie robią wszystko, by ten procent wzrastał! To nie myśmy pomylili się w obliczeniach! To wy, przepraszam za

bezpośredniość, przekraczacie wszelkie najśmielsze prognozy w tej dziedzinie! Musimy więc radzić sobie, jak umiemy. Powiększamy pieczary, budujemy nowe chodniki, wynajmujemy dodatkową przestrzeń użytkową...

– ...taką jak ta pod Śląskiem – domyślnie rzekł Misiok. – Czyli nie jesteśmy pierwsi?

– Oczywiście, że nie! Mówiłem już o Chile, ale mamy swoje inwestycje w RPA, Chinach, Turcji, wszędzie, gdzie można znaleźć wolne metry. Tu, w Polsce, w chwili kiedy rozmawiamy, nasi akwizytorzy rozmawiają także na Dolnym Śląsku, Podkarpaciu i w kilku innych miejscach.

– I te inwestycje – upewnił się Misiok – są bezpieczne? Nie mają żadnych skutków ubocznych?

– Szanowny panie, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, a i omleta nie da się zrobić bez rozbicia jajek. Staramy się, jak możemy, ale mamy nieco kłopotów z nadmiarem energii cieplnej. Kiedy przeniesie się kotły grzewcze bliżej powierzchni, to nie ma mocnych, powierzchnia musi się troszkę nagrzewać. Nie zrobiło się tu u was ostatnio nieco cieplej?

– Ano zrobiło – przyznał wojewoda. – Efekt cieplarniany. Ależ to skala działalności! Iluż wy musicie grillować tych pensjonariuszy, żeby podgrzać całą planetę!

– Przyznam mości panu w konfidencji – ściszył głos tajemniczy przybysz – że sami jesteśmy zdumieni. Kiedyś byliśmy przekonani, że mimo krótkoterminowych sukcesów w długiej perspektywie skazani jesteśmy na porażkę. Mieliśmy przeciw sobie, i nadal mamy, świetnie zorganizowaną konkurencyjną grupę kapitałową dysponującą ogromną liczbą wiernych akwizytorów oraz o wiele

ciekawszymi przestrzeniami do zagospodarowania. Ileż razy mój szef żałował, że postanowił się usamodzielnic!

„Co nagle, to po dia...” – chciał powiedzieć Misiok, ale zdołał się powstrzymać.

– Na szczęście okazało się, że nie ma spraw beznadziejnych. Trochę cierpliwości i proszę: ciągle jesteśmy w grze! I idzie nam coraz lepiej!

– Dzięki nam – powiedział ponuro wojewoda Jan Misiok.

– Tak to można określić – zgodził się gość.

– Czyli za swoją gwałtowną ekspansję piek... to znaczy reprezentowana przez pana grupa kapitałowa właściwie powinna nam podziękować – gorzko dodał Misiok.

– A wie pan, że to nigdy nie przyszło mi do głowy – zastanowił się mężczyzna w grafitowym garniturze i czarnych lakierkach. – Chyba ma pan rację. Że też sam na to nie wpadłem! Przecież popieramy savoir-vivre, etyczne działania w biznesie i budowę kapitału społecznego. Wszystko mam tu gdzieś spisane. – Poklepał aktówkę, w której zniknęły podpisane przez Misioka dokumenty. – No, ale na mnie już czas!

Diabeł wyszedł i wojewoda już nigdy więcej go nie zobaczył. W każdym razie – nie za życia.

Dopiero wtedy Jana Misioka coś tknęło. Poderwał się i pobiegł za gościem, który zdążył tymczasem zniknąć za drzwiami.

– A kiedy już zabraknie tego miejsca pod ziemią? – zawołał. – Kiedy już wszystko zajmiecie i podgrzejecie, a klientów wciąż będzie przybywać, to co? Co wtedy się stanie?!

Ale jego pytanie trafiło w pustkę i odbiło się tylko echem od zimnych wnętrz urzędu wojewódzkiego w Katowicach.

W sekretariacie pani Ilonka znów siedziała nad klawiaturą komputera i pilnie stukała.

– Nie widziała go pani? – zapytał wojewoda Misiok. – Dokąd poszedł?

– Kto? – zdziwiła się Ilonka. Dawno nie widziała szefa tak rozgorączkowanego.

– Inwestor! W złotych okularach! Chudy Niemiec, sztuczka kusa! Wszedł przed chwilą z mojego gabinetu!

– Nikogo od godziny nie było – oznajmiła Ilonka. – A wcześniej tylko Ciompa. Wpadł na chwilę, ale powiedziałam, że jest pan zajęty, to poszedł.

Wojewoda zatrzasnął za sobą drzwi. Ilonka zmartwiła się nie na żarty. Biedakowi w głowie zaczyna się mieszać, pomyślała, inwestorzy, spółki, za dużo tego bierze na siebie. Zabije go kiedyś ta praca dla dobra regionu.

Tego dnia wojewoda Jan Misiok nie przyjmował już żadnych gości. Nie chciał odbierać telefonów. Siedział wpatrzony ponuro w obrzydliwie żółtą ścianę i pił tak długo, aż opróżnił cały ukryty w bibliotecze barek.

Potem na chwiejnych nogach poszedł do domu, gdzie bełkotliwie ofuknął żonę i zasnął. Śniły mu się koszmary. Rankiem jednak wszystko uleciało z jego pamięci: gość, umowy, złote łyżeczki.

A wieczorem w czasie największej oglądalności we wszystkich telewizjach świata pojawiła się krótka reklama. Było w niej coś wesołego i niesłychanie przykuwającego uwagę, choć nikt nie był w stanie powiedzieć dokładnie co. Kilka chwil po zakończeniu emisji nikt nie pamiętał także, by w ogóle ją widział. Reklama jednak zaistniała, a na jej zakończenie zamigła skierowana do

całej ludzkości plansza wypisana eleganckimi literami,
w tajemniczy sposób zrozumiałymi w każdym języku świata.

NAPRAWDĘ BARDZO WAM DZIĘKUJEMY.

Podpisano: Inicjatywa Oddolna.



Czarne bataliony



Paweł

Tamtego dnia, tamtej chwili, w tamtym ostrym słońcu, na tamtej właśnie ulicy Komunardów w dzielnicy Jasna Kępa miasta WarSzawa, stolicy Dziewiętnastki, kroczący ocienionym przez drzewa chodnikiem Paweł Pawłysz nie wie jeszcze, że już jest martwy. Oczywiście w oczach historii wszyscy jesteśmy martwi. Ale komu jest spieszno do historii?

Dzień jest upalny, jak na lipiec przystało. Jeszcze trochę, a koszula zacznie lepić się do pleców. Pawłysz kilka chwil wcześniej przekręcił klucz w zamku niewielkiej kawalerki na poddaszu i dwa razy sprawdził, czy drzwi nie ustępują pod naciskiem ramienia. Zamek trzymał. Podniósł z posadzki skórzaną torbę podróżną spiętą dwoma pasami. Zerknął na rękofon, ale brak było nowych wiadomości. Zbiegł na parter, gdzie po drodze zajrzał jeszcze do skrzynki pocztowej. I poczty brak. Świat nie chciał komunikować się z Pawłyszem. Nie szkodzi. Paweł Pawłysz jechał skomunikować się ze światem.

Rano dzwonił Jurij, rozżalony i na ciężkim kacu. Dzwonił przeprosić i się wyżalić. Przeproszał za poprzedni telefon – w środku nocy. Był tak pijany, że nie dało się go zrozumieć. Paweł podejrzewa, że musiało to mieć coś wspólnego z artykułem. Zawsze miało. No, chyba że z kobietą. W jednej i drugiej dziedzinie Jurij Fomienko nie odnosił ostatnio znaczących sukcesów.

Jest więc lipiec, rozgrzaną zielenią pachnie Ciasna Kępa, jak niektórzy nazywają dzielnicę generalską. Choć oczywiście nie jest

to najpiękniejszy zapach majowy, kiedy to od woni bzów aż mdli, a topole pylą tak mocno, że chwilami zdaje się, że to śnieżyca. Lipiec jest bardziej zrównoważony, uparty w swoim nieustannym prześwietlaniu wszystkiego potokiem fotonów.

Paweł zdejmuje marynarkę i przewiesza ją przez ramię. Z Ciasną Kępą żart jest podwójny: w nadrzecznym kwartale willowym rzeczywiście jest ciasno, szczególnie że przed co drugim domem stoi budka wartownicza. Cóż my tu mamy? Jak nie ambasady, to mieszkania dygnitarzy lub generałów korzystających z całodobowej ochrony. Czasem dygnitarzy i generałów w jednym. Po drugie, wśród malarzy i rzeźbiarzy pleniących się na poddaszach Ciasnej Kępy krąży od pewnego czasu parę żartów o tym, jak ciasno musi być w trumnie, do której wraz ze zmarłym generałem próbuje się włożyć wszystkie jego ordery.

Generałowie rzeczywiście umierają często, ale już nie w boju, tylko ze starości, jeden w drugiego obsypani medalami za kampanię maltańską, forsowanie Wału Atlantyckiego, desant australijski, przekroczenie Wielkiego Kanału, pacyfikację równin albo którąś z Wojen Zimowych. Generacja Wielkiej Wojny Wyzwoleńczej odchodzi w przeszłość. Tym, co pozostaje, jest wszechogarniająca świat cały Republika Rad. Pozostają kurhany pamięci, pomniki generałów i nazwy miast na mapach. Żukowo, Koniewo, Berlingrad.

Pawłysz w kiosku obok przystanku kupuje gazety i zapałki. Wsiada do trolejbusu linii dwieście trzydzieści siedem.

Jurij Fomienko mówił, że koniecznie chce się spotkać. Więc jednak artykuł, nie kobieta, myśli Pawłysz. Spotka się, czemu nie. Wszystko powinno być dziś tak, jak każdego innego zwykłego dnia. Żeby nie było żadnych podejrzeń. Umówili się więc na godzinę

jedenastą w niewielkiej restauracji między Dworcem Śródmieście i Głównym Dworcem Kolejowym.

Postępujący trolejbus, wyjeżdżając z Kępy, skręca na rondzie w lewo, zatrzymuje się pod stadionem zbudowanym dwadzieścia lat wcześniej na spartakiadę młodzieży, a potem przez Most Przyjaźni sunie do centrum. Pawłysz przegląda „Życie Warszawy” i tygodnik „Granice Techniki”, w którym (wbrew tytułowi) największą poczytnością cieszy się dział literacki zamieszczający opowiadania fantastycznonaukowe. Ich autorami bywają zwykle inżynierowie, doktorzy nauk ścisłych, a czasem i profesorowie-akademyki szukający wytchnienia od pracy naukowej. W najnowszym numerze profesor z Instytutu Morskiego w Leningradzie proponuje opowiadanie o naukowej ekspedycji na planetę w całości pokrytą morzem, w którym pływają stwory przypominające ichtiozaury. Dinozaury to zresztą ulubione bestie naukowych fantastów – w poprzednim bodaj numerze, jak przypomina sobie Paweł, zamieszczono historię moskiewskiego uczonego, który znalazł sposób na otwieranie okna w czasie i podglądał prehistoryczne bestie. Opowieść kończyła się źle, bo martwe ciało naukowca porwane wielkimi pazurami znaleziono przed ekranem temporalnym – całkiem jakby bestia z przeszłości sięgnęła ku niemu przez miliony lat. Pewne rzeczy należy zostawić w spokoju i nie każdemu wolno podglądać – Paweł w pełni zgadza się z tym morałem.

Fomienko spóźnia się dziesięć minut. To zmarnowany mężczyzna niewielkiej postury, mocno łysiejący, o głęboko osadzonych, ponurych oczach i bujnej, ciemnej brodzie. Wionie od niego kaczem gigantem, oczy ma podkrążone, a marynarkę

wygniecioną, jakby się w niej przespał, co zresztą nie jest wykluczone.

– Piwa – chrypi do tęgiej dziewczuchy wbitej w przyciasny biały fartuch. Szare filcowe pantofle kelnerki są upstrzone okrągłymi plamami tłuszczu.

– Piwa nie ma – odpowiada znudzonym tonem kelnerka, która mimo wczesnej pory, jak na specjalizującą się w obiadach jadłodajnię, musiała już tego dnia niejedną raz słyszeć to rozpaczliwe zamówienie. – Po południu będzie.

Fomienko teatralnie jęczy.

– A co jest?

– Jest kwas. I lemoniada.

– No to kwas – ordynuje Fomienko. – I jajecznicę.

– Jajek nie ma – komunikuje z niekłamaną satysfakcją dziewczucha. – Po południu będą. Ale tylko do kotletów siekanych.

Jedynym dostępnym śniadaniowym daniem okazują się parówki z kapustą. Pawłysz rezygnuje z jedzenia. Dla towarzystwa zamawia herbatę. O cytrynę nawet nie pyta.

Parówki wyglądają, jakby ulepiono je z czegoś pośredniego między mokrą tekturą a plasteliną. Pomiędzy kęsami Fomienko skarży się załośnie, że jak tak dalej pójdzie, to z wierszówki za ten miesiąc nie da rady nawet zapłacić składki do Domu Dziennikarza. A bez przepustki do Domu Dziennikarza – jak żyć? Skąd brać papier do maszyny, papierosy, raz w tygodniu wino Słotwinka, a raz w miesiącu nowe skarpety?

– Histeryzujesz. – Pawłysz zapala grubego papierosa. To dopiero trzeci tego dnia, ale jakoś smakuje mniej niż zwykle. Może dlatego, że Pawłysz myślami jest już w podróży. A tu diabli nadali Jurijs Fomienkę. Przyjaciół, to fakt, przyjaciół trzeba cenić, ale

Jurij ma niebywały talent do wciągania innych w swoje kłopoty, ot, fontanna zgryzot i frustracji, w dodatku trochę kutwa. Chodząca katastrofa, mówiła na niego Liza jeszcze na studiach. Co nie przeszkodziło jej wybrać Fomienki. Czytał z Fomienką te same książki, chodził na te same zajęcia, czy to dziwne, że zakochał się w tej samej dziewczynie? Ale Lizy już dawno nie ma, puściła w trąbę i Fomienkę, którego przezywała wtedy z pogardą „Skoczył”, bo ciągle pytał, czy nie skoczyliby do lasu na piknik: flaszczykę i numerek. Wybrała nowe życie, gdzieś nad brzegami ciepłego morza Trzydziestki. A jedyną rzeczą, która łączy dziś Pawłysza z Fomienką, jest odrobina uprzejmości, nostalgii i może żalu, że żaden z nich nie zdołał jej przy sobie utrzymać.

– Łatwo ci mówić. Miesiąc temu pisałem o nowych świetlicach robotniczych na Żeraniu. Wysłali, ważna sprawa, mówili, nawet towarzysz literat Wasilewski miał tam inauguracyjne spotkanie. Pojechałem, gadałem, piłem, bohaterów jak trzeba znalazłem: jeden rdzenny, jeden z kujbyszewską przeszłością, jeden z Dziewiętnastki, ale na nazwisko miał Jiří Polak, śmiesznie, nie?

Pawłysz słucha opowieści jednym uchem. Po drugiej stronie ulicy, za autobusami, trolejbusami, tramwajami, stoi dworzec, a pod dworcem z peronu trzeciego co kwadrans odjeżdża elektryczka na lotnisko. Pawłysz już chciałby tam być, żałuje nawet, że zamiast siedzieć na niewygodnej drewnianej ławce i po prostu czekać, musi słuchać wynurzeń Fomienki.

– Wróciłem, dwa dni pisałem, tekst oddaję, a ci mi mówią: koncepcja numeru się zmieniła, towarzysza Wasilewskiego nie eksponujcie, a w ogóle świetlica nie zajęc, nie ucieknie, temat może poczekać. Coś teraz dla ludzi jest potrzebnego, coś o zdrowiu, mówią. No to przypominam sobie następnego dnia, że w „Granicach

Techniki” niedawno ciekawe opowiadanie zamieścił profesor Garlicki, kardiolog światowej sławy. Czego tu chcieć więcej: wybitny fachowiec, kieruje najlepszym zespołem operacyjnym w kraju, dzieci maleńkie operuje, a przy tym skromny, no i ma pasję: pisze opowiadania fantastyczne o technologiach medycyny przyszłości. Pisz, mówią, nie zwlekaj, na Dzień Lekarza będzie jak znalazł. A jakby co, to trzy dni później w kalendarzu jest Dzień Pisarza Fantasty.

Może dlatego Liza rzuciła i jego, zastanawia się Pawłysz, po prostu zagadał ją na śmierć, jak w jakimś kiepskim serialu, i któregoś dnia wystawiła go za drzwi w samym środku monologu równie pasjonującego, jak ta opowieść o redakcyjnych problemach. Albo jeszcze lepiej: Fomienko gadał, gadał, gadał nad zupą, zupa stygła, Liza rzekła: może soli, kochany, może sosu maggi ci przyniosę, a on nawet nie zwrócił uwagi, tylko dalej gadał. No to ona z pokoju wyszła, że niby do kuchni, ale wcale nie do kuchni poszła, tylko prosto do sypialni, rzeczy spakowała i cichutko wymknęła się na korytarz, żeby nigdy nie wrócić, a Fomienko gadał, gadał, gadał.

Tak, zdecydował, na pewno tak było. Tylko w takim razie dlaczego Liza porzuciła wcześniej i jego, Pawła Pawłysza, obiecującego studenta trzeciego roku? Wcale tak dużo do niej nie mówiłem, myśli Pawłysz.

Może właśnie dlatego, odpowiada sobie sam w myślach.

– Nie teraz, są przejściowe-chwilowe trudności w służbie zdrowia, mówią mi wtedy – kontynuuje Fomienko. – Nie będziemy drażnić ludzi jakimiś fantazjami o cudach medycyny, jak tu w aptekach pewne problemy i tylko się ludzie w kolejkach będą

denerwować. A ja to niby się nie denerwuję? Ja niby czasu nie tracę? W kolejkach nie stoję? Przedwczoraj na przykład...

Fontanna zgryzot i frustracji nazwiskiem Fomienko znów pompuje wody ile wlezie, w dodatku uciekając w poboczne tematy. Pawłysz miesza bez przekonania zimną herbatę, znudzona dziewczucha za kontuarem bezmyślnie popatruje to na gości, to na wielki zegar o cyferblacie poszarzałym z brudu i unoszącego się w powietrzu tłuszczu.

– Zdrowia nie tykaj, mówią mi, znaczy ten głąb Artamonow, zawodowy redaktor naczelny, psia jego mać, któremu obojętne, czy kieruje „Wesołym Pszczelarzem” czy „Głosem Kolejarza”, może coś złejszego, coś o dzieciach czy zwierzątkach. A co to ja, nowy Siergiej Michałkow? Mam pisać o koziołku, co nie słuchał mamy? Ale i na to znalazłem sposób! Posiedziałem, pomyślałem i wymyśliłem: Pionierska Wyprawa Tunguska, słyszałeś o tym na pewno?

Pawłysz słyszał. Trudno było nie słyszeć. W stulecie upadku wielkiego meteorytu nieopodal rzeki Podkamienna Tunguzka odbywa się wielki zlot pionierów ze wszystkich republik. Jest on także częścią obchodów z okazji dwudziestopięciolecia zakończenia Wojny Zjednoczeniowej i przyjęcia do Związku ostatniej republiki.

– Na Syberię cię chyba nie wysłali – mówi Pawłysz i decyduje, że jednak dopije herbatę, choć po wierzchu pływają mało apetyczne oczka tłuszczu, znak, że kubek wymyto pobieżnie i umownie.

– A po co pchać się na Syberię, skoro temat sam przyjeżdża! – oburza się Fomienko. – Dzieci, mówię, oczywiście, dzieciątka nasze jedyne, młodzi bohaterowie pracy socjalistycznej, przyszłość naszej ojczyzny! Dobra nasza! Więc ruszam, rozumiesz, z fotoreporterem do rodzin pionierów z WarSzawy, którzy dopiero co wrócili z Tunguskiej, aż dziw, że nikt na to jeszcze nie wpadł, reportaż

będzie jak złoto, niech milusińscy opowiedzą, jak było, o kooperacji z pionierami z innych republik, o poszukiwaniu tektytów na Rocznicę Zjednoczenia. I wyobraź sobie, rodzice mówią: „Dzieci nie ma, jeszcze nie wróciły”. A ja na to: „Jak to nie wróciły?”. A oni: „A tak to, znaczy do Dziewiętnastki wróciły, ale nawet się z rodzicami nie widziały, od razu z lotniska władza wysłała je na zgrupowanie do Rabki, grupa niech jeszcze świeżym powietrzem pooddycha, zintegruje się!”. Kapitalny temat, biegnę do tego knura plamistego i mówię: „Ślij do Rabki, druk delegacji mam tu już wypisany”, a on na to: „Nie, Rabka daleko, niech to opisze »Przekrój Literacki«”. No chuj mu w czoło, knurowi jednemu, jak tak można! A bo to pierwszy raz bym w delegację pojechał? Lochy Peenemünde kto opisywał pięć lat temu? Ja. A Wielki Krater? No przecież ja, a nie konik garbusek!

Pawłysz ma wielką ochotę wrzucić Fomienkę do Wielkiego Krateru, niech popływa razem z popiołami faszystowskich przestępców, którzy spłonęli, gdy bomba o wdzięcznej nazwie „Za Kijów” podpaliła niebo nad Berlinem w ostatnich dniach drugiej ofensywy. Ale krateru pod ręką nie ma, a w kubku po herbacie utopić Fomienki nie da rady. Znużony paplaniną kilka razy teatralnie spogląda na zegarek, wzdycha, kręci się na krześle, aż wreszcie nawet dziennikarz zauważa te oznaki niecierpliwości.

– Ja tu gadam, a tobie się pali – sumituje się wreszcie Fomienko, który już szykował się do opowiedzenia szykan, jakim naczelny poddawał go w zeszłym roku. – W delegację?

– W delegację.

– Daleko?

– Zależy, jak patrzeć. Na wymianę – kłamie Pawłysz. – Do Kopenhagi.

Stolica Dwudziestej Ósmej jest jednym z niewielu miast, które nie zmieniło nazwy. Najbliżej było do „Anderseno”, żeby uczcić znanego proletariackiego autora bajek dla dzieci, ale zespół językoznawców z Moskwy podniósł fakt, że Kipmanhavn, czyli miasto kupców, to nazwa nadana Kopenhadze przez aktyw robotniczy w trzynastym wieku, by wskazać na wyzyskiwaczy człowieka pracującego: spekulantów i prekapitalistów. Wielu nie podobało się również drugie imię bajkopisarza. „Gdyby choć nazywał się Hans Ateistian Andersen, ale Hans Christian?” – żartował jeden z wykładowców Pawłysz. Zabobonów promować nie warto.

Fomienko wzdycha, rzezi, mamrocze, słowem – robi wszystko, by zwrócić na siebie uwagę, ale Paweł Pawłysz już się do marszu zrywa, już za torbę chwyta.

– Wszystko się ułoży – rzuca tylko pocieszająco. – Jeszcze im pokażesz, pamiętasz?

Fomienko pamięta. Mówili tak na studiach. Całemu światu tak mówili. I co pokazali? Chuja w spodniach im pokazali. A chuja w spodniach nie widać. Czyli pokazali nic.

Pawłysz żegna się i wychodzi.

Fomienko łapczywie zgarnia drobne zostawione przez Pawłysza na stole, czemu z wyraźną wrogością przygląda się kelnerka. Potem uważnie odlicza co do kopiejki należność za parówki i herbatę, a nadwyżkę w postaci napiwku przechwytuje do użytku własnego. Ale dziwna rzecz, minę ma szczęśliwą. Kelnerka odnotowuje, że jęczący i skarżący się wcześniej gość nagle wypogodniał, ale błędnie przypisuje to zadowoleniu z podstępnie zagarniętych drobnych. Fomienko tymczasem jest radosny, bo ma co opowiedzieć swojemu oficerowi prowadzącemu terapię, u którego ma stawić się o godzinie

trzynastej. A opowie mu to: że Paweł Pawłysz kłamie obrzydliwie, niezdarnie i w żywe oczy, bo tak naprawdę w bocznej kieszeni torby ma bilet nie do Kopenhagi, tylko do Moskwy, Fomienko sprawdził to dyskretnie, kiedy Pawłysz poszedł na chwilę do restauracyjnej toalety. Taka już rola dziennikarza: wiedzieć, co w trawie i torbach kolegów piszczy. Co oznacza ta wycieczka do Moskwy, tego Fomienko nie wie, ale niech się już tą sprawą zajmują właściwe organy. Na pewno nie jest to nic oficjalnego i legalnego, bo po pierwsze, gdyby Pawłysz miał oficjalną delegację do Moskwy, to cała dzielnica wiedziałaby o tym od dawna, a po drugie, taki był czerwony na pysku, kiedy Fomienko dociskał go w sprawie wyjazdu, jak chłopaczek przyłapany na podkradaniu jabłek z sadu.

– Inteligenci – prycha z pogardą kelnerka, kiedy i Fomienko znajduje się ostatecznie po drugiej stronie szklanych drzwi z logo SpoSpółZyw-u.

Swietłana

Na rogu dzwoni tramwaj. Jest gorąco.

Swietłana siedzi przy stole nakrytym szydełkowaną serwetą. W pokoju głośno tyka stary zegar wiszący obok niewielkiego portretu oprawionego w wąskie drewniane ramki i ukrytego pod szkłem. Z portretu spogląda – ale nie na Swietłanę, tylko gdzieś w dal – młody mężczyzna w wojskowej czapce. Firanka przy oknie faluje niemal niezauważalnie. W jej fałdach głośno brzęczy zagubiona mucha. Na stole stoi małe prostokątne lustro, zwykłe, bez oprawy, wsparte na drucianym stojaku.

Jestem już stara, myśli Swietłana.

Starym ludziom nie przytrafiają się rzeczy niespodziewane, starzy ludzie zajmują się jedyną rzeczą, na której się znają – to znaczy starością. Jeśli coś ich zaskakuje, to śmierć, która zawsze pojawia się odrobinę za wcześnie.

Swietłana ma lat sześćdziesiąt, długie czarne włosy tylko lekko dotknięte siwizną; włosy, które splata w długie cienkie warkocze, a warkocze znowuż spina z tyłu głowy. Swietłana ma kruche rysy księżniczki z bajki – tak mówiła jej matka. Ma też oczy koloru akwamaryny i długie, szczupłe palce pianistki, choć jedynym instrumentem, na którym kiedykolwiek grała, jest flet prosty.

Swietłana ma lat sześćdziesiąt i za sobą długą karierę nauczycielki, która doprowadziła ją do tego, kim jest teraz, czyli emerytowaną nauczycielką. Wciąż potrafi recytować z pamięci całe ustępy „Timura i jego drużyny”, „Zdobycia Wału Atlantyckiego” albo poematu „Komuniści pod słońcem tropików”, ciągle kołaczą jej się po głowie wszystkie te wykute niegdyś na blachę z uczniami wierszyki o tym, że „kto przeszkadza w marszu naszym, nie dostanie więcej kaszy” albo że *dielo było wieczierom, dietat' było nicziewo, Wania pieł, Boris małczał, Nikołaj nogoj kaczał*.

Dobra pamięć się przydaje, bo czasem Swietłana ma zastępstwo w swojej dawnej szkole. Tak jak dziś rano, kiedy trafiły się jej dwie godziny zajęć w wakacyjnej świetlicy. Trochę piosenek, trochę rysowanek, gra terenowa „Znajdź szpiega”. Szkoda tylko, że choć tak ciepło, część dzieciaków wyglądała na podziębione. Na samą myśl o tym Swietłana kicha.

Swietłana ma lat sześćdziesiąt i jedyne niespodzianki, jakie pojawiają się w jej życiu, to te związane z wizytą listonosza, który przynosi jej emeryturę. Czasem spóźnia się o dzień lub dwa, co

urasta do rangi sensacji, i przez cały tydzień stare kobiety zbierające się każdego popołudnia na ławeczce przed blokiem mają o czym dyskutować z innymi starymi kobietami. A cóż to przytrafiło się naszemu Timofiejowi, może był niezdrów, może zapił, może poznał jakąś dzierlatkę, a może musiał najpierw roznieść jakieś listy wagi państwowej? Tylko kto by mógł w tej okolicy dostać taki list?

Swietłana dostała.

List był urzędowy, na dodatek z pieczęciami KMB, co wywołało na podwórku falę spekulacji, bo oczywiście Timofiej musiał podzielić się z sąsiadkami informacją, jaki to rarytasik przyniósł Swietłanie Samojłowej.

Potem zaś niespodzianki następowały jedna po drugiej, bo po przeczytaniu dokumentów z nagłówkiem „Rehabilitacja” Swietłana, zamiast spędzać czas przy oknie lub na ławeczce, przesiadywała godzinami, wpatrując się w portret młodego mężczyzny na ścianie, portret ojca, którego nigdy nie spotkała. Wadim Michajłowicz Kurylenko zaginął w roku 1948, dwa miesiące przed narodzinami córki. Swietłana czasem nienawidziła go za to – nie za to, że zniknął i nigdy go nie ujrzała, lecz za to, że zrobił to w taki sposób: gdyby po prostu zginął, zmarł, zdechł, wyciągnął kopyta, wykorkował, gdyby go szlag trafił w dowolny akceptowany przez biurokrację armijną sposób, matka Swietłany dostałaby po nim wojskową rentę. „Zaginiony” to natomiast zwierzę dziwne i dla rodziny zupełnie nieopłacalne, ni żywy, ni nieżywy, renty brak, człowieka brak, sąsiedzi koso popatrują, bo może „zaginiony” oznacza, że zdezerterował, w urzędach same kłopoty, bo istniejący/nieistniejący dysponent wciąż figuruje w dokumentach lokalowych, więc matka Swietłany nie może nawet zamienić

mieszkania na mniejsze. I ciężko jest, ciężko utrzymać się dwóm samotnym kobietom.

I tak jakoś życie mija.

Teraz samotna, stara kobieta znów plecie warkocze jak dawniej, spina je ozdobnymi spinkami. Teraz wściekłość na ojca niby jej trochę mija, niewiele brakowało, by minęła już kilka tygodni temu, gdy zrozumiała, a nie wszędzie w rehabilitacyjnych dokumentach to było wprost napisane, musiała posprawdzać wzmiankowane tam paragrafy, że Wadim, znaczy ojciec, trafił na wiele lat do miejsca, do którego zwykle trafia się za działalność antypaństwową.

Jest jednak w dokumentach jeszcze jedna informacja, która wściekłość Swietłany znów roznieca, dokładając do niej ciężki, niemal nie do zniesienia ładunek żalu. Na ostatniej stronie zestawu dokumentów rehabilitujących po latach lejtnanta-doktora Wadima Kurylenkę jest jeszcze dopisek: „Informacja do wiadomości żyjących członków rodziny”. I figurują tam dwa nazwiska. DWA nazwiska, chce krzyczeć Swietłana.

„Swietłana Samojłowa, z domu Kurylenko, ulica Jefremowa 24/36, Sierpuchow, obwód moskiewski, Pierwsza Republika” – jest napisane. I to się zgadza, tak powinno być, choć ulica Jefremowa dawniej nazywała się Filimonowa.

„Paweł Siergiejewicz Pawłysz, ulica Komunardów 11/5, Warszawa, Dziewiętnasta Republika”.

Oto tajemnica. Zaginiony wuj? Brat ojca, o którym nigdy nikt nie słyszał? Jakiś inny krewny? Żyjący, a więc nie bardzo stary. Chyba nie syn, bo otczestwo się nie zgadza, byłoby wszak napisane „Paweł Wadimowicz”. I nazwisko inne. Zatem – o co chodzi?

A potem, nie dalej jak tydzień temu, niespodziewanie w mieszkaniu Swietłany dzwoni telefon i wszystko się zmienia,

obcy męski głos najpierw upewnia się, że rozmawia z właściwą osobą, a potem głosem pełnym zakłopotania wyjaśnia. I samemu o różne sprawy dopytuje, i Swietłana słyszy, że jest zaskoczony, jak i ona, trochę nieszczęśliwy, trochę zdumiony, bardzo zmieszany, i ta wiedza sprawia, że jej samej jest źle. Odrobinę.

Potem rozmawiają jeszcze dwa razy, aż rzecz cała kończy się konkluzją zaskakującą, choć logiczną. Bo zbyt wiele jest w tym wszystkim tajemnic, a i emocji tyle, że drut telefoniczny nie udźwignie, więc tamten mężczyzna obiecuje przyjechać do Moskwy. Swietłana nie wierzy aż do dnia, kiedy obcy człowiek dzwoni po raz ostatni, poinformować ją, że jeśli byłaby tak łaskawa, by poświęcić mu odrobinę czasu, to mógłby się z nią spotkać w środę, osiemnastego lipca, najchętniej w centrum Moskwy, może być w Domu Towarowym „Buratino”?

Może być.

I tak w upalne popołudnie Swietłana Wadimowna Kurylenko, dziś Samożłowa, z upiętymi już włosami, w nowej, uszytej specjalnie na tę okazję sukience, pantoflach na półwysokich obcasach, z dawną nauczycielską teczką pod pachą, opuszcza pokój w mieszkaniu przy ulicy Jefremowa. W teczce niesie dokumenty z KMB i zdjęty przed chwilą ze ściany portret lejtnanta-doktora Kurylenki.

Idzie na dworzec, na którym wsiądzie w pociąg jadący wprost do Moskwy, gdzie tego dnia, wczesnym wieczorem, ma spotkać swego przyrodniego brata.

Jurij

Jeśli to prawda, że każdemu, najnudniejszemu nawet człowiekowi dany jest w życiu jeden moment prawdziwego szaleństwa, a najbardziej tchórzliwemu – okazja do błysnięcia męstwem, to w przypadku Jurija Fomienki obydwie te chwile splotły się w jedną. Stało się tak w momencie, kiedy oficer prowadzący terapię Jurija został wywołany z gabinetu zwierzeń przez siostrę Diaczenko, drobną dzierlatkę w przydużym fartuchu. Fomienko widział ją wcześniej w poczekalni, przechodziła nią kilkakrotnie, za każdym razem z surową miną, zaaferowana, taszcząc pod pachą grube segregatory.

Początek sesji nie zwiastuje niczego nadzwyczajnego. Fomienko najpierw siedzi w poczekalni. Na ścianach wiszą plakaty Ministerstwa Zdrowia Psychicznego z dobrze znanymi hasłami: „Tylko winni boją się prawdy” oraz „Czyste sumienie, czysta przyszłość”. Na jednym z krzesełek o metalowych nogach i drewnianych siedziskach leży porzucona przez kogoś wygnieciona książka z serii Pionierzy Prerii. Na jej okładce dwóch uśmiechniętych, rumianych chłopców z czerwonymi chustami zawiązanymi pod brodą celuje z pistoletów do olbrzymiego bizona. Za kudłatym bizonem ukrywa się odziany w piaskowy mundur faszysta. Przez chwilę Jurij zastanawia się, czy broszurkę zostawił jakiś przejęty swoją pierwszą dorosłą sesją uczeń, czy może ktoś z dorosłych czujący sentyment do młodzieżowych lektur. Nie można było też wykluczyć, że książkę położył w tym miejscu sam terofis, bo miał w tym swój cel. A jaki? A kto to wie...

Fomienko wchodzi, wita się, zdejmuje marynarkę, koszulę, buty; zostaje tylko w szarych spodniach i białym podkoszulku. Kładzie się na wyściełanej ceratą kozetce. Terofis przypina mu do przedramion czujniki psychomiernika.

„Prawda czyni wolnym” – głosi napis na kalendarzu wiszącym za plecami terofisa.

Oficer prowadzący terapię zawsze postępuje według tego samego planu – najpierw jest jowialny, pyta o samopoczucie. Następnie sroży brwi i upewnia się, że wszystko w porządku, że gość niczego nie przeszkrobał. I dopytuje, czy pacjent nie chciałby mu czegoś wyznać. Wtedy Jurij Fomienko szczegółowo opowiada o wszystkim, co w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin wydało mu się podejrzanym. Przede wszystkim o wyprawie Pawłyszka do Moskwy. Terofis zapisuje, dopytuje, uściśla.

– Moja wina, moja wina i odpowiedzialność moja – Fomienko w odpowiednim momencie recytuje rytualną formułkę kończącą sesję.

I właśnie wtedy siostra Diaczenko wywołuje na korytarz terofisa.

Pozostawszy w gabinecie samemu, Jurij Fomienko robi to, co na jego miejscu robiłby każdy. Rozluźnia się, rozpiera wygodniej na krześle (są już w końcowej fazie sesji, złożona leżanka stoi na powrót w kącie), zaczyna się rozglądać bez obawy, że wyda się to nieuprzejmie wobec gospodarza albo zostanie potraktowane jako wyraz nieszczerości. Wszak jedynym miejscem, jakie Jurij naprawdę ma dobrze obejrzone, jest kawałek sufitu, na który gapi się podczas sesji; zawsze ten sam kawałek sufitu pociągnięty białą farbą. Po suficie czasem spacerują muchy, a czasem nie. Nieco w bok znajduje się osłonięta mlecznym szkłem żarówka, ale Jurij nigdy tam nie zerka, bo gdyby to zrobił, wyglądałoby na to, że zezuje ku oficerowi prowadzącemu.

Teraz Fomienko lustruje więc gabinet w całości. Patrzy na gruby żeliwny grzejnik ukryty pod parapetem i osłonięty

kawałkiem dykty z wyciętymi okrągłymi otworami. Patrzy na szafę, której lewe drzwi trochę się nie domykają, na regał wypełniony mądrymi książkami psychologicznymi i klasyczną literaturą polityczną od Czernyszewskiego po Niemcowa. Prześlizguje się wzrokiem po tablicach wiszących na ścianach, ich zawartość zna akurat dobrze, gdyż są to tablice standardowe, takie jakie w gabinecie wisieć powinny. Każde dziecko zapoznaje się z nimi na szkolnych lekcjach wiedzy o społeczeństwie, są przecież pokazane na ilustracjach w podręczniku: uproszczone grafiki i konkretne hasła, jak „wyparcie”, „ego”, „superego”, „odpowiedzialność”, „oczyszczenie”.

Nieobecność oficera prowadzącego się przedłuża, Fomienko ma więc czas, by przyjrzeć się także szafce z lekami stojącej w kącie za wąskim parawanem, umywalce z małym lusterkiem, stojakowi na ubrania, na którym wiszą dwa kitle (dlaczego dwa, zastanawia się Fomienko, może jeden jest galowy, na wizytacje, ale z drugiej strony, czym miałyby się różnić kitel galowy od zwykłego, kitel to kitel).

A kiedy już Fomienko jest przekonany, że obejrzał każdą piędź gabinetu, jego wzrok powraca na biurko. Leży na nim ciemnobrązowa aktówka ze sztucznej skóry, z której wystają formularze urzędowe. Na skraju urzędowych, zielonkawych arkuszy widać oficjalne nagłówki i karminowe pieczęcie.

Fomienko zna takie dokumenty. Pisał kiedyś reportaż z wzorcowego szpitala dla weteranów, który był zarazem obiektem medycznym, jak i wojskowym. Polecenie wyjazdu służbowego na blankiecie MZP było jedynym papierem uznawanym przez jeden i drugi pion administracji.

Nadchodzi czas na chwilę szaleństwa. Czysta przekora, szczeniacka chęć skorzystania z okazji, nieprzemyślany akt głupoty czy rodzący się z nienacka w głowie Fomienki plan mogący prowadzić do odmiany jego przeklętego, dziennikarskiego losu – sam zastanawia się potem, co przeważyło. Do gabinetów terofisów przychodziło się wyznać prawdę. A prawda była taka, że kiedy porucznik major Rzewski, specjalista drugiego stopnia w dziedzinie duszoanalizy, wrócił do gabinetu, jeden z cennych blankietów spoczywał zwinięty w rulon w wewnętrznej kieszeni marynarki Fomienki.

Tej prawdy Jurij nikomu nie wyznaje.

Ma dokument, z którym wyruszy do Rabki. Teraz nikt nie ośmieli się go zawrócić, nikt nie odmówi dostępu do bohaterskich dzieciaków powróconych świeżo z Tunguskiej! Wina oficera, że zostawił takie cenne dobro niestrzeżone!

A może winą należałoby po prostu obarczyć redaktora naczelnego tygodnika „Wieści”? Tego nadętego przy podwładnych, a rozplaszczzonego przed przełożonymi buca, który uparcie od wielu tygodni usuwał ze szpigli kolejnych wydań teksty Fomienki? Tego nie dasz rady usunąć, bratku, myślał Fomienko, wychodząc z przychodni. A jak spróbujesz, to reportaż z pocałowaniem ręki wezmą „Nowości”, „Pionierska Prawda” albo nawet weekendowy dodatek do „Życia Warszawy”.

A może jeszcze lepiej? Może i przedruk w prasie centralnej, myśli Fomienko. Czemu nie? Bo to będzie ważny reportaż o ważnej inicjatywie zakończonej sukcesem! A ja, Fomienko, będę jedynym, któremu przyszło do głowy porozmawiać osobiście z głównymi bohaterami tej inicjatywy, odpoczywającymi właśnie w Dziewiętnastce. Do roboty! Na południe, młody człowieku!

Fomienko przegląda się w witrynie mijanej właśnie pasmanterii. Tak, ruszaj w drogę, młody człowieku. No, młody człowieku w średnim wieku, poprawia się od razu. Pod koszulą rysuje się już niewielki, biurokratyczny brzuszek, owoc godzin spędzonych za biurkiem zamiast w terenie. Włosy nadal są idealnie czarne, ale mocno rzedną na czubku głowy. Jeśli nie teraz, to kiedy, myśli Fomienko, jeśli nie ja, to kto?

I z tą myślą, zagłuszającą piszczący cicho we wnętrzu Fomienki głosik: „Ukradłeś, ukradłeś!” oraz „A konsekwencje służbowe?”, dziennikarz „Wieści” Jurij Fomienko wkracza do restauracji Artystyczna, by zanim rozpocznie przygotowania do swego wyjazdu, pokrzącić się odrobiną zimnej wódeczki oraz kilkoma kęsami mięsnej zapiekanki.

Liza

Elizawieta Morselli przestępuje próg Żółtego Domu i już wie, że coś jest nie w porządku, bardzo nie w porządku. W letnim powietrzu unosi się mdły zapach zepsutego mięsa, skwaśniałego nabiału i czegoś jeszcze, Liza nie jest jeszcze pewna czego. Nikogo nie ma w holu ani w sali koncertowej.

– Dzień dobry – mówi Liza niepewnie. – Dzień dobry! – krzyczy, ale odpowiada jej tylko echo.

Ten dom powinien być pełen dźwięków, pokojówki powinny rano uwijać się z pościelą, po południu z parasolkami słonecznymi i parawanami, a wieczorem z pledami dla najstarszych członkiń klubu skarżących się na chłód. Gdzie kelnerzy, gdzie tace z aperitifami, gdzie muzyka z gramofonów, dlaczego nikt nie

brzdąka na pianoli stojącej w palarni? Gdzie gwar rozmów, dlaczego nie słyhać dzwonek telefonów, przecież zawsze ktoś ma tu do przekazania plotki i ploteczki albo koniecznie musi wypytać o sprawę błąhą, acz pikantną, przecież zwykle nie milknie nawet na sekundę pawi taniec przechwalających się mężami żon, potrząsanie biżuterią, wymiana opinii na temat najnowszych kreacji.

Tak przecież powinno być, a nie jest. Tak przecież powinno być, bo odrobina próżności i przesady pasuje do Sorrento, pasuje do tego domu, w którym kiedyś mieszkał Maksym Gorki, a dziś mieści się Klub Oficerskich Żon. Elizawieta postępuje w głąb domu i niczego nie rozumie. Gdzie są wszyscy? A w głębi duszy kiełkuje pełna goryczy odpowiedź: odeszli, bo przyszłaś zatruć ich swym żalem, odeszli, bo to miejsce radości, a ty chcesz wylewać swoje smutki. Tylko cóż robić, gdy człowiek niesie w sobie smutku tak wiele, że zdaje mu się, iż nie zdoła nawet kroku więcej zrobić, jeśli choć odrobiny tego smutku nie uleje?

Teraz Elizawieta jest nie tylko smutna, ale i przerażona. Może wszyscy są w ogrodzie, może to letni koncert, na przekór upalnej pogodzie i wyjątkowo niesprzyjającej porze, bo teraz leniwi powinni właśnie kończyć obiad, a ci, którzy już zjedli, szykować się do sjesty. Elizawieta łudzi się, ale tylko do chwili, kiedy przez okno jadalni widzi pusty ogród. Powiedzcie, drzewa, powiedzcie, krzewy i kwiaty, gdzież są wasze codzienne admiratorki? Generałowa Poliakov, drzemiąca zawsze wśród kwiatów, pułkownikowa Angelopulos, siostry Moretti, obie poślubione lotnictwu, jedna to żona dowódcy włoskiej Eskadry Kalabryjskiej, a druga lejtnanta majora spod Hawru? Gdzie wszystkie inne przyjaciółki, przyjaciółeczki, psiapsiółki, intrygantki, przeciwniczki,

konkurentki, zawistniczki, gdzie są dziewczyny i kobiety Szesnastego Korpusu imienia Garibaldiego?

Liza wraca do Żółtego Domu, zagląda do kuchni. To właśnie źródło smrodu: drzwi do szaf chłodniczych otwarte są na oścież, na podłodze mokro, cuchnąca ciecz wycieka z zamrażarek.

Kiedy to się stało?

Elizawieta wspina się po pustych, chłodnych schodach na piętro, potem przez ogromne, otwarte na oścież drzwi wychodzi na pusty główny balkon. Przewrócona szklanka leży na szerokiej balustradzie. Po szklance spaceruje pszczoła. Elizawieta rozgląda się, ale i z wysokości nie widzi nikogo w ogrodzie. Przed nią rozciąga się panorama Zatoki Neapolitańskiej. Po drugiej stronie zatoki unosi się dym, ale to nie Wezuwiusz jest jego źródłem. Tak, Liza zna wszystkie te opowieści miejscowych robotników i wieśniaków o końcu świata, o górze, która plunie ogniem, o niebie, które zamieni się w kamień.

Ale jej świat już prawie się skończył i nie trzeba było do tego potoków lawy ani deszczu żużlu. Jej świat wisi teraz na włosku, podtrzymuje go jedynie wątła nić nadziei, że pułkownik Mario Morselli przywiezie z miasta dobre wieści, wieści, jakiegokolwiek wieści.

Jak długo spałam, zastanawia się Elizawieta, która przeszła z domu na piechotę półtora kilometra pustą drogą – nie minął jej ani jeden samochód. Czuje się jak śpiąca królewna, ale z wykręconej w chory sposób antybajki. Pamięta, że krzyczała: „Zrób coś!”, że Mario dzwonił po lekarza, że budziła się i zasypiała we własnym łóżku, ale tylko na chwilę i nie mogła wstać, jakby przygniatała ją jakaś niewidzialna siła.

Nie chcę zastrzyków, chciała powiedzieć, chcę do córki.

Kiedy lekarstwa przestały działać, zwlekła się z mokrej, prze poczonej pościeli, spięła byle jak włosy, założyła letnią sukienkę i płaskie sandaalki, a potem poszła szukać pomocy. W domu nie było nikogo, tylko kartka na toaletce w sypialni: „Jadę do Neapolu. M.”.

To dało jej nadzieję, Mario robi, co może, a przecież może wiele, zna ważnych ludzi, sam też sroce spod ogona nie wypadł. Mario pojechał, Mario pyta, Mario szuka. Wszystko będzie...

...dobrze?

Elizawieta wychodzi z Żółtego Domu, nie wie jeszcze, że po raz ostatni. Staje przed bramą, wyciąga delikatnie stopę i dotyka czubkiem sandaalka asfaltu, jakby droga była rzeką, a ona sama wystraszoną dziewczynką sprawdzającą, czy aby woda nie za zimna.

Może pójść w prawo, do domu. Może też pójść w lewo. Kawalek dalej stoi hotel Casanova, może tam znajdzie kogoś, kto będzie wiedział, co się dzieje, może wszystkie dziewczęta (zabawnie myśleć tak i o generałowej Poliakov) się tam schowały, bo to wszystko jest jakaś gra, jakiś psikus, może jakieś ćwiczenia.

Może to wojna, myśli nagle Liza Morselli.

Z kim? Dlaczego? Nie dość było już wojen? Nie po to jednoczyliśmy świat, żeby znowu wojować. Ale krew się leje, to prawda, perscy zamachowcy, skrytobójcy z amerykańskiej podziemnej konfederacji, nipponscy kamikadze, nie brak szaleńców, którzy nie potrafią znaleźć dla siebie miejsca w nowym świecie, świecie pokoju i rozwoju.

Liza stawia nogę na asfalcie. W tym momencie kwili jej rękofon.

Wiadomość tekstowa może mieć maksymalnie sto pięćdziesiąt znaków. Fachowcy mówią, że to takie ograniczenie techniczne, ale

wszyscy wiedzą, że to bzdura, że chodzi o symbol: sto pięćdziesiąt znaków jak sto pięćdziesiąt republik rad.

Wiadomość od Maria. On potrzebował tylko dwudziestu jeden znaków.

NIE WROCILA Z TUNGUSKIEJ.

Elizawieta Morselli skręca w lewo i niepewnym, wolnym krokiem, jak ktoś ciężko chory lub lunatykujący, idzie w dół, do Sorrento. Niesie ze sobą swój smutek i przerażenie.

Paweł

Moskwa wita go deszczem.

Podróż miał nie najgorszą, większość pasażerów stanowili cywile, kilka rodzin, ale bez małych dzieci, obeszło się więc bez festiwalu płaczu podczas startu i lądowania. Żeby nie było zbyt idealnie, oczywiście jeden gówniarz wyglądający na osiem, dziewięć lat musiał się trafić, ale całą drogę był cicho, tylko niemiłosiernie kichał i kaszłał, a przechodząc między fotelami do wyjścia, nakichał także na Pawła.

Potem szczęście Pawłysza się kończy. Burza dociera nad Szeremietiewo kilka chwil po lądowaniu samolotu rejsowego Aeroflotu. Niebiosa spuszczaają na pasy i hale lotniska zapas wody tak wielki, jakby zbierany był wiele dni.

Kontrola graniczna jest dużo bardziej szczegółowa niż w WarSzawie, do czego zresztą przygotowały go artykuły w moskiewskich gazetach rozdane przez stewardesy na początku lotu. Stolica żyje groźbą ataku terrorystów z Bliskiego Wschodu, którzy uaktywnili się w ostatnich tygodniach – a zaczęło się od

zamachu na pierwszego sekretarza Dwudziestej Czwartej, czyli dawnej Irańskiej Republiki Rad. Według oficjalnych komunikatów KMB następnym celem ma być wysoki dygnitarz z Pałacu Zjazdów, może nawet jeden z sekretarzy Partii Wewnętrznej.

Paweł zawsze dumny był z tego, że żyje w republice z numerem poniżej dwudziestego. Dobrze iść w awangardzie postępu. Rozumiał też doskonale potrzebę porzucenia dawnych nazw, przydatnych może w okresie przejściowym, ale teraz zupełnie oderwanych od rzeczywistości. Bo niby co jeszcze łączyło Zagłębie Zatokowe z dawnym Iranem czy Irakiem? W szkole uczono go o minionych czasach, o krwawych szachinszachach i ich okrutnej tajnej policji szkolonej w faszystowskiej Ameryce Północnej (dziś Republice Sto Pierwszej i Sto Drugiej). Ciężko musiało być w tamtych czasach, niewyobrażalnie ciężko, kroniki filmowe, które Pawłysz oglądał jako dziecko, przerażały go i zdumiewały jednocześnie: tyle zbrodni, tyle potworności, dlaczego ludzkość znosiła panowanie tyranów tak długo? Angielskie, niemieckie i hiszpańskie obozy śmierci, system pracy niewolniczej w obu Amerykach, bezbrzeżne okrucieństwo arabskich i murzyńskich kacyków okaleczających kobiety i dzieci, dalekowschodni fanatycy pragnący podpalić cały świat w imię nacjonalistycznej ekspansji. Historia cywilizacji liczy tysiące lat, ale bunt udał się dopiero w ostatnim stuleciu, co tylko pokazuje, jak straszliwe były szpony zniewolenia zaciśnięte na gardle ludzkości.

To przeszłość, gorsza przeszłość, którą trzeba było raz na zawsze zostawić za sobą, jak wąż zostawia starą skórę. Bój trwał. Tak wiele już udało się zrobić, ale wciąż tak wiele jest jeszcze do zrobienia. Wróg był podstępny, zmieniał twarz, kamuflował się raz wśród robotników, raz wśród inteligencji, innym razem wśród

chłopów; wróg mówił wieloma językami, sącąc swoje kłamstwa i brednie, ale sam rozumiał tylko jeden język: język walki.

Dzieckiem będąc, Pawłysz wierzył, że wszystkim ludziom na Ziemi zależy na tym, by żyć i pracować w pokoju i w spokoju. Kiedy dorósł, zrozumiał, że przeszłości nie da się strząsnąć z grzbietu, jak strząsa się pył z butów. Nieśli swą przeszłość cały czas, Pawłysz sam wiedział najlepiej, bo był jej kapłanem. Uniwersytecka Służba NeoArcheologii, w której spędził całe swoje dorosłe życie, tym właśnie się zajmowała: godnym upamiętnianiem przeszłości. W odróżnieniu od zwykłej archeologii, pochłoniętej może i ciekawymi, ale mało istotnymi kwestiami, takimi jak sekrety zapomnianych królów sprzed mileniów, neoarcheologia skupiała się na ostatnim stuleciu, na wszystkim, co wydarzyło się od Pierwszej Rewolucji, Wielkiej Rewolucji, od pamiętnego października, kiedy zniewolone masy rozpoczęły długi marsz ku wolności, marsz zakończony w roku 1958 włączeniem do Światowego Związku ostatnich republik – chilijskiej i nowozelandzkiej. Adepti neoarcheologii porządkują pola bitew całego świata, projektują monumenty upamiętniające daninę krwi, nadzorują budowy kurhanów pamięci, tworzą nowe ekspozycje lokalnych muzeów, gdzie historia najnowsza wreszcie przedstawiana jest w odpowiedniej oprawie i ze stosownym komentarzem. Pawłysz wie o historii najnowszej wszystko, bo gdyby liczyć także lata studiów, to wyszłoby, że jest w służbie neoarcheologii równo dwadzieścia lat.

Tylko że tego akurat dnia, kryjąc się przed burzą w podziemnej kolejce z lotniska do centrum, a potem maszerując energicznie mokrymi ulicami Moskwy, znanej też wszystkim mieszkańcom świata jako Mirogród – Miasto Pokoju/Miasto Świata – Pawłysz ma do wypełnienia misję absolutnie prywatną. Służbowo był tu trzy

lata temu na sympozjum dotyczącym różnego rodzaju oszustw, jakich dopuszczali się dawniej imperialiści, by swoje masowe zbrodnie przedstawiać jako rzekomy wynik działania sił postępu. Było to ważne spotkanie, bo kłopoty ze sfalszowanymi miejscami kaźni są w neoarcheologii powszechne. Służba znajduje, dajmy na to, parów, w którym polscy albo niemieccy faszyci dokonywali egzekucji na niewinnej ludności cywilnej, a tu w głowach ofiar sowieckie kule, a w piachu – łuski sowieckie. Wtedy wiadomo od razu, że wróg miejsce zbrodni odpowiednio spreparował. Jak wspominał na tamtym sympozjum profesor-akademik Ciurkow, są dowody, że po stronie imperialistycznej działały specjalne grupy zajmujące się pozyskiwaniem broni sił obozu postępu i przekazywaniem jej kapitalistycznym szwadronom śmierci. Ten bezmiar cynizmu wroga, ta otchłań zła, w którą spoglądał, patrząc w historię, sprawiały, że Pawłysz nienawidził przeciwnika jeszcze bardziej. Gady, których celem było nie tylko zagarnięcie dla siebie całej Ziemi, ale jeszcze odebranie ofiarom pamięci, zasługiwały i zasługują na ostateczne wytępienie.

Paweł Pawłysz jest trochę zmęczony podróżą, ale bardziej podekscytowany. Burza odeszła precz, do wyznaczonej godziny spotkania pozostało jeszcze sporo czasu, więc zamiast wbijać się w tłum podróżujący metrem, woli rozprostować nogi. Idzie Bulwarem Zwycięstwa, wzdłuż którego jak co roku o tej porze kwitną bananowce, morwy i kokosonanasy, wszystkie z eksperymentalnej hodowli ŁysExportu. Na świetlnych tablicach wzdłuż bulwaru pojawiają się komunikaty Narkomu Leśnictwa i Sadownictwa, z których wynika, że opady były oczekiwane i wcześniej zaprogramowane. Pawłysz śmieje się do siebie, ciekawe, że owe komunikaty zawsze pojawiają się po ulewach, a nigdy przed

nimi. Nad blokowiskami Zachodniego Pierścienia Mieszkalnego rozkwita tęcza. Rękofon kwili cicho w torbie Pawłysz, który dopiero teraz wyciąga swego elektronicznego towarzysza. Pracownikom NeoArcheo przysługują modele nieco bardziej rozbudowane, można za ich pomocą odsłuchiwać wiadomości dźwiękowe.

– Towarzyszu, macie jedną nową wiadomość – mówi ciepły głos operatorki. – Nagraną dzisiaj, o czternastej pięćdziesiąt cztery.

Pawłysz był wtedy w drodze do Moskwy, więc odebrać osobiście nie mógł, a teraz z niecierpliwością czeka, aż automatyczna sekretarka przerzuci go przez wszystkie etapy odsłuchiwania. Najpierw więc do jego uszu dociera wiadomość, że wszystkie nagrane wypowiedzi należy natychmiast po wysłuchaniu skasować, by uniemożliwić ich przechwycenie przez niepowołane siły. Potem napomnienie, że system państwowej poczty głosowej przeznaczony jest do celów służbowych. A następnie, że na jego osobistym, przypisanym do rangi koncie znajduje się jeszcze miejsce na dziewiętnaście nowych wiadomości.

Pawłysz zgodnie z regulaminem wpina w rękofon słuchawki, nikt nie chce przecież, by służbowe nagrania stały się własnością publiczną. A tak naprawdę – i tu przechodzi go dreszczyk emocji – chodzi o to, by postronne ucho stukacza nie wyłapało, że zarejestrowana i czekająca w systemie wiadomość dotyczy sprawy prywatnej i w sumie dość nieregulaminowej.

Idzie zatem Pawłysz Bulwarem Zwycięstwa i słucha nieco piskliwego głosu Jaszy Skrobuchina, który na szczęście wie, że nie należy nadużywać cierpliwości operatorów systemu rękofonii i że na wszelki wypadek nie należy być nazbyt wylewnym, bo przecież fakt, że poczta dźwiękowa jest strzeżona przed uszami

niepowołanych, nie oznacza, że nie mają do niej dostępu uszy powołanych, czyli KMB.

– Generał przekazuje: koń z c4 na d6, szach. I przypomina o raporcie. Bo już czas.

Tyle. Ciepły głos operatorki znów zaczyna wygłaszać napomnienia i ostrzeżenia. Pawłysz kasuje wiadomość. Generał to ksywka Giena Pokrowskiego, mechanika, który przez wiele lat był filarem polowej ekipy Pawłysza. Dobry, zaufany człowiek – rzadka rzecz. A jeszcze rzadsza, że po awansie na głównego mechanika Portu Lotniczego „Biały Róg” nie zaczął patrzeć na dawnych przyjaciół z wyższością, nie odgrywał się za dawne urazy, nie zmienił stylu życia, które od świtu do nocy, a czasem i części nocy, wypełnione było silnikami samolotów, systemami nawigacji i kleceniem coraz to nowych mechanicznych zabawek, o których bezzenny i bezdzielny Gieno mówił „mój drobiazg”.

Jasza Skrobuchin nagrał tę wiadomość, nadając jej pozór informacji służbowej. Że niby adiutant jakiejś szarzy przypomina o sprawie służbowej, a przy okazji o korespondencyjnej partii szachów, co wśród korpusu oficerskiego nie było przecież rzadkością. Cyfry z oznaczeń pól szachownicy dodane do siebie dawały liczbę dziesięć, co oznaczało, że Gieno Generał będzie ze wszystkim gotowy o dziesiątej wieczór. Kiedyś niejedną raz ratowali sobie w ten sposób skórę, przekazując podczas misji archeologicznych informacje o inspekcjach, które z niezapowiedzianych stawały się wtedy zapowiedziane, ale tylko wtajemniczonym.

Wszystko toczy się więc zgodnie z planem.

Paweł Pawłysz idzie tak energicznie (albo może Miasto Pokoju/Świata zmniejszyło się znienacka), że jest na miejscu niemal

godzinę przed czasem. Dom Towarowy „Buratino”, młodszy i większy brat słynnego GUM-u, na parterze kusi kawiarniami i lodziarniami. W jednej z nich, a dokładnie w Czarodziejskiej Śnieżynce, Pawłysz znajduje całkiem niezłe miejsce, z widokiem na plac Czerwony, Mauzoleum Przywódców i gigantyczną figurę Lenina w tle. Trzystumetrowy pomnik obraca się niezauważalnie. Potężne silniki pracują bez ustanku, całą dobę, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, a Ojciec Rewolucji wyciągniętą ku horyzontowi ręką wskazuje drogę ku lepszej przyszłości. Ponieważ w ciągu dwudziestu czterech godzin figura dokonuje pełnego obrotu wokół własnej osi, oznacza to, że drogi ku lepszej przyszłości są wszędzie, trzeba tylko umieć je dostrzec. Pawłysz docenia metaforę.

Uzbrojony w kawę i butelkę wody mineralnej prostuje nogi pod chybotliwym stolikiem. Dookoła gęsto od turystów, choć odnosi wrażenie, że jest ich i tak mniej, niż widział poprzednim razem. A przecież wakacje w pełni.

Pawłysz pokasłuje, czuje, że coś drapie go w gardle, zastanawia się też, czy nie dostaje gorączki, czy nie przeziębził się w samolocie. A może to przez tego zasmarkanego dzieciaka?

Sięga po przypięty do drewnianej ramki egzemplarz dzisiejszego wydania największego dziennika Światowej Republiki Rad. „Prawda Świata/Pokoju” ukazała się tego dnia w zwiększonej objętości. Szesnaście stron zajmuje wkładka kulturalna. Towarzysze Erskin Kaldwelow młodszy i J.-P. Sartrow zgodzili się na opublikowanie swoich przemówień z obrad Kongresu Kultury. Ekstradodatkiem jest też zeszyt ciekawych inscenizacji, dwieście dziewiętnasty numer „Przeglądu Świetlicowego” (wyjmij, złóż i zeszyj), w którym znaleźć można między innymi tekst wieczornicy

o bohaterskim lejtnancie Pandelejewie tropiącym faszystów w dżunglach Amazonii oraz nową piosenkę o czapajewowcach.

Pawłysz przerzuca strony, zagląda do działu sportowego. Dynamo wzięło w skórę od Torpedo, wstyd nad wstydami, będzie się trzeba bić o utrzymanie. Paweł lubi sport, wiadomości sportowe go uspokajają, zgłębia więc informacje o Wyścigu dookoła Trzydziestej Drugiej, zwanym przez sentyment Tour de France, poszerza swą wiedzę o siatkarzach z Maghrebu i o przygotowaniach do stworzenia globalnej ligi żużlowej. Kiedy kończy ze sportem, wraca jeszcze do przegapionego wcześniej działu „Nauka”, gdzie jego uwagę zwraca artykuł N.K. Likaonowa zatytułowany „Astronaucci czy komunaucci”. Autor postuluje wprowadzenie swego neologizmu do powszechnego użytku. Skoro nasi kosmonaucci niosą w kosmos komunizm, zwać ich należy komunautami, przekonuje. Pawłysz przyznaje mu rację.

O godzinie osiemnastej pięćdziesiąt cztery u wejścia do Czarodziejskiej Śnieżynki staje Swietłana Kurylenko.

Do eksplozji zostało sześć minut.

Jurij

Stara lokomotywa prychna jak dziki kot. Za oknami zielenią się wzgórza i sinieją góry, te pierwsze są blisko, te drugie – daleko. Jurij wygląda przez szybę. Jest podekscytowany, zniecierpliwiony, ale też mocno zmęczony. Mija właśnie szesnasta godzina jego podróży, trzy niemal puste brudne wagoniki ciągnięte przez sypiącą iskrami lokomotywę to już trzeci pociąg, którym jedzie, a wliczając podmiejską kolejkę w Warszawie, to nawet czwarty.

Podróż zaczął na kacu gigancie. Fomienko wspomina: kilka małych wódeczek wypitych do obiadu niepostrzeżenie zamieniło się w wódeczki duże i o wiele liczniejsze. Zaczął w Artystycznej, a gdzie skończył? Chyba w Czyżyku, ale po drodze była jeszcze Kameralna, Dom Dziennikarza i – tu nie miał pewności – ławka w Parku Gorkiego. I towarzystwo było zmienne, bo koledzy do popijawy jakoś się wykruszali i zastępowali ich inni. Fomienko był cały czas na posterunku, zaprawiony w bojach.

W rezultacie zwłóknął się z łóżka dokładnie dobę po tym, jak spotkał wyjeżdżającego rzekomo do kopenhaskiego proletariatu Pawłysza. W prysznicu nie było wody, dostarczanej do mieszkań jedynie między piątą a ósmą rano oraz między ósmą a dziewiątą wieczorem, więc poszedł do łaźni. Pół godziny stał przed wejściem w kolejce podobnych sobie nieszczęśników, parujących efektami spalania wczorajszej konsumpcji. Zanim doszedł do siebie, zrobiło się popołudnie. Zanim wyruszył – wieczór.

Cztery pociągi: najpierw elektryczka z Josifowa na przystanek Cytadela-Garnizon, gdzie mógł po raz pierwszy zamachać ukradzionym terofisowi papierem i dostać się do pociągu wojskowego, potem przesiadka w Ludowych Kielcach w środku nocy. Trzy godziny czekał na transport w kierunku StaroLenino, niegdyś zwanego Krakowem, ludnego miasta nad Wisłą pełnego zabytków i akademii wojskowych. Pomnik Lenina stojący przed hotelem na Zwierzynieckiej był jednym z symboli Dziewiętnastki, obok Centrum imienia Stalina w dawnym Poznaniu, dziś znanym jako Maszynogród, obok Pałacu Berii wznoszącego się w WarSzawie.

Teraz jest rano następnego dnia i Fomienko ziewa, idzie ulżyć pęcherzowi do toalety na końcu wagonu. Drzwi zamknięte są na

głucho, bez przekonania uderza w nie pięścią kilka razy, potem zawraca i idzie na drugi kraniec wagonu, dziwiąc się, że w mijanych przedziałach nikogo nie ma. Jest lato, są wakacje, rodziny wojskowych z całego Okręgu Południowego powinny tłoczyć się na drewnianych ławkach, dzieci powinny się drzeć, staruszkowie mamrotać, oficerowie pić, a ich żony wachlować się programami pobytu w NowoLenino, największym tatrzańskim kurorcie, ku któremu pociąg ostatecznie zmierza.

Fomienko nie wie jeszcze, że to nie jest zwyczajne lato, że od chwili, kiedy rankiem zajął miejsce w swoim przedziale i zasnął jak kamień, pociąg przejechał już dwa punkty kontrolne i przeszedł trzy inspekcje.

Wojskowi sanitariusze i wystraszony funkcjonariusz KMB – co już samo w sobie byłoby warte zobaczenia, ale Fomienko spał – zaglądali tylko do przedziału służbowego, w którym osobnik w wygniecionej marynarce chrapał dzięki ukradzionemu terofisowi blankietowi służbowej delegacji Ministerstwa Zdrowia Psychicznego. Jedzie, widać jest w prawie, skoro po cywilnemu, a nie w mundurze, to pewnie jakiś wysokiej rangi specjalista, a kimże są zwykle łapiduchy z punktu kontrolnego, a nawet i jeden kaembista, żeby zakłócać odpoczynek tak ważnej osobie?

Pociąg jest więc pusty, wyjąwszy ostatni z trzech wagonów, którym podróżuje pluton uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy specjalnego odwodu KMB. Fomienko po ulżeniu pęcherzowi wraca na posterunek przy oknie, wiatrem i pędem powietrza próbuje wywiać z głowy efekt pijaństwa. Piwka bym się napił, myśli, susząc jęzor niby zdyszany pies łowczy, piwka z pianką. Zimnego. No dobra, bez pianki i ciepłe też mogłoby być. Może będzie piwo

w Rabce? Kurorty górskie to przecież lody, lemoniada, inne napitki. Komu kola, bo idę do domu! Gofry, arbuzy, piwo.

Dyszący ciężko pociąg zbliża się do stacji, lecz widoki po obu stronach wagonu nie są zbyt wakacyjne – Fomienko miota się od jednego okna do drugiego – wszędzie króluje ciemna zieleń i czerń. Wojsko i KMB, w mundurach polowych, myśli Fomienko, nie tego spodziewasz się po kurorcie. Tu powinny być dziewczyny w kretonowych sukienkach, oficerowie w letnich wyjściowych mundurach albo przynajmniej półcywilnych bluzach, mający u pasa co najwyżej pamiątkową manierkę, z której można niekiedy zaczerpnąć łyka kaukaskiego koniaczku, tymczasem wśród drzew i zarośli błyskają kolby karabinów, a kabury widoczne z dala na pewno nie zawierają manierek.

Pociąg jedzie dalej, Fomienko chwyta torbę, lustruje szybko przedział, czy aby nie zostawił za sobą czegoś podejrzanego, sprawdza, czy w kieszeni wciąż znajduje się ukradziony terofisowi blankiet z własnoręcznie wypisanym przez dziennikarza rozkazem wyjazdu do uzdrowiska celem zbierania materiałów do biuletynu wewnętrznego ministerstwa. Nie ryzykował, treść wystukał na starej maszynie do pisania należącej kiedyś do dalekiego, nieżyjącego już znajomka, wszyscy wiedzą, że KMB ma bazę porównawczą czcionek, więc gdyby Fomienko użył własnej maszyny, a coś by poszło źle, to śledczy łatwo mogliby dopasować do niej dokument. A niech to, co też mu przychodzi do głowy, zżyma się Fomienko, jakie bazy, jakie dochodzenie, wszystko dobrze będzie i basta!

Jest jednak wewnątrz Fomienki, otumanionego piciem, zaślepionego wściekłością na naczelnego i znieczulonego własnymi kłamstwami, odrobina zdrowego rozsądku, a może instynktu

samozachowawczego, która mówi Jurijowi: „Źle zrobiłeś, bardzo źle, to się skończy fatalnie”. Fomienko dusi w sobie te myśli, na wierzch ich nie wypuszcza, wie tylko, że im są silniejsze, tym bardziej potrzebuje napić się piwa, choćby ciepłego i bez pianki, może być nawet karmelowe, już on znajdzie jakąś miejscową babuchę, od której będzie można nabyć troszkę nektaru księżycowego spuszczanego o północy do stalowej bańki, wtedy piweczko rozcieńczy, a właściwie doprawi, nie ma nic przeciw słodkodymnemu posmakowi, wyobraża sobie, że bierze pierwszy łyk...

Pociąg wjeżdża na stację Rabka, Fomienko skryty za zasłonką zerka raz na jedną, raz na drugą stronę peronu i wie już, że piwo jest teraz jego najmniejszym kłopotem. Wagony toczą się przez środek wojskowego obozu, w którym nie brak też kaembistów, ale najwięcej jest odzianych w stroje ochronne funkcjonariuszy Ministerstwa Zdrowia Psychicznego. To nie banda zwykłych terofisów, to nie personel pomocniczy, tylko fachowcy ze specjalnych jednostek Opieki Zdrowotnej. Na placu Dworcowym brak sprzedawców cukrowej waty, drewnianych kogutków, ciupag, obwarzanków, owoców; nie ma też tłumu letników czekających z walizami na chwilę, kiedy pociąg Nowa Huta – Rabka – NowoLenino zamieni się w skład relacji odwrotnej, coś się dzieje niedobrego, bardzo niedobrego, tak niedobrego, że Fomienko zaczyna naraz wątpić w magiczną moc swojego kradzionego blankietu i wysilać przyćmioną procentami mózgownicę – nie darmo wszak tankował dworcową siwuchę podczas przesiadki w Kielcach, a potem poprawił kupionym od artylerzystów na boczniczy w StaroLenino zajzajerem.

Myśli, ale rozwiązania dobrego nie widzi, widzi za to coraz więcej mundurów, a pociąg sunie coraz wolniej. Po prawej stronie

lokomotywy stoi niewielki drewniany budynek dworca kolejowego, taki sam jak za carów, za białopolskich imperialistów i za faszystów. Okienko kasy biletowej jest zamknięte, podobnie przechowalnia bagażu i toalety, wszędzie wiszą naklejone żółte obwieszczenia ze znakami, które Fomienko zna doskonale i na ich widok zaczyna się pocić bardziej niż na największym nawet kacu. To splecione obręcze, którym towarzyszy napis „bioopasno”.

Dziennikarz czuje atak paniki, biologiczne skażenie terenu połączone z obecnością tak dużych sił wszystkich ministerstw specjalnych oznacza coś dużo poważniejszego od epidemii grypy wśród letników, a wywołany tym stan podwyższonej gotowości zwiększa prawdopodobieństwo, że nawet lewa przepustka ze stolicy zda się psu na budę. Fomienko przemyka ku drzwiom wagonu, chce wykorzystać fakt, że od prawej na peronie nikt nie pilnuje wjeżdżającego do Rabki składu. W momencie gdy hamulce zaczynają przeraźliwie piszczeć, bo pociąg wreszcie się zatrzymuje, Fomienko otwiera drzwi, których zgrzyt nie jest w owym pisku słyszalny, zeskakuje na brunatną ziemię i lekko pochylony biegnie ukryć się za stacyjnym budynkiem.

Panuje tam nienaturalna cisza. Ruchu na ulicy brak, chodniki są puste, w otwartych oknach pobliskich domów nie widać nikogo. Fomienko patrzy na wielką informacyjną tablicę „Okolice Rabki”. Zna miasteczko, był tu kilkakrotnie, ale rzadko wypuszczał się poza centrum i Park Zdrojowy. Odbył tylko dwie wycieczki po okolicznych górach, w tym jedną do schronu turystycznego na Maciejowej, głównie ze względu na pyszny pieróg z kapustą i chłodne piwo, jakie czekały u krańca drogi.

Przygląda się wymalowanej na tablicy płataninie ulic i turystycznym szlakom prowadzącym z miasta i wokół miasta.

Tak, to byłby niezły pomysł, wmawia sobie i decyduje się na obejście miasteczka od zachodu i południa. Potem pójdzie na Stare Wierchy i stamtąd zejdzie do Rabki przez Maciejową. Wtedy będzie miał przewagę wysokości i widok bezpośrednio na sanatorium. Na pewno da się stamtąd zrobić dobre zdjęcia, a w wojskowym plecaku Fomienki spoczywa przecież profesjonalny aparat Łunnaja Raduga-6. Po drodze, myśli Jurij Fomienko, zdałoby się jeszcze znaleźć coś na ząb i do picia. Niech będzie i woda, stwierdza z pewnym obrzydzeniem.

Oddała się od dworca z duszą na ramieniu, wciąż wydaje mu się, że w każdej chwili ktoś może zawołać: „Stój!” albo „Stój, bo strzelam!” lub jeszcze gorzej – nie zadać sobie trudu wołania, a wystrzelić i tak.

Dopiero gdy zatrzymuje się na odpoczynek w opuszczonym, podmiejskim gospodarstwie, gdzie o dziwo znajduje nie tylko wodę, ale i całkiem sporą kolekcję kiszonych ogórków w ukrytej między jabłonkami piwniczce, oddycha z ulgą. Na moment. Do chwili, kiedy uświadamia sobie, że właśnie zrobił coś, czego robić za żadne pieniądze nie powinien. Jest uciekinierem, a przecież kto kryje się przed władzą, ten musi mieć swoje powody, mówiąc krócej: kto ucieka, ten jest winny.

Przecież nie uciekam, próbuje sam sobie wytłumaczyć, władzy nie unikam, tylko idę swoją drogą. Ech, to jeszcze gorsze, myśli, kości tych, którzy uwierzyli, że można iść własną drogą, bieleją na polach wszystkich stu pięćdziesięciu republik świata. Fomienko zjada słoik ogórków, kiszoną zalewę wypija i rusza w dalszą drogę. Może szczęście mnie nie opuści, przekonuje sam siebie, papier w końcu jakiś posiadam, a i profesja dziennikarska uważana jest nieraz za bratnią przez pracowników służb.

A kiedy to, odpowiada Fomience jego trzeźwa, ponura, pesymistyczna część, kiedy to, bratku, ostatnio dopisało ci szczęście? Spocony Fomienko odpycha tę myśl.

Kwadrans później pochłania go las.

Liza. Mario

Mario trzyma za rękę Elizawietę Morselli i mówi, że wszystko będzie dobrze. Żadne z nich w to nie wierzy, ale nie chce, by drugie także o tym wiedziało. Mario gładzi dłoń żony, chwali ją za roztropność i odwagę. To dobrze, że nie próbowała jechać kolejką, Circumvesuviana jest zablokowana, na stacjach królują bandy rzezimieszków z neapolitańskiego półświatka, którego nigdy i żadnej władzy nie udało się do końca oczyścić. To dobrze, że zabrała motorówkę z przystani w Sorrento. To dobrze, że pamiętała, co oznacza kod „biały kamień”, dwa słowa, które przesłał na jej rękofon. To dobrze, że bez szwanku udało jej się przejść ulicami ogarniętego chaosem Neapolu.

Światła w bunkrze są przygaszone. To zresztą nie jeden bunkier, lecz część całego podziemnego systemu schronów i korytarzy, zbudowanego w miejscu dawnego podziemnego miasta Greków i Rzymian. Przeszłość i teraźniejszość przenikają się tu, białe kamienie z dawnych czasów bywają kręgosłupem współcześnie wzniesionych ścian, niekiedy zaś odwrotnie, to świeże wylewki wypełniają tylko ubytki w starożytnych dźwigarach i sklepieniach.

Mario Morselli, pułkownik włoskiego pionu Komitetu Mirowej Biezopasnosti, czyli Bezpieczeństwa Światowego, jest człowiekiem

przezornym i ostrożnym. Nigdy nie sprowadziłby żony do tajnej placówki, gdyby nie uważał, że jest to absolutnie konieczne. Nigdy też nie pokazałby żonie podczas jednego z niewinnych spacerów przed laty, dokąd powinna się udać w razie niebezpieczeństwa, gdyby nie był przekonany, że złe czasy mogą nadejść.

Złe czasy właśnie nadeszły.

W niemal wszystkich stolicach Światowej Republiki Rad w ciągu ostatniej godziny doszło do wybuchów. Według mediów i oficjalnych zapewnień są to zamachy terrorystyczne. Polityka informacyjna ma swoje zasady, po pierwsze mieszkańcy, dajmy na to, Dwudziestej Drugiej, nie mogą wiedzieć, że coś złego dzieje się jednocześnie w Trzydziestce, mogłoby to doprowadzić do stawiania niepotrzebnych pytań o światowe bezpieczeństwo. Każdy zamach przedstawiany jest w lokalnych środkach masowego przekazu jako odizolowany akt terroru, a media o zasięgu globalnym są na bieżąco poddane stosownej cenzurze. Jednak jak mówi jedno ze starych przysłów, zakaz mówienia o niepogodzie nie sprawia jeszcze, że niebo się oczyszcza. Zatem zakaz zakazem, a problem problemem. Bomby wybuchły, ludzie zginęli, są tysiące, dziesiątki tysięcy ofiar. Ale nie to jest najgorsze.

Pułkownik Morselli trzyma żonę za rękę i mówi rzeczy, których sam się boi. Formułuje podejrzenia, za wypowiedzenie których grozić mogą surowe konsekwencje, ostateczne konsekwencje, bo klub nie przebacza, przypomina sobie tytuł czytanej kiedyś powieści Mario Morselli.

Jest taka możliwość, ostrożnie zaczyna pułkownik, że to nie terroryści stoją za zamachami. To zresztą od początku było mało prawdopodobne, nawet wszystkie faszystowskie i religijne organizacje podziemne razem nie byłyby w stanie przygotować

i skoordynować takiej akcji. A w powietrze niemal w tym samym czasie wyleciały przecież przeróżne obiekty: dworce, lotniska, stadiony, na których akurat rozgrywano mecze, bloki mieszkalne, szkoły.

Mario ma swoje wpływy, zna odpowiednich ludzi, którzy znają innych ludzi. Tamci ludzie mówią pewne rzeczy, ten obieg informacji w Trzydziestej Republice zawsze był lepszy niż w innych miejscach Światowej Republiki Rad, tu rodzina i przyjaciele liczą się naprawdę, żaden Włoch, który wejdzie w posiadanie rzeczywiście istotnej informacji, nie będzie ukrywał jej przed ludźmi najbliższymi lub zaufanymi. Mario dowiaduje się więc z ust owych ludzi, owych przyjaciół, że za falę terroru odpowiadać może jeden z wydziałów wewnętrznych którejś służby specjalnej lub któregoś departamentu bezpieczeństwa. Że do tych krwawych wydarzeń doszło po to, by ukryć prawdziwy problem, by odwrócić uwagę ludzi od tego, co naprawdę dzieje się w Światowej Republice Rad...

A co się dzieje, pyta mechanicznym, zmęczonym głosem Elizawieta, której jest wszystko jedno, bo ona nie chce znać tej historii, pragnie, by mąż opowiedział jej zupełnie co innego, zamiast zmieniać nieustannie temat i udawać zafrasowanego. Oficer KMB, który nagle martwi się liczbą ofiar, myśli Liza, co za bzdura.

Ludzie umierają, odpowiada Mario Morselli, umierają na ulicach, w domach, w szpitalach. Umierają zbyt szybko, by można było uprzętać ciała. Epidemia...

Nie mów mi o epidemii, krzyczy Elizawieta Morselli, opowiedz mi o mojej córce.

Jurij

Z góry wszystko wygląda lepiej, ale bardziej sucho, myśli sentencjonalnie Jurij Fomienko, pokonując ostatnie podejście do schroniska pionierskiego Stare Wierchy. Wie, że pijaczkowie wszystkich krajów łączą się z nim w tym przeświadczeniu. Kwas z ogórków już dawno wyparował z Fomienki, mokra koszula lepi się do pleców, marynarka zwinięta w kłębek spoczywa w torbie, która po przełożeniu pasów zamieniła się w plecak. Wojskowy wynalazek, dobra robota, uważa Fomienko, którego zdaniem w ogóle wojskowe wynalazki są wynalazkami najlepszymi: na przykład chemicznie czysty spirytus do czyszczenia dział – daje takiego kopa, jakiego w żadnym sklepie monopolowym za żadne pieniądze nie kupisz.

Z góry wszystko wygląda lepiej, ale i bardziej podejrzanie, to kolejna myśl Fomienki, który z niepokojem obserwuje słupy czarnego dymu na okolicznych zboczach. Nie martwi go to, że się pali, jest w końcu lato, jest gorąco, to się pali. Niepokoi go brak strażackich syren.

Droga do NowoLenino widoczna daleko w dole jest bardziej pusta, niż być powinna. Ćwiczenia? Skażenie? Wojna? Ale z kim wojna, jak tu wszystkie wojny wygrane. Trwa wojna wewnętrzna, ma się rozumieć, trwa i będzie trwać, a nawet się zaostrzać, to jasne, bo wróg klasowy podnosi głowę. Tylko że w ofensywę muzułmańskich fanatyków na zboczach gór wokół Rabki trudno jest Fomience uwierzyć.

Schron turystyczny Stare Wierchy okazuje się niewielkim czworobokiem z szarego betonu. Są w nim wąskie okienka i solidne, metalowe drzwi. Wszystkie obiekty turystyczne mają także

znaczenie militarne, uczyli ich w wojsku. Właściwie to, że nie ma obiektów nieposiadających znaczenia militarnego.

Metalowe drzwi są jednak otwarte, a ze środka nie słycać nikogo. Fomienko ostrożnie podchodzi bliżej. Strasznie jest spragniony, a w środku jeśli nie kwas, lemoniada czy piwo, musi być przynajmniej woda.

Wnętrze schronu wygląda na opuszczone w pośpiechu. Na podłodze walają się resztki jedzenia, które pewnie padło nocą łupem jakichś zwierząt, zresztą w powietrzu czuć odór ich odchodów. Fomienko zagląda za bar, gdzie znajduje prawdziwe skarby: dwie konserwy i skrzynkę pełną butelek różowej oranżady. Pije łapczywie i do dna, zaraz potem otwiera następną butelkę. Smak jest inny, niż się spodziewał. Patrzy na datę przydatności do spożycia. Minęła pół roku wcześniej. Oranżada jest skwaśniała, wewnątrz butelek, widzi to teraz, uważnie przyglądając się kolejnym, tworzą się sznury białych farfocli. Sprawdza kran nad szynkwasem. Woda jest zimna i dobra. Piwa brak.

Fomienko sprawdza noclegownię. Ani żywej duszy. Jedną ze znalezionych konserw zjada, siedząc przy drewnianym stole przed schroniskiem, drugą zabiera ze sobą. Po namyśle napełnia wodą dwie butelki po oranżadzie.

Teraz droga jest łatwa, bo Fomienko idzie w dół, najpierw wąską stromą ścieżką między gęstwiną, potem szlak robi się szerszy, niemal jak wiejska droga. Jeden ze słupów dymu, jakie widział wcześniej, wydaje się dość bliski.

Pół godziny później wszystko jest jasne, płonie drewniany schron turystyczny na Maciejowej. Dookoła nie ma żywej duszy, tylko obrażone i podejrzliwe koty przypatrują się widowisku

z oddali. Na ścieżce widać ślady ciężkich butów, nie da się jednak orzec na tej podstawie, do jakiej formacji należeli ich właściciele.

Wymija dogasające ruiny schronu z prawej strony, gdzie kiedyś był niewielki ogródek ze stolikami i ławkami dla pionierów i turystów. Niedaleko budynku znajduje łąski. Podnosi jedną, drugą, przygląda się uważnie. Broń maszynowa, to pewne. I znów – nie wiadomo, jakiej formacji. Łuski są zimne, ktokolwiek strzelał, dawno opuścił to miejsce. Dawno, to znaczy przed przybyciem Fomienki do Rabki. Dźwięk w górskim powietrzu niesie się daleko, Fomienko jest pewien, że strzelaninę na Maciejowej byłoby słyszeć także na dole.

Jakby w odpowiedzi na te rozważania wiatr przynosi odgłos palby od strony miasteczka.

Fomienko upewnia się, że ma w kieszeni ukradziony terofisowi rozkaz wyjazdu, i idzie dalej.

Kilka minut później na polanie obok płomieni pojawiają się właściciele ciężkich butów, których odciski widział Fomienko. Cztery postacie odziane w czerń. Mają bojowe hełmy i niewielkie białe maski na twarzach.

Koty patrzą na intruzów i idą w las. Intruzi idą za Fomienką.

Jest coraz goręcej, lipcowy skwar daje się dziennikarzowi we znaki. Przystaje, wypija łąpczywie kolejną oranżadę. Kwadrans później następną. Pij, pij, póki chłodna, mówi do siebie. Za to w brzuchu nie burczy.

Schodzi ścieżką wśród drzew, czerwonym szlakiem. Pomału z prawej strony w oddali zaczynają pojawiać się zabudowania.

Schodzi i myśli o innej ścieżce, innych górach i innym upale.

Reporter pierwszej kategorii Jurij Fomienko był wtedy piechurem drugiej kategorii, starszym szeregowym w jednostce

rzucanej na Kretę. Stacjonowali na zachód od Chanii, niewielkiego, brzydkiego miasta wyróżniającego się głównie nietypową zabudową: wokół pięknej zatoki stały wianuszkami czteropiętrowe mieszkalne bloki, a między nimi wielki kanciasty hotel Robotnik, w którego lobby kurzyły się eksponaty z nigdy niezmienną wystawy „Relikty wyzysku człowieka przez człowieka w cywilizacji minojskiej”.

Oddział Fomienki zajmował kwatery na brzegu zatoki Soso, kiedyś przez miejscowych nazywanej Soma Bay. Z okien baraku żołnierze widzieli wojskowe lotnisko na przylądku, a samą zatokę wypełniały szare kadłuby okrętów wojennych Trzeciej Floty Śródziemnomorskiej.

Fomienko idzie ku Rabce i myśli o tamtym gorącym dniu, kiedy schodzili do Daskalojannisowa, maleńkiej nadbrzeżnej wioski po południowej stronie wyspy. Ukrop był niemiłosierny, wężozem płynął na szczęście chłodny strumyk, a i drzew nie brakowało. Wszędzie pałętały się małe kozy, które w ogóle nie bały się ludzi, głupie brązowe stworzonka same pchające się pod nóż. Uszły cało tylko dlatego, że dowódca zakazał. Żadnych strzałów, musieli przecież odciąć drogę wycofującym się znad morza bandytom, których pogonić mieli w górę wężozu chłopcy z desantu. Zresztą zjeść na miejscu nie było jak, a na akcję z martwym zwierzęciem na plecach iść – głupio.

Pamiętał zdziczałe jabłunki w opuszczonym przysiółku w połowie drogi, a potem kolejne kilometry, tym razem po szarych kamieniach wyściełających dno wężozu. Wreszcie zajęli pozycje w miejscu, gdzie pojawiła się utwardzona droga i gaje oliwne. W samą porę, bo wkrótce od strony morza wzbijała się w niebo czerwona rakietka.

Wojowanie ciężka robota, każdy to wie. Mundury grube, lufy parzą, magazynki ciężkie jak cholera, a Fomienko w dodatku był jeszcze w drużynie, która obsługiwała moździerz. Dziś Fomienko czuje na palcach jedynie odciski od klawiszy maszyny do pisania, wtedy miał ręce stwardniałe od podawania pocisków. Służba nie drużba, każdy obywatel Światowej Republiki Rad musi swoje pięć lat odsłużyć, i tak miał szczęście, że na Krecie, gdzie człowiek czuł się jak na Krymie, a nie w jakiejś norweskiej dziurze pożerany żywcem przez meszki albo w amazońskiej dżungli.

Dawne czasy. Już nie ma buntowników na Krecie. Ani nikogo. Wyspiarskie szczęście.

Ale wtedy, u wrót wąwozu, rozwałka była jeszcze klasyczna, po ciężkie środki sztab sięgnął dopiero później. Kosili więc nadbiegających przez poletka bandytów, ślali w grupy kontrrewolucjonistów granat za granatem, choć swołocz chowała się za żywymi tarczami, bo pędziła przed sobą baby w czarnych spódnicach i obdartych gówniarzy. Ludzie z oddziału Fomienki byli szczególnie cięci na gówniarzy, bo dwa razy już zdarzyło się na przedmieściach Chanii, że jakiś miejscowy, cuchnący kozami szczeniak wysadzał się obok wojskowych samochodów patrolowych. Czwórkę chłopaków w ten sposób stracili, a następnych dwóch wróciło do kraju bez kompletu nóg i rąk.

Od morza palba. Widać już błyski na lufach chłopaków z desantu, wypierają kontrrewolucjonistów bez trudu, cizba ludzka nawija się pod celowniki towarzyszy Fomienki, dowódca zwraca uwagę obsłudze granatnika, że z boku stoi podejrzany budynek, w którym czai się wróg, pewnie by spróbować niespodziewanego natarcia od flanki. Budynek jest większy od miejscowych chałup,

widocznie jakiś sklep albo szkoła, od tej strony nie widać, słysząc tylko, nawet mimo huku wystrzałów, piski i wrzaski jakichś dzieci.

Nie nabrali nas wtedy, myśli Fomienko, któremu pod wpływem wojennych wspomnień idzie się jakoś bardziej energicznie, nie nabrali nas, cała seria granatów poszła prosto w cel. Tłumaczył kiedyś Fomience przy wódeczce towarzysz Paweł Pawłysz, gwiazda NeoArcheo, że to częsty trik. Wróg nagrywał wcześniej rozmaite wrzaski, wydawane niby przez dzieciątka niewinne, i odtwarzał potem przez megafony, dla dezorientacji i dywersji. Służby NeoArcheo miały w swoich zbiorach aż nadto dowodów na takie postępowanie wroga.

Nie nabraliście nas wtedy, myśli Fomienko, który jest już na skraju lasu i spogląda na wielką bryłę głównego gmachu Szpitala i Sanatorium dla Dzieci w Rabce imienia Czuka i Heka. Wokół budynku są dziesiątki innych zabudowań otoczonych ogrodami, trawnikami, placami zabaw. Sanatorium zajmuje powierzchnię kilku hektarów, a po drugiej stronie sąsiaduje z Parkiem Zdrojowym – tym samym, który Fomienko widział rano z okien wjeżdżającego na plac Dworcowy pociągu.

Fomienko bywał już w tej okolicy, kilka razy prywatnie i dwa razy służbowo, raz nawet w samym sanatorium, kiedy przeprowadzał wywiad z dyrektorem, którego ogłoszono oficjalnie kandydatem na komisarza zdrowia Dziewiętnastki.

Ale nigdy gmach sanatorium nie płonął.

Budynek jest źródłem słupa czarnego dymu, który widział na szlaku. W ogrodach przyszpitalnych kręcą się ludzie, ale Fomienko nie widzi wśród nich strażaków. Nie widać także wozów strażackich, nie widać milicji zabezpieczającej teren przed gapiami.

Fomienko podchodzi bliżej.

Na ogrodzeniu wisi żółta taśma ze złowrogimi znakami, a postacie po drugiej stronie sztachet mają zdeformowane kształty: wszystkie ubrane są w kombinezony zwieńczone wysokimi, przezroczystymi hełmami zakrywającymi całą głowę. Jak kosmonauci, myśli Fomienko.

Szpital i sanatorium płoną, słychać już trzaski palących się desek, pękające plastikowe meble, jęczy rozdierana przez łamiące się dźwigary blacha. Budynek zapada się pod własnym ciężarem, bo pożerana przez płomienie konstrukcja nie jest go w stanie utrzymać.

Fomienko jest już blisko ogrodzenia, widzi na żółtej taśmie napisy „bioopasno”. Ludzie w kombinezonach rozpylają coś w powietrzu, ale nie są to żadne środki gaśnicze. Dziennikarzowi przypominają się sceny z telewizyjnych dramatów wojennych o przełamywaniu linii wroga taktyczną bronią jądrową. Aktorzy udający, że dezynfekują skażony teren, wyglądali podobnie. Tylko że przecież tu nie ma żadnej radiacji, skąd promieniowanie w sanatorium dziecięcym, poza tym hasło „bioopasno” mówi wszystko i Fomienko naprawdę żałuje, że wybrał się w tę podróż.

I z tym żalem w sercu żegna się ze światem, bo z góry, czerwonym szlakiem, a potem dróżką wśród pól i łąk, schodzą już czterej jeźdźcy Fomienkowej apokalipsy, czterech oczyszczających teren funkcjonariuszy specjalnego wydziału Ministerstwa Zdrowia Psychicznego, uzbrojonych po zęby i odzianych w czerń. Idą, ich ciężkie okute buty gniołają przesuszoną lipcowym skwarem trawę, idą i unoszą broń, niezawodne pistolety maszynowe typu Baksan, idą i nawet nie muszą się zatrzymywać, by rozerwać klatkę piersiową Fomienki na strzępy. Dekontaminacja, rozkazy, służba nie druźba.

Torba Fomienki leży na ziemi. Wytoczyła się z niej konserwa, której Jurij już nie zje. Krew plami mokrą od potu koszulę, krew znaczy ukradziony warszawskiemu terofisowi blankiet. Szkoda, Jurij, żeś nie miał okazji go pokazać, dowiedziałbyś się, że od tego ranka jest już nieważny, nadzwyczajne zarządzenie, wymiana wszystkich dokumentów podróźnych, zagrożenie państwa. Mógł Jurij mieć pecha, mógł wysiąść grzecznie na stacji w Rabce i pokazać swoje dokumenty patrolowi tylko po to, by trafić do ciupy jako szpieg i dywersant, bo go ten bezwartościowy kwitek nie mógł obronić. I może by żył.

A tak leży Fomienko twarzą w suchej trawie i nigdy już nie wstanie. W ostatnim przebłysku świadomość próbuje jeszcze go zwieść: że niby od strony szpitala słyhać krzyki dzieci, krzyki dzieci w płonącym budynku. Ale to pewnie tylko pamięć płata mu figle, to niemożliwe, jakie dzieci, jakie krzyki, kto by na to pozwolił, pewnie przedśmiertny spazm miesza mu się ze wspomnieniem zabitych na Krecie bandytów, w każdym razie Fomienko już nie musi i nie będzie musiał rozstrzygać tej kwestii.

Postać w czerni pochyła się, trąca ciało lufą, choć wie, że nie ma takiej potrzeby. Ale procedur trzeba przestrzegać.

Fomienko leży na trawie martwy, bo ma szczęście. Wyspiarskie szczęście.

Swietłana. Paweł

„Wyspiarskie szczęście” – mówiła matka Swietłany. I czasem mówi tak sama Swietłana. Ano tak. Skąd ta fraza? Otóż wyspiarze nie mają szczęścia. Spójrzmy na to, co przytrafiło się Anglikom

w Anglii, Chińczykom na Tajwanie, Japończykom w Japonii, Hiszpanom na Kubie, Chilijczykom na Wyspie Wielkanocnej, a Australijczykom tak ogólnie. Przydarzyło się to samo: bombka atomowa. Wyspiarze nie mają szczęścia, stąd i „wyspiarskie szczęście”. Sami sobie winni. Gdyby kontrrewolucji nie hodowali, nie doczekaliby się grzybkowatej niespodzianki.

A skąd bombowa niespodzianka w Moskwie? W Mieście Świata?
W Mieście Pokoju?

Nie atomowa, na szczęście, ale jednak bomba.

W radiu mówią o terrorystach. Zakurzony i porysowany odbiornik marki Elektronik 77 stoi na brzegu stołu o gargantuicznych rozmiarach. Na stole wala się bezmiar narzędzi, części elektronicznych, śrub, kawałków plastiku, rolek srebrnej lub czarnej taśmy izolacyjnej. Stół stoi pod ścianą wielkiego ciemnego hangaru, który wypełniają kanciaste kształty śmigłowców Służby NeoArcheologicznej.

Swietłana i Pawłysz siedzą na składanych aluminiowych krzeselkach. W dłoniach mają metalowe kubki; Swietłana pije herbatę wzmocnioną czymś mocniejszym, Paweł wzmacnia się bez pomocy herbaty. Są na lotnisku. Są bezpieczni.

– Wyspiarskie szczęście – mówi cichym głosem Swietłana.

Obok stoi Gieno Pokrowski zwany Generałem. Wielki chłop, o rękach jak łyżki koparki, który wydaje się jeszcze wyższy, bo na głowie rośnie mu czarny gąszcz sztywnych i niemożliwych do ułożenia w ludzką fryzurę włosów. Gieno jest zakłopotany, nie tak miało być, Pawłysz nie zapowiadał się z gościem, w końcu cała sprawa była w najlepszym razie ominięciem regulaminu, jeśli nie wprost jego złamaniem. Gieno konsekwencji się nie boi, umie trzymać język za zębami, Pawłyszowi ufa bardziej niż rodzonemu

bratu, ale stara kobieta go niepokoi – a bo to wiadomo, komu coś jęzorem chlapnie?

Zresztą Pawłysz też dziś trochę krwi. Miał być o dziesiątej, jest sporo przed czasem, miał pojawić się i lecieć, a nie urządzać pogaduchy do poduchy. Gieno nie jest zadowolony. I jeszcze ta jego baba powtarza przynoszące pecha formułki. Wyspiarskie szczęście! Jedź, starucho, na bezludną wyspę i żyj szczęśliwie!

Gieno Generał ma swoje pretensje do Pawłysza, a Swietłana swoje – owszem, jest mu wdzięczna za to, że wyciągnął ją z krwawego chaosu, ale dlaczego powstrzymywał ją, kiedy chciała pomóc w opatrywaniu rannych? Swietłana jak każda kobieta Światowej Republiki Rad ma za sobą pięć lat obowiązkowej służby medycznej, odsłużyła swoje w bazie Tartar, a potem wystąpiła jeszcze o nadterminowe dwa lata. Była zakochana, była młoda, była głupia, na głowie stawała, żeby przydzielili ją do Siedemnastego Frontu Azjatyckiego, bo służył tam pewien młody lekarz, który we własnych obietnicach i w snach Swietłany był już jej prawie-że mężem. Cóż, prawda była inna. Prawda miała oczy drobnej i wyjątkowo głupiej Wietnamki, która została panią doktorową. Całe moje życie jest prawie-że, myśli Swietłana. Prawie-że miałam ojca i prawie-że wyszło mi z innymi rzeczami. Czyli nie wyszło.

– Wyspiarskie szczęście – szepcze Swietłana, a Gieno Generał znów wzdryga się, jakby usłyszał syk węża.

Ciało Swietłany przebywa w hangarze małego lotniska Służby NeoArcheologicznej pod Moskwą, ale jej umysł nieustannie wraca do wydarzeń na placu Czerwonym. Wewnątrz głowy ostatnie godziny powtarzają się jak odtwarzany od początku film. Od początku, czyli od chwili, kiedy Swietłana wychodzi z metra na

stacji Plac Nogina, mija obojętnie gmach Światowego Komitetu Przemysłu Ciężkiego.

Ignoruje tłum, a tłum ignoruje ją. Bo i czego młodzi, roześmiani, obwieszeni aparatami fotograficznymi turyści mogą chcieć od starej kobiety w letniej sukience? Ona od nich także niczego nie chce.

Czuje jednak niepokój, podobnie jak wcześniej, kiedy wysiadała na Dworcu Białoruskim. Tłum niby jest taki jak zwykle, ale jednak bardziej... niespokojny? Podminowany? Powinna była wcześniej zwrócić na to uwagę. A jeśli... jeśli wśród tych, co jechali z nią metrem na Plac Nogina, był i ten, który pod myśliwską kamizelką albo w turystycznym plecaczku niósł bombę?

– Kim są ludzie, którzy mogli to zrobić? – pyta na głos Swietłana. Gieno wzdycha, mówienie o nieszczęściach ściąga nieszczęścia, prosta sprawa, ale dziwna ciotunia Pawłysza widać tego nawet nie wie.

– Terroryci. Polaki, Żydaki. Ameraki. Mahometanie, przeklęte wielbłądojeby. Kto to wie?

Pawłysz ma rację, trudno nadażyć za wszystkimi nazwami organizacji terrorystycznych i kontrrewolucyjnych wymienianymi przez spikerów w radiu i telewizji. Żydowski Front Wyzwolenia Narodowego. Islamski Kalifat. Wolna Ameryka. Wszechislamski Ruch Ałlach Akbar. Rycerze Busido. Kuomintang. Działa podobno nawet Polska Zbrojna, choć przecież Polaków od dawna już nie ma. No prawie.

– Wy przecież jesteście Polakiem. – Swietłana patrzy na Pawłysza uważnie, jakby od tego, co teraz powie, zależało, czy nadal będzie chciała z nim rozmawiać.

– Obywatelem Świata Rad, to pewne. – Paweł wzrusza ramionami. – Z biało-czerwonej Dziewiętnastki. I niby co z tego

wynika? Matka Bułgarka, z miasta Iljewa. Ojciec... Ojca znacie, to znaczy nazwisko jest wam wiadome. A ja prawdziwy mieszaniec nowej generacji. Z Jasnej Kępy, gdzie żył od urodzenia i towarzyszył Gusiew, konstruktor samolotów Gu-111. Gusiew to był syn Litwinki i zruszczonego Kazacha. I co, on też Polak?

Flaga Dziewiętnastej Republiki rzeczywiście jest białoczerwona. Biel symbolizuje skromność i czystość kobiet, a czerwień – krew przelaną przez robotników podczas walk na Wale Atlantyckim, gdzie oddziały robociarzy z WarSzawy odznaczyły się niebywałym męstwem na pierwszej linii frontu. Łabędzi śpiew nieistniejącego narodu: szturm stulecia, który kosztował miliony ofiar. Obok staro-Polaków ginęli staro-Czesi, niedobitki Bałtów, paleo-Rumuni. Ale właściwie dawni Polacy sami są sobie winni. Jedni walczyli w Wielkiej Ofensywie Ojczyźnianej lat czterdziestych po niewłaściwej stronie, u boku niemieckich faszystów, amerykańskich interwentów i pogrobowców białogwardzistów. Inni, z pozoru cisi, pokorni i z nowym światem pogodzeni, na tyłach zwycięskiej Armii Czerwonej wywołali bunt kontrrewolucyjny, który musiał się skończyć tak, jak się skończył: zasłużoną zagładą. Dla zdrajców i głupców miejsca pod słońcem nie ma, Pawłysz wie to doskonale. Każdy to wie. I co po tej zdradzie i głupocie pozostawili w historii dawni mieszkańcy Dziewiętnastki? Nazwę portu u ujścia Odry, czyli Wandowasilewo, i jeszcze stolicę, WarSzawę, nazwaną tak na cześć dwóch najwybitniejszych komunistów w niej urodzonych, Waryńskiego i Szawielewa.

Pawłysz, tak jak Swietłana, również wraca w myślach na plac Czerwony. Do tej przedziwnej chwili, kiedy widzi krzyczących ludzi, ale w uszach ma tylko ciszę. Kiedy kolorowy, turystyczny, isticie pocztówkowy film ze ścieżką dźwiękową pełną szczebiotu

turystów, kawiarnianego gwaru, szumu miasta, zamienia się punktualnie o godzinie dziewiętnastej w przesyconą pomarańczem, czernią, żółcią i czerwienią, katastroficzną, niemą superprodukcję. Pawłysz strącony przez siłę wybuchu leży obok przewróconego stolika. Raz patrzy na ogłuszoną jak on Swietlanę (którą dopiero co poznał, ledwie trzy zdania nad ciastkiem wymienili), raz na najśłynniejszy w Moskwie dom handlowy, słynny GUM, składający się jak domek z kart, płonący, topniejący, zamazany, bo w powietrzu unosi się zasłona przypominająca ciemną mżawkę. Wśród tych startych na proch szczątków muszą być i ludzkie, myśli Pawłysz, dotyka dłonią twarzy, ociera czoło, policzek, nos, z odrazą odkasłuje. Na palcach zostają ślady krwi, ale to jego własna krew, cieknąca ze skaleczeń kawałkami szkła i metalu.

Jest oszołomiony, ale głowa pracuje. Pawłysz zna procedury: za chwilę zaroi się tu od funkcjonariuszy wszystkich szesnastu służb antyterrorystycznych, będzie ciasno od karetek, wozów strażackich, furgonów milicyjnych, standardowa procedura to zamknięcie całej okolicy na przestrzeni kilku przecznic, drobiazgowe śledztwo, przesłuchania, pytania, porównywanie słów świadków z zapisem z kamer bezpieczeństwa, w najlepszym wypadku dni, w najgorszym całe tygodnie, nim wszystkie osoby znajdujące się w promieniu kilku przecznic opuszczą wreszcie areszty wydobywcze i gabinety oficerów terapii psychicznych. Pawłysz nie może ryzykować, jeśli chce doprowadzić swoje małe dochodzenie do końca, musi wymknąć się z tej sieci, zresztą sumienie ma czyste, niczego podejrzanego nie widział. Ciągnie więc za rękę przerażoną Swietlanę, która przytomnie naraz i wraca jeszcze po swoją torebkę leżącą między kawałkami szyb i strzępami czegoś, czego pochodzenia nie chcą nawet się domyślać.

Swietłana bezwolnie poddaje się Pawłyszowi, biegną przez Rybny Zaulek, przez Prospekt Kujbyszewski, pozostawiają za sobą Czarodziejską Śnieżynkę, potem wpadają w 25 Października, mijają mirkom badań kosmicznych, biegną dalej. W tych miejscach, bliżej stacji metra Plac Dzierżyńskiego, do przechodniów nie dociera jeszcze, co się właściwie stało, są bardziej zaciekawieni niż przestraszeni. Owszem, słychać było grzmot, coś jak tupnięcie olbrzyma, ale czy ktoś wie, co to właściwie było? Moskwanie widzą nad gmachami wokół placu Czerwonego dym, ale mało to hucznych uroczystości odbywających się tam w coraz mniejszych czasowych interwałach bywa uświetnianych fajerwerkami, cyrkiem ogniowym, petardami? A może to pionierzy podczas przedstawienia państwowego palą symbolicznie stary świat? Pawłysz zwalnia kroku, ale wciąż mocno trzyma Swietlanę. Nie mogą iść za szybko, bo tu, gdzie wszystko wygląda normalnie, będą zwracać uwagę stukaczy, kontrolerów, ochotników pomagających terofisom zbierać informacje i po prostu zwykłych patroli, których zresztą powinno być tu wiele, tymczasem nie widać chwilowo ani jednego, co głęboko Pawłysza dziwi. Potem przypomina sobie, że w ostatnich minutach przed eksplozją także nie widział wokół mundurów i uniformów, co samo w sobie w Moskwie, wieczorem, przy placu Czerwonym, było niewiarygodne.

Pawłysz nie chce korzystać z taksówki, metro rozważa, ale myśl porzuca, za chwilę ruch będzie wstrzymany, a przecież nie chcą ugrzęznąć w tłumie. Zatrzymuje się na chwilę, wysyła dwie wiadomości z rękofonu. Sieć telekomunikacyjna działa. Jeszcze działa, bo kiedy sprawdza kilka minut później, czy dostał odpowiedź, widzi, że rękofon jest poza zasięgiem.

Pozostaje mu liczyć na to, że starzy przyjaciele dostosują się do nagłej zmiany planów. Póki co wytrwale maszeruje i ciągnie za sobą Swietłanę.

Pół godziny później są już wewnątrz furgonetki Służby NeoArcheo. Za kierownicą siedzi Sergo Smicz, jeden z zaufanych pomagierów Giena. W radiu słyszą spikerkę opowiadającą o najkrwawszym zamachu terrorystycznym, jakiego kiedykolwiek zaznała stolica.

– Perscy fanatycy, odpowiadający za śmierć tysięcy kobiet i dzieci...

Tysięcy? Pawłysz nie dowierza. W GUM-ie ludzi nigdy nie brak, ale pojedyncza bomba, nawet naruszająca konstrukcję, nie byłaby tak śmiercionośna. Coś mu w tym wszystkim nie pasuje, choć jeszcze nie wie co.

Sergo obraca głowę.

– Nie tylko w Moskwie łupnęło – mówi.

Swietłana

Swietłana stoi na przystanku autobusowej linii podmiejskiej numer trzysta dziewięćdziesiąt osiem. Zbliża się godzina dwudziesta druga. Według rozkładu najbliższy autobus powinien odjechać za trzy minuty. Nie nadjeżdża. Ani kolejny. Ani następny.

Przydałby się furgon, który ją tu przywiózł, ale Sergo Smicz dawno już zniknął, wrócił na lotnisko czy może gdzie indziej, w każdym razie na teren oznaczony zielonymi tablicami z czarnym napisem „Uniwersytecka Służba NeoArcheologii. Zakaz wstępu”. Głupia była, że się upierała. Pawłysz proponował, że jego

przyjaciele zawiozą ją do samego centrum, na dworzec. Nie chciała. Potem to samo proponował, już na własną rękę, Sergo Smicz: „No wrócę godzinę później, żadna fatyga, obywatelko”. Wykręciła się. Chciała być sama, żeby pomyśleć, to raz. A po drugie, trochę bała się tych ludzi. Pawłysz spoglądał na nią, jakby była krzyżówką z gazety – wpiszesz stosowne słowa w kratki, uzyskasz hasło i już możesz gazetę do śmieci wyrzucić. Bezużyteczna. Gieno Generał, jeszcze dwóch nieznanych jej z nazwiska mężczyzn i Sergo Smicz patrzyli z kolei na Swietłanę, jakby była zwierzątkiem z litości przygarniętym przez Pawłysza. Nie wiedziała, w środek jakiej tajemnicy się dostała, ale nie chciała tego wiedzieć. Zdawało się jej, że na przystanku miejskich autobusów, wśród ludzi, będzie się czuła bezpieczniej.

Myliła się.

Była oto właściwie już noc, autobus nie nadjeżdża, a co dziwniejsze, nie pojawia się także żaden inny chętny do jazdy pasażer.

Dreptała tam i z powrotem, niezdecydowana, zmęczona i sfrustrowana. Oprócz drogi do miasta czekała ją potem jeszcze przesiadka w Moskwie, kto wie czy normalnie jeżdżą pociągi, wszak wciąż obowiązuje stan nadzwyczajny ogłoszony po zamachu, a z Dworca Białoruskiego jeszcze przecież sto kilometrów do domu. W dodatku Swietłana nie czuje się najlepiej. Kaszle. W gardle ją pali.

Zza zakrętu słychać dźwięk silnika, zbyt gruby i ciężki, jak na samochód osobowy. Swietłana ma nadzieję, że autobus, a może, kto wie, może furgonetka NeoArcheo, może Sergo pomyślał, że zawróci, bo dziwnej starej kobiecie może się odwiedzić i a nuż naraz zapragnie podwózki do centrum? Zgodziłaby się nawet, żeby

zamiast niego prowadził ten dziwny wielkolud o czarnych włosach wyglądający jak górski zbój. Ten, do którego Pawłysz zwracał się „Generale”, a który w pewnym momencie powiedział po prostu: „No to rozmawiajcie” i zniknął na godzinę, pozostawiając Swietłanę samą z jej nieznanym, młodszym o dwadzieścia lat bratem Pawłem i tajemnicą lejtnanta-doktora Kurylenki. Tajemnicą, którą wyjaśnili tylko po części.

Swietłana nigdy nie miała braci ani sióstr, związek matki z nauczycielem Samojłowem był relacją pod tym względem jałową. Nie miała również dzieci. Najpierw nie chciała. Potem nie miała z kim. A potem nie mogła. Krzywo na nią patrzyli z tego powodu w rejkomie. Posiadanie dzieci było działalnością propaństwową, patriotycznym obowiązkiem. Świat wciąż nie zaleczył ran po dziewiętnastu latach Wielkiej Wojny Wyzwoleńczej, a potem po równie długiej Wojnie Zjednoczeniowej. Według Światowego Komitetu Wychowania i Edukacji obejmująca całą Ziemię Republika Rad liczyła dziś mniej mieszkańców niż w roku 1939, tuż przed wywołaniem przez faszystów serii lokalnych konfliktów, na które naturalną i słuszną reakcją była Wielka Wojna Wyzwoleńcza.

Warkot silnika jest coraz głośniejszy. Źródło hałasu staje się widoczne dopiero, kiedy samochód dotacza się niemal do samego przystanku. Wtedy silnik krztusi się i milknie. Nikt nie wysiada.

Swietłana patrzy. To pojazd Miejskiego Zjednoczenia Komunikacji Moskwa-3. Drzwi od strony kierowcy uchylają się, ale nikt nie wysiada. Na popękany asfalt wypada rulon plakatów. Swietłana podchodzi, schyla się po rulon i widzi w tym momencie, że z szoferki wystaje bezwładna ręka.

Mężczyzna siedzący za kierownicą żyje, ale nie wygląda dobrze. Grube krople potu spływają po czole, nienaturalnie rozszerzone oczy patrzą gdzieś w dal, ciało sprawia wrażenie sparaliżowanego. Na kombinezonie widać zaschnięte wymiociny. Strużka dziwnej cieczy sączy się z kącika ust. Kierowca charczy. Potem dreszcz wstrząsa jego ciałem. Swietłana otwiera szerzej drzwi szoferki, wyciąga bezwładnego mężczyznę na zewnątrz, z siedzenia obok bierze brudny kraciasty koc, zwija i podkłada kierowcy pod głowę. Rozgląda się za budką telefoniczną, ale jest już zbyt ciemno. Dlaczego nie palą się miejskie latarnie, dopiero teraz zastanawia się Swietłana. Sięga do stacyjki, uruchamia silnik, wtedy ponownie włączają się światła samochodu. Stara kobieta kuca przy lewym reflektorze i rozwija rulon. Na plakatach widnieje komunikat: „Ruch pojazdów komunikacji miejskiej wstrzymany do odwołania”.

Swietłana podnosi się i wtedy nagle dotykają ją zawroty głowy. Przytrzymuje się maski samochodu, wspiera o klapę silnika. Kaszle.

Potem kaszel przechodzi w wymioty.

Swietłana wraca na przystanek. Zdziwiona odkrywa, że kosztuje ją to bardzo wiele wysiłku. Siada na drewnianej ławeczce. Czuje się taka zmęczona. Tylko troszkę odpocznie i pójdzie dalej. Musi przecież zawiadomić kogoś o chorym kierowcy. Musi sama znaleźć aptekę i sposób na powrót do domu. Pomalutku, powolutku, nawet najdłuższa podróż zaczyna się od małego kroku.

Swietłana nie podejrzewa nawet, że nie postawi już żadnego kroku.

Sześć godzin później w tym samym miejscu ujrzy ją letni świt.

Wadim

„I co teraz zrobisz?” – pytała Swietłana tuż przed pożegnaniem.

„Jeszcze nie wiem” – skłamał Pawłysz.

A przecież plan był gotowy. Nie po to Pawłysz z Generałem spiskował, nie po to zorganizował sobie nieoficjalne wakacje w Moskwie, nie po to grzebał w archiwach czterech ministerstw w poszukiwaniu informacji o dwóch pozornie niepowiązanych ze sobą tajnych projektach, żeby wszystko to nie zamieniło się w plan.

Pawłysz w ładowni wielkiego transportowca An-126B klasy Igor, siedzący między wielkimi pakami z oznaczeniem „NeoArcheo”, płynący nocą nad spowitą ciemnościami ziemią do serca Krasnojarskiego Kraju – to wszystko jest częścią planu.

Lot będzie długi. Osiem godzin. Pawłysz czuje w kościach cały wypełniony wydarzeniami dzień: przedpołudnie na Jasnej Kępie, dziwne śniadanie, czy może bardziej obiad, z Fomienką, lot do Moskwy, spacer po stolicy, eksplozję w GUM-ie, ucieczkę ze Swietłaną, rozmowę w hangarze, wreszcie start z bazy Bogorodskoje, ukrytej między lasami narodowego parku Łosinyj Ostrow. Dopiero teraz ma czas spokojnie pomyśleć, wszystko w głowie poskładać.

Pawłysz siedzi pośrodku żółtej plamy światła rzucanego przez przypiętą do uchwyty nad okienkiem ściany transportowca przenośną wojskową lampę elektryczną. Patrzy w dokumenty. W te, które zebrał sam, i w te, które dostał od Swietłany. Na podłodze pokrytej drewnianą kratownicą leży portret lejtnanta-doktora Kurylenki. Gieno Generał był tak uprzejmy, że kiedy

Pawłysz rozmawiał ze Swietłaną, zrobił w pustym o tej porze biurze wydziału remontowego kopie wszystkich materiałów. Także fotografii, która na co dzień wisi na ścianie mieszkania Swietłany, czarno-białego, wyblakłego wizerunku Wadima Michajłowicza Kurylenki. Pawłysz nigdy nie widział tego zdjęcia ojca. W domu mieli ich niewiele, z dawnych czasów – żadnego.

Nawykły do skrupulatnej, drobiazgowej pracy w Służbie NeoArcheologicznej, Pawłysz porządkuje informacje w jedynym bezpiecznym archiwum, jakim dysponuje – wewnątrz własnej głowy. Składa wieści od Swietłany, dokłada swoje wspomnienia. Zatem...

Wadim Michajłowicz Kurylenko, syn Michaiła i Natalii, urodził się w roku 1920. Jego ojciec zginął w faszystowskiej zasadzce przygotowanej na przedpolach Warszawy, w straszliwej bitwie, podczas której, jak zresztą informują podręczniki, siły imperialistyczne używały gazów bojowych, żywych tarcz złożonych z proletariuszy i ich rodzin. Te podstępne knowania sprawiły, że wyzwolenczy pochód armii Republiki Rad został powstrzymany. Michaił Kurylenko zginął pod Radzyminem.

Wadim był wybitnie wyróżniającym się uczniem i jeszcze bardziej wyróżniającym się studentem. Szkoły pokończył szybciej od rówieśników – kiedy zaczęła się Wielka Wyzwolencza, był już na trzecim roku medycyny, choć miał zaledwie dwadzieścia lat. O dziwo, nie trafił na front, co staje się zrozumiałe dopiero wtedy, kiedy wie się, że był już wtedy członkiem zespołu stworzonego przez profesora Nikoładze, a Nikoładze był krajanem i ulubieńcem Pierwszego Przywódcy, mającego za zadanie wypełnić światową misję wyznaczoną przez Ojca Rewolucji – Wielkiego Lenina.

W wieku dwudziestu pięciu lat Wadim Kurylenko poznał z bliska, co znaczy życie frontowe, ale zamiast w kierunku

zachodnim powędrował wraz z całą grupą Nikoładzego na wschód, do Krasnojarskiego Kraju. Pracowali w placówce NŁAG-6, położonej za Jenisejem. W roku 1946 Wadim spędził urlop pod Moskwą, na uniwersyteckiej dacy pod Sierpuchowem. W tym czasie poznał nauczycielkę Galinę Niezdanową. Rok później, podczas kolejnego urlopu, wzięli ślub, ale nie zamieszkali razem – Wadim nadal żył i pracował na terenie NŁAG-u, w skład którego oprócz tajnej uniwersyteckiej placówki badawczej wchodził również instytut naukowo-badawczy dla więźniów, znaczy zwykła szaraszka, a także dwa obozy.

Wiosną roku 1948 na świat przyszła Swietłana, ale Wadim Kurylenko na lato nie wrócił do domu. Nie wrócił w ogóle. Żadne zaskoczenie. Takie były czasy: ludzie ginęli na froncie, ludzie ginęli w obozach, ludzie znikali w najróżniejszych okolicznościach. Najlepsze dopiero się zaczynało. Nie wiadomo skąd, Wadim Kurylenko wskakuje znowu na karty historii w roku 1967, kiedy to używa nazwiska Siergiej Pawłysz, na którą to zmianę miał, jak wynikało ze strzępów informacji, do jakich dotarł Paweł, wszelkie oficjalne i nieoficjalne zezwolenia. Pod nazwiskiem Pawłysz poślubia Simonę Weżinow, bułgarską komunistkę i aktywistkę. W roku 1968 rodzi im się jedyne dziecko – Paweł. W roku 1970 Kurylenko-Pawłysz znika ponownie, tym razem na dobre, ginie w wypadku samochodowym. Sprawcy nigdy nie zostają odnalezieni. Trzy lata później umiera matka Pawła Pawłysza.

To, co Paweł wie o rodzicach, pochodzi z opowieści obcych ludzi.

Podobno nie było w tym związku wielkiej pasji. Simona i Wadim sprawiali wrażenie ludzi, których bardziej połączył jakiś kontrakt niż namiętność lub uczucie. Dziś, wiedząc o poprzednim życiu ojca, Paweł zastanawia się, czy tak właśnie nie było. Władze miały jakiś

powód, by niegdyś usunąć Kurylenkę z widoku, a potem by znów po niego sięgnąć. By odebrać mu jedną rodzinę, a potem pozwolić na drugą. Miały wreszcie powód, by go oficjalnie rehabilitować, choć tu jest kolejna zagadka: jeśli Kurylenko był wrogiem państwa, choćby i rehabilitowanym po latach, to jak w ciągu dwóch dekad odsiadki zmienił się z lejtnanta-doktora w majora-docenta? Od kiedy to łagry są drogą rozwoju kariery akademickiej? Jaki był zatem powód, a musiał być nielichy, do diaska, przecież z formalnego punktu Kurylenko vel Pawłysz był po prostu bigamistą!

Jestem dzieckiem tajemnicy, myśli Paweł Pawłysz, którego wreszcie morzy sen.

Śni mu się ojciec. I tajga.

Paweł

Płyta lotniska jest mokra od rosy.

Pochylnia samolotu transportowego opiera się o beton. Palety ze sprzętem czekają na wylądowanie, ale nikt nie zmierza w kierunku potężnego brzuszyska transportowca An-126B klasy Igor.

Obok Pawłysza stoi pilot. Zabawne, ale też ma na imię Igor. Stoi i pali mocnego, cuchnącego papierosa.

– Burdel – mówi Igor.

– Burdel – zgadza się Paweł Pawłysz, ale w głębi serca czuje, że sprawa jest dużo poważniejsza.

Baza wygląda na porzuconą. Nie ewakuowaną, ale po prostu porzuconą. Pod hangarami nadal stoją samochody. W oddali

poranne słońce odbija się od srebrnych cystern z paliwem. Ale radary na wieży się nie obracają, a za ogrodzeniem z siatki, wśród baraków, nie widać żywego ducha.

Na masztach wzdłuż pasa startowego powiewają flagi. Masztów jest sto pięćdziesiąt i flag jest sto pięćdziesiąt. Po jednej dla każdej republiki rad. Dekoracja wygląda nieco surrealistycznie. Maszty pojawiły się miesiąc wcześniej, kiedy przygotowywano zlot pionierów wszystkich republik. Każda delegacja miała swój maszt, na który wciągnęła przywiezioną z domu flagę. Transmisję na żywo oglądało trzysta milionów ludzi – dwie trzecie populacji Światowej Republiki Rad.

Igor i Paweł czekają na drugiego pilota. Był najmłodszy szarżą, wysłali go na spacer. Niech sprawdzi, o co tu chodzi.

I oto wraca, małe sylwetka odrywa się od schodów wieży kontrolnej i szybko przemieszcza w kierunku samolotu. Jedyne samolotu na płycie, po raz kolejny odnotowuje Pawłysz.

– Nie ma. Nikogo nie ma – mówi zdyszany drugi pilot, pryszczaty chudzielec imieniem Harald, nadterminowy z Dwudziestej Ósmej, dawnej Danii. Jest mocno wystraszony. – Ani na wieży, ani w bloku medycznym, nigdzie. Magazyny zamknięte, laboratoria zamknięte, kwatery puste. Wołałem.

– Radio na wieży działa? – pyta Igor.

– Działa.

– Sygnał nadałeś?

– Nadałem.

– I co?

– Na częstotliwości alarmowej odezwał się ktoś. „Kto ty jesteś?”

– pyta, to mówię, że pilot, zapasy przywieźliśmy, zgodnie z harmonogramem, że z Bogorodskoję, lot pięć pięć alfa cztery dwa.

I on wtedy, i on wtedy... – Harald zacina się. – On wtedy mówi: „Nie powinno cię tam być”. „Dlaczego?” – pytam, ale już nie odpowiedział.

Igor rzuca niedopałek. Przydeptuje.

– Tankujemy i wracamy – oznajmia.

– Ale ładunek... – protestuje Harald.

– Słyszałeś. Mało ci? Nie powinno nas tu być.

Nie powinno mnie tu być, myśli Paweł Pawłysz, pomagając parze pilotów przy uzupełnianiu paliwa. Robota prosta, kluczyki tkwią w stacyjkach wielkich łązów, z podpięciem węży i uruchomieniem pomp załoga samolotu radzi sobie doskonale. Nie powinno mnie tu być? A gdzie powinienem być? Czy w ogóle powinienem być? Gdyby ojciec żył, to pewnie takie właśnie pytanie powinienem mu zadać. Urodziłem się, bo byłem częścią przykrywki operacji specjalnej? Owocem kontraktu między parą ludzi, którzy tworząc rodzinę, tak naprawdę pracowali nad jednym: nową legendą Wadima Kurylenki? W dodatku legendą, jak się okazało, niepotrzebną, bo towarzysz major-docent zginął pod kołami jakiegoś pirata, zanim rozpoczął na dobre swe nowe życie?

– Na pokład! – woła Igor. Harald jest już w kabynie, śmigła zaczynają się obracać, poranek wypełnia się buczeniem silników.

Gigant zaczyna kołować, klapa transportowa z wolna podnosi się do góry, Igor znika w środku, pogania Pawła, który unosi dłoń na znak, że zrozumiał, i podbiega do samolotu. Pawłysz biegnie za Igorem, po chwili jest już we wnętrzu pachnącym smarem, duchotą, żelazem i plastikiem. Ale zamiast zająć na powrót swoje miejsce, chwyta torbę i gna w przeciwną stronę, na powrót do wyjścia. Nim klapa zamknie się definitywnie, Pawłowi udaje się wyskoczyć. An-126B nabiera pomału rozpędu, Paweł, lądując, nie

potrafi utrzymać równowagi, siła uderzenia go przewraca, turla się po płycie lotniska, ale torby nie wypuszcza. Posykując, wstaje. Transportowiec jest już na krańcu pasa startowego i podnosi swój wielorybi kadłub w powietrze.

„Nie powinno was tu być”.

Ja powinienem tu być, myśli Pawłysz.

Kiedy potężny antonow zmienia się w przecinek wśród bezkresu nieba, Paweł jest już na parkingu przed lotniskiem, gdzie stoi kilkanaście samochodów, większość zaparkowana bez ładunku i składu. Dziwna to była ewakuacja, myśli Paweł.

Wybiera solidny terenowy łazik z symbolami NeoArcheo na burtach. Zna doskonale ten model, zawieszenie twarde jak cholera, ale rzadko się psuje, czego nie da się powiedzieć o zdecydowanej większości pozostałych wozów, przy których mechanicy spędzali zwykle długie popołudnia. Pierwsza część podróży jest bardzo krótka – półtora kilometra do niedużego murowanego pawilonu oznaczonego wielką literą C. Wewnątrz są lokalne archiwa i bazy danych, są fiszki, wśród których może kryć się odpowiedź na co najmniej kilka pytań nurtujących Pawła.

Kim był profesor Nikoładze i co naprawdę działo się sześćdziesiąt lat temu w NŁAG-u 6? Dlaczego Wadim Kurylenko, zwany potem Siergiejem Pawłyszem, wyróżniający się student medycyny, którego pracy magisterskiej nie można odnaleźć nawet w tajnych archiwach, został skierowany właśnie do niego? Dlaczego informacje o wyroku – jakiś musiał być – na Kurylenkę wyparowały z archiwów, a informacje o naukowych dokonaniach Nikoładzego nie istnieją, choć istnieje na kartach historii Nikoładze, jego zespół, jego instytut, jego oddziały i przede

wszystkim jego gigantyczny budżet? Czy praca ojca w 1948 roku wiązała się jakoś z jego nagłym pojawieniem się w roku 1968?

A może wiązała się z jego śmiercią?

Paweł, który miał duże doświadczenie w przeszukiwaniu akt i nie próżnował od chwili otrzymania nieoczekiwanego pisma o rehabilitacji ojca, po kilkunastu dniach intensywnych poszukiwań dysponował tylko strzępami informacji. Numery, które musiały pasować do jakichś teczek, ale nie było teczek. Kryptonimy, za którymi musiało się coś kryć, ale niedające się dopasować do żadnych operacji. Jakby tego było mało, dzieje NŁAG-u 6 w ogóle wydawały się czarną dziurą. Luki w dokumentacji były ogromne. Nie tylko z lat czterdziestych i pięćdziesiątych, ale także w świeżych papierach. Ot, na przykład wiadomo było, że na przyjęty przez partyjne kierownictwo kilka lat temu dokument „O potrzebie industrializacji terenów syberyjskich” odpowiedziano między innymi wysłaniem do NŁAG-u 6 niewielkiej, ale bardzo wydajnej elektrowni. Dokąd, co dokładnie miało być zasilane, jak industrializowane i z pomocą którego narkomu – nie wiadomo.

Budynek C jest pusty, podobnie jak wszystkie inne wokół lotniska LPA-1313. Pawłysz młodszy wie, że powinien martwić się tą dziwną pustką, że cokolwiek się tu dzieje, nie może zwiastować niczego dobrego. Ale póki wszystko to okazuje się niespodziewaną pomocą w prowadzeniu jego prywatnej misji, spycha niepokój w najgłębsze zakamarki umysłu i koncentruje się na swoich zamierzeniach. Poza tym nie czuje się najlepiej, wieczorem miał nadzieję, że ogólne osłabienie minie wraz z nocą, że obudzi się w lepszej formie, nawet jeśli spędzi długie godziny wewnątrz dusznego transportowca. Jest jednak inaczej. Boli go głowa, czuje

nieznośną suchość w gardle, czuje rosnącą gorączkę. Emocje, bagatelizuje.

Wejścia do archiwum strzegą zwykle drewniane drzwi z niewielką szybą u góry. Szyba zasłonięta jest drobną siatką. Drzwi są mocne, ale futryny słabe. Paweł forsuje wejście bez trudu.

Biurokracja jest najdoskonalszym systemem wynalezionym kiedykolwiek przez człowieka, myśli Paweł, gdy okazuje się, że jego założenia były słuszne: część dokumentów, które nie są dostępne w centralnych rejestrach, tutaj znajduje się w zbiorach niezastrzeżonych. Jest tu także mnóstwo drugorzędnych papierków, których nigdzie indziej znaleźć nie można w ogóle, bo do centrali wędrowały jedynie w formie podsumowań długich kolumn liczb: każda zapisana w raporcie liczba to jeden dokument. Tu wydatki na delegacje, tam kwoty remontowe, gdzie indziej fundusz operacyjny, a jeszcze gdzie indziej oficjalne płace.

Z wszystkich tych dokumentów można dowiedzieć się bardzo wiele, jeśli potrafi się je odpowiednio czytać. Pawłysz potrafi.

Szybko odkrywa, że w miejscowych kartotekach nie ma żadnych materiałów ściśle tajnych, ale są na przykład rejestry z datami podróży, wnioski o nagrody okresowe dla pracowników, faktury za stroje robocze. Pod niektórymi wnioskami pola „uzasadnienie” są wypełnione. Między niewiele mówiącymi ogólnikami o „pilnych potrzebach”, „umożliwieniu realizacji celów VI Zjazdu”, „podniesieniu nauki radzieckiej na wyższy poziom” Paweł znajduje powtarzający się w kilku miejscach kryptonim Pożar Stepu.

Pod hasłem Pożar Stepu dokumentów brak. Jednak po wewnętrznej stronie brązowej kartonowej teczki czyjaś ręka zapisała czerwonym ołówkiem symbole i nazwy – pewnie ku pamięci, żeby szybciej można było wypełniać formularze,

spoglądając na tę ściągawkę. BM-07, BM-08, BM-09. Paweł sięga do innej szuflady wielkiej metalowej szafy. Pod B szczegółów nie ma, ale jest książka wysyłkowa. Niczego nie dowiaduje się o samych placówkach, niczego o wysyłanych materiałach, za to odkrywa, że dokumentacja wędrowała do Starej Łubianki, obecnie siedziby Ministerstwa Zdrowia Psychicznego. To specjalnie go nie dziwi, zaskakujący jest natomiast numer departamentu. Paweł Pawłysz nigdy nie słyszał o Siedemnastce.

Czarna dziura w dziejach NŁAG-u 6 jest jednak widoczna i w tym śmieciowym eldorado. Po roku 1949 przepływ papierów ustaje. W późnych latach sześćdziesiątych biurokracja odżywa, co wiąże się z przebudową polowego lotniska, które otrzymuje wtedy pierwszy prawdziwy betonowy pas startowy. Paweł przerzuca kolejne zszywki, koperty, teczki. Większość dokumentowanych spraw zawiera enigmatyczne odesłania do archiwów wojskowych, co nie jest dziwne, bo w tym obwodzie są także dwa poligony. Wśród dokumentów najnowszych przeważają papiery związane z organizacją Pionierskiej Wyprawy Tunguskiej. Trwała niemal dwa lata, więc jest tego trochę.

Potem Paweł odkrywa osobną szufladę, której zawartość wydaje się mocno zastanawiająca. Ledwie kilka stron dotyczących transportów sprzętu dla placówki Instytutu Fizyki, która powstała trzy czy cztery lata wcześniej na terenach NŁAG-u 6. Jak wynika z sygnatur na dokumentach, wszelkie raporty dotyczące tej sprawy kierowane są bezpośrednio do Wydziału Bezpieczeństwa Partii Wewnętrznej. Fiu, fiu, myśli Paweł, nie wiedziałem, że tyle na Kremlu umysłów ścisłych. Jest i ciekawostka – ślad po kontenerach mieszkalnych zamówionych dla inżynierów Dalstroju i Energostroju. Ot, wiem już, skąd elektrownia i co się z nią stało,

cieszy się Paweł Pawłysz. I przyuważa także nieznaną pieczęć na dokumencie: skrót OWP. Nic mu to nie mówi. Owszem, na Bliskim Wschodzie, wśród organizacji terrorystycznych działa między innymi mała, acz głośna grupka nazywająca się Organizacją Wyzwolenia Palestyny, jednak Paweł nie sądzi, żeby do budowy elektrowni w tajdze albo do pracy w eksperymentalnej placówce Instytutu Fizyki ktoś zaprosił delegację Arabów w biało-niebieskich chustach.

Dwie godziny później, z głową pełną nowych zagadek, Paweł opuszcza pawilon C. Na zewnątrz jest już ciepło, zbliża się południe. Trudno uwierzyć, że jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu kroczył ulicą Komunardów w dzielnicy Jasna Kępa miasta WarSzawa, stolicy Dziewiętnastki, zzymając się, że za chwilę będzie musiał wysłuchiwać zrzędzenia zapijaczzonego czarnobrodego degenerata, Jurija Fomienki. Pawłowi wydaje się, jakby było to w zupełnie innym świecie. WarSzawa zdaje mu się zupełnie nierealna, jak miasto ze snu.

Pawłysz wraca do samochodu i rozkłada mapę na siedzeniu obok kierowcy.

To nie jest zwykła mapa, w księgarni Sport i Turystyka takiej się nie kupi, to druk ścisłego zarachowania do użytku wewnętrznego. Całkiem nieźle zagospodarowany kawałek Syberii, myśli. Na mapie oprócz lotniska LPA-1313, na którym właśnie znajduje się Pawłysz, zaznaczono jeszcze kilkanaście innych instalacji państwowych. Pawłysz nie interesuje poligon ani dwa obozy filtracyjne dla kontrrewolucjonistów, ani nawet letnia baza NeoArcheo, którą przecież zna, bo miał tam zajęcia terenowe z kursantami. Bacznie przygląda się punktowi, przy którym nie ma żadnych oznaczeń, oprócz informacji „obiekt w gestii Akademii

Nauk”. Czyżby owa placówka fizyków? I jeszcze jedna rzecz bardzo go ciekawi. Na mapie są też stare obiekty NŁAG-u 6, o numeracji kończącej się na 07, 08 i 09. Czy to możliwe, że to te same miejsca, które figurują w archiwum jako BM-07, BM-08, BM-09? A czemu nie, w końcu i w tajnych operacjach lenistwo przydarzyć się może.

Droga nie jest taka daleka, myśli Paweł. Góra osiemdziesiąt kilometrów.

Musi wiedzieć.

Sprawdza bak łazika. Jest prawie pełny, a i zapasowy kanister został przypięty z tyłu przez nieznanego służbistę zgodnie z przepisami.

Warkot silnika niesie się daleko, ale nikt nie zwraca na to uwagi.

Tysiąc tunguskich

Pierwsze kilometry to szeroka, betonowa szosa, samochód śmiga po niej jak złoto. Paweł czuje dumę: to nie czasy carskich bezdroży, teraz nawet za Jenisejem widać cywilizację. Malkontent narzekałby może na dziury, ale Paweł malkontentem nie jest. Zimą zimno, latem ciepło, drogi pękają, normalna rzecz. Bardziej martwi go fakt, że wciąż nie natyka się na ludzi. Gdzie wszyscy zniknęli: budowniczy gazociągu, kierowcy ciężarówek, żołnierze, inżynierowie, instruktorzy kulturalno-oświatowi?

Może jednak wojna, zastanawia się Paweł. Gazety o tym nie piszą, ale na gigantycznych przestrzeniach pomiędzy Uralem a Oceanem Spokojnym, które dzielą między siebie Pierwsza Republika oraz Chińska Republika Rad (jako jedyna na świecie

ciesząca się statusem sprzymierzonej, a nie wyzwolonej) zdarzają się zbrojne bunty kontrrewolucyjne. Bandy, z którymi mają tu do czynienia organa bezpieczeństwa, bywają dobrze uzbrojone, zorganizowane, liczne i bezlitosne. Nie szczczędzą nikogo: naukowców, wojskowych, cywili. W absurdalnych samobójczych atakach niszczą instalacje naftowe i gazowe, były i próby wysadzenia kopalni diamentów. Być może armia szykuje się do jakiejś większej operacji i zarządzono ewakuację. Cóż jeszcze mogło się wydarzyć?

Paweł Pawłysz jedzie, teraz już szutrową szosą, jest na kilometrze trzydziestym, trzydziestym pierwszym. Jedzie, a w głowie słyszy pionierskie piosenki, bo wciąż mu się przypomina sto pięćdziesiąt masztów przy lotnisku. Kilkanaście dni temu oczy całego świata były wszak zwrócone na syberyjską wieś Pierwomajskoje, ku której zmierza Pawłysz, wieś, pod którą namioty rozbiła słynna Pionierska Wyprawa Tunguska. Fomienko w tej kwestii miał rację, przyznaje w duchu Paweł, trudno wyobrazić sobie bardziej chwytliwy temat reportażu. Półtora tysiąca pionierów, sto pięćdziesiąt delegacji, po dziesięcioro dzieci z każdej republiki świata, do tego instruktorzy i dziennikarze. Cel – upamiętnić ostateczne zjednoczenie Ziemi, zebrać tektyty, z których pionierzy przygotowują potem rocznicowe instalacje w swoich stolicach. Podobno sam Piąty Przywódca zasugerował ten symbol. Trafny symbol, zgadza się Paweł, maleńkie kulki wypalone sto lat temu podczas wybuchu tajemniczego meteorytu: forma nieznana dotąd naturze. Nie było ich, ale w wyniku wielkiego autodafe – są. Były kiedyś tylko piaskiem i popiołem, a teraz są czymś niezwykłym. Całkiem jak wolna i zjednoczona Ziemia. Czasem trzeba przejść przez ogień, by odpowiednio się zahartować,

to prawda znana każdemu obywatelowi Światowej Republiki Rad. Taki tektyt to maleńki odpowiednik nowej, wytopionej w ogniu rewolucji Ziemi.

No i poza wszystkim, jaka to musiała być przygoda, rozmyśla Paweł, trochę pionierom zazdroszcząc. Jest czego: budowa prawdziwego namiotowego miasteczka w tajdze, wielokilometrowe marsze, tropienie śladów wybuchu, kąpiele w jeziorze Czeko, przeprawy przez rzekę Podkamienna Tunguzka, ogniska, wieczornice. Młodym być, ech, wzdycha czterdziestoletni Paweł.

Ale miejsce tunguskiej katastrofy to także inny, ważniejszy symbol.

Paweł nie mógł pamiętać przemówienia wygłoszonego przed jego urodzeniem, ale znał je doskonale ze szkoły. Kiedy bitwa o Wał Atlantycki była już wygrana, a niemal cała Europa – wyzwolona, zza oceanu nadeszły przerażające wieści. Imperialistyczna soldateska waszyngtońska, której mało było uciskania własnego narodu, postanowiła przejść do ofensywy. Przy pomocy faszystowskich renegatów z Niemiec i Włoch – Paweł po dziś dzień pamiętał ich nazwiska: Fermi, Oppenheimer, Einstein – kapitaliści szykowali wolnemu światu zagładę. „Jeśli nie chcemy, by na naszym niebie wybuchły bomby o sile tysiąca tunguskich – mówił towarzysz Stalin, Pierwszy Przywódca – musimy dokonać przebrojenia, przebudowy naszych sił zbrojnych i przyspieszenia. Musimy zanieść żagiew wojny do leża bestii, zanim bestia rzuci nam się do gardła. Niech nikt nie szczędzi wysiłku, niech nikt nie szczędzi poświęcenia. To jedyna droga, jeśli chcemy, by nasze dzieci żyły w pokoju”.

Przebudowa i przyspieszenie, najważniejsze hasła tamtych trudnych lat, przyniosły wspaniałe rezultaty. Powiększone

wielokrotnie floty: powietrzne i morskie, wkrótce były w stanie zagrozić brzegom Ameryki Północnej. Bunt uciśnionych narodów Ameryki Południowej rozpalał się w kolejnych krajach, opóźniając imperialistyczne zapędy Waszyngtonu, który był stolicą Sto Drugiej, zanim po wyzwoleniu nie przeniesiono jej do miasta słynnych robotniczych protestów – Chicago. Zimowa ofensywa przez Cieśninę Beringa przyniosła wyzwolenie pradawnej rosyjskiej ziemi – Alasce. Wkrótce kolumny pancerne ruszyły przez Sto Pierwszą, ku granicy kanadyjsko-amerykańskiej. Wielka Wojna Wyzwoleńcza kosztowała najpierw miliony, potem dziesiątki, a na końcu setki milionów ofiar. Było warto. Świat zmienił się nieodwracalnie. Tyranie upadły. Światło wolności rozbrzmiało we wszystkich krajach globu. Wcześniej rozbrzmiały bomby: nad Berlinem, Londynem, Tajwanem, Japonią, Madagaskarem, nad Nowym Jorkiem i Kapsztadem, nad Teheranem i Jerozolimą, ścierając wraz z tą ostatnią z powierzchni Ziemi źródło wielowiekowych zabobonów i religijnego fanatyzmu.

Sześćoletni Paweł od czasu obejrzenia pierwszy raz w szkole historycznego przemówienia Pierwszego Przywódcy nie mógł zapomnieć o „tysiącu tunguskich”. Sama nazwa brzmiała w jego uszach tajemniczo, egzotycznie, podniecająco, a w dodatku to niezwykle miejsce leżało na terenie Pierwszej Republiki! A moc „tysiąca tunguskich”! To dopiero była potęga!

Tak, świat stał o krok od zagłady. Gdyby nie przyspieszenie i przebudowa...

Koniec świata, myśli Paweł, taki jak ten, który zakończył epokę dinozaurów. Coś takiego, jak katastrofa tunguska, tylko na o wiele większą skalę, przynajmniej tak utrzymują naukowcy. To jest dopiero niepokojące: kawał skały, który zmiotł dinozaury

z powierzchni Ziemi. To dopiero skrajnie niesprawiedliwe zakończenie! Niesprawiedliwe, bo jak to być może, żeby jedno zdarzenie mogło przynieść kres całemu światu, w tamtym przypadku światu dinozaurów. To zaprzeczenie logiki dziejów – historia oznacza przecież rozwój, ciąg doskonalących się osiągnięć, drabinę, po której szczebel za szczeblem oddalamy się od mrocznych początków ku jaśniejszej, coraz bardziej cywilizowanej przyszłości. Faszyci chcieli nogi tej drabiny podciąć, lecz im się nie udało. Dostali zresztą za swoje. Co nie zmienia faktu, że mimo najlepszych chęci wszystkich ludzi dobrej woli gdzieś tam, w oddali, może krążyć jakiś kolejny kosmiczny śmieć, przy którego upadku katastrofa tunguska okaże się ukąszeniem komara...

Jedzie Paweł przez tajgę i myśli o końcu świata, aż na skraju drogi widzi karetkę.

Szoferka karetki jest pusta, co specjalnie Pawła nie dziwi. Jak ewakuacja, to ewakuacja, ciekawe tylko, kiedy pojawi się wojsko, może jednak trzeba było nakłonić Igora do rozładowania samolotu, może gdzieś tam sztabowcy mieli odnotowane, że ten akurat lot ma takie, a nie inne znaczenie w budowaniu zaplecza dla operacji antyterrorystycznej. To, że NeoArcheo mogło czegoś nie wiedzieć, o niczym przecież nie świadczy. Tylne drzwi karetki są jednak otwarte i Pawłowi wydaje się, że ktoś leży w środku.

Hamuje. Cofa się. Wysiada.

Ambulans zwyczajny, odnotowuje, trochę łyse opony, trochę poobijana blacha, jak to na północy, czasem trzeba jechać naprawdę wąskimi drogami, gałęzie nie oszczędzają maszyn ni ludzi. Kiedy jest o krok od szoferki, słyszy brzęczenie much. Czuje mdlący, słodki zapach.

Ktokolwiek leży na noszach, nie potrzebuje pomocy. Do ciała zdążyły już dobrać się zwierzęta.

Paweł opiera się o drzwi karetki i wymiotuje. Potem długo kaszle.

Wraca do samochodu.

Kaszel nie ustępuje. Czuje też rosnący ból głowy i stawów.

Jedzie dalej. Już nie w głowie mu pionierskie piosenki.

Za jego plecami, z każdą chwilą w coraz większym oddaleniu, pod rozgrzaną blachą porzuconego ambulansu muchy krążą nad ciałem dziecka.

Liza. Mario

Nie mów mi o epidemii, krzyczy Elizawieta Morselli, opowiedz mi o mojej córce.

Pułkownik Morselli, weteran trzech wojen i dwunastu interwencji, kiedyś odznaczony jako jeden z trzech najwybitniejszych oficerów w bezpiece Trzydziestki, człowiek, który zawsze i wszędzie wiedział nie tylko, co powiedzieć, ale i co zrobić, tym razem czuje, że nic, co przeżył, nie przygotowało go do tej chwili.

Jest jednocześnie człowiekiem o umyśle analitycznym, bez ustanku analizuje dane, potrafi czytać w ludzkich duszach jak doświadczony terofis, lecz nie ogranicza się do dusz cudzych. Równie bezlitosny jest dla siebie, więc wie, że aktem tchórzostwa było wysłanie na rękofon żony wiadomości NIE WROCILA Z TUNGUSKIEJ. Wie, że zamiast uników, zamiast półśrodków

powinien był zdobyć się na odwagę, polecieć do Sorrento, stanąć przed nią i powiedzieć, co wie.

Nie jest to wiedza wielka, ale brzemień jej jest ciężkie.

Pułkownik Morselli czuje się przygnieciony tą wiedzą, czuje się też bezradny wobec Elizawiecy, jedynej osoby na świecie, przy której zdarza mu się zapomnieć języka w gębie, spieć raka, zawstydzic. Czuje się bezradny wobec jej spojrzenia, w którym strach miesza się z nadzieją.

A tacy byli dumni, przypomina sobie, tacy przepełnieni radością, kiedy dziesięcioletnia Giustina Morselli, wyróżniająca się pionierka, wybrana została, by reprezentować Trzydziestą Republikę podczas Pionierskiej Wyprawy Tunguskiej.

Mario Morselli mówi to, co ma do powiedzenia. To, co musi powiedzieć.

Elizawieca wyje. To nie płacz, to nie szloch, to po prostu wycie, przerażający, nieludzki dźwięk.

Pułkownik Morselli obejmuje ją, Liza go odpycha, biegnie w kąt, odbija się od ściany, osuwa na podłogę, osuwa w rozpacz, osuwa w szloch.

Mario obraca w palcach maleńki kamyk o zaskakująco regularnym kształcie. Jest okrągły, jak kulka z łożyska. To przysługa. Pamiątka. Przyjaciel przyjaciela zrobił, co mógł, choć mógł niewiele. Ten kamyk to tektyt z Tunguskiej.

Obóz

Potem jest gorzej.

Kilkanaście kilometrów przed terytorium oznaczonym na mapie jako NŁAG-6 Paweł natyka się na kolejne samochody, w tym ambulansy, różnica jest taka, że są spalone. Ciężarówka KMB leży przewrócona na bok, jakby olbrzym pstryknął w ciemnozieloną budę – innych oznak wypadku brak. Są za to, widzi to dopiero z bliska, ślady po kulach na plandecie.

Po raz pierwszy podczas tej wyprawy Paweł myśli o broni. Swojego służbowego sierowa mk27 zostawił w domu, leży tam, gdzie powinien: wyczyszczony, naoliwiony, obok skórzanej kabury w szufladzie sypialnianej szafki. Pracownicy NeoArcheo mają prawo i obowiązek noszenia pistoletów, ale tylko podczas oficjalnych misji. A Paweł jest tu przecież prywatnie.

Prywatnie nie prywatnie, nikt nie będzie pytał, tylko poczęstuje kulką, myśli Paweł, który już jakiś czas temu doszedł do wniosku, że dzieją się tu jakieś szalone zupełnie rzeczy. Zatrzymuje więc samochód kilka metrów za przewróconą ciężarówką. Paka jest pusta, szoferka również, ale to nie szkodzi, Paweł szuka czegoś innego. W skrytce powyżej głowy kierowcy powinno być zapasowe uzbrojenie dla konwojentów, regulamin KMB jest w tej kwestii jasny i precyzyjny. Chwała regulaminowi, uśmiecha się Paweł, wyciągając ze skrzynki niewielki automat i płaski pistolet. Ten sam regulamin mówi także, że w razie wypadku, ewakuacji, czegokolwiek po prostu, pozostawienie broni oznacza sąd i najpewniej kulę w łeb, Paweł nie sądzi jednak, by dawna załoga ciężarówki miała powód do zmartwienia. Nie wie, skąd czerpie tę pewność, ale jest przekonany, że wszyscy są już martwi.

Zdarzają się w życiu człowieka chwile, które mają znaczenie decydujące. Pójdiesz w lewo – spotkasz miłość swego życia i za pięćdziesiąt lat od dziś mówić będziesz do niej „duszko”, kołysząc

wiklinowy bujany fotel na werandzie podmoskiewskiej dachy. Pójdiesz w prawo, dawno niewidziany druh ze studiów postawi kolejkę, potem drugą, umówicie się nazajutrz na ryby, a o świcie wasze żyguli wyleci z ostrego zakrętu, bo akurat pęknie opona. Ślepy traf. Życie. niesprawiedliwe. Jak ten kamień, który spadł na głowę dinozaurom. Bardziej jednak niesprawiedliwe jest to – podłością losu nazwać rzecz wypadła – że tych naprawdę decydujących chwil nie rozpoznajemy. Nie została nam dana ta umiejętność. Bo skąd człowiek może wiedzieć, co przyniesie przyszłość? Weźmy na przykład taką oto sytuację: dwaj przyjaciele Pawła, Marat i Wasilij. Po maturze jeden poszedł na biologię, a drugi na politechnikę. Pierwszy miał uczyć dzieci w Leningradzie, bo stamtąd pochodziła jego przyszła żona, a drugi konstruować nowe systemy hydroponiczne u stóp Kaukazu, gdzie trwały kolejne w tym stuleciu budowy stulecia. Paweł zaś zgłosił się do spadochroniarzy, a Marat i Wasilij śmiali się, że sam się prosi o szybką śmierć. A trzy lata później to Marat i Wasilij już nie żyli, padli na tej samej australijskiej plaży, podczas tego samego desantu na samozwańczą Nowowalijską Republikę, którą proklamowali anglosascy faszyści, najpewniej niedobitki ze Sto Drugiej. Paweł zaś przeżył kilkanaście misji bojowych, potem eksternistycznie skończył studia i cieszył się dobrym zdrowiem. Do dziś.

Na rozstaju dróg dopada go silny atak kaszlu.

Jak na złość nie ma przy sobie nawet aspiryny. Tylko ubranie na zmianę i dokumenty – te zebrane przez siebie, te skopiowane od Swietłany i te, które zabrał prawem kaduka z pawilonu C.

Droga rozbiega się teraz w trzy strony, a pośrodku stoi słup z drogowskazami. W lewo jedzie się do BM-07, BM-08, BM-09.

W prawo do „Letniej Akademii Instytutu Fizyki”, co bawi Pawła setnie, bo do tej akademii żadnych studentów się nie przyjmuje, i nie chodzi też o żadne wakacyjne warsztaty, wynikało to jasno z teczek archiwum, które przeglądał kilka godzin temu. Oczywiście rozumie powody, dla których na drogowskazie nie mogły znaleźć się słowa „placówka eksperymentalna”.

Na wprost ciągnie się zaś piaszczysta droga, wzdłuż której stoją żerdzie z pionierskimi proporcami. Nie musi liczyć, żeby domyślić się, że żerdzi i proporców jest sto pięćdziesiąt. Jest i tablica. Drewniana, ze świeżych desek. A na niej jaskrawymi barwami wymalowane: „Pionierska Wyprawa Tunguska – Obóz Główny 9 km”.

„Bo nie zna życia, kto pionierem nie był wcale” – przypomina się Pawłowi stara obozowa piosenka. Ech, dobre to były czasy. Gdyby tak można było otworzyć okno w przeszłość, myśli Paweł, spojrzeć na samego siebie z saperką w dłoni, na siniaki pokrywające kościste kolana, na nocne wachty, podchody, na piegowatą Izabelę Zajcewą, drobną dziewczuszkę o rudych włosach i wystających zębach dziwnie korespondujących z jej nazwiskiem. Ech, dziesięć mieć lat, patrzeć w gwiazdy, palić ognisko, piec ziemniaki i uczyć się opowiadać pierwsze w życiu sprośne dowcipy, nie rozumiejąc nawet niektórych z użytych w nich słów.

Wedle mapy właściwie nie ma różnicy, którą drogę Pawłysz wybierze. Placówki BM, baza Instytutu Fizyki, dwie inne instalacje państwowe – wszystko to tworzy okrąg o średnicy nie większej niż dwadzieścia kilometrów. Może zacząć objazd od lewej, może od prawej, a może i pojechać prosto, przez polanę, na której najwyraźniej znajdował się podczas zlotu pionierski obóz. Wtedy najpierw dotrze do BM-09, dawniej NŁAG-6/09. Może gdyby

istniało okno w przeszłość, a ojciec Pawłysza przechodziłby akurat nieopodal, to kto wie, czy zagadnięty nie odpowiedziałby, od czego zacząć? Ach nie, przecież w tamtym życiu był jeszcze Kurylenką i syna żadnego nie miał. Tylko córkę. Paweł czuje ukłucie zazdrości o Swietlanę, zazdrości, która ustępuje współczuciu. On przynajmniej znał ojca, choć pozostały mu w głowie tylko dwa czy trzy zamazane wspomnienia. Ona miała jedynie fotografię.

Zaczynam majaczyć, myśli Paweł. To gorączka. Pewnie wyższa, niż mi się zdawało.

Paweł jedzie prosto.

Mija żerdzie z porościami, mija otwarty szlaban z pustą – jakżeby inaczej – budką wartowniczą.

Żwir spod opon bębni o karoserię samochodu, droga niedawno była naprawiana, na pewno na przyjęcie półtora tysiąca dzieciaków z całego świata. Paweł nie czuje się dobrze, fale mdłości powracają co jakiś czas, rozgrzana kierownica parzy dłonie.

Kolejny szlaban. Następna pusta budka.

A potem żółta wstęga leżąca na żwirze. Zerwana plastikowa wstęga z napisem „bioopasno”. I wtedy w głowie Pawła zaczyna kielkować przerażająca myśl, podejrzenie, które z początku odrzuca jako szaleńcze. Bo to po prostu nie może być prawda.

Kiedy wjeżdża na polanę, czuje ten sam słodki, mdlący zapach śmierci, który czuł przy porzuconym ambulansie. Tyle że tu – wszechobecny.

Polana jest olbrzymia, to właściwie wielka połać ziemi po wyciętym lesie. Wypełniają ją długie, wojskowe namioty, lekkie drewniane baraki oraz duże podesty, nad którymi rozpięte są brezentowe dachy. Wszystkie obiekty spowite są siecią oznaczonych jak należy ścieżek, na słupkach rośnie mrowie

drewnianych strzałek: „Świetlica 14”, „Strzelnica”, „Kwatery Republik 121-138”, „Amfiteatr”, „Lecznica” i tak dalej. Łatwo byłoby wyobrazić sobie, że jeszcze przed chwilą tłum pionierów biegł na zbiórkę albo przygotowywał się do wieczornicy, może losował skład do zawodów „O Puchar Przywódcy”. Łatwo byłoby, gdyby nie fakt, że część brezentowych dachów jest zerwana przez wiatr, kilka budynków spalonych, a na ścieżkach widać tropy zwierząt.

Zapach śmierci prowadzi Pawła na drugą stronę pionierskiego miasteczka.

To miejsce przewidziane na gry sportowe i ćwiczenie zbiorowych układów gimnastycznych wystawianych zwykle w państwowe rocznice i święta. Tylko że zamiast zdeptanej trawy, zamiast śladów po gimnastycznych kozłach, po tyczkach, wokół których zwykle kręcą się żeńskie drużyny, Paweł widzi rozrzucone nieregularnie czarne kobierce. Wie, co to jest, choć przez chwilę nie chce sam przed sobą tego przyznać. Ale każdy pracownik NeoArcheo potrafi rozpoznać zbiorowe groby, kiedy już na nie trafi.

Bardzo świeże groby.

Część zwierzęcych tropów, które widział wcześniej na ścieżkach, prowadzi właśnie tutaj. W kilku miejscach zbyt cienka warstwa ziemi została rozgrzebana, a drapieżniki zaczęły się pożywiać. Pod ścianą lasu, gdzie na ranach zadanych ziemi czerniały kolejne blizny, zerowały ptaki.

Paweł raz jeszcze wymiotuje, tym razem tylko żółcią, bo żołądek ma już pusty. Wyrywa jedną z żerdzi, na szczycie której smętnie powiewa flaga Chilijskiej Republiki Rad. Podchodzi do najbliższej mogiły.

Ciała leżą w płytkich dołach. Chłopcy, dziewczęta, bez różnicy. Między pionierskimi mundurkami zdarzają się i inne uniformy, bo wśród dzieci leżą także dorośli. Instruktorzy, myśli Paweł, ale widzi i funkcjonariuszy MZP oraz KMB, i kilka białych kitli.

Paweł przygląda się uważnie, ma w tym spore doświadczenie, podczas niemal dwudziestu lat w NeoArcheo przeszukiwał i porządkował niejedno miejsce bitwy, niejedno miejsce faszystowskiej egzekucji. Tu o egzekucji nie było mowy, ciała nie noszą śladów po kulach, a mimo to śmierć, która dotknęła tak wielu w tak krótkim czasie, musiała być gwałtowna. Jak inaczej wytłumaczyć pospieszne pochówki i niechlujnie wykopane doły?

Paweł nie jest głupcem, wie dobrze, co oznacza obecność żółtych taśm z napisem „bioopasno”. Niebezpieczeństwo biologiczne, znaczy epidemia. Tylko cóż to za choroba, która zabija tak szybko i bezwzględnie? Kto ją przywłókł na pionierski zlot, czy to zamach terrorystyczny, czy może któryś z dzieciaków z dalekiej republiki przyjechał na najważniejszą uroczystość w dziejach organizacji zarażony jakąś lokalną odmianą, no właśnie, czego? Grypy? Tyfusu?

Pawłysz kaszle. Powietrze naraz wydaje mu się wrogiem. Skąd pewność, że i ja nie jestem już zarażony, zastanawia się, a potem przypomina sobie przeziębionego dzieciaka, którego spotkał w samolocie z Warszawy do Moskwy. Skąd pewność, myśli, że już wcześniej nie byłem zarażony? Tylko czym? Skąd? Nie świruj, Pawłysz, napomina się, co innego złośliwe przeziębienie, co innego epidemia.

Paweł rozkopuje następny grób.

Zastyga.

Czarne bataliony

Wśród pionierów i ich opiekunów leżą ciała, których nie powinno tutaj być.

Ciała w czarnych drelichach, ciała nienależące do dzieci, choć w niektórych przypadkach łatwo się pomylić: chude, blade, o patykowatych kończynach. Ale dzieci przecież nie mają twarzy okrytych zarostem i nie mają na głowach czapek z naszytymi numerami. Pionierzy nie noszą koślawych, rozklejających się chodaków, łapci o podszwach wyciętych z opon, nie wyglądają na czterdziesto- albo i sześćdziesięcioletnich kryminalistów. Pionierzy nie są pokryci wrzodami, bliznami, nie mają zwyrodniałych kończyn. Paweł patrzy, podwójnie nie rozumiejąc, co zaszło, ale jego pamięć pracuje intensywnie i wkrótce udaje mu się znaleźć wzór pasujący przynajmniej do drugiej części zagadki. Wciąż nie wie, co zabiło pionierów, ale widzi wyraźnie, że dziwni ludzie w czarnym połatanym odzieniu, ludzie opatrzeni numerami na bluzach, ludzie wycieńczeni, pasują jak ulał do pewnej miejskiej legendy rozpowszechnianej przez wrogów komunizmu.

Częścią szkolenia wykwalifikowanych pracowników Służby NeoArcheologicznej, a przecież do takich należy i Paweł Pawłysz, było zaznajamianie studentów z gigantycznym katalogiem kłamstw, oszustw, podstępów i przeinaczeń stosowanych przez mistrzów imperialistycznej propagandy. Granic w tych łgarstwach nie było żadnych, wiele z nich zadziwiało niezwykłą pomysłowością, cynizmem i sprytem.

Zasada była prosta: im trudniejsza była sytuacja obozu faszystowskiego broniącego się przed postępem wyzwolenczej

Zjednoczonej Czerwonej Armii, tym ohydniejsze i bardziej wyrafinowane okazywały się kłamstwa wroga. Rozpowszechniano więc opowieści o celowo wywoływanym głodzie, prowadzącym do kanibalizmu. O niewolniczej pracy dzieci w fabrykach broni. O drakońskich wyrokach wymierzanych za niewinne językowe żarty. O cenzurze. O nędzy robotników i chłopów – rzecz sama w sobie absurdalna, bo jak niby w nędzy może żyć ktoś, kto po raz pierwszy w historii wywalczył sobie prawdziwą ojczyznę.

W oczernianiu obozu socjalizmu druga strona nie cofała się przed niczym: żaden trud nie był zbyt wielki. Pawłysz pamiętał, jak jeszcze w czasach studenckich porządkowali podczas letnich praktyk masowe mogiły ofiar faszyzmu pomiędzy Charkowem a Smoleńskiem. Zamordowani tam ludzie zginęli wskutek jednej z najbardziej wyrafinowanych operacji propagandowych przygotowanych przez Niemców i Amerykanów. Dwadzieścia dwa tysiące pisarzy, oficerów, lekarzy, naukowców zostało zabitych przez imperialistyczne służby specjalne. Nie zgładzono ich jednak ot tak, po prostu. Egzekucji dokonano wykradzioną z radzieckich magazynów bronią i amunicją, do portfeli zabitych podrzucono fałszywe dokumenty świadczące o tym, że wcześniej zostali aresztowani rzekomo przez kontrwywiad Armii Czerwonej. Podrobiono nawet niedokończone kartki pocztowe, które ofiary faszystowskiego mordu niby miały pisać przed śmiercią: „Jesteśmy teraz w sowieckich rękach, nie wiadomo, jaki los nas czeka...”. Słowem, było to niesłychanie rozbudowane przedsięwzięcie, którego cel stanowiło oczernienie obozu postępu. Pawłysz znał z podręczników NeoArcheo setki takich przykładów z całego świata.

Faszyści nie oszczędzali w swej propagandzie nikogo. Wysokich dostojników Partii Wewnętrznej oskarżali o intrygi, zabójstwa i zamachy, działaczy średniego szczebla o korupcję, złodziejstwo i codzienne nadużycia władzy, a tych, którzy najniżej, o donosicielstwo, tchórzostwo i zgubną skłonność do życia w kłamstwie. No i patrzcie, komu historia przyniosła zgubę, myśli Paweł.

To, co widzi na polanie obozu Pionierskiej Wyprawy Tunguskiej, pasuje idealnie do jednego z mitów wrogiej propagandy – legendy o „obozach pracy”. W samej nazwie kryje się już fałsz, bo skoro praca czyni wolnym, to jak można mówić o obozach pracy? Po drugie, najmniejsze nawet dziecko urodzone w Światowej Republice Rad wie, że w czasach zwiększonego wysiłku wojennego, kiedy cały naród musiał bronić ojczyzny na wszystkich kontynentach świata, obywatele radzieccy masowo zgłaszali się nie tylko na front, ale i do jednostek tyłowych, które wysiłek frontowy wspierały.

Oczywiście, że i w Światowej Republice Rad istniały więzienia oraz inne miejsca odosobnienia, Paweł wzrusza ramionami, mimo wielu lat pracy nad ludzką naturą nie udało się jej jeszcze w pełni naprawić. Wciąż na świecie rodzili się złodzieje, mordercy, gwałciciele. Jednak nawet oni w chwili próby, gdy ojczyzna była zagrożona, gotowi byli bronić jej do ostatniej kropli krwi. Faszystowskie bajdy przekreślały, spotworniały i wypaczały także i te ludzkie, zrozumiałe, patriotyczne odruchy. Stąd niestworzone historie o jakimś „systemie pracy niewolniczej”, w którym ludzi rzekomo za krzywy uśmiech albo brak entuzjazmu w pracy partyjnej, nie wspominając o „podważaniu ustroju”, pakowano do czegoś na kształt niemieckich lub brytyjskich obozów

koncentracyjnych. Stąd legendy o czarnych batalionach, które ponoć w takich „obozach” były formowane, a potem używane jako mięso armatnie. Stąd kłamstwa o jakichś więźniach eksploatowanych pracą ponad siły, aż do przedwczesnej śmierci z wycieńczenia, i bzdury o medycznych eksperymentach przeprowadzanych w tajdze.

Paweł aż ma ochotę uderzyć się w czoło: oczywiście! Jak wróg miałby przegapić taką okazję! Przecież niedobitków faszystowskich na świecie jest sporo, same organizacje religijno-terrorystyczne o tym świadczą. Dopiero co był świadkiem, jak fanatycy wysadzili w powietrze największy dom towarowy w Moskwie – czy zawahaliby się przed zbrodniczym planem wymierzonym w dzieci? W Pionierską Wyprawę Tunguską, najważniejszą uroczystość z okazji okrągłej Roczniczy Zjednoczenia?

Pawłowi Pawłyszowi wydaje się, że już wszystko rozumie, że już wszystko wie: wróg w jakiś tylko sobie wiadomy sposób wysłał do Krasnojarskiego Kraju komando desperatów, trucicieli, których celem było storpedowanie młodzieżowych uroczystości. Przebrani za rzekomych „zeków”, czy jak tam się mieli nazywać ci nieszczęśnicy z miejskiej legendy o czarnych batalionach, terroryści rozpoczęli swą zbrodniczą działalność. Są ofiary – wiele ofiar, to najlepszy dowód. Ale już wszystko jest pod kontrolą, lada chwila rozpocznie się wielka operacja sił specjalnych, dlatego wokół jest tak pusto, niedobitki wroga pewnie wycofały się w tajgę, lecz za moment zaroi się w okolicy od żołnierzy i komandosów, którzy bandytów wyłapią.

Skoro tak, skoro sprawa się wyjaśniła, Paweł nie ma wątpliwości, co robić: jak najszybciej powinien skontaktować się z dowództwem polowym operacji i dać znać, że jest wewnątrz

pierścienia obławy. Tak, będzie się trzeba tłumaczyć z mało regulaminowej wyprawy na północ, ale lepsze to, niż zostać uznanym przez żołnierzy za szpiega czy bandytę i rozwalonym na miejscu.

Paweł wraca do łazika i znów rozkłada mapę.

Najbliższe bezpieczne schronienie to eksperymentalna placówka Instytutu Fizyki, kilkanaście kilometrów na wschód od polany pionierów, nieopodal enigmatycznego punktu BM-09, najpewniej pozostałości po NŁAG-u 6.

Paweł jedzie. Tym razem na siedzeniu obok trzyma nie tylko mapę, ale i pistolet automatyczny. Gdyby trafił na prowokatorów, na terrorystyczną swołocz, łatwo skóry nie sprzeda.

Droga, która wyprowadza go z obozu pionierów, wije się potem przez las niczym górską rzeką. Szybciej, ponagla się Pawłysz, liczy się każda minuta, motor wyje, gałęzie biją w maskę samochodu.

Półtora kilometra dalej znów widzi ciała. I znów są to trupy w czarnych ubraniach; niektóre leżą na poboczu, kilka w poprzek drogi. Po szybkiej inspekcji Pawłysz się nie waha – rozpędza wóz i nie zważając na przeszkody, jedzie dalej. Trupi smród miesza się z zapachem rozgrzanych opon i spalonej benzyny.

Wróg musi być silniejszy, niż przypuszczałem, dochodzi do wniosku Pawłysz, który ostatecznie przestaje liczyć ciała, kiedy przekracza trzydziestkę. Tyłu zabitych. A ilu mogło pozostać? Jaką mają broń?

Wreszcie otwiera się przed nim wielka bezdrzewna przestrzeń, a przed samochodem wyrasta wysokie druciane ogrodzenie. Droga prowadzi wzdłuż ogrodzenia, ku odległym szarym zabudowaniom. Niespełna kilometr dalej widać metalowe wieże obrośnięte ceramicznymi izolatorami, sieć przewodów łączy je

z zabudowaniami. I Paweł już wie, że elektrownię z Energostroju nie tylko zamówiono, ale i postawiono.

Za elektrownią ponownie widzi ciała wychudzonych terrorystów, lecz przestaje rozumieć, co mogło się wydarzyć.

Budynki placówki eksperymentalnego Instytutu Fizyki oddzielone są od drogi kilkoma pasami zasieków i ogrodzeń, z których przynajmniej jedno wygląda na podłączone do prądu. Trupy w czarnych waciakach – głupcy, kto tak się przebiera w lato, myśli Pawłysz – leżą WEWNĄTRZ tych zabezpieczeń, w większości skierowane głowami do zewnątrz, jakby zabici bandyci uciekali z placówki, a strażnicy próbowali ich wybić strzałami w plecy. Wszystkie ogrodzenia są w niektórych miejscach porozrywane, widać nie udało się powstrzymać czarnej tłuszczy. Ale skąd w ogóle się tam wzięli?

Pawłysz nie wie.

Pawłysz nie wie wielu rzeczy.

Tysiąc tunguskich

Nie wie, że wysoko w górze, na niebie, które jest jednocześnie i błękitne, i siwe, słychać już ciche buczenie silników. Tylko że to nie desant, to St-44 Kościej, jeden z największych bombowców wojskowego lotnictwa Światowej Republiki Rad, w którego luku drzemie gotowa do zrzutu bomba atomowa najnowszej, trzeciej generacji.

Nie wie, że epicentrum wybuchu to eksperymentalna placówka Instytutu Fizyki na terenie dawnego NŁAG-u 6.

Nie wie – lecz ci, którzy wydali rozkazy, też tego nie wiedzą – że jest już za późno, bo owszem, pacjent zero dawno nie żyje, a nawet wszyscy pacjenci zero nie żyją, ta czarna swołocz, te zarażone straszliwą chorobą bydłeta, które wzięły się nie wiadomo skąd, wszyscy już nie żyją, tyle tylko, że z tysiąca pięciuset pionierów ponad trzy czwarte wróciło do domów, zanim zaczęło wykazywać objawy choroby, a drugie tyle opiekunów i instruktorów oraz oficjalnych gości zaniósło zarazę we wszystkie zakątki świata, do każdej Republiki Rad.

Nie wie, że choroba rozprzestrzenia się jak pożar w stepie, pokazując jedynie słuszność kryptonimu nadanego badaniom profesora Nikoładze w roku 1948.

Nie wie, że gdyby miał jeszcze choć odrobinę czasu (którego wszak nie ma, bo hen, w górze, otwierają się już luki kościeja, a bomba zwana pieśczośliwie „matką diabła” wysuwa się ze stalowych uchwytów), to kto wie, może i dotarłby do budynków eksperymentalnej placówki Instytutu Fizyki, by ujrzeć na dokumentach skrót OWP, który rozwija się jako „Okno w Przeszłość”. A gdyby dotarł do pozostawionych w placówce zapisków pewnego bardzo ambitnego fizyka-akademika, laureata szesnastu nagród państwowych, to odkryłby pewnie, że właśnie nazwa tego tajnego projektu wykorzystującego najnowsze odkrycia w dziedzinie fizyki kwantowej i temporalnej zainspirowała rzeczonoego akademika do napisania i opublikowania w „Granicach Techniki” opowiadania o moskiewskim badaczu, którego poprzez czas dosięgnął pazur prehistorycznej bestii.

Nie wie, że już nie ma na świecie tego fizyka-akademika, a bestia, która zadała mu śmierć, to nie drapieżny potwór, lecz niewidoczny gołym okiem zabójca, przyniesiony na grzbiecie

skazańca, prostego zeka z czarnych batalionów. Zeka, który wraz z tysiącami sobie podobnych siedemdziesiąt lat wcześniej służył profesorowi Nikoładze jako świnka morska, bo losy wojny nie były wciąż jasne, a odpowiednio śmiertelna biologiczna broń mogła przechylić szalę zwycięstwa na stronę ojczyzny proletariatu. On i tysiące jego towarzyszy niedoli, wyzwolonych z nienacka, kiedy most Bagriaka-Susłowa otworzył się w jednym z obozowisk NŁAG-u 6.

Nie wie, że Swietłana, jego przyrodnia siostra, jest już martwa.

Nie wie, że Jurij Fomienko nie dotrwa do następnego wieczora, a jego ciało rozwlóczą bezpańskie psy wałęsające się wokół Rabki, słodkiego górskiego kurortu między StaroLenino i NowoLenino.

Nie wie, że Gieno Generał i reszta druhów z NeoArcheo jest już ewakuowana do bazy u stóp Elbrusu, ale nie na wiele się to zda.

Nie wie, że piloci antonowa, na pokładzie którego przyleciał do Krasnojarskiego Kraju, siedzą w celach Ministerstwa Zdrowia Psychicznego, których nigdy już nie opuszczą, bo nie doczekają się nigdy zgrzytu kluczy w zamkach – kiedy siedziba MZP opustoszeje, oni zostaną w podziemiach, zamknięci, zapomniani, i będą mieli wyspiarskie szczęście, bo zamiast umrzeć od wirusa, po prostu umrą z głodu.

Nie wie, że czarne bataliony nie mają litości, lecz zabijają sprawiedliwie: ich ofiarą padają jednako mieszkańcy Pierwszej, Dwunastej, Dziewiętnastej, Siedemdziesiątej, Sto Pierwszej, Sto Pięćdziesiątej Republiki. Nie wszyscy naraz, ale to tylko kwestia czasu.

Wszystko jest zawsze tylko kwestią czasu.

Nie wie, że przeszłość to jedyna choroba, na którą nie ma szczepionki.

Nie wie, że jak piszą poeci, każdy człowiek jest przecież samotną wyspą. A skoro tak, to i on, Paweł Pawłysz, ma wyspiarskie szczęście. Więc wszystko to nie może skończyć się inaczej.

A potem nad tajgą rozkwita błysk o sile tysiąca tunguskich.

I pochłania Pawłysza.

I jego świat.

I czarne bataliony.



Posłowie

Dawnośmy się nie widzieli.

Trochę czasu upłynęło od chwili, kiedy poprzednio pisałem opowiadania. Trochę. Dokładnie trzydzieści lat. Byłem wtedy zadurzonym w fantastyce nastolatkiem, dla którego największą atrakcją pod słońcem stanowiły wyprawy na konwenty: pierwszym była klubowa impreza we Wrocławiu (rok 1984), potem legendarny pionierski Polcon w Błażewku pod Poznaniem. Wiem, co mówię. Byłem tam. A nawet z kolegami z klubu wystawialiśmy wtedy kabaret SF. Z jakimi kolegami? Andrzej Krawczyk był świetnym grafikiem i komiksiarzem. Nie wiem, co dziś się z nim dzieje. A Janusza Onufrowicza pewnie znacie – jest aktorem znanym ze sporej liczby telewizyjnych seriali. Pisuje także teksty piosenek i książki.

Szybko odkryłem, że istnieje jeszcze większa frajda od czytania fantastyki i jeżdżenia na konwenty – pisanie fantastyki. Wydawało się przy tym dość proste (tyle przecież przeczytałem!), ale takie nie było. Pierwsze próby bezlitośnie (i słusznie) miażdżyli koledzy z fandomu, którym poddawałem je pod ocenę. Wielki dług wdzięczności zaciągnąłem u tych, którzy choć widzieli nędzę mych poczynań, życzliwie zachęcali mnie do dalszych prób. Nigdy im za to nie podziękowałem, więc czynię to teraz. Zaczne to grono: Andrzej Drzewiński, Robert Szmidt, Andrzej Ziemiański. Dzięki za Letni Obóz Fantastyki w Sulistrowiczkach, za lekcje kanasty, literatury i picia piwa. Krytyki nie szczędzili koledzy i koleżanki z klubu SOKIBUS-F: prezesica-tygrysica Agnieszka Makowska (wszyscyśmy się w niej durzyli) i poczciwy Karol Skrzekut. Potem

zaś zawsze mogłem liczyć na życzliwy miążdżing swych przedsięwzięć w wykonaniu Macieja Parowskiego i Marka Oramusa. A później teksty (nieliczne) czytali Rafał Ziemkiewicz i Jarosław Grzędowicz. Dziękuję.

Po opublikowaniu kilku opowiadań w fanzinach, po wyróżnieniu na konkursie literackim „Fantastyki” (rok 1987 – wygrał wtedy debiutant Marek S. Huberath, a drugie miejsce zdobył debiutant Andrzej Sapkowski: cóż za zacne towarzystwo) i chwilowym nawrocie do pisania fantastyki na początku lat 90. (czego efektem był „Zaścianek” opublikowany w „Fenixie” oraz „Podróż Trzech Króli”, o której więcej niżej) zająłem się w życiu zupełnie innymi sprawami. I tak marzenie numer jeden (wydać zbiór opowiadań w wieku lat 18) oraz marzenie numer dwa (wydać zbiór opowiadań przed rokiem 2000) nigdy się nie ziściły. I dobrze.

Przez cały czas fantastyka była jednak obecna w moim życiu: czytałem, oglądałem, recenzowałem, redagowałem, a w nocnym programie RMF FM udało mi się nawet wyemitować całkiem sporo rozmów z pisarzami tak różnych generacji, jak Mike Resnick i Robert Sheckley. Teraz mogę się przyznać: tak, cały czas także pisałem. Po trochu, po kawałku, tu szkicując pomysł, tam dialog, gdzie indziej odnotowując fajnie brzmiące nazwisko lub potencjalny tytuł.

I tak minęło dwadzieścia lat.

Nigdy nie porzuciłem myśli o pisaniu na serio, zawsze jednak odkładałem je na później. Kiedyś, kiedy będę miał mniej roboty w radiu. Kiedy mniej będę musiał pisać do gazety. Kiedy będę wiódł spokojniejsze życie. Aż pewnego dnia zrozumiałem, że takie „kiedyś” oznacza po prostu „nigdy”.

Musiałem więc sprawę przemyśleć. I przemyślałem. Wniosek był oczywisty: jeśli chcesz, by coś było zrobione, zrób to po prostu. I tak wydarzyła się w moim życiu powieść „Demokrator” (2012), którą być może część z Was już zna. Dlaczego akurat ona? To proste, w pewnym momencie odkryłem, że uskładałem do niej ponad sto stron notatek.

Nie mogło być inaczej. Dlaczego? To proste. Lubię opowiadać historie.

I nie mogłem przestać.

Pisanie to nie tylko zawód. Pisanie to stan umysłu. A precyzując: to sposób odbierania rzeczywistości. To tryb działania, którego nie da się zmienić. Wyobraźcie sobie radio, w którym znajdziecie gałkę do ściszenia dźwięku, ale nie znajdziecie wyłącznika. Możecie skrócić głośność tak, że w pokoju zapanuje cisza. Ale czy to znaczy, że radio nie gra? Gra. Tylko Wy go nie słyszycie.

Pisarz pisze głównie wtedy, kiedy nie pisze. Nasiąka rzeczywistością jak gąbka, łowi niuanse, chwytta pomysły, wchłania wrażenia. Potem przetwarza je po swojemu i pokazuje światu: zobaczcie, co ulepiłem. A na początku była tylko kora, sznurek i folia po czekoladzie.

Krótko mówiąc: kiedy nie pisałem i nie wydawałem książek, i tak czułem się pisarzem, bo pomiędzy wszystkimi obowiązkami życia codziennego cały czas wiedziałem, że część umysłu pracuje w trybie pisania. Tyle tylko, że opowiadałem te historie do szuflady i nigdy nie miałem czasu, by je dokończyć. Co oczywiście jest kiepską wymówką: wszyscy mamy tyle samo czasu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Zatem: dawnośmy się nie widzieli.

Nasze ponowne spotkanie to także efekt tego, że mam wielkie szczęście do wydawców. Sławek Brudny, który wydał „Demokratora” (2012, II wyd. 2014), uwierzył w tę debiutancką powieść po przeczytaniu kilkudziesięciu stron i stał się jej wielkim orędownikiem – najlepszym, jakiego mogła mieć. Robert Łakuta, Eryk Górski, Kuba Jabłonka z Fabryki Słów (a także cała reszta fabrycznej ferajny) z entuzjazmem i radością wkręcili się szybko w moje kolejne projekty i wszystko wskazuje na to, że będziemy razem przez jakiś czas. (Jak długi? Im więcej „Czarnych batalionów” kupicie, tym dłużej).

Zapraszam Was na stronę internetową piotrgociek.pl i demokrator.com, spotkacie mnie także na Twitterze – @PiotrGociek – oraz na FB (strona oficjalna i prywatna). Aha, no i jeszcze jest e-mail piotr@piotrgociek.pl, ale pamiętajcie, że przekazuję go Wam w całkowitej konfidencji. Nie udostępniajcie go obcym (we wszelkich znaczeniach tego słowa) oraz ludziom, którzy nie lubią fantastyki.

A teraz słów kilka o tekstach, z okazji których się spotykamy.

CZOŁG

Robert A. Heinlein jest jednym z moich ulubionych pisarzy, nie tylko fantastycznych. Był autorem z tego arcyciekawego pokolenia, które zdążyło posmakować życia jeszcze przed drugą wojną światową, potem zapadło się w otchłań tej wieloletniej apokalipsy, by powrócić z głęboką, choć może cyniczną wiedzą o ludzkiej naturze. Generacja Heinleina to generacja Johna D. MacDonalda, genialnego autora kryminałów o Travisie McGee. To generacja

aktorów takich jak John Wayne i reżyserów takich jak John Ford (odrobinę starszy od wymienionych, ale mentalnie bardzo podobny). Nie ćwiczyli opowiadania historii na kursach creative writing ani dzięki czytaniu recenzji skwaśniałych frustratów w napuszonych magazynach. Ich świat i życie pełne były niezwykłych postaci i zajmujących opowieści, rzemiosła uczyli się od amerykańskich klasyków i z niezliczonych, cudownie kiczowatych, ale jakże zajmujących historyjek tworzących wczesną popkulturę XX wieku. Bohaterowie ich książek to żywe, wielowymiarowe postacie, jakże różne i prawdziwsze od kartonowych ludzików zaludniających literaturę gatunków.

Przez lata udało mi się zgromadzić wszystkie wydane w języku angielskim książki Heinleina, ze wspomnieniami z podróży włącznie. Był czas, gdy czułem się od nich uzależniony: tydzień bez godziny z Heinleinem wydawał się stracony. Mógłbym długo rozprawiać o ulubionych powieściach RAH-a, ale gdy ktoś zapyta o ulubione opowiadanie, nieodmiennie odpowiadam: „Wolni ludzie”.

To tekst, w którym właściwie nie ma fantastyki. Jego bohaterowie to grupa rebeliantów walczących w amerykańskich lasach przeciwko tajemniczemu okupantowi. Nie wiemy, kim jest agresor – może Ruscy, może Niemcy, a może przybysze z kosmosu. W każdym razie mechanizmy rządzące okupacją są uniwersalne. Są ci, którzy kolaborują; są ci, którym jest wszystko jedno; są wreszcie ci, którzy choć nie mają żadnych szans, walczą z bronią w ręku. Wolni ludzie. Nie muszę chyba mówić, że taka opowieść mocno rezonuje w umyśle i sercu każdego, kto polską historię traktuje poważnie.

„Wolni ludzie” Heinleina to nie literatura fantastyczna, to po prostu literatura. Postawcie to opowiadanie obok opowiadań

Hemingwaya czy Steinbecka – nie znajdziecie różnicy w wykonaniu. O ilu autorach science fiction można coś takiego powiedzieć?

„CZOŁG” to dalekie echo mojej fascynacji tamtym tekstem Heinleina, ale przede wszystkim dziecku rosyjskiej agresji na Ukrainę. Nie chciałem tu niczego naśladować, raczej spróbować wynaleźć na polskim, a nawet warszawskim gruncie historię o wrogu bez twarzy i efekcie jego obecności wśród zwykłych ludzi. Opowiadanie to powstało chyba najszybciej ze wszystkich, jakie widziecie w tym tomie. Pewnego wiosennego popołudnia w Nieporęcie wyjąłem z kieszeni notes i zanotowałem pierwsze zdanie. A potem przez tydzień nie byłem w stanie myśleć o niczym innym – musiałem napisać ten tekst. Nie mogłem spokojnie zasnąć, nim tego nie zrobiłem. To także moje domowe, „kabackie” opowiadanie. Miejsca, które w nim opisuję, nie mają nazw, ale bardzo łatwo zidentyfikuje je każdy, kto spaceruje po Kabatach, Lesie Kabackim, Skarpie, Wilanowie. Czasem sam nie wiem, co o tym myśleć. To trochę przerażające: wyglądać przez okno i widzieć wewnątrz własnej głowy.

Janek Poranek i jego goście

„Janek Poranek” to najbardziej niesforne dziecko z gromadki, którą dziś Wam przedstawiam, co zresztą chyba widać po jego anarchicznym humorze i beztrosce. Było to jedyne opowiadanie w ostatnich latach (a mam tu na myśli zarówno te napisane, jak i tylko naszkicowane), którego nie miałem gotowego w głowie, siadając przy klawiaturze. Nie wiedziałem, kto właściwie opowiada

nam tę historię i z jakiego powodu – a jest to podstawowe zadanie, które wypełnić powinien pisarz, zanim zacznie pracę.

Zaryzykowałem i pozwoliłem mojej imaginacji wędrować swobodnie, samemu będąc ciekawym, dokąd mnie zaprowadzi. Szybko okazało się, że ścieżka wiedzie do tych dawnych lat, kiedy jako małolat pochłaniałem z wypiekami na twarzy opowiadania guslarskie Kira Bułyczowa oraz Lemową „Cyberiade”. Kiedy już udało mi się uchwycić ton tej opowieści, pozwoliłem sobie na wrzucenie do niej żartów wywiedzionych także z innych młodzieńczych lektur. A potem poszedłem ciemną ścieżką przez nieznany las. Przyznam, że kilka razy gubiłem się po drodze, zanim znalazłem polankę z napisem „właściwe zakończenie”. Nie pytajcie mnie tylko, dlaczego przybysze odwiedzający Janka kłaniają się przed pomnikiem Mikołaja Kopernika. Cały czas mam nadzieję, że jeszcze kiedyś o tym napiszę – jak tylko poznam odpowiedź.

A tak naprawdę to chciałbym kiedyś opisać nieznaną podróż Ijona Tichego.

Dzień oligarchy

Komu wierzyć? Tym, którzy przekonują, że bogacze to ludzie jak my, czy tym, którzy widzą w nich przedstawicieli niemal innego, obcego gatunku? Połowa amerykańskiej literatury kręci się wokół tej zagadki – sięgnijcie po „Wielkiego Gatsby’ego” F. Scotta Fitzgeralda, sięgnijcie po Jacka Londona i Toma Wolfe’a. I ja chętnie się pospieram, zanim jednak zasiądziemy przy kufelku Smadnego Mnicha, chciałbym zwrócić uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, nasi wschodnioeuropejscy bogacze należą do innego

plemienia niż bogacze prawdziwi, to znaczy tacy, którzy zarobili pieniądze, bo na przykład w coś zainwestowali, coś wynaleźli, wymyślili, wspomogli rewolucyjny projekt, wprowadzili na rynek nowy towar lub usługę albo i nowy sposób życia (jak na przykład zakupy w hipermarkecie czy galerii handlowej czy pływanie wycieczkowymi liniowcami). Polscy oligarchowie zwykle mają pieniądze dlatego, że w odpowiedniej chwili transformacji ustrojowej ich polityczni kumple oddali im kawałek gospodarki do swobodnego pasożytowania. Model prywatyzacji gospodarki rosyjskiej, ukraińskiej czy polskiej bywa, niestety, zadziwiająco podobny. Po drugie, moje podejście do bogactwa jest takie samo, jak scenarzystów Marvela do supermocy: wielka siła oznacza także wielką odpowiedzialność.

Pan Bóg, jak wiadomo, potrafi pisać prosto także po liniach krzywych, niewykluczone więc, że będziemy jeszcze kiedyś świadkami wielkiego nawrócenia polskich oligarchów, których przecież może dotknąć przemiana równie głęboka (no dobra, nawet niech będzie choćby w jednej dziesiątej tak głęboka) jak Jacka Fulczyka w moim opowiadaniu. Zanim jednak ten dzień nie nastąpi, będę przypominał, bo warto: czym różni się dobry bandzior od złego bandziora? Otóż czasem po tym pierwszym zostaje (niechcący) coś dobrego.

Odwołajmy się do przykładów z mekki współczesnej zorganizowanej przestępczości, czyli USA. Zobaczymy tam piękne drogi zbudowane tylko dlatego, że skorumpowanym politykom potrzebny był gładki asfalt do przewożenia nielegalnie pędzonej gorzałki. Bootleggerzy zniknęli, ale drogi pozostały. Zobaczymy szpitale i przytułki zakładane przez żony gangsterów, ale

działające do dzisiaj. Co pozostanie po polskich oligarchach? Może tylko to opowiadanie.

Opowieść Wowy

Wkrótce po ukończeniu powieści „Demokrator” zdałem sobie sprawę, że nie skończyłem jeszcze z superbohaterami. Po pierwsze, sam „Demokrator” był dzieckiem nie tylko fascynacji rosyjską literaturą od Bułhakowa po Strugackich, ale i wiele zawdzięczał komiksom – takim, jak choćby „Watchmen”. Po drugie, podczas lat pracy nad powieścią igrałem na różne sposoby z ideą superbohaterów różnego rodzaju osadzanych w najróżniejszych dekoracjach – od autentycznych pejzaży Czechenii po alternatywne dzieje Europy. „Opowieść Wowy” to efekt tych igraszek – podejrzewam, że nie ostatni.

Jednocześnie gdybym miał wskazać najbardziej polityczne opowiadanie w tym zbiorze, byłby to właśnie ten tekst. Nie dlatego, że powstał, by załatwić jakiś polityczny interes – tak oczywiście nie było. Nie uprawiam polityki za pomocą literatury. „Opowieść Wowy” ma czytelnika trochę zabawić, a trochę przestraszyć, czy raczej skłonić do zastanowienia się nad kilkoma poważniejszymi sprawami. Najistotniejszą z nich jest kwestia woli. I tu dotykamy polityki. Wola jest bowiem podstawą polityki. Nie zasoby, nie badania opinii publicznej, nie marketing, nie kampanie wyborcze. Jak we wszystkim, rzecz sprowadza się do podstawowego wyboru: robimy/nie robimy.

Dziś często mawia się, że wola, a czasem w ogóle działanie, są w polityce nieważne, niepotrzebne, a nawet szkodliwe. Wszystko

„robi się” samo, bo świat jest nadskomplikowany. Że mamy czasy postnowoczesności, globalizacji i turbokapitalizmu. Że dzięki temu nastanie wieczny pokój, bo w czasach skomplikowanych więzów ponadnarodowych i międzynarodowych współzależności gospodarczych nie ma już mowy o tradycyjnych rodzajach konfliktów: wszyscy skazani są na współpracę ze wszystkimi. Wszyscy płyną w jednej łódce i muszą unikać gwałtownych ruchów. Pęta ich strach przed swoistym ekonomicznym efektem motyla: kichnięcie maklera na giełdzie w Hongkongu może skończyć się tsunami ekonomicznym w Brazylii, a kłopoty właścicieli nieruchomości na Florydzie wpędzą strefę euro w recesję. Skoro wszystko jest rozdrobnione, zatomizowane i nie do ogarnięcia, bo jednocześnie osobne i zarazem połączone na tysiące sposobów, to dawne wojny nie mają sensu.

Myślę, że jest inaczej. Skoro wszystko jest nieogarniętym bezkształtem, to wygra ten, kto będzie miał odwagę wyciągnąć dłonie, zagarnąć, co chce, i kształtować po swojemu. Nikt mu się nie przeciwstawi, bo utraciwszy nieco, będzie bał się utracić więcej, a postnowoczesne, globalistyczne złudzenie będzie mu podpowiadać, że zamiast bić się o swoje, zamiast odebrać to, co utracone, trzeba nauczyć się omijać słonia w salonie, a w ogóle najlepiej udawać, że go tam nie ma. Nie muszę chyba Was informować, jak nazywa się jedyny w Europie przywódca, który działa, wychodząc z tych właśnie założeń.

Podróż Trzech Króli

Tylko raz w życiu zdarzyło mi się tak mocno kłócić o własne opowiadanie. Było to jesienią 1994 roku w Warszawie, kiedy w nieistniejącej już knajpie Al Capone na placu Bankowym spożywaliśmy chłodne piwo z Darkiem Toruniem, wtedy redaktorem „Magii i Miecza”. Było ostro, Darek objechał mnie okrutnie, oskarżając o bluźnierstwo, wysadzanie w powietrze zachodniej kultury i inne podobne przewiny.

Lubiłem Al Capone, zwłaszcza w te wieczory, kiedy przeżywające w tamtych latach dni chwały polskie firmy fonograficzne wyprawiały w nim party z okazji premiery nowych płyt. Szczególnie dobrze pamiętam huczną imprezę uświetniającą wejście na rynek albumu T.Love „BesT.Love”. Nie dość, że szampan, piwo i mocniejsze trunki lały się strumieniami, to jeszcze całość zakończyła się wyprawą do Rivieri Remont w bardzo miłym towarzystwie, z Muńkiem Staszczykiem i Kasią Nosowską na czele. Niewiele też brakowało, by jedna z długich dyskusji w Al Capone prowadzonych przeze mnie z Grześkiem Szulcem (Wydawnictwo ISA) zakończyła się (z mojej strony) pisanie długasnej powieści fantasy wzorowanej nieco na Stephenie R. Donaldsonie (tak, ten pomysł też mam gdzieś zanotowany, jeśli chcecie wiedzieć więcej, zapytajcie mnie kiedyś o drzwi. A właściwie Drzwi). Na szczęście nic z tego nie wyszło, inaczej zamiast pisać dziś posłowie do „Czarnych batalionów”, wycinałbym las na Alasce czy też gdziekolwiek, gdzie nie musiałbym tłumaczyć się z koszarnej książki, która w dodatku ukazała się drukiem.

Wracając do „Podróży Trzech Króli” – nie byłoby tego opowiadania, gdyby nie wiersz T.S. Eliota o tym samym tytule. Znajdziecie go w niemal każdym porządniejszym wyborze poezji Eliota, choć w różnych przekładach, najczęściej Krzysztofa

Boczkowskiego (najnowsze tłumaczenie to chyba dzieło Antoniego Libery). Ja najbardziej lubię jednak wersję, którą Jerzy Pietrkiewicz zamieścił w zestawionej przez siebie „Antologii liryki angielskiej”.

Opowiadanie, które kiedyś streszczałem Darkowi Toruniowi, a potem ostatecznie napisałem, jest właściwie prozatorską wariacją na temat z Eliota. Z niego zaczerpnąłem nie tylko frazę „wielbłądy kładły się w śniegu”, ale także pytanie: co naprawdę oznaczały narodziny w Betlejem? Wiersz Eliota przesiąknięty jest melancholią, która bije ze wspomnienia narratora, świadka wielkiej zmiany, jednego z trzech monarchów podróżujących do Betlejem. U źródeł mojego pomysłu leży dwuznaczność terminów, jakimi określać się zwykło owych bohaterów. Trzej królowie, ale także trzej magowie. Zadałem więc sobie pytanie: a gdyby naprawdę byli magami? Znaczący praktykami magii, rzucającymi zaklęcia? Co wtedy oznaczałyby dla nich narodziny w Betlejem?

Fakt, że fabuła odbiega od wersji znanej z Ewangelii, nie został wywołany moimi błężnierzczymi zapędami, ale jest logicznym następstwem przyjętego przeze mnie założenia.

Wersja „Podróży Trzech Króli”, jaką znajdziecie w tym zbiorze, może się niektórym wydać znajoma. Mniej więcej do połowy jest to opowiadanie, które opublikowałem w 1997 roku w magazynie „Nowy Talizman”. Po latach zdecydowałem się jednak znacząco przerobić tekst, któremu mocno brakowało w pewnym momencie dynamiki i konsekwencji. Tak więc śmiem twierdzić, że to premiera. I że jestem z tej wersji o wiele bardziej zadowolony.

Gdzie jest generał

Na początek zwracam autorom to, co autorskie: słowa „Czekamy na ciebie, czerwona zarazo” i kolejne linijki pochodzą z wiersza „Czerwona zaraza”, ostatniego, jaki w swoim życiu napisał Józef Szczepański pseudonim „Ziutek”, powstaniec warszawski i świetny poeta. To on jest autorem między innymi słynnego „Pałacyku Michła”. Zginął 10 września 1944 roku. Armia Czerwona czekała wtedy po drugiej stronie Wisły, aż Warszawa się wykrwawi. Gorąco polecam cały tekst (znajdziecie go w Internecie), jak i płytę z piosenkami „Ziutka” nagraną między innymi przez Tomka Budzyńskiego i De Press.

„Wypnij na Kremlu pierś po medale...” to słowa z wiersza nieznanego autora napisanego w czasach stanu wojennego. Zaczyna się on tak: „Za słowa kłamstwem splugawione / Za mundur bratnią krwią splamiony / Za ręce siłą rozłączone / Za oczy dziecka przerażone / Obróć swój tryumf w partyjnej chwale / Naród dziękuje Ci generale”.

„Zegarmistrz światła” to oczywiście cytaty ze słynnej piosenki Tadeusza Woźniaka z 1972 roku.

Szczegóły dotyczące zestrzelenia polskiego samolotu nad Czechosłowacją zaczerpnąłem ze świetnego reportażu Zbigniewa Górniaka w „Nowej Trybunie Opolskiej”. Według czeskiego odpowiednika IPN nie ma wątpliwości, że rozkaz zestrzelenia wydał osobiście Wojciech Jaruzelski. Wybaczcie, ale wzdragam się przed użyciem słowa „generał” w stosunku do tego zbrodniarza.

Kto jest ciekaw szczegółów biografii Jaruzelskiego, tego odsyłam do książki profesora Jerzego Eislera „Siedmiu wspaniałych”, biografii pióra Pawła Kowala, biografii pióra Lecha Kowalskiego „Generał ze skazą” oraz zachęcam do czekania na

przygotowywaną dopiero obszerną biografię, którą pisze Piotr Gontarczyk. Znajdziecie w nich wszystko: opowieści o tym, jak Jaruzelski fałszował swoją biografię, jak służył stalinowskiej wojskowej bezpiece, jak gorliwym był utrwalaczem „władzy ludowej”, o jego roli w prześladowaniu kleryków i w czystkach antysemitycznych, o krwi na rękach, która zaschła po interwencji peerelowskich wojsk na Czechosłowację, po masakrze robotników w grudniu 1970 roku i po stanie wojennym.

Głębką odrazą napawa mnie fakt pochowania tego człowieka z państwowymi honorami, a to, że nie został osądzony za swoje zbrodnie, dobitnie pokazuje, jak wypaczonym państwem jest III RP. Podobnie jak kreowanie go przez ostatnie dwie dekady na celebrytę z kolorowych magazynów.

Po śmierci Jaruzelskiego głośno było o jego rzekomym nawróceniu. Znalazł się nawet ksiądz, który twierdzi, że to w jego obecności komunistyczny zbrodniarz wyznał grzechy i pojednał się z Bogiem. Cóż, odpowiadam, w takim razie dlaczego urna z jego prochami nie przekroczyła w dniu pogrzebu progu kościoła?

Pomyślałem, że może i ktoś odwiedził Jaruzelskiego przed śmiercią. Ale na pewno nie ksiądz. Stąd to opowiadanie.

Chłopiec z plakatem

Nasz rozum spogląda w przyszłość, nasze serce patrzy w przeszłość. Ta prawidłowość nie tylko pomaga zrozumieć wiele z tego, co nam się przytrafia, ale także leży u podstaw wielu opowieści. Fantastyka na pewno jest miejscem, w którym z tej

dwoistości skorzystać można szczególnie interesująco. Sięgam pamięcią i przypominam sobie choćby „Światło minionych dni” i wiele innych utworów.

„Chłopiec z plakatem” wszedł do mojej głowy któregoś bardzo upalnego warszawskiego dnia, kiedy w metrze ogłoszono awarię. Nie wiem, z jakiego powodu, pamiętam tylko, że byłem wtedy na stacji Centrum i nie śpieszyłem się nigdzie. Przez dłuższą chwilę siedziałem na ławeczce w chłodnym powietrzu otulającym podziemny peron i odsuwałem od siebie moment, kiedy będę musiał wyjść na powrót w skwar. To chyba wtedy pierwszy raz uderzył mnie fakt, jak bardzo numery bilbordów i plakatów podobne są do numerów telefonicznych. W pierwszej wersji była to historia o chłopaku, który zakochuje się w dziewczynie z plakatu i odkrywa pewnego dnia, że wybierając numer, może do niej zadzwonić. Choć zanotowałem ten pomysł, to pewnie szybko bym o nim zapomniał, gdyby nie fakt, że często podróżuję metrem. Za każdym razem, widząc bilbordy na stacji Centrum, przypominałem sobie o koncepcie, aż wreszcie, kiedy kilkakrotnie się przekształcił w mojej głowie, nie miałem innego wyjścia, jak pozwolić mu przybrać kształt gotowej opowieści, napisać to opowiadanie.

Inicjatywa oddolna

Niestety, umowa zawarta z przedstawicielem pewnej wpływowej grupy kapitałowej nie pozwala mi na podzielenie się z Wami szczegółami na ten temat. Jedno oko miał brązowe, a drugie czarne – tyle tylko powiem. A może wszystko tylko mi się przyśniło?

Czarne bataliony

„Człowiek z Wysokiego Zamku” to jedna z moich ulubionych książek Philipa K. Dicka i chyba najlepsza historia alternatywna, jaką w życiu czytałem. Nie tylko dlatego, że była pierwsza (pierwsza w moich rękach, bo historycy fantastyki odeślą Was do dzieł wcześniejszych), ale także dlatego, że jej lektura pozostawia metafizyczny dreszcz, czyli coś dużo ważniejszego od podziwu nad wyjątkowo zgrabną żonglerką postaciami i motywami wyrwanymi z prawdziwej historii, by ułożyć je w nowy sposób.

Często zastanawiałem się nad tym, jak w świecie „Człowieka...” wyglądać mogła nasza część Europy. Odpowiedź przyniosła mi znakomita książka reporterska Krzysztofa Kąkolewskiego „Co u pana słyhać?” (było też wydanie rozszerzone: „Biała Księga. Sprawa Dolezalka”). Z książki tej poznałem Alexandra Dolezalka, Ottona von Fircksa i innych hitlerowskich planistów, pracujących w okresie II wojny światowej nad projektem Generalplan Ost. Plan Wschodni Hitlera nie tylko zakładał zagładę licznych narodów Europy Środkowej i Wschodniej, zawierał także szczegółowe wskazówki na temat tego, jak wyglądać będzie niemiecka Europa. Wszystkim rekomenduję tę wstrząsającą lekturę – kto raz pozna obraz tego ponurego świata pełnego obozów śmierci, obozów pracy i obozów „reprodukcyjnych”, ten nigdy już go nie zapomni i bardzo uodporni się na dzisiejsze bajeczki Berlina o tym, jak niesprawiedliwe jest demonizowanie Niemców za ich wyczyny z tamtych lat.

W oparciu o „Co u pana słycać?” zacząłem kiedyś szkicować fabułę opowiadania, roboczo zatytułowanego „Człowiek z Niżnych Bagien”, którego akcja miała rozgrywać się w świecie podobnym do tego stworzonego przez Dicka, ale na terenie dzisiejszej Syberii. Nie było to trudne, imperialne marzenia Niemców spisane przez Dolezalka wydawały się właściwie gotowym materiałem na książkę. Jednak ilekroć próbowałem zanurzyć się w ten świat, czułem, jakbym popadał w najgłębszą otchłań depresji. Nie chciałem pisać tak ponurej książki, więc po prostu odłożyłem ją do szuflady.

Latem 2000 roku zabrałem ze sobą na wakacje świeżo wydaną wtedy w Polsce książkę Wiktora Suworowa „Ostatnia republika”. To trzeci tom trylogii rozpoczętej słynnym „Lodołamaczem”. W swoich książkach Suworow, uciekinier ze Związku Sowieckiego i były oficer GRU, gromadzi dowody na rzecz tezy, że atak hitlerowskich Niemiec na Rosję Stalina był wyprowadzonym w ostatniej chwili uderzeniem uprzedzającym. Sowietów bowiem szykowali się w tym czasie do uderzenia na Niemcy i całą Europę Zachodnią. Teza Suworowa wydaje mi się prawdziwa, ale to temat na inne rozważania. Dla historii „Czarnych batalionów” ważne jest co innego – po lekturze „Ostatniej republiki” prócz wielu innych rzeczy w głowie został mi sugestywny obraz Związku Sowieckiego, który po wieloletnich bojach „ogarnia cały świat”. Jaka republika miała być przyjęta do Światowego Związku Rad ostatnia – rozważa Suworow – może chilijska? Albo nowozelandzka?

Zacząłem wtedy zastanawiać się nad powrotem do „Człowieka z Niżnych Bagien”, ale w innych dekoracjach. Czyli nad historią alternatywną, w której to nie Niemcy, ale Sowietów okazali się jedynymi ostatecznymi zwycięzcami II wojny światowej. Im dłużej

myślałem nad tą historią, tym bardziej – rzecz jasna – wydawała się ponura. Nasz los byłby przesądzony, niezależnie od tego, czy zatriumfowałby terror brunatny, czy czerwony. Szkoda czasu na pisanie rzeczy oczywistych, pomyślałem, ale sam pomysł ukorzenił się na dobre w moim ogródku z zasadzonymi, ale niewyhodowanymi jeszcze opowiadaniem. Przymierzałem się do różnych rozwiązań – jednym z nich miał być nawet dodany do kolekcjonerskiego wydania epilog „Demokratora” napisany specjalnie w scenerii świata Gorodopolis. Niezależnie od dekoracji, żeby w jakikolwiek sposób napisać tę historię, potrzebowałem jednak morału. Choć odrobiny szczęśliwego zakończenia. Cóż, miarą straszliwego losu, jaki światu gotowali Hitler i Stalin, niech będzie fakt, że to, jak puentuję „Czarne bataliony”, uważam – w pewnym sensie – za szczęśliwe zakończenie.

Na koniec...

...zaznaczam, że posłowie do następnego zbiorku będzie dużo krótsze.

W ciągu ostatnich lat zebrałem pomysły, notatki, szkice do bardzo wielu historii. Część z nich zdecydowałem się napisać, część sama zdecydowała, że powinna zostać napisana, a potem podstępnie mnie do tego wykorzystwała. To opowieści czasem bardzo różne, nie tylko w tematyce i stylu, ale także tonacji. Układając „Czarne bataliony”, nie chciałem, by był to zbiór nadmiernie rozwichrzony, pominąłem więc pewne koncepty, a nawet gotowe już (prawie) opowiadania. Układa się z nich kolejny zbiór, który roboczo zatytułowałem „Damy radę”. Zaplanowałem do niego

opowieści, które wywiedzione są z innych opowieści. Wszyscy jesteśmy przecież ulepiani nie tylko z osobistych doświadczeń, ale także z książek, jakie przeczytaliśmy, i obejrzanych filmów. Od Juliusza Verne'a po Williama Gibsona, od mówiących zwierząt doktora Dolittle po mówiących obcych George'a Lucasa. Ale o tym wszystkim może innym razem.

Los kolejnego zbioru leży w Waszych dłoniach. Jeśli będziecie chcieli go przeczytać, to pewnie się ukáže. W końcu czym jest literatura bez czytelników? Nie sądzicie chyba, że będę siedział sam w kącie i głośno mówił do siebie. A ponieważ Fabryka Słów nieustannie przynudza (dzięki, chłopaki!), że woleliby powieść, to pewnie będzie i powieść.

O jednym mogę zapewnić.

Tak łatwo się mnie nie pozbędziecie.



PIOTR GOCIEK

Najpierw chciał zostać pisarzem,
potem Tomkiem w krainie kangurów,
a następnie hobbitem.
Wybrał najtrudniejsze rozwiązanie.

Pisarz, publicysta, radiowiec.
Autor ponad tysiąca publikacji i powieści
„Demokrator”. Romansuje z różnymi mediami.
Był m.in. korespondentem filmowym RMF FM,
szefem anteny sieci Radia Plus, kierował działem
krajowym „Rzeczpospolitej”. Obecnie publicysta
tygodnika „Do Rzeczy” i TV Republika.
Był także współwłaścicielem Wydawnictwa
Urocz a i redaktorem naczelnym pisma
science fiction „Hyperion”.

Nosi duże buty i klasyczne koszule,
czyta Philipa K. Dicka, a ogląda Sergia Leone.
Nie lubi nudy i kiepskiego wina,
wypiera się braku poczucia humoru.

Czarne bataliony

Tamtego dnia, tamtej chwili, w tamtym ostrym słońcu, na tamtej właśnie ulicy Komunardów w dzielnicy Jasna Kępa miasta Warszawy, stolicy Dziewiętnastki, kroczący ocienionym przez drzewa chodnikiem Paweł Pawłysz nie wie jeszcze, że już jest martwy. Oczywiście w oczach historii wszyscy jesteśmy martwi. Ale komu jest spieszno do historii?

Janek Poranek i jego goście

Ziemia musiała nauczyć się żyć po nowemu – ze świadomością, że jest wprawdzie peryferiami peryferii zadupia wszechświata, które kompletnie nikogo nie interesują, ale ma za to wszechświatowego celebrytę. Cóż było robić. Zaczęliśmy produkować pamiątki.

Podróż Trzech Króli

Były to czasy magii. Nie tej wiejskiej, ordynarnej i plugawej, jaką do dziś praktykują wiedźmy, politycy i pisarze fantasy, lecz magii prawdziwej, budzącej podziw i przestrasz. Wielkiej magii, zdolnej tworzyć i niszczyć góry, piramidy, pałace, tarasy, terasy i arrasy, a już z całą pewnością kariery. Kiedy? Nie tak dawno temu. Jakieś dwa tysiące lat. I świat pewnie dalej kłębilby się w ten szalony, magiczny sposób, gdyby nie pewien dzień... A właściwie noc... Precyzując do końca – gdyby nie pewien wieczór. Było tak...

Czeka Was masowy przeszczep wyobraźni



Piotr Gociek sprawdza się nie tylko jako publicysta, ale jest też doskonałym pisarzem, którego wyobraźnia zaskakuje na wielu frontach. Tajemnica, orwellowski niepokój i obce fascynujące światy łączą się z niebywałą mieszanką historii, współczesności oraz fantastyki. „Czarne bataliony” odznaczają się popkulturowym miksem, błyskotliwością i poczuciem humoru. Takiej prozy nie powstydziliby się nawet Lem.

Ceniony publicysta spróbował swoich sił w literaturze i z sukcesem wkroczył na pole królowej polskiej literatury – fantastyki.

Rzeczywistość jest przesiąkliwa jak benzyna. Nawet fantastyka nie zdoła się od niej uwolnić. Podobnie jak zbrodnia sprzed lat kała szczęśliwą komunistyczną utopię z tytułowego opowiadania „Czarne bataliony”. Na tym właśnie polega siła tej prozy.



ANDRZEJ PILIPIUK



Patroni medialni



Polub nas na
facebooku

Wyłączny
dystrybutor

